

ŚWIATOWY BESTSELLER

DZIEWCZYNA
Z KABINY
NR 10

RUTH WARE

Prószyński i S-ka

DZIEWCZYNA
Z KABINY
NR 10
RUTH WARE

Przełożyła
Ewa Kleszcz

Prószyński i S-ka

Dla Eleanor, z miłością.

Śniłam o dziewczynie unoszącej się w zimnych i ciemnych głębinach Morza Północnego, do których nie docierało światło słoneczne, z dala od wzburzonych fal i okrzyków mew. Śniłam o jej śmiejących się oczach, teraz pokrytych bielmem i wytrzeszczonych od słonej wody, o jej pomarszczonej bladej skórze, o ubraniach porwanych na strzępy przez ostre skały.

Tylko jej długie czarne włosy pozostały niezmienione. Falowały niczym sploty ciemnych wodorostów, wplątywały się w muszle i rybackie sieci. Ich pasma, wyrzucane na brzeg jak skrawki postrzępionej liny, zwiotczałe, leżały na kamienistej plaży, podczas gdy ryk wzburzonych fal wypełniał moje uszy.

Obudziłam się pełna lęku. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, gdzie jestem. Jeszcze więcej czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że ryk, który słyszę, nie był częścią snu, że jest prawdziwy.

W pokoju panował półmrok. Wypełniała go ta sama wilgotna mgła, którą czułam we śnie. Usiadłam i poczułam na policzku chłodny powiew klimatyzacji. Hałas najwyraźniej dochodził z łazienki.

Wstałam z łóżka, drżąc odrobinę. Drzwi do łazienki były zamknięte, ale w miarę jak się do nich zbliżałam, ryk narastał, a wraz z nim moje serce biło coraz głośniej. W końcu zebrałam się na odwagę i otworzyłam drzwi na oścież. Szum prysznic wypełniał małe pomieszczenie. Po omacku poszukałam kontaktu, a gdy światło zalało łazienkę, zobaczyłam to.

Na pokrytym parą lustrze litery wysokie na jakieś piętnaście centymetrów układały się w zdanie: PRZESTAŃ WĘSZYĆ.

CZEŚĆ PIERWSZA

Piątek, 18 września

1

Po raz pierwszy pomyślałam, że coś jest nie w porządku, gdy obudziłam się w ciemnościach i poczułam, jak kotka trąca łapą moją twarz. Musiałam zapomnieć zamknąć kuchenne drzwi. Taka jest kara za wracanie do domu po pijaku.

– Zostaw mnie – jęknęłam.

Delilah zamiauczała i tryknęła mnie łbem. Próbowала ukryć twarz w poduszce, ale ona wciąż ocierała się o moje ucho, aż w końcu przekręciłam się na bok i bezlitośnie zepchnęłam ją z łóżka.

Pacnęła na podłogę z głuchym odgłosem, wydając oburzone miauknięcie, a ja naciągnęłam kołdrę na głowę. Ale nawet przez grubą materiał słyszałam, jak drapie w drzwi sypialni.

Zaraz. Drzwi były zamknięte?

Usiadłam gwałtownie, z walącym sercem, a Delilah wskoczyła na łóżko z mruknięciem pełnym satysfakcji. Przygarnęłam ją, żeby przestała się wiercić, i zaczęłam nasłuchiwać.

Mogłam zapomnieć o zamknięciu drzwi kuchennych albo zamknąć je niedokładnie, ale drzwi sypialni otwierały się *na zewnątrz* – taka drobna osobliwość wynikająca z rozkładu mojego mieszkania. Nie było mowy, żeby kotka sama zamknęła się w środku. *Ktoś* musiał ją tu zamknąć.

Siedziałam w bezruchu, tuląc do piersi ciepłe ciało Delilah i nastawiając uszu.

Cisza.

W przyływie ulgi pomyślałam, że pewnie była pod łóżkiem, gdy wróciłam do domu. Nie wydawało mi się, żebym zamykała drzwi do sypialni, ale mogłam zrobić to w roztargnieniu. Szczerze mówiąc, większość drogi od stacji metra do domu pamiętałam jak przez mgłę. Już wtedy dokuczał mi ból głowy, a teraz, kiedy adrenalina opadła, poczułam, jak znów zaczyna pulsować u podstawy czaszki. Naprawdę muszę przestać pić w środku tygodnia. Mogłam sobie na to pozwolić, gdy miałam dwadzieścia kilka lat, ale teraz kac nie mijał już tak łatwo jak kiedyś.

Delilah zaczęła się niespokojnie miotać w moich ramionach, wbijając mi pazury w skórę, więc wypuściłam ją i sięgnęłam po szlafrok. Owinęłam się nim, po czym zgarnęłam kotkę, żeby zanieść ją do kuchni.

Gdy otworzyłam drzwi sypialni, zobaczyłam mężczyznę.

Nie będę nawet próbowała opisywać, jak wyglądał. Wierście mi, przerabiałam to na policji ze dwadzieścia pięć razy. „Nie widziała pani nawet skrawka skóry na nadgarstkach?” pytali w kółko, na okrągło. Nie, nie i jeszcze raz nie. Na głowę miał naciągnięty kaptur bluzy, nos i usta zasłaniała mu bandana, a cała reszta kryła się w cieniu. Poza jego dłońmi.

Na dłoniach miał białe lateksowe rękawiczki. To właśnie ten szczegół przeraził mnie na śmierć. Rękawiczki mówiły: „Wiem, co robię”. Mówiły: „Przyszedłem przygotowany”. Mówiły: „Mogę chcieć czegoś więcej niż tylko twoich pieniędzy”.

Staliśmy tak przez chwilę, gapiąc się na siebie w osłupieniu. Jego oczy, lśniące w mroku, wpatrywały się w moje.

Przez głowę przemykały mi setki myśli. Gdzie, do cholery, jest mój telefon? Dlaczego poprzedniego wieczoru tak dużo wypiałam? Gdybym była trzeźwa, usłyszałabym, jak się włamuje. O Chryste, chciałabym, żeby był tu Judah.

Ale przede wszystkim myślałam o tych rękawiczkach. Mój Boże, te rękawiczki... Były takie... *profesjonalne*. Takie *bezduśne*.

Nie odezwałam się ani nie poruszyłam. Po prostu stałam tam – w rozchełstany

znoszonym szlafroku – i cała się trzęsłam. Delilah wyrwała mi się z rąk i pomknęła do kuchni.

Proszę, pomyślałam. Proszę, nie krzywdź mnie.

Boże, gdzie jest mój telefon?

I wtedy zauważyłam, co mężczyzna trzyma w dłoni: moją torebkę. Moją nową torebkę od Burberry, choć akurat ten szczegół wydał mi się kompletnie nieistotny. Tylko jedna rzecz w tej torebce miała teraz dla mnie wartość. Moja komórka.

Włamywacz zmrużył oczy, jakby uśmiechnął się pod chustką. Poczułam, jak krew odpływa mi z głowy i z palców, jak gromadzi się w samym środku mojego ciała, przygotowując je do walki lub ucieczki.

Mężczyzna zrobił krok w moją stronę.

– Nie... – zawołałam. Chciałam, żeby to zabrzmiało jak rozkaz, ale mój głos był piskliwy, błagalny, drżący. – Ni...

Nie zdążyłam dokończyć, bo zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Skrzydło boleśnie uderzyło mnie w policzek.

Przez dłuższą chwilę stałam jak wryta, przyciskając dłoń do twarzy. Szok i ból odebrały mi mowę. Palce miałam lodowato zimne, ale pod opuszkami czułam coś ciepłego i mokrego. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że listwa zdobiąca skrzydło drzwiowe rozcięła mi skórę do krwi.

Miałam ochotę pobiec z powrotem do łóżka, schować głowę pod poduszkę i płakać w nieskończoność. Ale cichy paskudny głosik w mojej głowie wciąż powtarzał: On nadal tam jest. A jeśli wróci? A jeśli wróci po ciebie?

W przedpokoju rozległ się huk, coś spadło na ziemię, i poczułam przyływ strachu, który powinien mnie zelektryzować, ale zamiast tego – sparaliżował mnie. Nie wracaj. Nie wracaj. Zdałam sobie sprawę, że przestałam oddychać, i z drzeniem wypuściłam powietrze z płuc, a potem, powoli, powolutku, zmusiłam się do wyciągnięcia dłoni w kierunku drzwi.

W przedpokoju ponownie rozległ się hałas, tym razem był to dźwięk tłuczonego szkła. W pośpiechu chwyciłam za gałkę i zapałam się, dociskając nagie stopy do starych desek podłogowych. Zamierzałam trzymać drzwi zamknięte tak długo, jak tylko się da. Kucnęłam, zgarbiona, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Próbowałam stłumić szloch, wtulając twarz w materiał szlafroka, podczas gdy on plądrował mieszkanie. Modliłam się, by Delilah uciekła do ogrodu, by nic jej się nie stało.

Wreszcie, po bardzo długim czasie, usłyszałam, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Usiadłam na podłodze, płacząc, z twarzą dociśniętą do kolan. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę sobie poszedł. Że już nie wróci, żeby mnie skrzywdzić. Ręce zeszywniały mi boleśnie, ale nie miałam odwagi puścić gałki.

Oczami wyobraźni znów ujrzałam silne dłonie w białych lateksowych rękawiczkach.

Możliwe, że spędziłabym przy tych drzwiach całą noc, bojąc się poruszyć, ale usłyszałam kotkę, miauczącą i drapiącą w drewno po drugiej stronie.

– Delilah – zawołałam ochryplym głosem, tak roztrzęsionym, jakby nie należał do mnie.

– Och, Delilah.

Ten dźwięk – znajome głębokie mruczenie – jakby zdjął ze mnie urok. Puściłam gałkę, żeby rozruszać boleś-nie przykurczone palce. Potem wstałam, próbując opanować drzenie nóg, i ponownie sięgnęłam do góry, tym razem po to, aby otworzyć drzwi.

Gałka ustąpiła zbyt łatwo, nie stawiając żadnego oporu. Zatrzask ani drgnął. Włamywacz musiał usunąć trzpień obrotowy z drugiej strony.

Kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Znalazłam się w pułapce.

Wydostanie się z sypialni zajęło mi dwie godziny. Nie miałam telefonu stacjonarnego, więc nie mogłam zadzwonić po pomoc, a okno było zakratowane. Złamałam swój najlepszy pilnik do paznokci, majstrując przy zamku, ale w końcu udało mi się otworzyć drzwi i wyjść do wąskiego przedpokoju.

Moje mieszkanie składa się z zaledwie trzech pomieszczeń – kuchni, sypialni i małej łazienki – i właściwie wszystkie widziałam ze swej perspektywy, jednak nie potrafiłam się powstrzymać przed zajrzeniem do każdego z osobna. Sprawdziłam nawet schowek w przedpokoju, gdzie trzymam odkurzacz, żeby się upewnić, że mężczyzna naprawdę zniknął.

Serce waliło mi jak oszalałe, a ręce mi się trzęsły, gdy wchodziłam po schodkach, by zapukać do drzwi mojej sąsiadki. Czekałam, aż otworzy, przyłapałam się na tym, że co i raz zerkam przez ramię na ciemną ulicę. Zgadywałam, że jest około czwartej nad ranem – musiałam długo się dobijać, żeby ją obudzić. W końcu usłyszałam ciężkie kroki pani Johnson i jej zrzęczenie. Gdy uchyliła drzwi, na jej zaspanej twarzy malowały się konsternacja i strach, ale zobaczywszy mnie – skuloną na schodkach, w szlafroku, z twarzą i rękami umazanymi krwią – natychmiast zdjęła łańcuch.

– Mój Boże! Co ci się stało?

– Ktoś się do mnie włamał... – Z trudem wypowiadałam słowa. Czy to z powodu chłodnego jesiennego powietrza, czy przeżytego szoku trzęsłam się gwałtownie i szczękałam zębami tak mocno, że bałam się, iż je połamię. Odepchnęłam od siebie tę wizję.

– Ty krwawisz! – zawołała zaniepokojona sąsiadka. – Och! A niech mnie! Wejdz, wejdz, proszę!

Poprowadziła mnie do salonu, którego podłogę zdobił dywan w tureckie wzory. Pokój był mały, ciemny i niezdolnie przegrzany, ale w tej chwili stanowił dla mnie upragnione schronienie.

– Siadaj, siadaj. – Wskazała na czerwoną pluszową sofę, po czym przyklękła, strzelając stawami, i zaczęła majstrować przy gazowym piecyku, jeszcze bardziej podkreślając ogrzewanie. Potem z trudem się wyprostowała i powiedziała: – Zrobię ci gorącej herbaty.

– Nic mi nie jest, pani Johnson, naprawdę. Czy mogłabym...

Ale ona surowo pokręciła głową.

– W takich sytuacjach nie ma nic lepszego niż gorąca słodka herbata!

Siedziałam więc posłusznie, oplatając dłońmi kolana, podczas gdy ona krzątała się po małej kuchni. Kiedy wróciła, niosąc na tacy dwa kubki, sięgnęłam po jeden i upiłam łyk. Skrzywiłam się, gdy gorąca porcelana zetknęła się ze skaleczeniem na mojej dłoni. Herbata była tak słodka, że już ledwie czułam smak krwi w ustach, co w sumie było błogosławieństwem.

Pani Johnson nie piła, tylko obserwowała mnie, z niepokojem marszcząc czoło.

– Czy on... – urwała. – Czy on zrobił ci krzywdę?

Wiedziałam, co ma na myśli. Pokręciłam głową, ale nim się odezwałam, wzięłam kolejny parzący łyk, by zapanować nad głosem.

– Nie. Nie tknął mnie. Ale zatrzasnął mnie w sypialni i oberwał drzwiami w twarz... stąd to rozcięcie na policzku. A potem skaleczyłam się w rękę, gdy próbowałam się wydostać. Zamknął mnie w środku.

Pomyślałam o tym, jak znęcałam się nad zamkiem za pomocą pilniczka do paznokci i pary nożyczek. Judah zawsze się ze mnie nabija, że nie używam właściwych narzędzi do danej roboty – odkręcam śrubki czubkiem kuchennego noża, zdejmuję opony z kół rowerowych,

podważając je ogrodniczym rydlem. Nie dalej jak w miniony weekend wyśmiał moją próbę naprawienia głowicy prysznicowej za pomocą mocnej taśmy klejącej, po czym spędził całe popołudnie, pedantycznie uszczelniając ją żywicą epoksydową. Ale Judah był na Ukrainie, a ja nie mogłam o nim w tej chwili myśleć. Gdybym zaczęła, na pewno bym się rozplakała, a gdybym teraz się rozkleiła, mogłabym kompletnie stracić panowanie nad sobą.

– Och, biedactwo...

Przełknęłam ślinę.

– Pani Johnson, dziękuję za herbatę... Ale tak naprawdę przyszedłam zapytać, czy mogłabym skorzystać z pani telefonu. Włamywacz zabrał moją komórkę, więc nie mam jak zadzwonić na policję.

– Pewnie, pewnie. Dopij tylko herbatę. Aparat jest tam. – Wskazała na stół przykryty koronkową serwetką, na którym stał prawdopodobnie ostatni w całym Londynie telefon z obrotową tarczą, jeśli nie liczyć egzemplarzy obrosniętych kurzem w sklepach ze starociami w Islington.

Posłusznie dokończyłam herbatę, po czym podniosłam słuchawkę. Przez chwilę mój palec zawisł nad dzwoniącym przyciskiem, ale w końcu westchnęłam. Ostatecznie włamywacz już się ulotnił. Nic mi nie groziło. Nie ma sensu dzwonić pod numer alarmowy.

Zamiast tego wykręciłam sto jeden.

Czekając na połączenie, myślałam o ubezpieczeniu, którego nie wykupiłam, o wzmacnianym zamku, którego nie zainstalowałam, i o tym, jak fatalnie zakończył się ten wieczór.

Rozmyślałam o tym wszystkim nadal kilka godzin później, obserwując, jak pracownik pogotowia ślusarskiego wymienia główną zasuwkę w moich drzwiach frontowych na porządny zamek antywłamaniowy, i słuchając wykładu na temat zasad bezpieczeństwa oraz utyskiwania, że moje drzwi od podwórza to jakaś kpina.

– Przecież to jest płyta pilśniowa, złotko. Wyważyłbym je jednym kopniakiem. Mam ci zademonstrować?

– Nie – powiedziałam pospiesznie. – Nie, dziękuję. Naprawię je. Pan nie zajmuje się wymianą drzwi, prawda?

– Nie, ale mam kumpla, który to robi. Dam ci jego numer. Tymczasem powiedz mężowi, żeby przybił do tego skrzydła porządny kawałek osiemnastomilimetrowej sklejki. Chyba nie chcesz powtórki z rozrywki?

– Nie. – Oględnie powiedziane.

– Mój kumpel z policji mówi, że jedna czwarta włamań to powtórki. Ci sami koleśie wracają po więcej.

– Super. – Uśmiechnęłam się blado. Właśnie to chciałam teraz usłyszeć.

– Osiemnastomilimetrowa sklejka. Chcesz, żebym to zapisał dla twojego męża?

– Nie, dziękuję. Nie mam męża.

I pomimo że mam jajniki, potrafię zapamiętać prostą, dwucyfrową liczbę, pomyślałam z irytacją.

– Aaa, jasne, łapię. Cóż, sama widzisz... – powiedział facet, jakby mój stan cywilny czegoś dowodził. – Futryna tych drzwi też się trzyma na słowo honoru. Trzeba ją wzmocnić. Możesz mieć najlepszy zamek, ale co ci po nim, jeśli wyważą futrynę. Mam w furgonetce coś, co może pasować. Wiesz, o czym mówię?

– Świetnie. – Podejrzywałam, że próbuje mnie wydoić, ale w tych okolicznościach było mi wszystko jedno.

– Wiesz co? – Wstał i wetknął dłuto do tylnej kieszeni spodni. – Założę ci to

wzmocnienie i dorzucę kawałek sklejki do tylnych drzwi całkiem za darmo. Mam w furgonetce płytę odpowiedniej wielkości. Głowa do góry, złotko. On nie wróci. W każdym razie nie tą samą drogą.

Z jakiegoś powodu jego słowa nie dodały mi otuchy.

Kiedy ślusarz sobie poszedł, zaparzyłam herbatę i zaczęłam krążyć po mieszkaniu. Czułam się jak Delilah, gdy dziki kot dostał się do mieszkania przez klapę w drzwiach i nasikał w przedpokoju – włóczyła się potem godzinami po wszystkich pomieszczeniach, ocierając się o meble i siusiąc po kątach, żeby na nowo oznaczyć swoje -terytorium.

Ja oczywiście nie posunęłam się do tego, by nasikać na łóżko, ale dręczyło mnie to samo wrażenie naruszonej przestrzeni i potrzeba odzyskania panowania nad tym, co zostało pogwałcone. Pogwałcone? – powtórzył cichy, sarkastyczny głosik w mojej głowie. Błagam, ale z ciebie histeryczka.

A jednak czułam się w pewien sposób zgwałcona. Moje malutkie mieszkanko zostało sprofanowane, przestało być moim azylem. Relacjonowanie tego wszystkiego policji było drogą przez mękę. Owszem, widziałam intruza. Nie, nie potrafię go opisać. Co było w tej torebce? Cóż, wie pan, nic szczególnego, tylko całe moje życie: pieniądze, komórka, prawo jazdy, tabletki, generalnie wszystko, co było mi potrzebne – od maskary po bilet miesięczny.

Energiczny, bezosobowy głos policjanta wciąż odbijał się echem w mojej głowie:

– Co to był za telefon?

– Nic cennego – powiedziałam znużona. – Stary iPhone. Nie pamiętam, jaki model, ale mogę to sprawdzić.

– Dziękuję. Wszystko się przyda, marka, numer seryjny. Wspominała pani o tabletkach. Co to było za lekarstwo, jeśli mogę spytać?

Natychmiast przybrałam defensywny ton:

– A co moja historia choroby ma wspólnego z tą sprawą?

– Nic. – Cierpliwość mego rozmówcy była wręcz irytująca. – Po prostu niektóre leki mają wartość rynkową.

Wiedziałam, że mój gniew jest nieuzasadniony. Ten człowiek tylko wykonywał swoją pracę. Ale przecież to włamywacz popełnił przestępstwo, więc dlaczego miałam wrażenie, że to ja jestem przesłuchiwana?

Zmierzałam do salonu z filiżanką herbaty w dłoni, gdy rozległo się walenie do drzwi. Tak gwałtownie wdarło się w ciszę mieszkanka, że aż podskoczyłam ze strachu. Potknęłam się i zamarłam w bezruchu zgięta wpół.

Okropne wspomnienie zakapturzonej twarzy i dłoni w lateksowych rękawiczkach przeszło mój mózg.

Dopiero gdy dudnienie rozległo się ponownie, zdałam sobie sprawę, że filiżanka leży rozbita na podłodze, a moje skarpetki są przemoczone od szybko stygnącego napoju. Ktoś po raz kolejny załomotał w drzwi.

– Chwileczkę! – wrzasnęłam, nagle wściekła i bliska łez. – Idę! Przestań walić w te cholerne drzwi!

– Przepraszam panią – powiedział policjant, gdy w końcu otworzyłam. – Nie byłam pewien, czy pani mnie słyszy. – A potem, na widok herbacianej kałuży i odłamków filiżanki, dodał: – O rety! Co się tu stało? Kolejne włamanie? Ha, ha!

Po południu, gdy policjant skończył spisywać protokół i w końcu wyszedł, otworzyłam laptop. Ponieważ był w sypialni, jako jedyny sprzęt elektroniczny ocalał przed kradzieżą. Pomijając materiały związane z pracą, dla których nie miałam kopii zapasowych, trzymałam na nim wszelkie potrzebne hasła, łącznie z plikiem (skrzywiłam się na myśl o tym) nazwanym

„Różności bankowe”. Nie było tam wprawdzie moich kodów PIN, ale wszystko inne owszem.

Otworzyłam pocztę. Podczas gdy zwyczajowy zalew e-maili wypełniał moją skrzynkę odbiorczą, zauważyłam jeden z tematem „Zamierzasz się dziś pojawić? ;)”. Wtedy zdałam sobie sprawę, że kompletnie zapomniałam o skontaktowaniu się z „Velocity”.

W pierwszym odruchu chciałam po prostu odpisać na wiadomość, ale ostatecznie wyciągnęłam dwudziestofuntowy banknot z puszki po herbacie, gdzie trzymałam go, na wypadek gdybym potrzebowała pieniędzy na taksówkę, i poszłam do obscurnego sklepiku z telefonami, zlokalizowanego przy stacji metra. Musiałam trochę się potargować, ale w końcu koleś sprzedał mi tani aparat z kartą SIM za piętnaście funtów. Usiadłam w kawiarni naprzeciwko i zadzwoniłam do Jenn, asystentki redaktora.

Opowiedziałam jej całą historię, dbając o to, by wydała się zabawniejsza, niż była w rzeczywistości. Barwnie opisałam, jak majstrowałam przy zamku pilniczkami do paznokci, pominęłam natomiast przykre szczegóły, takie jak lateksowe rękawiczki, poczucie strachu i bezsilności oraz koszmarne realistyczne przebiegi wydarzeń, które wciąż mnie nawiedzały.

– Jasna cholera! – W głosie Jenn brzmiało przerażenie. – Wszystko z tobą dobrze?

– Tak, mniej więcej. Ale nie dotrę dziś do pracy. Muszę doprowadzić mieszkanie do porządku – wyjaśniłam, choć moje lokum wcale nie było w takim złym stanie. Włamywacz zachował się z godną uznania powściągliwością. Jak na przestępcę.

– Boże, Lo, biedactwo. Chcesz, żebym znalazła kogoś, kto przygotuje za ciebie tę relację z rejsu?

Przez moment nie miałam pojęcia, o czym mówi. A potem sobie przypomniałam. Dziewiczy rejs po norweskich fiordach butikowym, kameralnym, superluksusowym statkiem wycieczkowym Aurora Borealis. Jakimś cudem – wciąż nie byłam do końca pewna, jak mi się to udało – zdobyłam jedną z nielicznych przepustek prasowych, by zdać relację z tego wydarzenia.

Takie okazje trafiały się rzadko. Mimo że pracowałam w czasopiśmie podróżniczym, moje codzienne obowiązki ograniczały się zwykle do kopiowania i wklejania komunikatów prasowych oraz wyszukiwania zdjęć do artykułów, które przysyłała nam z luksusowych lokalizacji Rowan, nasza szefowa. I to właśnie Rowan miała popłynąć w ten rejs. Niestety, okazało się, że przeszkadza jej w tym ciąża – najwyraźniej niepowściągliwe wymioty – więc przepustka wylądowała na moim podołku niczym wielki prezent, obarczony odpowiedzialnością, ale i możliwościami. Zyskałam w ten sposób wotum zaufania – Rowan mogła wyświadczyć tę przysługę wielu innym osobom starszym stażem. Wiedziałam, że jeśli dobrze rozegram karty podczas tego rejsu, to będzie punkt na moją korzyść podczas walki o zastępstwo za Rowan w trakcie jej urlopu macierzyńskiego i może – tylko może – wreszcie dostanę awans, który obiecywała mi przez ostatnie kilka lat.

Wycieczka miała się rozpocząć w ten weekend – konkretnie w niedzielę. Miałam dwa dni do wyjazdu.

– Nie! – zawołałam, zaskakując samą siebie stanowczością tego stwierdzenia. – Nie, zdecydowanie nie chcę się wycofywać. Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna? A co z twoim paszportem?

– Leżał w mojej sypialni, włamywacz go nie znalazł.

Dzięki Bogu.

– Jesteś absolutnie pewna? – W głosie Jenn usłyszałam troskę. – To bardzo ważne zlecenie. Nie tylko dla ciebie, ale dla magazynu. Jeśli nie czujesz się na siłach... Rowan nie chciałaby, żebyś...

– Czuję się na siłach – ucięłam. Nie ma mowy, żeby taka okazja wymknęła mi się z rąk. Mogłabym nie dostać następnej. – Serio. Naprawdę chcę to zrobić, Jenn.

– Okay... – odparła jakby niechętnie. – Cóż, w takim razie cała naprzód, he? Dzisiaj rano otrzymaliśmy teczkę prasową. Wyślę ci ją kurierem razem z biletami na pociąg. Mam też notatki Rowan. Najważniejsze jest chyba to, żebyś stworzyła naprawdę ładną laurkę na temat samego statku, bo szefowa liczy na to, że zostaną naszymi reklamodawcami... Ale pośród gości powinno być wielu interesujących ludzi, więc jeśli uda ci się przygotować jakieś sylwetki pasażerów, to jeszcze lepiej.

– Pewnie. – Złapałam długopis z kawiarnianego blatu i zaczęłam robić notatki na papierowej serwetce. – Przypomnij mi, o której odpływamy?

– Najpierw musisz złapać pociąg o dziesiątej trzydzieści z King's Cross... Może po prostu umieszczę wszystkie informacje w teczce prasowej?

– W porządku. Dziękuję, Jenn.

– Nie ma sprawy. – W jej głosie pobrzmiwał smutek i zastanawiałam się, czy przypadkiem sama nie miała ochoty przejść tego zlecenia. – Uważaj na siebie, Lo. I do zobaczenia.

Zmierzchało już, gdy dowleklam się z powrotem do domu. Bolały mnie stopy i policzek, marzyłam tylko o długiej gorącej kąpieli.

Drzwi mojego mieszkania w suterenie jak zawsze kryły się w cieniu. Znowu pomyślałam o tym, że powinnam zainstalować oświetlenie czujnikowe, choćby po to, żeby łatwiej było mi znaleźć klucze w torebce. Ale nawet w zapadającym zmroku widziałam drzazgi wokół sforsowanego zamka. To cud, że nie usłyszałam włamywacza. Cóż, czego się spodziewałaś? Ostatecznie byłaś pijana, odezwał się paskudny cichy głosik w mojej głowie.

Nowy zamek antywłamaniowy wydawał się solidny, co dodało mi otuchy. Zamknęłam za sobą drzwi, zrzuciłam buty i poszłam do łazienki. Stłumiłam ziewnięcie, odkręcając kurki z wodą, i opadłam na sedes, żeby ściągnąć rajstopy. Zaczęłam odpinać guziki bluzki i... zamarłam.

Normalnie, gdy w domu jesteśmy tylko ja i Delilah, zostawiam drzwi do łazienki otwarte, kiedy idę się kąpać. Ponieważ mieszkanie znajduje się poniżej poziomu chodnika, ściany są podatne na zawilgocenie. Poza tym nie czuję się dobrze w zamkniętych pomieszczeniach, a gdy żaluzje są spuszczone, łazienka wydaje się klaustrofobicznie mała. Ale choć drzwi frontowe były zamknięte i dodatkowo wzmocnione, na wszelki wypadek sprawdziłam okno, po czym zamknęłam się w łazience, zanim skończyłam się rozbierać.

Byłam zmęczona. Boże... byłam *taka* zmęczona. Wyobraziłam sobie, że zasypiam w wannie i osuwam się pod powierzchnię wody, a Judah znajduje moje nagie wzdęte ciało tydzień później... Potrząsnęłam głową. Muszę przestać tak cholernie dramatyzować. Wanna miała ledwie metr dwadzieścia długości. Siedząc w niej, miałam problemy ze spłukaniem szamponu z włosów. Jak miałabym utonąć w czymś tak mikroskopijnym?

Woda była na tyle gorąca, że skaleczenie na policzku zaczęło mnie piec. Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić, że jestem gdzie indziej, z dala od tej klaustrofobicznej, małej przestrzeni, z dala od obrzydliwego, rojącego się od przestępców Londynu. Może spaceruję skandynawskim wybrzeżem, słysząc kojące dźwięki... eee... Bałtyku? Jak na dziennikarkę podróżniczą miałam niepokojące luki w wiedzy geograficznej.

Ale niechciane obrazy wciąż wdzierały się do moich myśli. Ślusarz opowiadający o tym, że jedna czwarta włamań to powtórki. Ja kuląca się w sypialni, ze stopami zapartymi w podłogę. Silne dłonie powleczone białym lateksem, pod którym widać było czarne owłosienie na palcach... Cholera. Cholera!

Otworzyłam oczy, ale tym razem powrót do rzeczywistości nie pomógł. Wilgotne ściany łazienki górowały nade mną, zamykały się wokół mnie...

Znowu tracisz zmysły, skomentował złośliwie mój wewnętrzny głosik. Czujesz to, prawda?

Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zaciśnięłam powieki i zaczęłam liczyć, powoli i świadomie, próbując wypchnąć te wizje z mojej głowy. Raz. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery. Pięć. Sześć. Wydech. Raz. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery. Pięć. Sześć. Wydech.

W końcu obrazy rozmyły się, ale kąpiel już nie sprawiała mi przyjemności. Potrzeba wydostania się z tego dusznego małego pomieszczenia nagle stała się przytłaczająca. Wstałam, owinęłam się ręcznikiem, w drugi ręcznik zawinęłam włosy i poszłam do sypialni.

Laptop wciąż leżał na łóżku. Otworzyłam go, odpaliłam Google i wpisałam: „Jaki % włamywaczy powraca”.

Kliknęłam losowo w jeden z linków. Przeglądałam artykuł, aż natrafiłam na akapit, w którym pojawiły się słowa: „gdy włamywacze wracają... Według ogólnokrajowej ankiety średnio 25–50% włamań na przestrzeni roku to incydenty powtórne; od 25 do 35% ofiar doświadczyło powtórnego włamania. Statystyki zgromadzone przez brytyjską policję wskazują, że do 28–51% powtórných włamań dochodzi w ciągu miesiąca od pierwszego incydentu, a do 11–25% w ciągu tygodnia”.

Świetnie. Zatem najwyraźniej mój sympatyczny, pesymistyczny ślusarz w rzeczywistości bagatelizował problem i wcale nie próbował mnie naciągnąć. Próba zrozumienia, jak to możliwe, że średnio połowa włamań to włamania powtórne, ale ofiar powtórných włamań jest tylko trzydzieści pięć procent, sprawiła, że rozboleła mnie głowa. Tak czy inaczej, myśl, że mogłabym trafić do tych statystyk, nie napawała mnie entuzjazmem.

Obiecałam sobie, że tego wieczoru nie będę piła alkoholu. Po sprawdzeniu drzwi frontowych i tylnych, po obejrzeniu zamków w oknach i ponownym skontrolowaniu drzwi frontowych w końcu podłączyłam telefon do ładowarki przy łóżku i zaparzyłam sobie rumianek.

Zaniosłam filizankę do sypialni i usadowiłam się na łóżku z laptopem, teczką zawierającą materiały na temat rejsu oraz paczką czekoladowych herbatników pełnoziarnistych. Była dopiero dwudziesta, a ja nie jadłam kolacji, ale byłam zbyt wyczerpana, żeby gotować. Nie miałam nawet siły, żeby zamówić coś przez telefon. Otworzyłam teczkę, opatuliłam się kołdrą i czekałam, aż zmorzy mnie sen.

Ale sen nie przychodził. Pochłonęłam całe opakowanie ciasteczek, wczytując się w fakty i liczby na temat Aurory. Tylko dziesięć luksusowo urządzonych kabin... maksymalnie dwudziestu pasażerów... starannie wyselekcjonowany personel z najlepszych na świecie hoteli i restauracji... Nawet specyfikacja techniczna statku nie była w stanie ukołysać mnie do snu. Byłam kompletnie wyczerpana, a jednocześnie podminowana i całkowicie przytomna.

Leżałam w moim kokonie, próbując nie myśleć o włamywaczu. Skupiałam się na pracy, na wszystkich sprawach, które musiałam załatwić. Odebrać nowe karty płatnicze. Spakować się i przeprowadzić własny research przed podróżą. Czy zobaczę się z Jude'em przed moim wyjazdem? Na pewno będzie próbował się ze mną skontaktować, dzwoniąc na skradzioną komórkę.

Odłożyłam materiały prasowe i odpaliłam pocztę.

„Cześć, kochanie”, napisałam, a potem zaczęłam obgryzać paznokieć. Co mam mu powiedzieć? Nie ma sensu wspominać o włamaniu. Jeszcze nie teraz. Miałby tylko wyrzuty sumienia, że nie było go przy mnie, gdy go potrzebowałam. „Straciłam telefon”, napisałam w końcu. „To długa historia, opowiem ci, jak wrócisz. W każdym razie jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, pisz na maila, nie wysyłaj esemesów. O której zamierzasz wrócić w niedzielę? Ja wcześniej rano muszę jechać do Hull, żeby załapać się na ten skandynawski rejs. Mam nadzieję, że zdążymy się zobaczyć. Jeśli nie, to do zobaczenia w następnym weekend? Lo x”.

Wysłałam wiadomość, mając nadzieję, że Judah nie będzie się zastanawiał, dlaczego nie śpię za piętnaście pierwsza w nocy. Potem zamknęłam komputer i sięgnęłam po książkę w przekonaniu, że lektura mnie uspi.

Nie uspiła.

O trzeciej trzydzieści pięć chwiejnym krokiem dowlek-łam się do kuchni i zrobiłam sobie mocny dzin z tonikiem. Zmusiłam się do wypicia go duszkiem, jak lekarstwo, wzdrygając się, gdy na języku poczułam cierpki smak. Później przygotowałam sobie drugiego drinka, którego wypić już wolniej. Stałam przez chwilę, czując, jak alkohol zaczyna krążyć mi w żyłach, rozluźnia mięśnie, koi stargane nerwy.

Przełałam resztę dzinu do szklanki i zabrałam ją ze sobą do sypialni. Potem leżałam sztywno na łóżku, niespokojna, wlepiając oczy w jarzącą się tarczę zegarka i czekając, aż drinki zadziałają.

Raz. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery... Pięć... Pięć...

Nie pamiętam, kiedy zasnęłam, ale w końcu musiało mi się udać, bo w jednej chwili patrzyłam na tarczę zegarka rozmazującą mi się przed oczami, walczyłam z bólem głowy i czekałam, aż pojawi się czwarta czterdzieści cztery, a w następnej zamrugałam i zobaczyłam puszysty pyszczek Delilah. Kotka trącała mnie nosem, dając do zrozumienia, że pora na śniadanie. Jęknęłam. Głowa bolała mnie bardziej niż wczoraj, choć nie byłam pewna, czy to z powodu rany na policzku, czy kolejnego kaca. Ostatni drink, wypity do połowy, stał na stoliku obok łóżka. Powąchałam zawartość szklanki i niemal zwymiotowałam. Drink musiał w dwóch trzecich składać się z alkoholu. Co ja sobie myślałam?

Zegarek wskazywał szóstą cztery rano, co oznaczało, że spałam krócej niż półtorej godziny; ale już oprzytomniałam, więc nie było sensu z tym walczyć. Wstałam i odsłoniłam zasłony. Moim oczom ukazał się szary świt. Cienkie palce słońca wdzierały się przez okno do mojej sutereny. Dzień wyglądał na zimny i gorzki. Włożyłam kapcie i trzęsąc się, ruszyłam do przedpokoju, żeby przestawić automatyczny timer termostatu na sterowanie ręczne i wcześniej uruchomić ogrzewanie.

*

Była sobota, więc nie musiałam pracować, ale załat-wianie formalności związanych z odzyskaniem numeru telefonu i wydaniem nowych kart płatniczych zajęło mi większość dnia. Wieczorem ślaniałam się ze zmęczenia.

Ostatnio czułam się tak źle po powrocie z Tajlandii przez Los Angeles – po serii drzemek nieprzynoszących regeneracji, złakniona normalnego snu, z opuchniętymi oczami i kompletnie zdezorientowana. Gdzieś nad Atlantykiem zdałam sobie sprawę, że równie dobrze mogę zrezygnować z prób zaśnięcia. Po powrocie do domu padłam na łóżko, tracąc przytomność, i spałam przez dwadzieścia dwie godziny non stop. Wynurzyłam się z tego snu otumaniona i zeszywniała, dopiero gdy Judah zaczął się dobijać do moich drzwi z niedzielnymi gazetami.

Ale tym razem moje łóżko nie dawało mi schronienia.

Musiałam się wziąć w garść, zanim wyjadę. Ten rejs był dla mnie szansą, której nie mogłam zmarnować, niepowtarzalną okazją, by po dziesięciu latach nudnej i żmudnej roboty dowieść swej wartości. Miałam szansę pokazać, że się do tego nadaję, że podobnie jak Rowan umiem nawiązywać kontakty i promować nasze czasopismo, swobodnie gawędząc z ludźmi sukcesu. A lord Bullmer, właściciel statku Aurora Borealis, w rzeczy samej był człowiekiem sukcesu. Zaledwie jeden procent z jego budżetu reklamowego zapewniłby „Velocity” płynność finansową na wiele miesięcy, nie mówiąc już o potencjalnych zyskach, jakie przyniosłoby nam nawiązanie współpracy ze znanymi dziennikarzami i fotografami, którzy bez wątpienia też

zostali zaproszeni na pokład Aurory.

Nie miałam zamiaru przystępować do agresywnego ataku przy kolacji – to wydawało mi się zbyt prostackie – ale gdyby udało mi się zdobyć prywatny numer Bullmera i zadbać o to, by odebrał mój telefon, kiedy już do niego zadzwonię... cóż, to zdecydowanie zwiększyłoby moje szanse na awans.

Mechanicznie przeżuwałam odgrzewaną pizzę, a gdy już się najadłam, wróciłam do przeglądania teczki prasowej. Słowa i obrazy jednak zamazywały mi się przed oczami, przymiotniki zlewały się ze sobą: „butikowy... kameralny... lśniący... luksusowy... starannie wyselekcjonowany...”. Z ziewnięciem odłożyłam kartkę, zerknęłam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że minęła dziewiąta. Dzięki Bogu mogłam już położyć się do łóżka. Kiedy po kilka razy sprawdzałam wszystkie zamki, rozmyślałam o tym, że jedynym plusem mojego stanu jest fakt, iż nie czeka mnie powtórka z zeszłej nocy. Byłam tak wycieńczona, że nawet gdyby włamywacz faktycznie powrócił, prawdopodobnie przespałabym całe zajście.

O dziesiątej czterdzieści siedem zrozumiałam, że się myliłam.

O jedenastej dwadzieścia trzy zaczęłam płakać.

Czy już zawsze tak będzie? Czy już nigdy spokojnie nie zasnę?

Musiałam zasnąć. Musiałam. W ciągu ostatnich trzech dni (policzyłam na palcach, bo nie byłam w stanie zrobić tego w myślach) przespałam w sumie mniej niż cztery godziny.

Czułam smak snu. Wyczuwałam jego obecność – tuż poza moim zasięgiem. Musiałam usnąć. Musiałam. Zwariuję, jeśli się nie wyśpię.

Łzy znów zaczęły płynąć. Nawet nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Czy to były łzy frustracji? Wściekłości na samą siebie i na włamywacza? Czy tylko objaw wyczerpania?

Wiedziałam tylko jedno: nie potrafię zasnąć. Sen przypominał niedotrzymaną obietnicę. Próbowałam go schwytać, tak jak niektórzy potrafią złapać rybę w strumieniu, ale wciąż wymykał mi się z rąk. Czułam się tak, jakbym chciała dogonić miraż. Obraz wciąż się cofał i oddalał – tym szybciej, im bardziej rozpaczliwie biegłam w jego stronę.

Boże, ja chcę spać...

Delilah zwróciła ku mnie łebek zdziwiona. Czy wypowiedziałam te słowa? Sama już nie wiedziałam. Chryste, zaczynało mi odbijać.

Twarz skryta w cieniu. Oczy połyskujące w ciemnościach.

Usiadłam. Serce waliło mi tak mocno, że czułam pulsowanie z tyłu czaszki.

Musiałam się stąd wydostać.

Wstałam jak w transie, zataczając się ze zmęczenia. Włożyłam buty, naciągnęłam płaszcz na pidżamę. Potem sięgnęłam po torebkę. Nie mogłam usnąć, więc postanowiłam dokąds pójść. Dokądkolwiek.

Skoro sen nie chciał przyjść do mnie, równie dobrze to ja mogłam go wytropić.

O północy ulice nie były jeszcze całkowicie opustoszałe, ale nie przypominały też tych, które przemierzałam codziennie w drodze do pracy. Tam, gdzie nie docierały siarkowożółte kałuże światła rzucanego przez uliczne latarnie, panowały cienie i szarość. Zimny wiatr pędził po chodniku skrawki gazet, liście i śmieci kotłowały się w rynsztokach. Powinnam odczuwać strach – trzydziestodwuletnia kobieta, w pidżamie pod płaszczem, wędrująca samotnie po nocy. Ale czułam się tu bezpieczniej niż we własnym mieszkaniu. Tutaj ktoś usłyszałby, jak krzyczę.

Nie miałam żadnego planu, po prostu zamierzałam włóczyć się po ulicach tak długo, aż będę zbyt zmęczona, by ustać na nogach. Gdzieś w okolicach Highbury i Islington zdałam sobie sprawę, że zaczęło padać, że musiało się rozpadać już jakiś czas temu, bo byłam przemoczona do suchej nitki. Mój wyczerpany, skołowany umysł próbował podjąć jakąś decyzję i w końcu nogi poniosły mnie dalej – niemal bez mojego udziału – ale nie w stronę domu, lecz na południe, w kierunku stacji metra Angel.

Nie zdawałam sobie sprawy, dokąd zmierzam, dopóki nie dotarłam na miejsce. Stałam w przedsionku budynku, w którym mieszkałam. Ze ściągniętymi brwiami gapiałam się na panel domofonu, wpatrując się w nazwisko, które sam wypisał na skrawku papieru drobnym i schludnym odręcznym pismem: Lewis.

Nie było go w domu. Wyjechał na Ukrainę i miał wrócić dopiero jutro. Ale w kieszeni płaszcza miałam zapasowe klucze do jego mieszkania, a nie mogłam znieść myśli o powrotnym spacerze do siebie. Mogłabyś wziąć taksówkę, zagderał złośliwy głosik w mojej głowie. To nie spacer cię przeraża, ty tchórze.

Potrząsnęłam głową. Krople deszczu rozprysły się na dzwonku ze stali nierdzewnej. Zaczęłam przeglądać pęk kluczy, dopóki nie znalazłam tych otwierających drzwi na klatkę. Wślizgnęłam się do środka, do dusznego wspólnego korytarza.

Wspięłam się na drugie piętro i ostrożnie weszłam do mieszkania.

W przedpokoju panowała absolutna ciemność. Drzwi do wszystkich pomieszczeń były pozamykane.

– Judah? – zawołałam. Byłam pewna, że nie ma go w domu, ale mógł tu nocować jakiś jego kumpel. Nie chciałam nikogo przyprawić o zawał serca w środku nocy. Wiedziałam aż za dobrze, jakie to uczucie. – Jude, to ja, Lo.

Ale nie było odpowiedzi. W mieszkaniu panowała kompletna cisza. Otworzyłam drzwi po lewej, te prowadzące do kuchni z aneksem jadalnym, i na paluszkach weszłam do środka. Nie zapaliłam światła. Po prostu ściągnęłam mokry płaszcz i pidżamę i wrzuciłam wszystko do zlewu.

Potem, naga, poszłam do sypialni. Snop księżycowego światła zalewał szerokie podwójne łóżko. Szara pościel była skotłowana, jakby Judah wstał zaledwie przed momentem. Położyłam się na samym środku, czując miękkość wysłużonych prześcieradeł i ten zapach – mieszankę potu, płynu po goleniu i jego skóry.

Zamknęłam oczy.

Raz. Dwa...

Sen pochłonął mnie jak fala.

Obudziły mnie krzyk kobiety i wrażenie, że ktoś na mnie leży, przyciska do materaca i próbuje chwycić mnie za rękę, mimo że się wyrывam.

Czyjaś dłoń złapała mnie za nadgarstek, dłoń znacznie silniejsza od mojej. Oszałała

z paniki, zaczęłam na oślep macać wolną ręką w absolutnych ciemnościach, szukając czegoś, czegokolwiek, co mogłoby mi posłużyć za broń. W końcu natrafiłam na lampę stojącą na stoliku nocnym.

Mężczyzna zasłonił mi usta dłonią, dusił mnie, przytłaczał swoją masą. Uniosłam ciężką lampę i zdzieliłam go po głowie.

Krzyknął z bólu i jak przez mgłę usłyszałam jego niewyraźne słowa:

– Lo, to ja! To ja, na litość boską, uspokój się!

Co?

O Boże.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie mogłam znaleźć włącznika lampy, tylko coś pozrzucałam ze stolika.

Słyszałam, jak Judah oddycha gwałtownie. Towarzyszył temu bulgoczący dźwięk, który mnie przeraził. Gdzie, do cholery, jest ta lampa? W końcu zdałam sobie sprawę, że przed chwilą użyłam jej, żeby zaatakować mojego chłopaka.

Zerwałam się z łóżka, stanęłam na drżących nogach i odszukałam włącznik światła przy drzwiach. Pokój zalało bezlitosne jaskrawe światło tuzina halogenowych lamp, obnażając wszystkie szczegóły koszmarnego widowiska.

Judah kucał na łóżku, trzymając się za twarz, krew ciekła mu po brodzie i po piersi.

– Boże, Jude! – Doczołgałam się do niego i trzęsącymi się dłońmi zaczęłam wyciągać chusteczki z pudełka przy łóżku. Docisnął je do twarzy. – Boże, co się stało? Kto tak krzyczał?

– Ty! – jęknął. Chusteczki przesiąkały krwią w błyskawicznym tempie.

– Co? – Adrenalina wciąż krążyła mi w żyłach. Rozejrzałam się po pokoju, skołowana, szukając kobiety i napastnika. – Jak to?

– Wróciłem do domu – wymamrotał. Chusteczki tłumiły jego brooklyński akcent. – Zaczęłaś krzyczeć przez sen. Więc próbowałem cię obudzić i... to.

– Och kurwa... – Zasłoniłam usta dłońmi. – Tak mi przykro.

Ten krzyk... był taki realny. Czy to naprawdę ja tak krzyczałam?

Judah ostrożnie odsunął od ust zwitek chusteczek. Na szkarłacie połyskiwało coś małego i białego. Dopiero gdy podniosłam na niego wzrok, zdałam sobie sprawę, że stracił ząb.

– Jezu...

Patrzył na mnie, krew wciąż ciekła mu z ust i nosa.

– Niezłe powitanie.

– Przepraszam... – Czulałam ucisk w gardle, ale nie chciałam się rozplakać przy taksówkarzu. Z trudem przełykałam łzy. – Judah?

Judah w milczeniu patrzył przez okno. Nad Londynem rozlewał się szary blask. Spędziliśmy dwie godziny na ostrym dyżurze. Jedyne, co zrobili, to zszyli mu wargę i odesłali go do dentysty, który wsadził ząb z powrotem na miejsce i powiedział, że mamy trzymać kciuki. Wybity ząb da się ocalić, jeśli ponownie się zakorzeni. A jeśli nie, trzeba będzie założyć mostek albo wstawić implant.

Zamknął oczy, a ja czułam, jak targają mną wyrzuty sumienia.

– Przepraszam – powtórzyłam, tym razem z większą rozpaczą w głosie. – Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Nie, to ja przepraszam – wyseplenił, znużony. Znieczulenie miejscowe sprawiało, że miał kłopoty z mówieniem. Brzmiał tak, jakby naśladował pijanego Seana Connery'ego.

– Ty? A za co ty przepraszasz?

– Nie wiem. Za to, że schrzaniłem sprawę. Że nie było mnie przy tobie, gdy mnie potrzebowałaś.

– Mówisz o włamywaczu?

Pokiwał głową.

– Też. Ale tak naprawdę o wszystkim. Żałuję, że muszę tak często wyjeżdżać.

Przysunęłam się do niego, a on objął mnie ramieniem. Położyłam mu głowę na piersi i słuchałam powolnego, miarowego bicia jego serca, krzepiąco miarowego w porównaniu z oszalałym galopem, którym pędziło moje. Koszulka pod kurtką Judah była pochłapana krwią, ale ja czułam tylko miękki materiał pod swoim policzkiem. Zaczęłam oddychać głęboko i poczułam, jak mój puls zwalnia.

– I tak nie mógłbyś nic zrobić – wymamrotałam.

Potrząsnął głową.

– Mimo wszystko powinienem tam być.

Świtało już, gdy zapłaciliśmy taksówkarzowi i powoli weszliśmy na drugie piętro, z powrotem do mieszkania Judah. Kiedy zerknęłam na zegarek, zobaczyłam, że dochodzi szósta. Cholera, za kilka godzin muszę się znaleźć w pociągu do Hull.

Rozebraliśmy się i padliśmy na łóżko. Judah przytulił mnie i zamknął oczy, głęboko wdychając zapach moich włosów. Byłam taka zmęczona, że nie potrafiłam jasno myśleć, ale zamiast leżeć spokojnie i pozwolić, by ogarnął mnie sen, wspierałam się na Judah i zaczęłam całować jego szyję, brzuch, pas ciemnych włosów prowadzący do krocza.

– Lo... – Spróbował przyciągnąć mnie do siebie, żeby mnie pocałować, ale pokręciłam głową.

– Nie. Twoje usta... Po prostu leż spokojnie.

Pozwolił, aby głowa opadła mu z powrotem na poduszkę, skąpaną w smudze bladego światła przedzierającego się przez zasłony.

Minęło osiem dni, od kiedy ostatnio go widziałam. Minie kolejny tydzień, zanim zobaczę go ponownie. Jeśli nie zrobimy tego teraz...

Już po wszystkim leżałam w jego ramionach, czekając, aż mój oddech i serce się uspokoją, gdy poczułam, jak jego policzek, przyciśnięty do mojego, marszczy się w uśmiechu.

– To zdecydowanie bardziej mi odpowiada – wymruczał.

– Co takiego?

– Takie powitanie.

Wzdrygnęłam się, a on dotknął mojej twarzy.

– Lo, kochanie, to tylko żart.

– Wiem.

Oboje milczeliśmy przez długi czas. Myślałam, że zasnął, i sama zamknęłam oczy, pragnąc, by zmęczenie wreszcie zwyciężyło, ale nagle poczułam, jak jego pierś unosi się, a mięśnie ramienia napinają, podczas gdy nabierał powietrza w płuca.

– Lo, nie poproszę cię kolejny raz, ale...

Nie dokończył. Nie musiał. Wiedziałałam, co chce powiedzieć. To samo, co w Nowy Rok. Chciał, żebyśmy zrobili następny krok. Żebyśmy zamieszkali razem.

– Pozwól, że o tym pomyślę – wydusiłam nieswoim głosem.

– Powiedziałas to samo już tyle miesięcy temu.

– Wciąż się zastanawiam.

– Cóż, ja już się zdecydowałam. – Wziął mnie pod brodę i delikatnie unióśł moją twarz, żeby spojrzeć mi w oczy. Miał taką minę, że serce mi zamarło. Wyciągnęłam do niego rękę, ale on złapał ją i przytrzymał. – Lo, przestań unikać tematu. Byłem naprawdę cierpliwy, wiesz, że byłem, ale zaczynam mieć wrażenie, że nie pragniemy tego samego.

Poczułam, jak znajoma panika szarpie mi wnętrzości, dziwna mieszanka nadziei

i przerażenia.

– Nie pragniemy tego samego? – Uśmiechnęłam się z przymusem. – Znowu oglądałeś Oprah?

Puścił moją dłoń. Coś w jego twarzy się zamknęło. -Zagryzłam wargę.

– Jude...

– Nie – powiedział. – Po prostu... nie. Chciałem o tym porozmawiać, ale ty najwyraźniej nie, więc... Słuchaj, jestem zmęczony. Chodźmy spać.

– Jude... – powtórzyłam, tym razem błagalnie. Nienawidziłam siebie za to, że zachowuję się jak suka, nienawidziłam jego za to, że mnie do tego zmusza.

– Powiedziałem „nie” – wymruczał w poduszkę. Myślałam, że dalej mówi o naszej rozmowie, ale wtedy dodał: – Odrzuciłem tę ofertę pracy. W Nowym Jorku. Odrzuciłem ją. Dla ciebie.

Cholera.

Spałam głęboko, jakbym była otumaniona lekami. Budzik wyrwał mnie ze snu kilka godzin później.

Nie wiem, jak długo dzwonił, ale podejrzewam, że trochę to trwało. Głowa pękała mi z bólu. Leżałam przez chwilę, próbując się zorientować, gdzie jestem. W końcu wyciągnęłam rękę i wyłączyłam dzwonek, zanim zdążył obudzić Judah.

Przetarłam zaspane oczy i przeciągnęłam się, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie szyi i barków. Wstałam i poszłam do kuchni. Zaczęłam przygotowywać kawę, łyknęłam swoje tabletki, a potem udałam się do łazienki, żeby zapolować na jakieś środki przeciwbólowe. Znalazłam ibuprofen i paracetamol, a także jakiś lek w brązowej plastikowej buteleczce. Jak przez mgłę pamiętałam, że Judah dostał to na receptę, gdy skreślił kolano podczas meczu piłki nożnej. Otworzyłam wieczko i przyjrzałam się pigułkom. Były ogromne – w połowie czerwone, w połowie białe – wyglądały imponująco.

Ostatecznie jednak stchórzyłam i odstawiłam je na miejsce. W zamian wycisnęłam na wnętrze dłoni dwa ibuprofeny i szybko działający paracetamol z blistrów leżących na półce w apteczce. Popiłam je kawą – czarną, bo w opustoszałej lodówce nie było mleka. Resztę napoju wysączyłam powoli, rozmyślając o minionej nocy, o głupotach, które wyprawiałam, o tym, co powiedział Judah...

Byłam zaskoczona. Nie. Nawet bardziej niż zaskoczona. Byłam w szoku. Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o jego planach, ale wiedziałam, że tęskni za przyjaciółmi ze Stanów, za mamą i młodszym bratem – żadnej z tych osób nigdy nie poznałam. Decyzja, którą podjął... Czy zrobił to dla siebie? Czy dla nas?

W dzbanku zostało jeszcze trochę kawy, więc nalałam ją do drugiego kubka i zaniósłam do sypialni.

Judah leżał rozwalony na materacu, jakby padł na łóżko bez życia. Na filmach ludzie pogrążeni we śnie zawsze wyglądają spokojnie, ale on nie sprawiał takiego wrażenia. Kanciasty nos i ściągnięte brwi nadawały mu wygląd jastrzębia – rozwścieczonego, że dał się zestrzelić myśliwemu.

Ostrożnie odstawiłam kubek na stolik przy łóżku i pochyliłam się, żeby pocałować go w kark, ciepły i zaskakująco miękki.

Poruszył się we śnie, wyciągnął długie opalone ramię, by mnie objąć, i otworzył piwne oczy, jakby ciemniejsze niż normalnie.

– Hej – szepnęłam.

– Hej. – Skrzywił się i ziewnął, a potem przyciągnął mnie do siebie.

Przez moment opierałam się, myśląc o statku, o pociągu i samochodzie czekającym na mnie w Hull. Ale w końcu rozplynęłam się pod jego dotykiem. Leżeliśmy tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy, a później ostrożnie dotknęłam rany na jego wardze.

– Myślisz, że ząb się zakorzeni?

– Nie wiem – mruknął. – Mam nadzieję. W poniedziałek muszę lecieć do Moskwy, nie mam ochoty zdawać się na łaskę tamtejszych dentystów. – Zamknął oczy i przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach, a potem przekreślił się na bok i delikatnie położył dłoń na mojej nagiej pierś.

– Judah... – powiedziałam z mieszaniną irytacji i tęsknoty.

– Co?

– Nie mogę. Muszę już iść.

– To idź.

– Nie. Przestań.

– „Nie, przestań”? Czy może „Nie przestawaj”? – Uśmiechnął się kącikiem ust.

– I to, i to. Wiesz, co mam na myśli. – Usiadłam na łóżku i pokręciłam głową.

Natychmiast tego pożałowałam. Zabolalo.

– Jak twój policzek?

– W porządku. – Dotknęłam go palcami. Był opuchnięty, ale mniej niż wczoraj.

Judah popatrzył na mnie z troską. Przysunął dłoń do mojej twarzy, a ja wzdrygnęłam się wbrew sobie.

– Powinienem tam być – powiedział znowu.

– Cóż, ale nie byłeś – ucięłam bardziej opryskliwym tonem, niż zamierzałam. – Nigdy cię nie ma.

Zamrugął zdziwiony i unióś się na łokciach. Na twarzy wciąż miał odgniecenia od poduszki.

– Co...?

– Słyszałeś. – Wiedziałam, że zachowuję się niedorzecznie, ale już nie potrafiłam zapanować nad słowami. – Jak sobie wyobrażasz naszą przyszłość, Jude? Nawet gdybym się do ciebie wprowadziła... jaki jest plan? Mam tu siedzieć, tkając całun jak Penelopa i pilnując domowego ogniska, podczas gdy ty będziesz popijał szkocką w Rosji z innymi zagranicznymi korespondentami?

– Skąd ci się to wzięło?

Zaczęłam naciągać na siebie ubrania, które trzymałam u Judah, żeby mieć coś na zmianę, a które po naszej nocnej wycieczce na ostry dyżur porzuciłam na podłodze.

– Po prostu jestem zmęczona, Jude. – Oględnie powiedziane. W ciągu ostatnich trzech nocy prawie nie spałam. – I nie wydaje mi się, żeby to do czegoś zmierzało. Już teraz jest nam trudno, chociaż jesteśmy tylko we dwoje. Nie zamierzam siedzieć w domu z dzieckiem, w ciężkiej depresji poporodowej, podczas gdy do ciebie będą strzelać w każdej zabitej dechami dziurze po tej stronie równika.

– Ostatnie wydarzenia wskazują, że więcej niebezpieczeństw grozi mi w moim własnym mieszkaniu – zażartował Judah, ale zaraz się skrzywił. – Przepraszam, dupek ze mnie. To był wypadek, wiem o tym.

Zarzuciłam na ramiona wciąż wilgotny płaszcz i sięgnęłam po torebkę.

– Żegnaj, Judah.

– Żegnaj? Co chcesz przez to powiedzieć? Żegnaj?

– Interpretuj to, jak chcesz.

– Chcę, żebyś przestała się zachowywać jak cholerna histeryczka i zamieszkała ze mną. Kocham cię, Lo!

Jego słowa uderzyły we mnie jak policzek. Zatrzymałam się w drzwiach, niemal uginając się pod ciężarem zmęczenia.

Dłonie w białych lateksowych rękawiczkach, odgłos śmiechu...

– Lo? – rzucił Judah niepewnie.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziałam, nie patrząc na niego. Nie byłam pewna, o czym mówię. Nie mogłam odejść. Nie mogłam zostać. Nie mogłam teraz prowadzić tej rozmowy, tego życia, tego wszystkiego. – Ja po prostu... muszę już iść.

– Więc ta oferta pracy... Ta, którą odrzuciłem. – W jego głosie słyszałam gniew. – Chcesz powiedzieć, że źle zrobiłem?

– Nie prosiłam cię o to! – krzyknęłam. Głos mi drżał. – Nigdy cię o to nie prosiłam. Więc nie zwalaj odpowiedzialności na mnie. – Zarzuciłam torebkę na ramię i ruszyłam w stronę drzwi.

Nie odezwał się. Nie próbował mnie zatrzymać. Wyszłam z mieszkania, zataczając się jak pijana. Dopiero gdy wsiałam do metra, dotarło do mnie, co właśnie się wydarzyło.

Uwielbiam porty. Uwielbiam zapach smoły i morskiej bryzy, uwielbiam krzyk mew. Może sprawiły to lata pływania promami na wakacje do Francji, ale porty dają mi poczucie wolności, jakiego nigdy nie doświadczam na lotniskach. Lotniska kojarzą mi się z podróżami służbowymi, kontrolami bezpieczeństwa i opóźnieniami. Natomiast porty... sama nie wiem. Z czymś kompletnie innym. Może z ucieczką?

W trakcie podróży pociągiem unikałam myślenia o Judah, skupiając się na przygotowaniach do czekającego mnie zadania. Okazało się, że Richard Bullmer jest zaledwie kilka lat starszy ode mnie, ale jego CV wystarczyło, żebym nabawiła się kompleksu niższości. Lista jego osiągnięć sprawiła, że w oczach stanęły mi łzy. Każde kolejne przedsięwzięcie i kierownicze stanowisko zapewniały mu jeszcze więcej pieniędzy i wpływów.

Gdy odpaliłam na komórce Wikipedię, ujrzałam opalonego przystojnego mężczyznę o kruczoczarnych włosach, stojącego obok olśniewająco pięknej blondynki przed trzydziestką. „Richard Bullmer i jego żona, następczyni tronu Anne Lyngstad, w dniu ślubu w Stavanger”, przeczytałam informację pod zdjęciem.

Biorąc pod uwagę, że facet nosił tytuł lorda, zakładałam, że majątek dostał na talerzu, jednak najwyraźniej moja ocena była niesprawiedliwa. Według Wikipedii dzieciństwo faktycznie miał usłane różami – prywatne szkoły: Eton, a potem Balliol. Jednak gdy był na pierwszym roku studiów, zmarł mu ojciec. Matki najwyraźniej nie miał od dawna, choć artykuł nie wyjaśniał tej kwestii. W każdym razie rodzinny majątek pochłonęły podatki od spadku i długi. W wieku lat dziesięciu Bullmer stracił dom i rodzinę.

W tych okolicznościach sam fakt, że skończył studia na Oksfordzie, byłby sporym osiągnięciem, tymczasem już na trzecim roku udało mu się założyć internetowy start-up. Jego wejście na giełdę w dwa tysiące trzecim roku stanowiło pierwszy z całego pasma sukcesów – najnowszym był ten butikowy dziesięciokabinowy statek, zapewniający luksusowe warunki podróży bogaczom pragnącym poznać uroki skandynawskiego wybrzeża. „Idealne miejsce na ślub twoich marzeń, imponujący firmowy event, dzięki któremu zrobisz wrażenie na klientach, lub po prostu na ekskluzywne wakacje, których ty i twoja rodzina nigdy nie zapomnicie”, informowała broszurka z mojej teczki prasowej. Przewróciłam stronę i zobaczyłam plan pokładu z kabinami.

Z przodu łodzi – fachowo powinienam chyba powiedzieć „na dziobie” – znajdowały się cztery duże apartamenty. Sześć mniejszych, ułożonych w kształt podkowy, umiejscowiono z tyłu. Kabiny zostały ponumerowane – parzyste po jednej stronie centralnego korytarza, nieparzyste po drugiej. Apartament numer jeden zlokalizowano na samym dziobie, a kabiny dziewięta i dziesiąta sąsiadowały ze sobą na łukowatej rufie statku. Zgadywałam, że zostanę umieszczona w jednym z mniejszych pokoiów, apartamenty z pewnością były zarezerwowane dla -VIP-ów. Plan nie zawierał wymiarów pomieszczeń. Ściągnęłam brwi, przypominając sobie kajuty na niektórych promach pływających przez kanał La Manche – klaustrofobiczne klitki bez okien. Myśl o spędzeniu pięciu dni w takich warunkach nie należała do przyjemnych, ale na luksusowym statku chyba zapewnią nam bardziej przestronne pokoje?

Przewróciłam kolejną stronę, licząc na zdjęcia kabin, ale zamiast nich moim oczom ukazała się fotka prezentująca oszałamiający wybór skandynawskich przysmaków, wyeksponowanych na śnieżnobiałym obrusie. Szef kuchni Aurory najwyraźniej szkolił się w restauracjach Noma i El Bulli. Ziewnęłam i przycisnęłam palce do oczu, czując piasek pod

powiekami. Ciężar wydarzeń minionej nocy znów mnie przytłoczył.

Przypomniałam sobie poharataną twarz Judah, jego minę, gdy wychodziłam, i wzdrygnęłam się. Czy my ze sobą zerwaliśmy? Czy ja go rzuciłam? Za każdym razem, gdy próbowałam zrekonstruować naszą rozmowę, mój wyczerpany mózg przejmował dowodzenie i dodawał rzeczy, których nie powiedziałam, oraz odpowiedzi, których chciałam udzielić, ale tego nie zrobiłam. Robił z Judah gruboskórnego ignoranta, żeby usprawiedliwić moje działania, albo przypominał mi o jego bezwarunkowej miłości, żeby przekonać mnie, iż wszystko będzie w porządku. Nie prosiłam Judah, żeby odrzucił tę ofertę pracy. Dlaczego więc oczekiwał, że będę mu za to wdzięczna?

Przysnęłam na jakieś pół godziny w samochodzie, który miał mnie zawieźć z dworca kolejowego do portu. Radosny głos kierowcy, informującego, że jesteśmy na miejscu, wyrwał mnie ze snu niczym kubek zimnej wody wylany na głowę. Wygramoliłam się z auta, niewyspana i otumaniona. Poczułam na skórze palące słońce i pieczenie słonej bryzy.

Kierowca podjechał niemal pod sam trap Aurory, ale gdy spojrzałam na statek, zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście jestem we właściwym miejscu. Faktycznie wyglądał jak na zdjęciu z broszurki: ogromne szklane okna, w których odbijało się słońce, nietknięte choćby jednym odciskiem palca czy kropelką wody; lśniąca warstwa białej farby, tak świeża, jakby malowanie skończono dziś rano. Ale był taki... mały. Bardziej przypominał jacht niż statek wycieczkowy. W końcu zrozumiałam, dlaczego nazywali go „kameralnym”. Widywałam większe statki żeglujące między greckimi wyspami. Wydawało mi się niemożliwe, żeby wszystko, o czym wspomniano w folderze – biblioteka, przeszklony taras, spa, sauna, bar i inne wygody niezbędne do życia rozpieszczonym pasażerom Aurory – mogło się zmieścić na tak małej przestrzeni. Rozmiary statku i jego nieskazitelny wygląd sprawiały, że przypominał zabawkę. Gdy weszłam na wąski stalowy trap, nagle odniosłam wrażenie, że Aurora to model uwięziony w butelce – odizolowany i nierzeczywisty, a ja sama kurczę się z każdym krokiem, by się w nim zmieścić. Dziwne uczucie, jakbym patrzyła przez zły koniec lunety. Niemal dostałam od tego zawrotów głowy.

Trap drżał pod moimi stopami, oleiste atramentowe wody portu kotłowały się poniżej i przez moment wydawało mi się, że spadam. Zamknęłam oczy i chwyciłam się zimnej metalowej poręczy.

W tej samej chwili usłyszałam rozentuzjasmowany kobiecy głos:

– Wspaniały zapach, prawda?!

Zamrugałam. Przy wejściu na pokład stała stewardesa. Opalona na orzechowy brąz, miała blond włosy, niemal białe, i uśmiechała się do mnie promiennie, jakbym była jej dawno niewidzianą bogatą krewną z Australii. Nabrałam powietrza, żeby się uspokoić, po czym pokonałam resztę trapu i weszłam na pokład Aurory Borealis.

– Dzień dobry, pani Blacklock – powitała mnie stewardesa, gdy przekraczałam próg. Nie potrafiłam stwierdzić, z jakim akcentem mówi, ale tak modulowała głos, jakby spotkanie ze mną było dla niej przeżyciem na miarę wygranej na loterii. – Bardzo mi miło powitać panią na pokładzie. Czy jeden z naszych bagażowych może zabrać pani walizkę?

Rozejrzałam się, nie rozumiejąc, skąd wie, z kim ma do czynienia. Mój bagaż zniknął, zanim zdążyłam zaprotestować.

– Czy mogę zaoferować pani kieliszek szampana?

– Hmm – odpowiedziałam błyskotliwie. Stewardesa potraktowała to jako zgodę i wręczyła mi wysoki wąski kieliszek zroszony kropelkami wody. – Uhm, dzięki.

Na widok wystroju wnętrza kompletnie mnie zatkało. Statek może był mały, ale upchnęli w nim tyle luksusów, że spokojnie starczyłoby na dziesięć razy większą jednostkę. Każda

powierzchnia imponujących kręconych schodów, którą dało się pokryć marmurem, politurą albo surowym jedwabiem, została potraktowana właśnie w ten sposób. Całe piętro zalewał blask żyrandola, tak ostry, że zaczęły łzawić mi oczy. Rzucane przezeń małe plamki światła przypominały refleksy słońca na powierzchni morza. Robiło się od tego niedobrze – i to nie tylko ze względu na ewidentną rozrzutność i przesadny przepych. Kryształy działały jak pryzmaty, rozszczepiając każdą drobinę światła, wytrącały z równowagi i dezorientowały. Miałam wrażenie, jakbym zaglądała do kalejdoskopu. W połączeniu z niewyspaniem nie było to przyjemne doświadczenie.

Stewardesa musiała zauważyć moje oszołomienie, bo uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– To doprawdy imponujące, czyż nie? – zagała. – Jeden żyrandol zaprojektowano z użyciem ponad dwóch tysięcy kryształów Swarovskiego.

– O rety... – odparłam słabo. Głowa mi pękała i próbowałam sobie przypomnieć, czy spałowałam ibuprofen. Trudno było nie mrugać.

– Jesteśmy bardzo dumni z Aurory – kontynuowała stewardesa ciepłym głosem. – Nazywam się Camilla Lidman i będę odpowiadać za komfort naszych gości podczas rejsu. Mój gabinet znajduje się na dolnym pokładzie. Jeśli będę mogła zrobić cokolwiek, aby uprzyjemnić pani podróż, proszę się do mnie zwrócić bez wahania. Mój kolega, Josef – wskazała na uśmiechniętego blondyna po prawej – zaprowadzi panią do pani kabiny, a później oprowadzi po pokładzie. Kolacja rozpocznie się o ósmej, ale chcielibyśmy zaprosić panią o siódmej do salonu Lindgren na prezentację dotyczącą statku i wszystkich wspaniałości, jakimi będzie pani mogła się cieszyć w trakcie rejsu. Ach! Pan Lederer.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna po czterdziestce właś-nie wspinał się po trapie. Za nim dreptał bagażowy, taszcząc ogromną walizę.

– Proszę uważać – poprosił mężczyzna, krzywiąc się, gdy kółka bagażu podskoczyły na spawanej spoinie. – Mam tam bardzo delikatny sprzęt.

– Pani Lederer – powiedziała Camilla Lidman z tym samym, niemal delirycznym entuzjazmem, z jakim powitała moją osobę. Naprawdę byłam pod wrażeniem jej zdolności aktorskich, choć przy Ledererze pewnie nie musiała się tak wysilać, bo naprawdę był niczego sobie. – Pozwoli pan, że powitam pana na pokładzie Aurory. Czy mogę panu zaproponować kieliszek szampana? A gdzie jest pani Lederer?

– Pani Lederer nie dołączy do nas. – Mężczyzna przecesał dłonią włosy i z lekkim osłupieniem spojrzął na żyrandol Swarovskiego.

– Och, tak mi przykro. – Camilla Lidman zmarszczyła nieskazitelnie wyregulowane brwi. – Mam nadzieję, że nic się nie stało?

– Cóż, na pewno nic jej nie dolega – wypalił Lederer. – Właśnie pieprzy się z moim najlepszym przyjacielem. – Uśmiechnął się i sięgnął po kieliszek.

Camilla zamruwała, ale szybko odzyskała rezon.

– Josefie, zaprowadź, proszę, panią Blacklock do jej kabiny.

Josef skłonił się nieznacznie i wyciągnął dłoń w kierunku schodów prowadzących na niższy pokład.

– Tędy proszę – powiedział.

W osłupieniu pokiwałam głową i posłusznie ruszyłam, wciąż ściskając w dłoni kieliszek szampana. Słyszałam jeszcze, jak Camilla informuje Lederera, gdzie znajduje się jej gabinet.

– Przygotowaliśmy dla pani kabinę numer dziewięć, apartament Linneusza – poinformował mnie Josef, gdy schodziłam za nim w beżowy półmrok korytarza wyłożonego grubą wykładziną. – Każda z kabin została nazwana na cześć jakiegoś wybitnego skandynawskiego naukowca.

– To kto dostanie Nobla? – zażartowałam nerwowo. Czułam nadciągający atak klaustrofobii. Nie chodziło tylko o rozmiary korytarza; brak okien, a co za tym idzie naturalnego światła i przyćmione lampy pogarszały tylko sprawę.

Josef odpowiedział ze śmiertelną powagą:

– W trakcie tej konkretnej podróży apartament Nobla będą zajmować lord i lady Bullmer. Lord Bullmer jest dyrektorem Northern Lights Company, firmy, do której należy ten statek. Na pokładzie znajduje się dziesięć kabin – kontynuował wyjaśnienia – cztery na dziobie i sześć na rufie. Wszystkie ulokowano na środkowym pokładzie. Apartamenty mogą się składać nawet z trzech pomieszczeń, każdy został wyposażony w łazienkę, w której znajduje się normalnych rozmiarów wanna oraz oddzielny prysznic, w podwójne łóżko i prywatną werandę. W apartamencie Nobla dodatkowo zamontowano prywatne jacuzzi.

Weranda? Myśl o werandach na statku wycieczkowym wydała mi się zupełnie niedorzeczna, ale gdy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że nie jest to dziwniejsze niż inne udogodnienia dostępne dla pasażerów. Jacuzzi pod gołym niebem? Wolałam nawet o tym nie myśleć.

– Do kabin zostali przydzieleni stewardzi, którzy pozostają do dyspozycji gości w dzień i w nocy. Pani będzie się znajdowała pod opieką moją i mojej koleżanki Karli. Pozna ją pani dziś wieczorem. Z przyjemnością pomożemy pani w każdy możliwy sposób podczas pani pobytu na Aurorze.

– A więc to jest środkowy pokład, zgadza się? – zapytałam.

Josef pokiwał głową.

– Tak, na tym pokładzie znajdują się wyłącznie apartamenty pasażerów. Na górze znajdzie pani jadalnię, spa, bar, bibliotekę, przeszklony taras i inne miejsca wspólne. Te z kolei nazwano na cześć skandynawskich pisarzy – salon Lindgren, jadalnia Jansson i tak dalej.

– Jansson?

– Tove.

– Och, oczywiście! Muminki – rzuciłam głupio. Boże, głowa mi pękała.

Dotarliśmy do wyłożonych drewnianą boazerią drzwi, na których widniała dyskretna plakietka z napisem „9: Linneusz”. Josef otworzył i cofnął się, żebym mogła wejść do środka.

Nie przesadzając, to miejsce było z siedem czy osiem razy przyjemniejsze od mojego londyńskiego mieszkania. I niewiele od niego mniejsze. Po prawej ciągnęły się szafy z lustrami, była tu sofa i toaleta, a między nimi, na samym środku, ogromne podwójne łóżko. Biała połać świeżo wyprasowanej gładkiej pościeli wyglądała wyjątkowo kusząco.

Ale to nie przestrzeń apartamentu, choć imponująca, zrobiła na mnie największe wrażenie, lecz światło. Po wędrówce wąskimi, sztucznie oświetlonymi korytarzami blask wlewający się przez okno aż mnie oślepił. Proste białe zasłony falowały, szarpane morską bryzą, i zauważyłam, że przesuwne drzwi na werandę są otwarte. Poczułam natychmiastową ulgę, ucisk w mojej piersi zelżał.

– Drzwi można zasunąć – wyjaśnił Josef, stojący za moimi plecami – ale zatrząsk automatycznie puści w razie niesprzyjających warunków pogodowych.

– Okay, świetnie – powiedziała z roztargnieniem. Potrafiłam myśleć tylko o tym, jak bardzo chcę, żeby Josef już sobie poszedł, żebym mogła zwalić się na łóżko i zanurzyć w krainie snu.

Stałam, z zakłopotaniem tłumiąc ziewanie, podczas gdy Josef objaśniał mi funkcjonowanie łazienki (dziękuję, korzystałam już kiedyś z takiego pomieszczenia), lodówki oraz minibarku (wszystko gratis – na nieszczęście dla mojej wątroby), dodając, że lód będzie uzupełniany dwa razy dziennie i mogę wezwać jego lub Karlę o każdej porze.

W końcu moje ziewanie stało się tak ewidentne, że uklonił się i przeprosił, zostawiając mnie samą, abym się rozgościła.

Nie było sensu udawać, że nie jestem pod wrażeniem. Byłam. Głównie z powodu łóżka, które praktycznie krzychało, żebym rzuciła się na nie i przespała trzydzieści czy czterdzieści godzin. Spojrzałam na nieskazitelnie białą pościel, na złoto-białe ozdobne poduszki i pragnienie snu zalało mnie całą, zaczęło krążyć w żyłach, wywołując dreszcze, które przeszywały mnie od karku aż po koniuszki palców u rąk i stóp. Naprawdę potrzebowałam snu. Zaczynałam go łaknąć niczym narkoman, odliczający godziny do następnej działki. Trzydziestominutowa drzemka w taksówce tylko pogorszyła sprawę.

Ale sen nie wchodził teraz w grę. Gdybym się położyła, na pewno bym zasnęła, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Może uda mi się zrezygnować z niektórych spotkań w trakcie tygodnia, ale absolutnie musiałam się pojawić na dzisiejszej prezentacji i kolacji. To była pierwsza noc na pokładzie. Ludzie będą się zapoznawać i nawiązywać kontakty jak szaleni. Jeśli to przegapię, stracę punkty i już nie nadrobię zaległości.

Zamiast paść na łóżko, stłumiłam kolejne ziewnięcie i wyszłam na werandę w nadziei, że świeże powietrze rozwieje gęstniejącą mgłę wyczerpania, która spowijała mnie za każdym razem, gdy siedziałam w bezruchu i z nikim nie rozmawiałam.

Weranda była zachwycająca, jak przystało na prywatny balkon na luksusowym statku wycieczkowym. Przeszklona balustrada sprawiała, że człowiek miał wrażenie, iż nic nie dzieli go od morza, a dwa leżaki oraz mały stolik zachęcały, by przesiadywać tu wieczorami i zachwycać się widokiem słońca o północy albo zorzą polarną, w zależności od tego, który rejs się zarezerwowało.

Długo obserwowałam stateczki wpływające i wypływające z portu w Hull, delektując się słonym wiatrem we włosach. Nagle coś się zmieniło. Przez moment nie potrafiłam stwierdzić co takiego, aż w końcu zrozumiałam. Silniki, które przez ostatnie pół godziny z okładem mruczały dyskretnie, teraz zwiększyły obroty i statek zaczął powoli się obracać, odbijając od nabrzeża i kierując dziób w stronę morza.

Patrzyłam, jak opuszczamy port, płynąc między zielonymi i czerwonymi światłami znaczącymi kanał. Gdy znaleźliśmy się na pełnym morzu, delikatne fale ustąpiły miejsca tym większym, potężniejszym i statek zaczął się kołysać.

Linia brzegowa powoli się zamazywała, budynki Hull zlały się w fałdy na horyzoncie, by przybrać kształt jednej ciemnej kreski. Gdy tak obserwowałam, jak oddalamy się od lądu, myślałam o Judah i o wszystkich niedokończonych sprawach, które zostawiałam za sobą. Komórka ciążyła mi w kieszeni. Wyciągnęłam ją w nadziei, że zobaczę jakąś wiadomość od niego, zanim stracę zasięg. Do widzenia. Powodzenia. Udanej podróży.

Ale nic nie znalazłam. Zasięg zmniejszył się o jedną kreskę, potem o następną, a telefon w mojej dłoni wciąż milczał. Powoli traciłam z oczu wybrzeże Anglii i słyszałam tylko łoskot fal

Od: Judah Lewis

Do: Laura Blacklock

Wysłane: wtorek, 22 września

Temat: Wszystko w porządku?

Hej, Skarbie, nie miałem od Ciebie żadnych wieści od czasu tego maila w niedzielę. Nie jestem pewien, czy wiadomości dochodzą. Dostałaś moją odpowiedź albo esemesa, którego wysłałem wczoraj?

Zaczynam się trochę martwić. Mam nadzieję, że nie myślisz, że postanowiłem się do Ciebie nie odzywać i zaszyłem się gdzieś jak duppek, liżąc rany. Nie jestem dupkiem. Kocham Cię, tęsknię za Tobą i myślę o Tobie.

Nie przejmuj się tym, co się wydarzyło. A z zębem wszystko okay. Myślę, że się zakorzeni, tak jak powiedział lekarz. Zresztą i tak lecę się sam – wódką.

Daj mi znać, jak Ci idzie. A jeśli jesteś za bardzo zajęta, napisz chociaż parę słów, żebym wiedział, że wszystko u Ciebie w porządku.

Kocham Cię, J.

Od: Rowan Lonsdale

Do: Laura Blacklock

cc: Jennifer West

Wysłane: środa, 23 września

Temat: Aktualizacja?

Lo, czy mogłabyś, proszę, odpowiedzieć na mojego e-maila sprzed dwóch dni, w którym prosiłam o aktualizację na temat rejsu. Jenn powiedziała, że jeszcze niczego jej nie przysłałaś, a liczyłyśmy na jakiś tekst do jutra, przynajmniej krótki artykuł uzupełniający.

Proszę, odpisz Jenn jak najszybciej, na czym stoisz, z kopią do mnie.

Rowan

CZEŚĆ DRUGA

6

Nawet prysznice bogatych ludzi były lepsze.

Strumienie wody smagały i masowały mi skórę tak zaciekle, że po jakimś czasie nie potrafiłam już stwierdzić, gdzie kończy się moje ciało, a gdzie zaczyna woda.

Umyłam włosy, ogoliłam nogi, a później po prostu stałam pod prysznicem, wpatrując się w morze i mewy krążące po niebie. Drzwi do łazienki zostawiłam otwarte, żebym mogła wyglądać przez okno, i efekt był... cóż, nie będę kłamać, naprawdę przyjemny. W końcu było wiadomo, za co trzeba wydać te osiem patyków czy ile tam sobie liczą za pobyt w tym miejscu.

W porównaniu z moją pensją, a nawet z pensją Rowan, to była po prostu nieprzyzwoita kwota. Latami ślinałam się, czytając relacje, które szefowa przesyłała nam z willi na Bahamach czy jachtów na Malediwach, i czekając na dzień, gdy będę na tyle doświadczona, aby cieszyć się tego rodzaju bonusami. Ale teraz, kiedy faktycznie posmakowałam luksusu, zastanawiałam się, jak ona to znosi. Te regularne wejrzenia w życie, na jakie nie mogłaby sobie pozwolić żadna normalna osoba.

Próbowałam policzyć, ile miesięcy musiałabym pracować, żeby zapłacić za tygodniowy rejs Aurorą jako „normalna” pasażerka, gdy usłyszałam jakiś niewyraźny dźwięk przebijający się przez szum wody. Nie potrafiłam stwierdzić, co to takiego, ale brzmiał, jakby dochodził z mojego pokoju. Serce momentalnie zaczęło mi szybciej bić.

W tym momencie zobaczyłam, jak drzwi łazienki zamykają się, jakby ktoś popchnął je pewnym, szybkim ruchem.

Zatrzasnęły się z porządnym grzotnięciem, jak przystało na ciężki obiekt wykonany z najlepszej jakości materiałów. Spowiała mnie gorąca, wilgotna ciemność. Woda wciąż lała mi się na głowę, a serce waliło tak mocno, że jego bicie mógłby zarejestrować pokładowy sonar.

Szum krwi w uszach i syk wody kompletnie mnie ogłuszyły. Widziałam tylko czerwony blask prysznicowych kontrolek. Kurwa. Kurwa! Dlaczego nie sprawdziłam, czy na pewno zamknęłam drzwi wejściowe?

Poczułam, jak ściany łazienki zamykają się wokół mnie. Ciemność zdawała się mnie pochłaniać.

Przestań panikować, nakazałam sobie. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Nikt się tu nie włamał. To pewnie pokojówka przyszła rozścielić łóżko. Albo drzwi zamknęły się same, gdy zakołysało statkiem. Przestań. Panikować.

Zaczęłam obmacywać panel sterowania w kabinie prysznicowej. Woda najpierw zrobiła się lodowata, potem potwornie gorąca, aż krzyknęłam i zatoczyłam się do tyłu, uderzając kostką o ścianę, ale w końcu znalazłam odpowiedni przycisk – strumień ucichł, a ja poszukałam włącznika światła.

Lampy zapaliły się, zalewając małe pomieszczenie bezlitosnym blaskiem. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Byłam blada jak ściana, z mokrymi włosami przyklejonymi do czaszki niczym dziewczyna z filmu *Krag*.

Cholera.

Czy to już zawsze będzie tak wyglądać? Czy będę miała ataki paniki wieczorami, w drodze powrotnej z pracy? Czy nie będę w stanie przespać nocy pod nieobecność chłopaka?

Nie, pieprzyć to! Nie będę taką osobą.

Po wewnętrznej stronie drzwi wisiał szlafrok. Owinęłam się nim pospiesznie i odetchnęłam głęboko, z drzeniem.

Nie będę taką osobą.

Otworzyłam drzwi. Serce biło mi tak mocno, że widziałam mroczki przed oczami. Nie panikuj!

Pokój był pusty. Kompletnie pusty. A drzwi do kabiny zamknięte, miały nawet założony łańcuch. Nie było mowy o tym, żeby ktokolwiek dostał się do środka. Może po prostu usłyszałam czyjś głos na korytarzu. Tak czy inaczej, to najwyraźniej ruch statku sprawił, że drzwi zatrzasnęły się pod wpływem własnego ciężaru.

Raz jeszcze sprawdziłam gruby łańcuch. Jego ciężar dodawał mi otuchy. Potem, na miękkich nogach, podeszłam do łóżka i położyłam się, czekając, aż adrenalina opadnie, a mój puls choć trochę zwolni.

Wyobraziłam sobie, jak wtulam twarz w pierś Judah, i prawie wybuchnęłam płaczem. Zacisnęłam jednak zęby i nie uległam emocjom. Judah nie stanowił odpowiedzi na moje problemy. Sama musiałam się uporać ze słabościami i atakami paniki.

Nic się nie stało. Nic się nie stało, powtarzałam w rytm gwałtownych oddechów, dopóki nie poczułam, że zaczynam się uspokajać.

Nic się nie stało. Ani teraz, ani wtedy. Nikt cię nie skrzywdził.

Okay.

Potrzebowałam drinka.

W minibarku znalazłam lód, tonik i pół tuzina miniaturowych butelek z dżinem, whisky i wódką. Wrzuciłam do szklaneczki kilka kostek lodu, a potem wlałam do niej zawartość dwóch buteleczek. Ręce wciąż trochę mi się trzęsły. Dodałam odrobinę toniku i wypiałam drinka kilkoma haustami.

Dżin był tak mocny, że aż się zakrztusiłam, ale szybko ogarnęło mnie ciepło. Alkohol zaczął krążyć mi w żyłach i od razu poczułam się lepiej. Wstałam, rejestrując lekkość w głowie i członkach, i wzięłam do ręki telefon. Nie miałam zasięgu, ale wi-fi działało.

Odpaliłam pocztę i obgryzając paznokcie, patrzyłam, jak wiadomości, jedna po drugiej, wpadają do skrzynki odbiorczej. Nie było tak źle, jak się obawiałam – ostatecznie mieliśmy niedzielę – ale uświadomiłam sobie, że jestem napięta niczym gumka recepturka, która ma lada chwila pęknąć. Zrozumiałam, czego szukam wśród nieodebranych maili i dlaczego szukam właśnie tego. Ale nie było wśród nich ani słowa od Judah. Poczułam, jak ramiona mi opadają.

Odpowiedziałam na kilka pilnych wiadomości, zaznaczyłam pozostałe jako nieprzeczytane, a potem wybrałam opcję „Utwórz”.

„Drogi Judah”, zaczęłam, ale słowa nie chciały płynąć. Zastanawiałam się, co teraz robi. Czy pakuje walizkę? A może już siedzi w ścisku na pokładzie samolotu jakichś tanich linii lotniczych albo leży na łóżku w anonimowym pokoju hotelowym, tweetując, wysyłając esemesy, rozmyślając o mnie...

Wróciłam pamięcią do chwili, gdy zdzieliłam go w głowę ciężką metalową lampką. Co ja sobie myślałam?

Nie myślałaś, usprawiedliwiłam się. Byłaś na wpół przytomna. To nie twoja wina. To był wypadek.

Freud mawiał, że nie ma wypadków, odezwał się złośliwy głosik z tyłu mojej głowy. Może ty...

Potrząsnęłam głową. Nie chciałam tego słuchać.

„Drogi Judah, Kocham Cię.

Tęsknię za Tobą.

Przepraszam”.

Wykasowałam te słowa i utworzyłam nową wiadomość:

Do: Pamela Crew
Od: Laura Blacklock
Wysłane: niedziela, 20 września
Temat: Cała i zdrowa
Cześć, Mamo,

dotarłam bezpiecznie na pokład. Statek jest naprawdę elegancki. Byłabyś zachwycona! Chciałam Ci tylko przypomnieć, żebyś zabrała do siebie Delilah dziś wieczorem. Zostawiłam jej koszyk na stole, karma jest pod zlewem. Musiałam zmienić zamki – pani Johnson, sąsiadka z góry, ma nowy klucz.

Buziaki i DZIĘKUJĘ!
Lo xx

Nacisnęłam „Wyślij”, a potem otworzyłam Facebooka i wysłałam wiadomość do mojej najlepszej przyjaciółki Lissie:

To miejsce jest obłędnie przyjemne. Mam NIELIMITOWANY darmowy alkohol w minibarku w mojej kabinie – przepraszam, chciałam powiedzieć w moim kurewsko ogromnym APARTAMENCIE. To nie wróży dobrze mojej karierze zawodowej – ani mojej wątrobie. Do zobaczenia po drugiej stronie, jeśli jeszcze będę w stanie utrzymać się na nogach. Lo xx

Nalałam sobie kolejnego drinka i wróciłam do pisania maila do Judah. Musiałam się do niego odezwać. Nie mogłam tego tak zostawić. Rozmyślałam przez chwilę, a potem napisałam:

Drogi J. Przepraszam, że zachowałam się jak suka. To, co powiedziałam, wychodząc... to było niewiarygodnie niesprawiedliwe. Bardzo Cię Kocham...

Musiałam przerwać, bo przez łzy nic już nie widziałam. Wzięłam kilka drżących oddechów, potem z gniewem otarłam oczy i dokończyłam:

Wyślij mi esemesa, jak dotrzesz na miejsce.
Bezpiecznej podróży.
Lo xxx

Raz jeszcze odświeżyłam skrzynkę odbiorczą, tym razem z mniejszą nadzieją, że coś w niej znajdzie – i rzeczywiście nic nowego nie wpadło. Westchnęłam i osuszyłam drugą szklaneczkę. Według zegara przy łóżku była osiemnasta trzydzieści, co oznaczało, że najwyższy czas na założenie sukni balowej numer jeden.

Rowan po tym, jak poinformowała mnie, że na pokładzie podczas kolacji obowiązują stroje wieczorowe (czytaj: obłędnie eleganckie), zaleciła, abym wypożyczyła co najmniej siedem sukni, by nie zakładać tej samej kreacji dwukrotnie. Ale ponieważ nie zaproponowała, że wyłoży

na to kasę, wypożyczyłam tylko trzy. O trzy za dużo moim zdaniem, ale nie miałam wyjścia.

Ta, która najbardziej podobała mi się w sklepie, była najbardziej ekstrawagancka: długa, obcisła, srebrzystobiała, wysadzana kryształkami. Ekspedientka bez cienia sarkazmu stwierdziła, że wyglądam w niej jak Liv Tyler we *Władcy Pierścieni*. Chyba nie udało mi się zachować kamiennej twarzy, bo później, gdy przymierzałam inne suknie, wciąż zerkąła na mnie podejrzliwie.

Nie czułam się jednak na tyle odważna, by zadebiutować w kryształowej kreacji. Mogło się okazać, że ludzie pojawią się w dżinsach, więc wybrałam najskromniejszy strój – długą wąską sukienkę na ramiączkach z ciemnoszarej satyny. Prawe ramiączko zdobiły cekinowe listki. Nie dało się uniknąć takich ozdób – najwyraźniej większość wieczorowych sukni projektowały pięcioletki uzbrojone w pistolety klejowe z brokatowym wkładem – ale ta przynajmniej nie wyglądała jak efekt eksplozji w fabryce Barbie.

Wślizgnęłam się w suknię i zapięłam umieszczony z boku suwak, a potem wytrząsnęłam z kosmetyczki swój arsenał. Dzisiaj wieczorem będę potrzebowała czegoś więcej niż muśnięcia ust błyszczkiem, żeby wyglądać jak człowiek. Właśnie rozsmarowywałam korektor na posiniaczonej kości policzkowej, gdy zdałam sobie sprawę, że wśród tego bałaganu nie widzę mojej maskary.

Przetrzęsłam torebkę w próżnej nadziei, że tam się zawieruszyła, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, gdzie ją ostatnio widziałam. A potem to do mnie dotarło. Owszem, tusz był w mojej torebce, ale w tej, którą mi skradziono. Nie zawsze maluję rzęsy, jednak makijaż w stylu smoky eye wyglądałby bez tego dziwnie, jakbym poddała się w połowie. Przez chwilę rozważałam absurdalny pomysł, by spróbować zastąpić maskarę eyelinerem w płynie, ale ostatecznie znów zaczęłam grzebać w torebce. Wyrzuciłam wszystko na łóżko, myśląc, że może jednak pamięć mnie myli albo mam zapasową tubkę, zatknietą gdzieś pod podszewką. Ale w głębi serca wiedziałam, że nie mam co na to liczyć.

Chowałam rzeczy z powrotem do torebki, gdy usłyszałam hałas dobiegający z sąsiedniej kabiny: szum wody spuszczonej w toalecie, wyraźny mimo stłumionego pomruku silników.

Złapałam kartę magnetyczną do swojej kabiny i wyszłam bosą na korytarz.

Na drzwiach z jesionowego drewna po mojej prawej widniała plakietka z napisem „10: Palmgren”. Zasób wybitnych skandynawskich naukowców musiał im się szybko wyczerpać. Zapukałam z wahaniem.

Cisza. Może lokator był pod prysznicem?

Zapukałam znowu: trzy ostre puknięcia, a potem, po namyśle, jeszcze jedno – ostatnie, głośne uderzenie, tak na wszelki wypadek.

Drzwi otworzyły się z impetem, jakby pasażerka cały czas stała po drugiej stronie.

– Co? – rzuciła, jeszcze zanim na mnie spojrzała. – Wszystko w porządku? – Na mój widok jej twarz się zmieniła. – Cholera. Kim ty jesteś?

– Jestem twoją sąsiadką – wyjaśniłam. Dziewczyna, młoda i ładna, miała długie ciemne włosy i była ubrana w podziurawioną koszulkę Pink Floyd, co sprawiło, że od razu ją polubiłam.

– Laura Blacklock. Lo. Przepraszam, wiem, że to brzmi naprawdę dziwnie, ale zastanawiałam się, czy mogłabyś mi pożyczyć maskarę?

Nad ramieniem mojej sąsiadki widziałam toaletkę zarzuconą różnymi tubkami i słoiczkami, a ona sama miała dość mocny makijaż oczu, co upewniło mnie, że dobrze trafiłam.

– Och... – Wyglądała na podenerwowaną. – Dobra. Poczekaj.

Zniknęła, zamykając za sobą drzwi. Po chwili ponownie je uchyliła i wetknęła mi do ręki maskarę marki Maybelline.

– Dzięki! Zaraz ci oddam...

– Zatrzymaj ją – odparła szybko. Zaprotestowałam odruchowo, ale ona machnęła ręką. – Serio, nie chcę jej z powrotem.

– Umyję szczoteczkę – zapewniłam, ale ona niecierpliwie pokręciła głową.

– Powiedziałam ci: nie chcę jej z powrotem.

– Okay... – bąknęłam zbity z tropu. – Dzięki.

– Proszę bardzo – rzuciła i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Wróciłam do swojej kabiny, zastanawiając się nad tym dziwnym spotkaniem. Sama czułam się tu nieswojo, ale ta dziewczyna wyglądała, jakby w ogóle nie należała do tego świata. Może była czyjąś córką? Zastanawiałam się, czy zobaczę ją na kolacji.

Właśnie skończyłam tuszować rzęsy, gdy rozległo się pukanie. Może zmieniła zdanie?

– Hej... – Otworzyłam drzwi, wyciągając przed siebie dłoń z maskarą, ale w korytarzu stała inna dziewczyna, ubrana w mundurek stewardesy. Miała brutalnie wyskubane brwi, które nadawały jej twarzy wyraz permanentnego zaskoczenia.

– Witam – powiedziała melodyjnym głosem. – Nazywam się Karla i wraz z Josefem zostałam przydzielona do asystowania pani. Chciałam tylko przypomnieć o prezentacji na...

– Pamiętam – przerwałam jej bardziej szorstko, niż zamierzałam. – Siódma wieczorem, w salonie Pippi Pończoszanki czy jak tam go nazywacie.

– Ach, widzę, że zna się pani na skandynawskich pisarzach! – Uśmiechnęła się promiennie.

– Niestety, nie wiem równie dużo o naukowcach – przyznałam. – Zaraz pójde na górę.

– Wspaniale. Lord Bullmer już nie może się doczekać, żeby powitać wszystkich na pokładzie.

Gdy odeszła, przetrząsnęłam walizkę w poszukiwaniu szarego jedwabnego szala, który dostałam w komplecie z sukienką – dodatku sprawiającego, że czułam się niczym jedna z sióstr Brontë. Zarzuciłam go na ramiona, zamknęłam za sobą drzwi, wsunęłam kartę magnetyczną za stanik i udałam się na górę.

Białe. Wszystko było białe. Drewniana podłoga. Aksamitne sofy. Długie zasłony z surowego jedwabiu. Nieskazitelnie pomalowane ściany. To było spektakularnie niepraktyczne rozwiązanie na statku wycieczkowym, ale zakładałam, że zrobili to z rozmysłem.

Z sufitu zwisał kolejny żyrandol Swarovskiego, który sprawił, że zatrzymałam się w progu, kompletnie zdezorientowana – nie tylko światłem rozszczepianym przez tysiące kryształków, ale też skalą całego pomieszczenia. Salon przypominał idealną replikę bawialni w pięciogwiazdkowym hotelu albo na pokładzie QE21, ale wszystko było takie... malutkie. Nawet żyrandol został proporcjonalnie pomniejszony. W środku zgromadziło się dwanaście czy piętnaście osób, a jednak całkowicie wypełniały przestrzeń. Miałam wrażenie, że zaglądam do domku dla lalek, ale takiego, w którym nie wszystko się zgadza, w którym miniaturowe poduszki są odrobinę za duże w stosunku do malutkich krzesłek, a kieliszki mają tę samą wysokość co fałszywa butelka szampana...

Przeszukiwałam wzrokiem pomieszczenie, rozglądając się za dziewczyną w koszulce Pink Floyd, gdy usłyszałam za plecami rozbawiony niski głos:

– Oślepiające, prawda?

Odwróciłam się i ujrzałam tajemniczego pana Lederera.

– Odrobinę – przyznałam.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Cole Lederer.

Nazwisko wydawało mi się znajome, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach je słyszałam.

– Laura Blacklock. – Uścisnęliśmy sobie dłonie, a ja zlustrowałam go wzrokiem. Nawet w dzinsach i T-shircie wyglądał na „niezłe ciacho”, jak ujęłaby to Lissie – w wersji wieczorowej tylko potwierdził teorię mojej przyjaciółki, że smoking zwiększa atrakcyjność mężczyzny o trzydzieści trzy procent.

– A więc – zagaił, zdejmując kieliszek z tacy, którą podsunęła mu kolejna uśmiechnięta skandynawska stewardesa – co panią sprowadza na Aurorę, pani Blacklock?

– Och, mów mi Lo. Jestem dziennikarką. Pracuję w „Velocity”.

– Bardzo miło cię poznać, Lo. Czy mogę ci zaproponować drinka? – Sięgnął po drugi kieliszek i wyciągnął go w moją stronę z uśmiechem.

Pomyślałam o opróżnionych buteleczkach, które zostawiłam w kabinie, i przez chwilę się wahałam, wiedząc, że nie powinnam tyle pić tak wczesnym wieczorem. Nie chciałam jednak wyjść na niegrzeczną. Miałam kompletnie pusty żołądek, działanie dżinu jeszcze nie ustąpiło, ale z pewnością jeden kieliszek nie zaszkodzi...

– Dzięki. – W końcu się uśmiechnęłam. Gdy podawał mi kieliszek, jego palce musnęły moje, raczej nieprzypadkowo. Wzięłam łyk, próbując uspokoić nerwy. – A ty? Co cię tu sprowadza?

– Jestem fotografem – odparł, a ja nagle uświadomiłam sobie, skąd znam to nazwisko.

– Cole Lederer! – wykrzyknęłam. Byłam gotowa pluć sobie w brodę. Rowan dopadłaby go już przy trapie. – Oczywiście! To ty zrobiłeś tę niesamowitą sesję dla „Guar-diana” o topniejącej pokrywie lodowej.

– Zgadza się. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wyraźnie zadowolony, że został rozpoznany, choć spodziewałabym się, że już dawno się do tego przyzwyczaił. Koleś był prawie

tak dobry jak David Bailey. – Zaproszono mnie tu, żebym przygotował fotorelację z podróży. Wiesz, nastrojowe zdjęcia fiordów i tak dalej.

– Chyba na co dzień nie przyjmujesz takich zleceń? – zauważyłam z powątpiewaniem.

– Nie – zgodził się. – Ostatnimi czasy skupiam się głównie na zagrożonych gatunkach. A to raczej mało prawdopodobne, by ta grupa była narażona na ryzyko wyginięcia. Wszyscy wyglądają na wyjątkowo dobrze odżywionych.

Rozejrzeliśmy się wokół. Jeśli chodzi o mężczyzn, musiałam się z nim zgodzić. Gromadka skupiona w kącie wyglądała tak, jakby była w stanie przeżyć kilka tygodni dzięki swoim rezerwom tłuszczu, gdyby doszło do katastrofy statku. Ale o kobietach nie można było tego powiedzieć – wszystkie wyglądały wytwornie i nienagannie, jakby uprawiały bikram jogę i stosowały dietę makrobiotyczną. Raczej nie przeżyłyby długo, gdyby statek poszedł na dno. No, chyba że zjadłyby kogoś z mężczyzn.

Rozpoznałam kilka twarzy z innych prasowych imprez. Byli tu Tina West, wychudzona jak chart redaktorka „Vernean Times” (motto: „80 dni to tylko początek”), obwieszona biżuterią wazącą więcej niż ona sama; korpulentny i przylizany dziennikarz podróżniczy Alexander Belhomme, który pisywał artykuły dla wielu magazynów i przypominał morsa; oraz Archer Fenlan, znany ekspert od „podróży ekstremalnych”.

Archer, który miał może ze czterdzieści lat, ale wyglądał na starszego przez swoją ogorzałą, wiecznie opaloną twarz, przestępował z nogi na nogę – najwyraźniej czuł się niezbyt komfortowo w smokingu. Nie rozumiałam, co tu robi – przecież powinien pałaszować larwy ciem gdzieś nad Amazonką – ale może miał akurat trochę wolnego.

Za to nigdzie nie widziałam dziewczyny z sąsiedniej kabiny.

– Bu! – Rozległo się nagle za moimi plecami.

Odwrociłam się na pięcie.

Ben Howard. A czego, do cholery, ten tu szuka? Szcherzył do mnie zęby w uśmiechu, skrywany przez gęstą hipsterską brodę. Gdy ostatnio go widziałam, nie był brodaczem.

– Ben – powiedziałam słabo, próbując ukryć zaskoczenie. – Jak się masz? Czy poznałeś już Cole’a Lederera? Ben i ja pracowaliśmy razem w „Velocity”. Teraz on pisze dla... gdzie teraz jesteś? „Indie”? „Times”?

– Znamy się z Cole’em – rzucił Ben swobodnie. – Pracowaliśmy razem nad tym artykułem o Greenpeace. Jak leci, człowieku?

– W porządku.

Przywitali się tym półściskiem, na który mężczyźni decydują się, gdy są za bardzo metroseksualni na uścisk dłoni, a za mało wyluzowani na żółwika.

– Dobrze wyglądasz, Blacklock. – Ben zlustrował mnie wzrokiem w taki sposób, że miałam ochotę wymierzyć mu kopniaka w jaja. Szkoda, że ta pieprzona sukienka była taka obcisła. – Chociaż... czy ty znowu, eee, zaczęłaś uprawiać walki w klatkach?

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Potem się zreflektowałam. Najwyraźniej nie umiałam się posługiwać korektorem tak dobrze, jak myślałam.

Przed oczami stanął mi obraz drzwi uderzających mnie w twarz i mężczyzny czającego się w moim mieszkaniu, mniej więcej wzrostu Bena, o tych samych, jakby płynnych, ciemnych oczach... Wspomnienie było tak żywe, że poczułam ucisk w piersi. Odjęło mi mowę. Po prostu patrzyłam na niego lodowato, nawet nie próbując tego ukryć.

– Przepraszam, przepraszam. – Uniósł dłoń. – Jak zawsze wtrącam się w nie swoje sprawy, wiem. Chryste, ale ten kołnierzyk ciasny... – Pociągnął za muchę. – A więc jak udało ci się podłapać tę robotę? Awansik?

– Rowan jest chora – wyjaśniłam krótko.

– Cole! – czyjś głos przerwał krępującą ciszę, która między nami zapadła, i wszyscy odwróciliśmy się jak na komendę.

Tina zmierzała ku nam po nieskazitelnie białej dębowej podłodze, zmysłowo kołysząc biodrami. Jej srebrna sukienka szeleściła cicho. Tina pocałowała Lederera w oba policzki, ignorując mnie i Bena.

– Skarbie, kopę lat – powiedziała głosem ochryplym od emocji. – Kiedy w końcu zrobisz tę sesję dla „Vernean”, którą mi obiecałeś?

– Cześć, Tina – rzucił Cole z odrobiną znużenia w głosie.

– Pozwól, że przedstawię cię Richardowi i Larsowi – wymruczała miękko, wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę grupki mężczyzn, których zauważyłam na początku.

Pozwolił na to, rzucając mi przez ramię odrobinę smutny uśmiech. Ben popatrzył za nimi, a potem przeniósł wzrok z powrotem na mnie, unosząc brew tak komicznie, że aż parsknęłam śmiechem.

– Chyba już wiemy, kto jest królową balu, prawda? – skwitował szyderczo. Musiałam się z nim zgodzić. – A więc co u ciebie słychać? Wciąż jesteś z tym jankesem?

Co miałam mu powiedzieć? Że nie wiem? Bardzo możliwe, że ostatecznie schrzaniłam sprawę.

– Tak, wciąż jestem niedostępna – rzuciłam w końcu kwaśno.

– Szkoda. Chociaż wiesz, co się wydarzy wśród fiordów, zostanie wśród fiordów...

– Och, spieprzaj, Howard – warknęłam.

Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Nie możesz winić faceta za to, że próbuje.

Owszem, mogę, pomyślałam. Zgarnęłam kolejny kieliszek z tacy od przechodzącej kelnerki i rozejrzałam się, szukając pretekstu do zmiany tematu.

– A więc kim są ci pozostali? Kojarzę już Cole’a, Tinę i Archera. Och, i Alexandra Belhomme’a. A co z tymi tam? – Wskazałam podbródkiem na małą grupę, do której podeszła Tina. Było tam trzech mężczyzn i dwie kobiety – jedna mniej więcej w moim wieku, ale ubrana w strój droższy od mojego o jakieś pięćdziesiąt tysięcy funtów, a druga... cóż, widok tej drugiej mnie zaskoczył.

– To lord Bullmer i jego paczka. Wiesz oczywiście, że jest właścicielem tego statku i... chyba można by go nazwać figurantem?

Gapiałam się na mężczyzn, próbując rozpoznać wśród nich lorda Bullmera na podstawie fotki z Wikipedii. Początkowo nie potrafiłam stwierdzić, który to, ale potem jeden zaśmiał się na całe gardło, odrzucając głowę do tyłu, i od razu wiedziałam. Był wysoki, żylasty i ubrany w smoking tak dobrze skrojony, że musiał być szyty na miarę. Był też mocno opalony, jakby spędzał dużo czasu na dworze. Gdy się śmiał, jego intensywnie niebieskie oczy zwięzały się w szparki. Na skroniach miał ślady siwizny, jednak nie była to siwizna wynikająca ze starości, lecz taka, która rzuca się w oczy z powodu kruczoczarnych włosów.

– Jest taki młody. To aż dziwne, że ktoś mniej więcej w naszym wieku może być członkiem Izby Lordów, nie sądzisz?

– Jest też wicehrabią czegoś tam. Oczywiście majątek zawdzięcza przede wszystkim swojej żonie. Jest dziedziczką fortuny Lyngstadów, jej rodzina produkowała samochody. Wiesz, o kim mówię?

Pokiwałam głową. Niewiele wiedziałam o tych sprawach, ale nawet ja słyszałam o fundacji Lyngstadów. We wszystkich relacjach z miejsc dotkniętych klęską żywiołową ich logo widniało na ciężarówkach i paczkach z pomocą. Nagle przypomniało mi się zdjęcie, które w zeszłym roku obiegiło wszystkie gazety – może nawet zrobił je Cole? – przedstawiające

syryjską matkę na tle takiej ciężarówki. Trzymała na rękach dziecko, wyciągając je w stronę kierowcy, jakby mogła w ten sposób sprawić, że pojazd się zatrzyma.

– I to jest jego żona? – Wskazałam na smukłą blondynkę stojącą plecami do mnie. Właśnie śmiała się z czegoś, co powiedział jeden z mężczyzn. Była ubrana w prostą, ale niesamowicie efektowną suknię z różowego jedwabiu. Patrząc na nią, poczułam się tak, jakbym własną skleciła z resztek strojów balowych z dzieciństwa.

Ben pokręcił głową.

– Nie, to jest Chloe Jenssen. Była modelka i żona tamtego blondyna, Larsa Jenssena. Kolesi jest grubą rybą w świecie finansów, dyrektorem dużej szwedzkiej grupy inwestycyjnej. Podejrzewam, że Bullmer zaprosił go tu jako potencjalnego inwestora. A żona Bullmera stoi obok niego, to ta w chuście na głowie.

Och... To jej widok tak mnie zaskoczył. W porównaniu z resztą towarzystwa kobieta wyglądała... cóż, wyglądała na chorą. Miała na sobie bezkształtną kimonową szatę z szarego jedwabiu, dobraną pod kolor jej oczu, coś pomiędzy suknią wieczorową a szlafrokiem, a głowę owinęła jedwabną chustą. Nawet z miejsca, w którym stałam, mogłam zauważyć, jak blada i woskowa jest jej skóra. Wyróżniała się na tle grupy, której członkowie sprawiali wrażenie niemal nieprzyzwoicie zdrowych. Zdałam sobie sprawę, że się gapię, więc spuściłam wzrok.

– Chorowała – wyjaśnił Ben niepotrzebnie. – Rak piersi. Podobno była w bardzo ciężkim stanie.

– Ile ma lat?

– Ledwie trzydzieści, tak myślę. W każdym razie jest młodsza od niego.

Ben dopił szampana i zaczął się rozglądać za kelnerką, a ja znów zerknęłam na żonę Bullmera. Przypomniałam sobie fotografię, którą widziałam w internecie. W życiu bym jej nie rozpoznała. Może to wina bladej skóry albo luźnej jedwabnej szaty, ale wyglądała na znacznie starszą. Bez wspaniałej burzy złotych włosów w ogóle nie przypominała kobiety ze zdjęcia.

Dlaczego była tutaj, zamiast wylegiwać się na sofie w domu? Ale przecież dlaczego miałoby jej tu nie być? Może nie zostało jej wiele czasu? Może próbowała wykorzystać go jak najlepiej? A może... hmm, może pragnęła, żebym przestała się na nią gapić z litością i zostawiła ją w spokoju?

Odwrociłam wzrok i rozejrzałam się w poszukiwaniu kogoś mniej bezbronnego, o kim mogłabym podyskutować z Benem. Nie kojarzyłam jeszcze tylko jednej osoby z tamtej grupy – wysokiego starszego mężczyzny ze starannie przyszyroną siwiejącą bródką i wydatnym brzuchem, który świadczył o uczestnictwie właściciela w wielu długich lunchach.

– A kim jest facet podobny do Donalda Sutherlanda? – zapytałam.

– Kto? A, to Owen White, brytyjski inwestor. W typie Richarda Bransona, tylko na trochę mniejszą skalę.

– Jezu, Ben! Skąd ty to wszystko wiesz? Masz encyklopedyczną wiedzę na temat każdego członka wyższych sfer?

– Eee, nie. – Ben popatrzył na mnie z odrobiną niedowierzania. – Zadzwoń do biura prasowego i poproszę o listę gości, a potem ich wygooglowałem. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby zdobyć takie informacje.

Kurwa. Kurwa! Dlaczego sama tego nie zrobiłam? Wpadłby na to każdy dobry reporter, a ja nawet o tym nie pomyślałam. Chociaż Ben prawdopodobnie nie spędził ostatnich kilku dni, cierpiąc na bezsenność i zespół stresu pourazowego.

– A może...

Cokolwiek chciał powiedzieć Ben, zagłuszył go brzęk metalu stukającego o kieliszek. Lord Bullmer wystąpił na środek pomieszczenia. Camilla Lidman odłożyła łyżeczkę i zrobiła

gest, jakby chciała go oficjalnie przedstawić, ale on tylko machnął ręką, więc wtopiła się w tło ze skromnym uśmiechem.

W salonie zapadła cisza, pełna szacunku i wyczekiwania. W końcu lord Bullmer rozpoczął przemowę:

– Dziękuję wszystkim za przybycie i dołączenie do nas podczas tego dziewiczego rejsu Aurory. – Miał ciepły głos, w żaden sposób niezdradzający jego przynależności klasowej; taki, o jakim marzą absolwenci szkół publicznych. Magnetyczne spojrzenie niebieskich oczu sprawiało, że trudno było oderwać od niego wzrok. – Nazywam się Richard Bullmer i wraz z moją żoną Anne chcielibyśmy was powitać na pokładzie. Projektując ten statek, zamierzaliśmy ni mniej, ni więcej, jak tylko stworzyć dla naszych gości dom z dala od domu.

– Dom z dala od domu? – wyszeptał Ben. – Może jego dom ma taras z widokiem na morze i darmowy minibarek. Mój za cholerę nie ma.

– Uważamy, że podróżowanie nie musi oznaczać kompromisów – kontynuował Bullmer. – Powinniście znaleźć tu wszystko, czego będzie wam potrzeba, a jeśli będziecie mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia, mój personel i ja chcemy o tym usłyszeć – przerwał i puścił oko do Camilli, dając nam tym samym do zrozumienia, że ciężar wysłuchiwanie ewentualnych skarg spadnie przede wszystkim na nią. – Ci z was, którzy mnie znają, wiedzą o mojej miłości do Skandynawii. Do ciepła jej ludzi – rzucił szybki uśmiech Larsowi i Anne – do doskonałości jej jedzenia – wskazał głową na kelnerkę z tacą pełną tartinek z koperkiem i krewetkami – i do spektakularnej wspaniałości samego regionu, od falistych, porośniętych lasami terenów Finlandii przez wysepki szwedzkiego archipelagu po majestat fiordów w Norwegii, rodzinnym kraju mojej żony. Ale osobiście uważam, że paradoksalnie skandynawski krajobraz wyróżnia nie ziemia, lecz niebo: bezkresne i niemal nadnaturalnie czyste. I to właśnie owo niebo umożliwia nam doświadczenie jednego z największych cudów skandynawskiej zimy, czyli zorzy polarnej, *aurora borealis*. Z naturą nigdy nic nie wiadomo, ale mam ogromną nadzieję, że uda mi się pokazać wam spektakularny majestat zorzy polarnej podczas tego rejsu. Jest to coś, co każdy powinien zobaczyć, zanim umrze. A teraz, panie i panowie, proszę, unieście kieliszki i wypijmy za dziewiczy rejs Aurory Borealis. Niech piękno jej imienniczki nigdy nie zblednie!

– Za Aurorę Borealis – powtórzyliśmy posłusznie i wychyliliśmy zawartość szkła. Czułam, jak alkohol przytępia moje zmysły, łagodząc nawet ból policzka.

– Chodź, Blacklock – rzucił Ben, odstawiając swój kieliszek. – Odwalmy naszą robotę i nawiążmy trochę kontaktów.

Na myśl o podejściu do grupy razem z nim poczułam niechęć. Krępowało mnie to, że ktoś mógłby nas uznać za parę, zwłaszcza biorąc pod uwagę naszą przeszłość, jednak nie zamierzałam pozwolić, aby Ben zaczął brylować w towarzystwie, podczas gdy ja będę się trzymać z tyłu. Kiedy ruszyliśmy, zauważyłam, że Anne Bullmer dotyka ramienia męża i szepcze mu coś do ucha. Pokiwał głową, a ona zabrała swój szal i zaczęli się kierować ku wyjściu. Richard z troską trzymał kobietę pod ramię. Gdy mijaliśmy się pośrodku salonu, Anne uśmiechnęła się do nas słodkim uśmiechem, który opromienił jej wymizerowaną buzię o delikatnych rysach, wciąż kryjących w sobie ślady dawnego piękna. Zauważyłam, że w ogóle nie ma brwi. Ich brak oraz sterczące kości policzkowe sprawiały, że jej twarz przypominała gołą czaszkę.

– Jestem pewna, że państwo mi wybaczą – powiedziała angielszczyzną rodem z BBC English, bez cienia akcentu. – Jestem bardzo zmęczona. Obawiam się, że ominie mnie dzisiejsza kolacja. Ale już się cieszę na jutrzejsze spotkanie z państwem.

– Oczywiście – odparłam trochę niezręcznie i spróbowałam się uśmiechnąć. – Ja... my również się cieszymy.

– Tylko odeskortuję żonę do jej kabiny – wyjaśnił Bullmer. – Wrócę tuż przed kolacją.

Odprowadziłam ich wzrokiem, po czym zwróciłam się do Bena:

– Jej angielski jest niesamowity. W życiu nie powiedziałabym, że jest Norweżką.

– Wydaje mi się, że w młodości nie mieszkała tam zbyt długo. Z tego, co wiem, większość dzieciństwa spędziła w szkołach z internatem w Szwajcarii. No dobra, Black-lock, kryj mnie. Wkraczam do akcji.

Ben ruszył dziarskim krokiem, po drodze zgarniając kilka tartinek, i dołączył do grupki ze swobodą urodzonego dziennikarza.

– Belhomme! – zawołał głosem aż kipiącym od sztucznej serdeczności typowej dla absolwentów Eton, chociaż wiedziałam, że tak naprawdę dorastał na osiedlu domów komunalnych w Essex. – Świetnie znów cię widzieć. A pan to zapewne Lars Jenssen. Czytałem ten artykuł o panu w „FT”. Szczerze podziwiam pana stanowisko w sprawie środowiska. Łączenie zasad etyki z biznesem wcale nie jest takie łatwe, jak pozwala pan nam wierzyć.

Ech, tylko patrzcie na tego drania. Nic dziwnego, że pracował w „The Times”, zajmując się prawdziwym dziennikarstwem śledczym, podczas gdy ja wciąż tkwiłam w cieniu Rowan w „Velocity”. Powinnam do nich podejść. Powinnam niepostrzeżenie włączyć się do rozmowy, tak jak on to zrobił. To była moja szansa i wiedziałam o tym. Dlaczego więc dalej tu stałam, ściskając kieliszek w zimnych palcach i nie mogąc zrobić kroku?

Kelnerka zbliżyła się do mnie z butelką szampana, a ja, zupełnie wbrew rozsądkowi, pozwoliłam, by napełniła mój kieliszek. Gdy odeszła, równie lekkomyślnie wzięłam głęboki łyk.

– Grosik – ktoś mruknął mi do ucha niskim głosem. Drgnęłam, odwróciłam się i zobaczyłam Lederera.

– Gdzie? – Zdezorientowana zerknęłam na podłogę. Dłonie miałam lepkie od potu. Musiałam się wziąć w garść.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a do mnie dotarło, że właśnie się wygłupiłam.

– Och, oczywiście, grosik za moje myśli! – powiedziałam, zła na siebie i na niego, że wziął mnie tak z zaskoczenia.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. – Dalej się uśmiechał. – Po prostu wyglądałaś na wyjątkowo zamyśloną, gdy tak tu stałaś, zagryzając wargę.

Zagryzałam wargę? Do licha, może jeszcze zacznę bezradnie trzepotać rękami... Próbowałam sobie przypomnieć, o czym myślałam, poza karierą Bena oraz tym, jak fatalnie mi idzie nawiązywanie kontaktów. Przyszedł mi do głowy tylko drań, który włamał mi się do mieszkania, a tego tematu nie miałam zamiaru poruszać. Chciałam, żeby Cole Lederer szanował mnie jako dziennikarkę, a nie żeby się nade mną litował.

– O... eee... o polityce? – wyjąkałam w końcu. Szampan i zmęczenie zaczynały robić swoje. Rozbolała mnie głowa i miałam wrażenie, że mój mózg przestał poprawnie funkcjonować. Uświadomiłam sobie, że jestem na dobrej drodze do upicia się.

Cole popatrzył na mnie sceptycznie.

– A ty niby o czym myślałaś? – zapytałam gniewnie. Nie bez powodu ludzie przeważnie nie ujawniają swoich myśli. O pewnych rzeczach lepiej nie wspominać publicznie.

– Poza twoimi ustami? – Miałam ochotę przewrócić oczami, ale oparłam się pokusie i spróbowałam obudzić w sobie moją wewnętrzną Rowan, która flirtowałałaby z nim ile wlezie, dopóki nie zdobyłaby jego wizytówki. – Jeśli naprawdę musisz wiedzieć – Cole przytrzymał się ściany, gdy statek podskoczył na większej fali i lód w kubelkach na szampana zagrzechotał – myślałam o mojej wkrótce już byłej żonie.

– Och... Przykro mi – bąknęłam. Dopiero teraz zrozumiałam, że on też jest pijany, po prostu dobrze się kamuflował.

– Pieprzy się z moim drużbą. Właśnie myślałam o tym, jak bardzo chciałbym jej odpłacić

pięknym za nadobne.

– Przelecieć jej druhnę?

– Albo... kogokolwiek tak naprawdę.

To bez wątpienia była bezpośrednia propozycja. Cole znów pokazał zęby w uśmiechu. Jakimś cudem udało mu się sprawić, że jego słowa zabrzmiały czarująco – jakby raczej próbował szczęścia, niż był obleśnym podrywaczem.

– Cóż, wydaje mi się, że nie powinieneś mieć z tym problemów – zauważyłam lekkim tonem. – Jestem pewna, że Tina byłaby ci zobowiązana. – Cole parsknął śmiechem, a ja poczułam nagle ukłucie wyrzutów sumienia. Pomyślałam o tym, jak bym się czuła, gdyby Ben i Tina stroili sobie podobne żarty ze mnie, spekulując, że kleję się do Cole'a przez wzgląd na swoją karierę. No więc Tina wdziękzyła się do niego. Wielka sprawa. Trudno to uznać za przestępstwo stulecia. – Przepraszam – powiedziałam, żałując, że nie mogę cofnąć swojego komentarza. – To był cios poniżej pasa.

– Ale trafny – zapewnił mnie Cole oschle. – Tina obdarłaby ze skóry własną babcie, żeby zdobyć sensacyjny materiał. Boję się, czy wyszedłbym z tego spotkania cało. – Uśmiechnął się, pociągając kolejny łyk szampana.

– Panie i panowie – głos stewarda przerwał naszą rozmowę. – Gdyby zechcieli państwo skierować się do sali Jansson... Wkrótce zostanie podana kolacja.

Gdy opuszczaliśmy salon, poczułam na plecach czyjś wzrok. Odwróciłam się. Za mną szła Tina. Patrzyła na mnie tak, jakby podejrzewała mnie o to samo, o co właśnie ją oskarżyłam.

1 RMS Queen Elizabeth 2 – jeden z największych i najnowocześniejszych statków pasażerskich na świecie (przyp. tłum.).

Zapędzenie nas do miniaturowej jadalni znajdującej się w sąsiednim pomieszczeniu zajęło personelowi zaskakująco dużo czasu. Nie wiem dlaczego, ale w tym pomieszczeniu spodziewałam się bardziej praktycznych rozwiązań – bufetu pod jedną ze ścian i stolików w rzędach. Oczywiście rzeczywistość okazała się daleka od moich wyobrażeń. Faktycznie mogliśmy się tu poczuć jak u kogoś w domu – gdybym знаła kogokolwiek, kto ma w domu zasłony z surowego jedwabiu i kieliszki z rżniętego szkła.

Gdy wreszcie zajęliśmy miejsca, głowa pękała mi z bólu i rozpaczliwie pragnęłam coś zjeść. Jeszcze bardziej marzyłam o kawie, na którą zapewne musiałam poczekać do deseru, którego perspektywa wydała mi się nagle bardzo odległa.

Gości usadzono przy dwóch stolikach po sześć osób, jednak na każdym leżało dodatkowe nakrycie. Czy jedno z nich było przeznaczone dla dziewczyny z kabiny numer dziesięć? Szybko policzyłam wszystkich zgromadzonych.

Przy pierwszym stoliku siedzieli Richard Bullmer, Tina, Alexander, Owen White i Ben Howard. Puste miejsce znajdowało się naprzeciwko Richarda Bullmera.

Przy drugim stoliku siedziałam ja, Lars i Chloe Jenssenowie, Archer oraz Cole.

– Możesz to zabrać – rzucił Cole do kelnerki, która podeszła właśnie z butelką wina, i wskazał na dodatkowe nakrycie obok niego. – Moja żona nie mogła wziąć udziału w rejsie.

– Och, najmocniej przepraszam, proszę pana. – Skłoniła się lekko, powiedziała coś dyskretnie do swojego kolegi i nakrycie zostało natychmiast zabrane. Cóż, zatem to jedno się wyjaśniło. Ale wciąż nie wiedziałam, kto miał zasiąść przy pierwszym stole.

– Chablis? – zaproponowała kelnerka.

– Tak, proszę. – Cole nadstawił kieliszek.

W tym samym momencie Chloe Jenssen pochyliła się nad stołem, wyciągając do mnie dłoń.

– Zdaje się, że nie zostałyśmy sobie przedstawione. – Miała niski, chropawy głos ze śladami akcentu z Essex, nie do końca pasujący do jej drobnej postaci. – Jestem Chloe, Chloe Jenssen, choć w pracy posługuję się nazwiskiem Wylde.

Oczywiście. Teraz, gdy to powiedziała, rozpoznałam ją natychmiast. Te słynne szerokie kości policzkowe, słowiańskie oczy i jasne włosy. Nawet bez mocnego makijażu i odpowiedniego oświetlenia wyglądała, jakby pochodziła nie z tego świata, jakby przed chwilą opuściła małą islandzką wioskę rybacką czy syberyjską daczę. Trudno było uwierzyć, że łowca talentów zwrócił na nią uwagę w supermarkecie na przedmieściach.

– Miło mi cię poznać – powiedziałam i uścisnęłam jej dłoń. Miała zimne palce, a uścisk niemal boleśnie mocny. Z bliska była jeszcze bardziej zachwycająca. Surowe piękno jej sukni, w tak oczywisty sposób deklasującej moją, sprawiło, że czułam, jakbyśmy pochodziły z dwóch różnych planet. Z trudem oparłam się chęci obciążenia dekoltu. – Jestem Lo Blacklock.

– Lo Blacklock! – Zaśmiała się gardłowo. – Podoba mi się. Brzmi jak nazwisko gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych, takiej z talią osy i cyckami do podbródka.

– Chciałabym. – Mimo narastającego bólu głowy uśmiechnęłam się szeroko. Jej wesołość była zaraźliwa. – A to zapewne twój mąż?

– Tak, to jest Lars. – Spojrzała w jego stronę, żeby nas sobie przedstawić, ale był pogrążony w tak zajmującej rozmowie z Cole’em i Archerem, że tylko przewróciła oczami i skierowała uwagę z powrotem na mnie.

– Czy oni czekają jeszcze na kogoś? – Wskazałam na puste miejsce przy pierwszym stole. Chloe pokręciła głową.

– Myślę, że to nakrycie dla Anne... Wiesz, żony Richarda. Nie czuje się za dobrze. Chyba postanowiła zjeść kolację w swojej kabinie.

– Oczywiście. – Powinnam była sama na to wpaść. – Dobrze ją znasz?

– Nie – odparła Chloe. – Richarda znam dość dobrze, poprzez Larsa, ale Anne nieczęsto opuszcza Norwegię. – Ściszyła głos i dodała: – Z tego, co słyszałam, jest straszną samotnicą, więc byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam ją na pokładzie. Ale jednak choroba pewnie może sprawić, że człowiek...

Cokolwiek chciała powiedzieć, przerwało jej pojawienie się kelnerów z pięcioma ciemnymi kwadratowymi talerzami. Na każdym widniały małe kwadraciki i grudki jakiejś pianki w kolorach tęczy, ułożone na czymś, co wyglądało jak skoszona trawa. Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co zaraz wezmę do ust.

– Nożenki z marynowanym burakiem – obwieścił steward – z pianką z turówki wonnej i kawałkami suszonego solirodu.

Kelnerzy wycofali się, a Archer podniósł widelec i dźgnął najbardziej jaskrawy z kwadratów.

– Nożenki? – mruknął z powątpiewaniem. Na żywo jego akcent z Yorkshire brzmiał jakby wyraźniej niż w telewizji. – Nigdy nie przepadałem za surowymi małżami. Przyprawiają mnie o gęsią skórę.

– Serio? – zdziwiła się Chloe, rzucając mu koci uśmiech, flirciarski i pełen niedowierzania. – Myślałam, że podobne przysmaki to twoja specjalność... Wiesz, robaki, jaszczurki i inne takie.

– Gdyby płacili ci za jedzenie takich rzeczy w pracy, w dzień wolny też miałabyś ochotę na porządne steka – odparł z uśmiechem, po czym wyciągnął rękę w moją stronę: – Archer Fenlan. Nie jestem pewien, czy zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Lo Blacklock – wymamrotałam z ustami pełnymi czegoś, co wyglądem przypominało pianę produkowaną przez pluskwiaki, ale miałam szczerą nadzieję, że jest czymś innym. – Właściwie to kiedyś już się spotkaliśmy, ale możesz nie pamiętać. Pracuję w „Velocity”.

– Ach tak. Dla Rowan Lonsdale?

– Zgadza się.

– Czy podobał się jej materiał, który dla niej przygotowałem?

– Tak, był bardzo popularny. Dostał mnóstwo tweetów.

Dwanaście zaskakująco przepysznych potraw, których nie podejrzewalibyście o to, że są jadalne, czy coś w tym stylu. Tekst ilustrowało zdjęcie Archera, który piekł coś nieopisanego nad ogniskiem i uśmiechał się do obiektywu.

– Nie będziesz tego jadł? – zapytała Chloe, wskazując podbródkiem na talerz Archera. Jej własny był już niemal pusty. Przesunęła palcem po smudze rozsmazanej pianki i oblizała go.

Archer wahał się przez moment, ale w końcu odsunął od siebie talerz.

– Myślę, że to danie sobie odpuszczę – uznał. – Poczekam na następne.

– Uczciwie stawiasz sprawę. – Chloe posłała mu kolejny seksowny uśmiech. Nagle mój wzrok przykuł jakiś ruch w okolicach jej kolan i zobaczyłam, że ona i Lars trzymają się za ręce pod stołem, a jego kciuk rytmicznie gładzi jej knykcie. Ten publiczny gest wydał mi się tak intymny, że aż przeszły mnie ciarki. Może Chloe była flirciarą tylko na pokaz.

Zdałam sobie sprawę, że Archer coś do mnie mówi, więc odwróciłam się i z wysiłkiem skupiłam uwagę.

– Przepraszam. Odplynęłam myślami. Co mówiłeś?

– Pytałem, czy dolać ci wina. Twój kieliszek jest pusty.
Spuściłam wzrok na stół. Faktycznie, wino zniknęło, choć ledwie pamiętałam, kiedy je wypiałam.

– Tak, proszę – odparłam.

Patrzyłam, jak nalewa mi trunka, i próbowałam obliczyć, ile już dziś wypiałam. Wzięłam łyk. W tej samej chwili Chloe pochyliła się ku mnie i wyszeptała:

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że pytam, ale co ci się stało w policzek? – Na mojej twarzy chyba odmalowało się zaskoczenie, bo machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „Zapomnij”. – Przepraszam, zignoruj mnie, to nie moja sprawa. Ja tylko... cóż, sama byłam w kilku toksycznych związkach, to wszystko...

– Och nie! – To nieporozumienie sprawiło, że poczułam się zażenowana, jakby doszło do niego z mojej winy albo jakbym obmawiała Judah za jego plecami. – Nie, nic z tych rzeczy! Miałam włamanie do mieszkania.

– Naprawdę? – Chloe wyglądała na zaszokowaną. – Byłaś wtedy w domu?

– Tak. Najwyraźniej takie sytuacje zdarzają się coraz częściej, a w każdym razie tak twierdzi policja.

– I zaatakował cię? Jezu!

– Nie do końca – odparłam.

Nie miałam ochoty wdawać się w szczegóły. Nie tylko dlatego, że mówienie o tym przywoływało nieprzyjemne wspomnienia, ale też przez wzgląd na swoje ego. Chciałam siedzieć przy tym stole jak zawodowiec, jak kompetentna dziennikarka, zdolna do współzawodniczenia z pozostałymi profesjonalistami. Nie chciałam, by patrzyli na mnie jak na wystraszoną ofiarę, kulącą się ze strachu we własnej sypialni.

Ale historia już wyszła na jaw i gdybym nie wyjaśniła dokładnie, co się stało, wyglądałoby na to, że zebrzę o współczucie pod fałszywymi pozorami.

– To... tak naprawdę to był wypadek. Włamywacz zamknął mnie w sypialni, a gdy zatrzasnął drzwi, zdobiąca je listwa uderzyła mnie w policzek. Nie sądzę, by chciał mnie skrzywdzić.

Prawda była taka, że nie powinnam ruszać się z łóżka, tylko przeczekać wszystko z głową pod kołdrą. Głupia Lo, zawsze musiała nadstawiać karku.

– Powinnaś się nauczyć samoobrony – wtrącił Archer. – Ja sam od tego zaczynałem, wiesz? W Królewskiej Marynarce. Waga i wzrost się nie liczą; nawet taka dziewczyna jak ty może obezwładnić mężczyznę, jeśli zastosuje odpowiedni chwyt. Pokażę ci. – Odepchnął swoje krzesło. – Wstań.

Wstałam z zażenowaniem, a on błyskawicznie chwycił mnie za ramię i wykręcił mi je za plecami, tak że straciłam równowagę. Wolną ręką przytrzymałam się blatu stołu, ale mięśnie wykręconego ramienia krzyczały w proteście. Jęknęłam, częściowo z bólu, a częściowo z przerażenia. Kątem oka zauważyłam, że na twarzy Chloe maluje się przerażenie.

– Archer – zawołała, a gdy nie zareagował, krzyknęła głośniejszym głosem: – Archer! Przestraszyłeś ją!

Puścił mnie, a ja opadłam z powrotem na swoje miejsce. Nogi mi się trzęsły i próbowałam ukryć, jak bardzo boli mnie ramię.

– Przepraszam – rzucił Archer z uśmiechem, z powrotem przysuwając sobie krzesło do stołu. – Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy. Czasami nie zdaję sobie sprawy z tego, jaki jestem silny. Ale rozumiesz, co mam na myśli? Bardzo trudno uwolnić się z takiego chwytu, nawet jeśli napastnik jest większy od ciebie. Jeśli będziesz potrzebowała lekcji...

Próbowałam się zaśmiać, ale zabrzmiało to fałszywie.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała się napić – stwierdziła Chloe prosto z mostu i dołała mi wina. Potem, gdy Archer zajął się rozmową z kelnerem, szepnęła do mnie: – Nie zwracaj na niego uwagi. Zaczynam wierzyć, że plotki na temat tego, co zrobił swojej pierwszej żonie, były prawdziwe. I słuchaj, jeśli będziesz chciała jakoś zakryć ten siniec, zajrzyj jutro do mojej kabiny. Znam mnóstwo sztuczek, jestem naprawdę niezłą makijażystką. W takim zawodzie trzeba to umieć.

– Tak zrobię. – Spróbowałam przywołać uśmiech na twarz. Ale wydawał mi się fałszywy i wymuszony, więc uniosłam kieliszek i wzięłam łyk wina, by to ukryć. – Dzięki.

Po pierwszym daniu goście pozamieniali się miejscami. Z ulgą usiadłam przy sąsiednim stoliku, z dala od Archera, między Tiną a Alexandrem, którzy ze znanstwem konwersowali nad moją głową na temat rozmaitych potraw świata.

– Oczywiście jedyny rodzaj *sashimi*, którego naprawdę musisz spróbować, to fugu – oznajmił Alexander, wygładzając serwetkę leżącą na jego wydatnym brzuchu. – Smakuje po prostu wybornie.

– Fugu? – wtrąciłam, próbując się włączyć do rozmowy. – Czy to nie jest ta straszliwie trująca ryba?

– Właśnie. I dlatego jest to takie wspaniałe doświadczenie. Nigdy nie brałam narkotyków. Znam słabości swojej natury i jestem świadom tego, że należę do sybarytów, więc nigdy nie miałem do siebie wystarczająco dużo zaufania, by zacząć się bawić w tego rodzaju rzeczy. Ale zakładałam, że euforia, której człowiek doświadcza po zjedzeniu fugu, to wynik podobnej odpowiedzi neuronalnej. Jedzący igra ze śmiercią – i wygrywa.

– A czy nie mówią – zagaiła Tina, przeciągając samogłoski i biorąc łyk wina – że cała sztuka polega na tym, by w trakcie krojenia jak najbardziej zbliżyć się do trujących części, tak by na mięsie została odrobina toksyn intensyfikująca doświadczenie?

– Słyszałem o tym – przyznał Alexander. – W bardzo małych ilościach powinno to działać jak stymulant. Chociaż mam wrażenie, że wynika to raczej ze sknerstwa szefa kuchni, który nie chce zmarnować ani odrobiny z tak kosztownej ryby.

– A jak bardzo jest trująca? – zapytałam. – To znaczy w sensie ilości toksyn. Ile trzeba by tego zjeść?

– Cóż, oto jest pytanie... – Alexander zamyślił się na chwilę, po czym pochylił się nad stołem z raczej nieprzyjemnym błyskiem w oku, rozentuzjasmowany tematem. – Poszczególne części ryby zawierają inne stężenie toksyn, ale jeśli chodzi o najbardziej trujące fragmenty, czyli o wątrobę, oczy i jajniki, to mówimy o bardzo, bardzo małych ilościach. O gramach, jeśli już. Twierdzą, że jest to trucizna tysiąc razy skuteczniejsza niż cyjanek. – Wepchnął do ust kęs rybnego carpaccio i mówił dalej, delektując się delikatnym mięsem: – To musi być straszliwa śmierć. Szef kuchni, który przygotowywał dla nas tę rybę w Tokio, czerpał ogromną przyjemność z opisywania procesu działania trucizny. Otóż paraliżuje ona mięśnie, wiecie, ale umysł ofiary pozostaje w pełni sprawny. Człowiek jest całkowicie świadomy tego, że jego mięśnie ulegają atrofii, i traci zdolność oddychania. – Przełknął, oblizwał wilgotne wargi i uśmiechnął się. – Ostatecznie ofiara po prostu się dusi.

Popatrzyłam na skrawki surowej ryby na moim talerzu i nagle straciłam apetyt. Z niechęcią włożyłam kawałek do ust i zaczęłam żuć.

– Opowiedz nam coś o sobie, moja droga. – Niespodziewanie Tina przeniosła uwagę z Alexandra na mnie. – Słyszałam, że pracujesz z Rowan?

Tina zaczynała w „Velocity” pod koniec lat osiemdziesiątych i zanim odeszła, zdążyła jeszcze poznać Rowan, która do dziś opowiadała nam o jej legendarnej zażartości.

– Zgadza się. – Przełknęłam jedzenie w nieprzyjemnym pośpiechu. – Pracuję tam od

około dziesięciu lat.

– Rowan musi cię bardzo cenić, skoro wysłała cię na takie wycieczki. To chyba nie lada wyczyn?

Zaczęłam się wiercić na krześle. Co miałam jej powiedzieć? *Właściwie to myślę, że nie zaufałyby mi, gdyby nie była podłączona do kroplówki?*

– Mam ogromne szczęście – wybrnęłam dyplomatycznie. – Obecność tutaj to dla mnie prawdziwy przywilej, a Rowan wie, jak bardzo chcę się sprawdzić.

– Cóż, udzielę ci małej rady. – Tina poklepała mnie po ramieniu. Poczułam na skórze chłód jej pierścionków. – Ciesz się tym. Jak mówią, żyje się tylko raz.

Zamieniliśmy się miejscami jeszcze dwukrotnie, ale ani razu nie wylądowałam obok Bullmera. Dopiero gdy podano kawę i mogliśmy wrócić do salonu, miałam szansę go zagadnąć. Właśnie szłam ku niemu z filiżanką kawy w dłoni, próbując utrzymać równowagę mimo kołysania statku, gdy oślepił mnie błysk flesza. Potknęłam się i kilka kropli kawy prysnęło na rąbek wypożyczonej sukni i na białą sofę w pobliżu.

Wtedy ktoś szepnął mi do ucha:

– Uśmiechnij się.

Zdałam sobie sprawę, że zdjęcie zrobił Cole.

– Cholera, ty debil! – warknęłam rozgniewana i w tej samej chwili pożałowałam, że nie ugryzłam się w język. Ostatnia rzecz, jakiej było mi trzeba, to żeby doniósł Rowan, jaka jestem źle wychowana. Chyba byłam bardziej pijana, niż myślałam. – Nie mówiłam do ciebie – próbowałam z zakłopotaniem zatuszować moje faux pas. – Mówiłam o sobie. Zalałam sofę.

Zauważył moje skrępowanie i roześmiał się.

– Nieźle wybrnęłaś. Nie martw się, nie będę na ciebie skarżył twojej szefowej. Moje ego nie jest aż tak kruche.

– Ja nie... – próbowałam odwrócić kota ogonem, ale tak trafnie odgadł moje myśli, że sama nie wiedziałam, co powiedzieć. – Ja tylko...

– Daj spokój. A w ogóle to dokąd ci tak spieszo? Pędziłaś przez pokój jak strzelec wyborowy ścigający kulejącą antylopę.

– Ja... – Było mi głupio się do tego przyznać, ale głowa pękała mi od zmęczenia i alkoholu, dlatego najłatwiej było powiedzieć prawdę. – Miałam nadzieję, że uda mi się w końcu porozmawiać z Richardem Bullmerem. Przez cały wieczór próbowałam zamienić z nim parę słów, ale nie miałam okazji.

– I właśnie wkraczałaś do akcji, a ja wszystko popsulem – dokończył Cole z błyskiem w oku. Znowu się uśmiechnął, a ja zdałam sobie sprawę, że to jego wilcze siekacze nadają mu wygląd drapieżnika. – Cóż, na szczęście mogę to załatwić. Bullmer!

Struchlałam. Tymczasem Richard Bullmer przerwał rozmowę z Larsem, odwrócił się i spojrzał na nas.

– Czy ja słyszałem swoje nazwisko?

– W istocie – odparł Cole. – Chodź no tu i porozmawiaj z tą miłą dziewczyną. Zrekompensuj jej fakt, że urządziłem na nią zasadzkę.

Bullmer zaśmiał się, zabrał swoją filiżankę z oparcia fotela i ruszył w naszą stronę. Mimo lekkiego kołysania pokładu poruszał się ze swobodą i odniosłam wrażenie, że jest w znakomitej formie fizycznej, a dobrze skrojony smoking prawdopodobnie skrywa ciało twarde jak skała.

– Richardzie, poznaj Lo. Lo, to jest Richard – przedstawił nas sobie Cole. – Strzeliłem jej nieupozowaną fotkę, gdy próbowała do ciebie podejść, i tak ją przestraszyłem, że wylała swoją kawę.

Policzki zapłonęły mi czerwienią, ale Bullmer tylko pokręcił głową, spoglądając na Cole'a.

– Mówiłem ci, żebyś dyskretnie się tym posługiwał. – Skinął na ciężki aparat zwisający z szyi Cole'a. – Nie każdy ma ochotę na bycie fotografowanym w nieodpowiednich momentach.

– Ach, oni to uwielbiają – rzucił lekko Cole, odśmiając zęby w szerokim uśmiechu. – Dzięki temu czują się jak celebryci...

– Mówię poważnie – przerwał mu Richard i chociaż też się uśmiechał, w jego głosie nie było słycać rozbawienia. – Zwłaszcza o Anne – zniżył głos. – Wiesz, że czuje się skrępowana obecnością fotografów, od kiedy...

Cole natychmiast spoważniał i z zapalem pokiwał głową.

– Nie no, pewnie, człowieku. To zupełnie co innego. Ale Lo nie ma nic przeciwko, prawda, Lo? – Objął mnie i przyciągnął do siebie tak mocno, aż poczułam, jak aparat wbija mi się w ramię.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Nie – zapewniłam ze skrępowaniem. – Nie, oczywiście, że nie.

– I to mi się podoba. – Bullmer puścił do mnie oko. To był dziwny nawyk. Zauważyłam go już wcześniej, gdy patrzył na Camillę Lidman. Nie puszczał oka dobrodusznie, ale raczej jakby próbował świadomie zniwelować przepaść między sobą a innymi ludźmi. Nie traktuj mnie jak milionera, mówiło to mrugnięcie. Jestem zwykłym, przystępnym facetem.

Właśnie gorączkowo zastanawiałam się, jak zareagować, gdy podszedł do nas Owen White i poklepał Richarda po ramieniu.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Owen? – zapytał Bullmer, odwracając się do niego.

Zanim więc zdążyłam otworzyć usta, straciłam swoją szansę.

– Ja... – zdołałam tylko wydusić.

Zerknął na mnie przez ramię.

– Słuchaj, w trakcie takich imprez trudno jest spokojnie porozmawiać. Może wpadniesz do mojej kabiny jutro po zajęciach zaplanowanych dla gości i normalnie sobie pogadamy?

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się żałośnie, próbując ukryć to, jak bardzo jestem mu wdzięczna.

– Świetnie. Zajmuję kabinę numer jeden. Już się cieszę na nasze spotkanie.

– Przepraszam. – Oddech Cole'a poślaskotał mnie w ucho. – Zrobiłem, co w mojej mocy. Cóż mogę powiedzieć? Jest rozchwytywanym człowiekiem. Jak mogę ci to wynagrodzić?

– Nieważne – bąknęłam. Czułam się skrępowana jego bliskością i miałam ochotę się odsunąć, ale w myślach wciąż słyszałam głos Rowan: „Nawiązuj kontakty, Lo!”. – Powiedz mi... powiedz mi coś o sobie. Co cię skłoniło do wzięcia udziału w tym rejsie? Przyznałeś, że zazwyczaj nie robisz takich rzeczy.

– Richard to mój stary przyjaciel – wyjaśnił Cole. Wziął filiżankę kawy od przechodzącej obok stewardesy i upił łyk. – Byliśmy razem w Balliol. Więc gdy mnie zaprosił, uznałem, że nie wypada odmówić.

– Jesteście ze sobą blisko?

– Tak bym tego nie nazwał. Nie obracamy się w tych samych kręgach. To byłoby trudne, ostatecznie jeden z nas jest walczącym o uznanie fotografem, a drugi ożenił się z jedną z najzamożniejszych kobiet w Europie. – Uśmiechnął się. – Ale to dobry człowiek. Może i wygląda, jakby się urodził ze srebrną łyżeczką w ustach, ale nie było mu łatwo. Przeżył wiele ciężkich chwil i chyba właśnie z tego powodu tak mocno trzyma się tego, co ma. – Powiół ręką wokół, wskazując na jedwabie i kryształ. – Wie, jak to jest stracić majątek. I bliskich.

Pomyślałam o Anne Bullmer, o trosce, z jaką Richard odprowadził ją do kabiny, chociaż czekał na niego salon pełen gości, i uznałam, że chyba wiem, co Cole ma na myśli.

Minęła jedenasta, gdy w końcu dotarłam do swojego pokoju. Byłam pijana. Bardzo, bardzo pijana. Chociaż nie potrafiłam do końca ocenić swojego stanu, bo znajdowaliśmy się teraz na pełnym morzu i już samo kołysanie statku przyprawiało mnie o mdłości, nie tylko szampan... i wino... och, i mrożone szoty kminkowej skandynawskiej wódki. Chryste, co ja sobie myślałam?

Stałam tak, przytrzymując się futryny, i nagle dotarło do mnie, dlaczego doprowadziłam się do takiego stanu. Bo wiedziałam, że po takiej ilości alkoholu zasnę jak zabita. Nie zniosłabym kolejnej zarwanej nocy. Nie tutaj.

Zaczęłam wyciągać zza stanika kartę magnetyczną, gdy usłyszałam bełkotliwy głos:

– Potrzebujesz pomocy, Blacklock?

Cień Bena Howarda padł na framugę.

– Dam sobie radę – burknęłam, odwracając się do niego plecami, żeby nie widział, jak grzebię sobie za dekoltem. Fala uderzyła o kadłub statku, a ja się zachwiałam. Odejdź, Ben.

– Jesteś pewna? – Pochylił się nade mną, z rozmysłem zaglądając mi przez ramię.

– Tak. – Zacisnęłam zęby z wściekłości. – Jestem pewna.

– Bo mógłbym pomóc... – Posłał mi lubieżny uśmiech i wskazał podbródkiem na dekolt mojej sukienki, który przytrzymywałam jedną ręką, żeby nie odsłaniał za wiele. – Wyglądasz, jakby przydała ci się pomocna dłoń. Albo dwie.

– Odepierz się – ucięłam. Poczułam, że karta przesunęła się i powędrowała pod moją lewą łopatkę. Gdybym tylko zdołała do niej sięgnąć...

Ben przysunął się jeszcze bliżej i zanim zdałam sobie sprawę, co zamierza zrobić, brutalnie wsadził mi rękę za dekolt. Poczułam ból, gdy jego spinka do mankietu przejechała mi po skórze, a potem jeszcze większy, kiedy mocno ścisnął moją nagą pierś w sposób, który zapewne jego zdaniem miał być przesycony erotyzmem.

Nie był.

Zareagowałam odruchowo. Usłyszałam odgłos prującej się tkaniny, przypominający warczenie kota, i kopnęłam go kolanem w krocze z taką siłą, że nawet nie zdołał krzyknąć. Po prostu osunął się powoli na podłogę, wydając z siebie jedynie słabe, stłumione skomlenie.

A ja wybuchnęłam płaczem.

Jakieś dwadzieścia minut później siedziałam na łóżku w mojej kabinie, wciąż szlochając i ocierając z policzków czarne ślady pożyczonej maskary, podczas gdy Ben siedział obok. Jedną ręką mnie obejmował, a drugą przyciskał do swojego krocza kubetek z lodem.

– Przepraszam – powtórzył po raz kolejny głosem ochrypłym od tłumionego bólu. – Proszę, Lo, proszę. Przestań płakać. Naprawdę mi przykro. Zachowałem się jak chuj, jak kompletny dupek. Zasłużyłem na to.

– Nie chodzi o ciebie – zaszlochałam. – Ja już nie daję rady, Ben. Od tego włamania po prostu... chyba zacznam wariować.

– Jakiego włamania?

Opowiedziałam mu. Opowiedziałam mu wszystko, o czym nie wspomniałam Jude'owi. Jakie to było uczucie, gdy się obudziłam i zdałam sobie sprawę, że ktoś jest w moim mieszkaniu, zdałam sobie sprawę, że nikt nie usłyszałby, gdybym zaczęła krzyczeć, że nie mam jak wezwać pomocy, że nie mam szans w starciu z intruzem, że nigdy nie przypuszczałam, że jestem aż tak bezbronna...

– Przykro mi – powtarzał Ben w kółko, jakby to była jakaś mantra, i głaskał mnie po plecach. – Tak mi przykro.

Jego współczucie sprawiło, że rozplakałam się jeszcze rzewniej.

– Posłuchaj, kochanie...

O nie.

– Nie nazywaj mnie tak. – Wyprostowałam się, odgarnęłam włosy z twarzy i odsunęłam się od niego.

– Przepraszam, to po prostu... po prostu mi się wymknęło.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie możesz już tak do mnie mówić, Ben.

– Wiem – mruknął. – Ale, Lo, jeśli mam być szczerzy, ja nigdy...

– Przestań – weszłam mu w słowo.

– Lo, to, co wtedy zrobiłem... Zachowałem się jak dupek, wiem, że tak...

– Powiedziałam przestań. To już przeszłość.

Pokręcił głową. Jego słowa i nieszczęśliwa, zboląła mina sprawiły, że przestałam płakać.

– Ale, Lo... – Popatrzył na mnie tym swoim wzrokiem zbitego psa. Jego brązowe oczy połyskiwały łagodnie w świetle nocnej lampki. – Lo, ja...

– Nie! – zawołałam ostrzej i głośniejsz, niż chciałam, ale musiałam sprawić, by się zamknął. Nie byłam pewna, co zamierzał powiedzieć, ale cokolwiek to było, nie mogłam sobie pozwolić na to, by tego wysłuchać. Utknęliśmy razem na tym statku na najbliższe pięć dni. Nie mogłam pozwolić, żeby skompromitował się jeszcze bardziej, bo ta wycieczka stanie się nie do wytrzymania.

– Ben, nie – dodałam łagodniejszym głosem. – To było dawno temu. Zresztą to ty chciałeś to zakończyć, pamiętasz?

– Wiem – powiedział żałośnie. – Wiem. Byłem chujem.

– Nie byłeś – zaprzeczyłam. A potem, czując, że jestem nieszczera, poprawiłam się: – Okay, byłeś. Ale ja wiem, że nie było łatwo ze mną żyć... Słuchaj, to teraz nieważne. Jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się? – Trochę przesadziłam, ale on pokiwał głową. – No więc nie schrzaj tego.

– W porządku. – Wstał z trudem, otarł twarz rękawem smokingu, a potem popatrzył na niego z żalem. – Mam nadzieję, że mają pralnię na pokładzie.

– Mam nadzieję, że mają kogoś, kto mi to naprawi. – Wskazałam na swoją rozdartą suknię.

– Dasz sobie radę? – upewnił się. – Mógłbym zostać. Nie w obleśnym sensie. Mógłbym spać na kanapie.

– Faktycznie mógłbyś – zgodziłam się, patrząc na wielką sofę. Potrząsnęłam głową, gdy się zreflektowałam, jak to zabrzmiało. – Nie, nie mógłbyś. Owszem, zmieściłbyś się na niej, ale nie możesz... Nie potrzebuję tego. Wracaj do swojej kabiny. Na litość boską, jesteśmy na pokładzie statku na pełnym morzu. Chyba nie ma w tej chwili bezpieczniejszego miejsca.

– W porządku. – Ruszył do drzwi, lekko utykając. Otworzył je, ale zatrzymał się w progu. – Ja... przepraszam. Serio.

Wiedziłam, na co czekał, na co liczył. Nie tylko na przebaczenie, ale na coś więcej. Chciał, abym dała mu do zrozumienia, że jego zachowanie nie było tak do końca niepożądane.

Nie miałam jednak najmniejszego zamiaru tego zrobić.

– Idź do łóżka, Ben – powiedziałam bardzo znużonym i bardzo trzeźwym głosem.

Stał w drzwiach jeszcze przez chwilę, o sekundę za długo. Na tyle długo, bym zaczęła się zastanawiać, podczas gdy żołądek przewracał mi się w rytm wzburzonego morza, co bym zrobiła, gdyby nie chciał sobie pójść. Ale w końcu odwrócił się i wyszedł, a ja zamknęłam za nim drzwi i padłam na sofę, kryjąc twarz w dłoniach.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale wreszcie wstałam, nalałam sobie whisky z minibarku i wypiłam ją trzema łykami. Zadrżałam, otarłam usta i zsunęłam z ramion sukienkę, pozwalając, by opadła na podłogę niczym skóra zrzucona przez węża. Zdjęłam stanik, zostawiłam na ziemi tę smutną kupkę ubrań i zwałam się na łóżko. Zapadłam w sen tak głęboki, że czułam, jakbym tonęła.

Nie wiem, co mnie obudziło. Wiem tylko, że oprzytomniałam gwałtownie, jakby ktoś wbił mi w serce strzykawkę z adrenaliną. Leżałam na łóżku, zeszywniała ze strachu. Moje serce galopowało jak oszalałe, a ja próbowałam się uspokoić, przywołując w pamięci kojące frazy,

argumenty, których użyłam w rozmowie z Benem zaledwie kilka godzin wcześniej.

Nic ci nie jest, powtarzałam sobie. Jesteś całkowicie bezpieczna. Jesteśmy na statku, na pełnym morzu. Nikt nie może się tu dostać ani opuścić pokładu. To najbezpieczniejsze miejsce, w jakim mogłabyś się teraz znaleźć.

Zaciskałam dłonie na prześcieradle tak mocno, że palce zupełnie mi zeszywniały. Zmusiłam się, by je rozewrzeć, i poczułam, jak ból powoli ustępuje. Skoncentrowałam się na regularnych wdechach i wydechach. Oddychałam powoli i miarowo, aż w końcu serce dostosowało się do tego tempa i przestało dudnić.

Szum krwi w uszach ucichł i słyszałam już tylko rytmiczne pluski fal oraz niski pomruk silników wypełniający każde pomieszczenie statku.

Cholera. Cholera. Musiałam wziąć się w garść.

Nie mogłam co wieczór znieczulać się alkoholem aż do końca wycieczki. Nie mogłam sabotować swojej kariery i zaprzepaścić szansy na awans w „Velocity”. Więc co mi pozostawało? Pigułki nasenne? Medytacja? Żadne z tych rozwiązań nie wydawało się o wiele lepsze.

Przekręciłam się na bok, zapaliłam lampkę i spojrzałam na ekran telefonu. Była trzecia cztery. Odświeżyłam skrzynkę odbiorczą, ale nie znalazłam w niej żadnej wiadomości od Judah. Za bardzo oprzytomniałam, żeby ponownie zasnąć, więc z westchnieniem sięgnęłam po książkę leżącą na stoliku nocnym i zaczęłam czytać. Ale chociaż próbowałam koncentrować się na słowach, coś nie dawało mi spokoju. Nie miałam paranoi. Coś mnie obudziło. Coś wyrwało mnie ze snu, przstraszyło tak bardzo, że trzęsłam się jak ćpun uzależniony od metamfetaminy. Wciąż wydawało mi się, że słyszałam krzyk.

Właśnie przewracałam stronę, gdy ponownie usłyszałam hałas. Taki, który ledwie dało się zarejestrować na tle szumu fal i dźwięku pracy silników. Odgłos na tyle cichy, że szelest kartki prawie go zagłuszył.

Był to odgłos odsuwających się po cichu drzwi na werandę w sąsiedniej kabinie. Wstrzymałam oddech, nastawiłam ucha.

A potem rozległ się plusk.

Nie drobny plusk fal.

Nie, to był głośny plusk.

Taki, jaki wywołuje ciało uderzające o powierzchnię wody.

JUDAH LEWIS

24 września o 8:50

Hej, słuchajcie, martwię się trochę o Lo. Pojechała na tę wycieczkę prasową i od kilku dni nie daje znaku życia. Czy ktoś z was miał od niej jakieś wieści? Zaczynam się odrobinę niepokoić. Z góry dziękuję.

Lubię to! · Komentarze · Udostępnij

LISSIE WIGHT

Cześć, Jude! Wysłała mi wiadomość w niedzielę, to chyba był 20 września? Pisała, że statek jest niesamowity!

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 9:02

JUDAH LEWIS

Tak, ja też dostałem od niej wtedy wiadomość. Ale na mojego maila już nie odpisała. Ani na esemesa w poniedziałek. I nie wrzucała nic ani tu, ani na Twitterze.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 9:03

JUDAH LEWIS

Czy ktoś coś wie? Pamela Crew? Jennifer West? Carl Fox? Emma Stanton? Przepraszam, jeśli taguję przypadkowych ludzi, ja po prostu... to jest trochę nie w jej stylu, szczerze mówiąc.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 10:44

PAMELA CREW

Jude, skarbie, wysłała mi e-maila w niedzielę. Powiedziała, że statek jest uroczy. Chcesz, żebym zapytała jej tatę?

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 11:13

JUDAH LEWIS

Tak, proszę, Pam. Nie chcę was martwić, ale mam wrażenie, że w normalnych okolicznościach już by się ze mną skontaktowała. Tymczasem utknąłem w Moskwie, więc nie wiem, czy może po prostu nie jest w stanie się do mnie dodzwonić.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 11:21

JUDAH LEWIS

Pam, czy podała ci nazwę tego statku? Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 11:33

PAMELA CREW

Cześć, Judah, przepraszam, rozmawiałam przez telefon z jej ojcem. On też nie miał od niej żadnych wieści. Statek najwyraźniej nazywa się Aurora. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz. Pa, skarbie.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 11:48

JUDAH LEWIS

Dzięki, Pam. Spróbuję się skontaktować z załogą statku. Ale jeśli ktokolwiek coś usłyszy, proszę, wyślijcie mi wiadomość.

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 11:49

JUDAH LEWIS

Ktoś coś wie?

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 15:47

JUDAH LEWIS

Proszę, ludzie, ktoś coś wie?

Lubię to! · Odpowiedz 24 września o 18:09

CZEŚĆ TRZECIA

Zareagowałam bez namysłu.

Rzuciłam się w stronę werandy, otworzyłam przesuwne drzwi, wypadłam na zewnątrz i przewiesiłam się przez balustradę, wypatrując śladów czegoś – albo kogoś – wśród kłębiących się fal. Ciemna powierzchnia wody była usiana plamkami jasnego rozproszonego światła, sączącego się z okien statku, przez co trudno było cokolwiek zauważyć, ale przez moment wydawało mi się, że zobaczyłam coś w czarnej toni. Falujący biały kształt, przypominający rękę kobiety, unosił się przez moment tuż pod powierzchnią, a potem zatonął.

Spojrzałam w bok, na sąsiednią werandę.

Balkony odgradzała ścianka działowa z matowego szkła, więc nie widziałam zbyt wiele, ale dotarły do mnie dwie rzeczy.

Rzuciła mi się w oczy ciemna oleista smuga na szklanej balustradzie. Smuga do złudzenia przypominająca rozmazaną krew.

Poza tym uświadomiłam sobie, że ktokolwiek stał po drugiej stronie – ktokolwiek wyrzucił to ciało za burtę – nie mógł nie zauważyć, że ma świadka. Zapewne usłyszał, jak z hukiem odsuwam drzwi i wypadam na swoją werandę. Prawdopodobnie widział moją twarz. Ta myśl sprawiła, że ścisnęło mnie w żołądku.

Rzuciłam się z powrotem do pokoju, zatraskując za sobą przesuwne drzwi, i sprawdziłam, czy zamek w drzwiach kabiny na pewno jest zamknięty na dwa razy. Dodatkowo założyłam na nie łańcuch. Serce waliło mi w piersi, ale paradoksalnie już dawno nie czułam się taka spokojna.

Nadszedł ten moment. Znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie i – radziłam sobie z tym.

Podniosłam słuchawkę aparatu stojącego przy łóżku – dłoń trzęsła mi się tylko odrobinę – i wybrałam zero, żeby połączyć się z operatorem.

– Halo? – rozległ się melodyjny głos. – W czym mogę pani pomóc, pani Blacklock?

W pierwszej chwili fakt, że kobieta wie, z kim rozmawia, tak mnie przestraszył, że kompletnie straciłam wątek. Ale po chwili dotarło do mnie, że pewnie wyświetlił się jej numer mojej kabiny. To zrozumiałe, że założyła, że rozmawia ze mną. Kto inny dzwoniłby z mojego pokoju w środku nocy?

– H-halo – wydusiłam w końcu. Pomimo drżenia mój głos brzmiał zaskakująco spokojnie. – Halo. Z kim rozmawiam?

– Tu Karla, pani Blacklock. Czy mogę pani jakoś pomóc? – Odpowiadała dziarsko, jednak słyszałam w jej głosie ślad niepokoju. – Czy dobrze się pani czuje?

– Nie, nie czuję się dobrze... – urwałam, gdy dotarło do mnie, jak absurdalnie to brzmiało.

– Pani Blacklock?

– Myślę... – Przełknęłam ślinę. – Myślę, że właśnie byłam świadkiem morderstwa.

– O mój Boże! – W głosie Karli usłyszałam szok. Powiedziała coś w języku, którego nie rozumiałam. Może po szwedzku albo po duńsku. Potem najwyraźniej odzyskała nad sobą kontrolę, bo przeszła z powrotem na angielski: – Czy jest pani bezpieczna, pani Blacklock?

Czy byłam bezpieczna? Popatrzyłam na drzwi kabiny. Byłam pewna, że nikt nie da rady się tu dostać.

– Tak, tak, chyba jestem. To się stało w sąsiedniej kabinie, w kabinie numer dziesięć.

Apartament Palmgren. Ja... myślę, że ktoś wyrzucił ciało przez burtę. – Gdy to mówiłam, głos mi się załamał. Nagle zachciało mi się śmiać... a może płakać. Nabrałam powietrza i ścisnęłam palcami grzbiet nosa, próbując się opanować.

– Zaraz kogoś do pani przyślę, pani Blacklock. Proszę się nie ruszać. Zadzwońię do pani i uprzedzę, kogo ma się pani spodziewać. Proszę poczekać, zaraz oddzwonię. – Rozległo się kliknięcie i kobieta się rozłączyła.

Delikatnie odłożyłam słuchawkę na widełki. Czułam się nierealnie – jakbym doświadczała wyjścia poza ciało. Głowa pękała mi z bólu i zdałam sobie sprawę, że muszę się ubrać, zanim ktoś przyjdzie.

Zdjęłam szlafrok z wieszaka na drzwiach łazienki – i zamarłam. Gdy wychodziłam na kolację, zostawiłam go na ziemi, razem z ubraniami, w których tu przyjechałam. Pamiętałam, że spojrzalam przez ramię na bałagan, jakiego narobiłam – ciuchy na podłodze, kosmetyki rozrzucone na blacie, chusteczki ze śladami szminki w zlewie – i pomyślałam, że zajmę się tym później.

Wszystko zostało uporządkowane. Szlafrok wrócił na wieszak, a moje brudne ubrania i bielizna zniknęły, zabrane Bóg jeden wie gdzie.

Kosmetyki poustawiano w schludnych rzędach, obok mojej szczoteczki i pasty do zębów. Tylko tampony i tabletki zostawiono dyskretnie wewnątrz kosmetyczki, co w jakiś sposób pogarszało fakt, że wszystko inne wyjęto na wierzch. Zadrżałam.

Ktoś był w moim pokoju. Oczywiście. Na litość boską, właśnie na tym polega obsługa pokojowa! Ale myśl o tym, że ktoś tu był, grzebał w moich rzeczach, dotykał moich porwanych rajstop i mojej na wpół zużytej kredki do oczu, sprawiła, że zachciało mi się płakać.

Siedziałam na łóżku, z twarzą skrytą w dłoniach, myśląc o zawartości minibarku, gdy zadzwonił telefon. Kilka sekund później rozległo się pukanie do drzwi.

Uniosłam słuchawkę.

– Halo?

– Halo, pani Blacklock? – To była Karla.

– Tak. Ktoś jest pod moimi drzwiami. Czy powinnam otworzyć?

– Tak, proszę otworzyć. To szef naszej ochrony, Johann Nilsson. Oddam teraz panią w jego ręce, pani Blacklock, ale proszę do mnie dzwonić, gdyby tylko potrzebowała pani czegoś jeszcze.

Dało się słyszeć kliknięcie i w słuchawce zapadła cisza, tymczasem pukanie do drzwi rozległo się ponownie. Zacisnęłam pasek szlafroka i poszłam otworzyć.

Na zewnątrz stał mężczyzna, którego wcześniej nie widziałam, ubrany w uniform. Nie wiem, czego się spodziewałam – munduru policjanta? Mężczyzna bardziej przypominał głównego stewarda. Miał około czterdziestki i był na tyle wysoki, że musiał się schylić, gdy przekraczał próg. Włosy miał rozczochrane, jakby przed chwilą wstał z łóżka, a jego oczy były tak zdumiewająco niebieskie, jakby nosił kolorowe soczewki. Zapatrzyłam się w nie i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mężczyzna wyciąga do mnie dłoń.

– Witam. Pani Blacklock, jak sądzę? – Jego angielski był bardzo dobry, niemal bez śladu skandynawskiego akcentu. Mógłby z powodzeniem uchodzić za Szkota czy Kanadyjczyka. – Nazywam się Johann Nilsson. Jestem szefem ochrony na Aurorze. Rozumiem, że zobaczyła pani coś, co panią zaniepokoiło.

– Tak – odparłam stanowczo, nagle boleśnie świadoma faktu, że jestem w szlafroku i mam maskarę rozmazaną na policzkach, podczas gdy on jest oficjalnie ubrany. Jeszcze mocniej zacisnęłam pasek szlafroka, tym razem nerwowo. – Tak. Zobaczyłam... usłyszałam... jak ktoś wyrzucił coś za burtę. Ja... myślę, że to było... to musiało być... ciało.

– Zobaczyła pani czy usłyszała? – Nilsson przechylił głowę na bok.

– Usłyszałam plusk. Bardzo głośny plusk. Ewidentnie za burtę wypadło coś bardzo dużego... albo zostało wypchnięte. A potem wybiegłam na werandę i zobaczyłam coś... wyglądało jak ciało znikające pod powierzchnią wody.

Na twarzy Nilssona malowała się powaga, wręcz powściągliwość. Coraz bardziej marszczył brwi, słuchając moich słów.

– I zobaczyłam krew na szklanej balustradzie werandy – dodałam.

Zacisnęła usta i skinęła głową w stronę drzwi werandy.

– Pani werandy?

– Nie. Sąsiedniej.

– Może mi pani pokazać?

Kiwnęłam głową i ponownie poprawiłam pasek. Patrzyłam, jak odsuwa drzwi.

Wiatr się wzmógł i na zewnątrz było bardzo zimno. Poszłam przodem. Weranda nagle wydała mi się bardzo mała, gdy stanął przy mnie zwalisty Nilsson. Zdawał się zajmować całą wolną przestrzeń, ale jego obecność dodawała mi otuchy. Raczej nie zmusiłabym się do tego, żeby wyjść na zewnątrz sama.

– Tam. – Wskazałam nad ścianką dzielącą moją werandę od sąsiedniej. – Proszę tam zajrzeć. Zobacz pan, o co mi chodzi.

Nilsson wychylił się przez balustradę, a potem znów spojrzał na mnie, lekko marszcząc brwi.

– Nie widzę, o co pani chodzi. Mogłaby mi pani pokazać?

– Jak to? Na szkle była wielka smuga.

Odsunął się i zapraszająco wyciągnął dłoń, a ja przepchnęłam się obok niego i też się wychyliłam. Serce zabiło mi szybciej. Oczywiście nie spodziewałam się, że morderca wciąż tam będzie i że dostanę pięścią w twarz albo kula przeleci mi koło ucha, ale czułam się kompletnie bezbronna, gdy tak zaglądałam za mlecznobiałą taflę, nie wiedząc, co zobaczę po drugiej stronie.

Ale... nic nie zobaczyłam.

Ani mordercy gotującego się do ataku, ani smugi krwi. Szklana balustrada lśniła w blasku księżyca, nieskazitelnie czysta, nietknięta choćby jednym odciskiem palca.

Odwróciłam się do Nilssona, wiedząc, że na mojej twarzy maluje się zaskoczenie. Potrząsnęłam głową, próbując znaleźć słowa. Obserwował mnie. W jego niebieskich oczach dostrzegłam cień współczucia. To zabolalo mnie bardziej niż cokolwiek innego.

– Tam była krew – powiedziałam ze złością. – Najwyraźniej ją starł.

– Kto?

– Morderca. Pieprzony morderca, oczywiście!

– Nie ma potrzeby przeklinać, pani Blacklock – oznajmił łagodnie Nilsson i wszedł z powrotem do kabiny.

Poszłam za nim. Ostrożnie zamknął za nami drzwi i stanął z rękami przy bokach, jakby czekał, aż coś powiem. Czułam zapach jego wody kolońskiej, całkiem przyjemny, odrobinę leśny. Przestronny apartament nagle wydał mi się nieznośnie ciasny.

– No co? – zapytałam, starając się, by w moich słowach nie brzmiała agresja, ale nie do końca mi się to udało. – Powiedziałam panu, co widziałam. Twierdzi pan, że kłamie?

– Zajrzyjmy do sąsiedniej kabiny – zaproponował dyplomatycznie.

Jeszcze ciaśniej zawiązałam pasek szlafroka, czując, jak wbija mi się w brzuch, i wyszłam boso na korytarz. Nilsson zapukał raz, krótko, do drzwi kabiny numer dziesięć, a ponieważ nie było odpowiedzi, wyciągnął z kieszeni uniwersalną kartę i otworzył je.

Staliśmy w progu. Nilsson milczał, ale czułam jego obecność za plecami, podczas gdy

sama rozglądałam się wokół z rozdziawionymi ustami.

Pokój był kompletnie pusty. Nie tylko nikogo w nim nie było, ale w ogóle nikt tu nie mieszkał. Nie było walizek. Nie było ubrań. Nie było kosmetyków w łazience. Nie było nawet pościeli na łóżku – tylko goły materac.

– Tutaj mieszkała dziewczyna – powiedziałam drżącym głosem. Wcisnęłam ręce w kieszenie szlafroka, żeby nie widział, jak zaciskam dłonie w pięści. – Tutaj mieszkała dziewczyna. W tym pokoju. Rozmawiałam z nią. Była tutaj!

Nilsson nie skomentował moich słów. Przeszedł przez zalany blaskiem księżycy cichy apartament, otworzył drzwi werandy, a potem wyrzwał na zewnątrz, przyglądając się szklanej balustradzie z niemal obraźliwą skrupulatnością. Ale już od progu widziałam, że niczego tam nie było. Szkło lśniło w księżycowym świetle, zroszone wodną mgiełką, ale poza tym czyste jak lza.

– Ona tu była! – powtórzyłam. Słyszałam, że w moim głosie pobrzmiwa histeria, i to jeszcze bardziej mnie zezłościło. – Dlaczego nie chce mi pan uwierzyć?

– Nie powiedziałem, że pani nie wierzę. – Nilsson wrócił do środka i zasunął drzwi werandy, a potem wyprowadził mnie na korytarz i zamknął za nami kabinę.

– Nie musi pan – burknęłam z goryczą, gdy przekraczaliśmy próg mojego pokoju. – Ale mówię panu, że ona tam była. Pożyczyła mi... Och! – zreflektowałam się i pobiegłam do łazienki. – Pożyczyła mi maskarę. Cholera, gdzie ona jest...?

Rozgarnęłam starannie ułożone kosmetyki, ale nie znalazłam tuszu. Gdzie on się podział?

– Na pewno gdzieś tu jest! – zawołałam z rozpaczą. – Wiem, że tu jest... – W amoku rozejrzałam się po łazience i nagle mój wzrok przykuł błysk jaskrawego różu za wysuwanym lusterkiem do golenia z boku umywalki. Z ulgą sięgnęłam po niewinną różową tubkę z zieloną nakrętką.

– Proszę! – Zaczęłam nią wymachiwać triumfalnie niczym bronią.

Nilsson zrobił krok do tyłu, a potem delikatnie wyjął przedmiot z mojej dłoni.

– Widzę – powiedział. – Ale... z całym szacunkiem, pani Blacklock, nie jestem pewien, czego to dowodzi, poza faktem, że pożyczyła pani od kogoś maskarę...

– Czego to dowodzi? To dowód na to, że ona naprawdę tam była! Że istniała!

– To dowód na to, że widziała pani dziewczynę, owszem, ale...

– Czego pan chce? – przerwałam mu z rozpaczą. – Czego jeszcze pan ode mnie chce? Opowiedziałam panu o wszystkim, co słyszałam... co widziałam. Powiedziałam panu, że w tamtej kabinie była dziewczyna, a teraz zniknęła. Proszę spojrzeć na listę pasażerów. Zaginął gość. Dlaczego pan się tym zupełnie nie przejmuje?

– Ta kabina jest pusta – wyjaśnił łagodnie.

– Wiem! – krzyknęłam, ale na widok jego miny się opanowałam. – Wiem. Właśnie to próbuję panu powiedzieć, na litość boską.

– Nie. – Łagodnie pokręcił głową. – Pani nie rozumie, pani Blacklock. Ta kabina od początku rejsu była pusta. Nie było w niej żadnego gościa. Nigdy nie było.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – wydusiłam w końcu. – Jak to nie było w niej żadnego gościa?

– Kabina jest pusta – powtórzył. – Była zarezerwowana dla inwestora nazwiskiem Ernst Solberg. Ale wycofał się w ostatniej chwili, z przyczyn osobistych, z tego, co mi wiadomo.

– Więc dziewczyna, którą widziałam... Nie powinno jej tam być?

– Może należała do załogi albo była sprzątaczką.

– Nie była. Właśnie się ubierała. Mieszkała w tej kabinie.

Nic nie powiedział. Nie musiał. Pytanie nasuwało się samo. Skoro tam mieszkała, to gdzie się podziały wszystkie jej rzeczy?

– Ktoś mógł zabrać jej bagaże – zasugerowałam. – Po tym, jak mnie zobaczył.

– Naprawdę? – zapytał cicho Nilsson. Nie próbował ze mnie drwić, po prostu nie rozumiał.

Usiadł na sofie; sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. Ja opadłam na łóżko i skryłam twarz w dłoniach.

Miał rację. Nie było mowy, żeby ktoś zdążył wysprzątać pokój. Nie byłam pewna, ile czasu upłynęło od mojego telefonu do Karli do pojawienia się Nilssona pod moimi drzwiami, ale na pewno nie więcej niż kilka minut. Pięć, góra siedem. Pewnie nawet mniej.

Ktokolwiek tam był, zdążyłby zetrzeć krew ze szkła, ale na tym koniec. Nie dałby rady opróżnić całej kabiny. No i co by zrobił z tymi wszystkimi rzeczami? Przecież usłyszałabym, gdyby wyrzucił je za burtę. A nie miałby czasu, żeby spakować wszystko i przenieść w jakieś inne miejsce.

– Cholera – wymamrotałam w końcu. – Cholera!

– Pani Blacklock... – zaczął Nilsson powoli. Miałam przeczucie, że nie spodoba mi się jego pytanie. – Pani Black-lock, ile pani wypła dziś wieczorem?

Podniosłam wzrok, pozwalając, by zobaczył mój rozmazany makijaż i wściekłość w opuchniętych oczach.

– Że co proszę?

– Po prostu zapytałem...

Nie było sensu zaprzeczać. Zbyt wiele osób widziało, jak piję szampana, potem wino, a w końcu szoty, żebym mogła się upierać, iż byłam trzeźwa.

– Owszem, piłam – przyznałam ze złością. – Ale jeśli myśli pan, że pół kieliszka wina zmienia mnie w rozhisteryzowaną idiotkę, która nie potrafi odróżnić rzeczywistości od fantazji, to jest pan w błędzie.

Nie skomentował tego, ale jego wzrok powędrował w stronę kosza stojącego obok minibarku. Piętrzyły się w nim buteleczki po whisky i dzinie oraz znacznie mniejsza sterta puszek po toniku.

Między nami zaległa cisza. Nilsson nic nie powiedział, ale też nie musiał. Cholerne sprzątaczkę...

– Może i piłam – wydusiłam przez zaciśnięte zęby. – Ale nie byłam pijana. Nie do tego stopnia. Wiem, co widziałam. Po co miałabym zmyślać coś takiego?

Wyglądało na to, że zaakceptował moje słowa, bo ze znużeniem pokiwał głową.

– Dobrze, pani Blacklock. – Potarł dłonią twarz. Nagle zauważyłam, że marynarkę

uniformu ma krzywo zapiętą, z osieroconą dziurką bez guzika na samym dole. – Jest późno, a pani jest zmęczona...

– To pan jest zmęczony – przerwałam mu z gniewem, ale on tylko pokiwał głową, bez cienia urazy.

– Owszem, jestem zmęczony. Myślę, że do rana i tak nic nie działyśmy.

– Jakaś kobieta została wyrzucona...

– Nie ma na to dowodów! – Po raz pierwszy usłyszałam w jego tonie irytację. – Przepraszam, pani Blacklock – dodał już ciszej. – Nie powinienem kwestionować pani słów. Ale obawiam się, że brakuje nam wystarczających dowodów, aby na tym etapie budzić innych pasażerów. Oboje powinniśmy się przespać... – Tak naprawdę chciał przez to powiedzieć, że powinnam wytrzeźwieć. – Spróbujemy rozwiązać tę zagadkę rano. Może jeśli przedstawię pani cały personel, uda się nam znaleźć dziewczynę, którą widziała pani w kabinie. Na pewno nie było jej na liście gości, to możemy ustalić, zgadza się?

– Nie brała udziału w kolacji – przyznałam. – Ale co, jeśli to był ktoś z personelu? Co, jeśli zaginął człowiek, a my zwlekamy z podniesieniem alarmu?

– Pójdę porozmawiać z kapitanem i z głównym stewardem. Przedstawię im sytuację. Jednak, o ile mi wiadomo, nikogo nie brakuje, a gdyby ktoś zniknął, pozostali członkowie załogi zauważyliby to. To bardzo mały statek, jesteśmy ze sobą zżyci. Trudno byłoby nie zorientować się, że kogoś nie ma, nawet przez kilka godzin.

– Po prostu myślę... – zaczęłam, ale przerwał mi, grzecznie, acz stanowczo:

– Pani Blacklock, nie obudzę śpiącej załogi i pasażerów, nie mając po temu dobrych powodów, przykro mi. Poinformuję o wszystkim kapitana i głównego stewarda, a oni podejmą takie działania, jakie uznają za stosowne. Tymczasem może mogłaby mi pani powiedzieć, jak wyglądała ta dziewczyna, którą pani widziała, a ja jeszcze raz spojrzę na listę pasażerów i zadbam o to, żeby jutro po śniadaniu mogła pani się spotkać ze wszystkimi pracownikami pasującymi do opisu.

– W porządku – mruknęłam niechętnie. Zostałam pokonana. Wiedziałam, co widziałam i słyszałam, ale było jasne, że Nilsson nie zamierza ustąpić. A sama niewiele mogłam w tej chwili zdziałać.

– A więc – zachęcił mnie – ile miała lat, ile wzrostu? Biała, Azjatka czy czarna...?

– Miała dwadzieścia kilka lat – zaczęłam. – Mniej więcej mojego wzrostu. Biała... właściwie to miała bardzo bladą skórę. Mówiła po angielsku...

– Z akcentem? – wtrącił Nilsson.

Pokręciłam głową.

– Nie, była Angielką. A jeśli nie, to musiała być dwujęzyczna. Miała długie ciemne włosy... nie pamiętam koloru oczu. Chyba brązowe. Nie jestem pewna. Szczupła... była po prostu... ładna. Tyle pamiętam.

– Ładna?

– Tak, ładna. Miała regularne rysy. Czystą cerę. Nosiła makijaż. Miała mocno umalowane oczy. Och, i była ubrana w koszulkę Pink Floyd!

Nilsson zanotował wszystko z powagą, a potem wstał. Sprężyny zaskrzypiały w proteście, a może z ulgą.

– Dziękuję, pani Blacklock. Myślę, że teraz oboje powinniśmy odrobinę się przespać. – Znowu potarł twarz. Wyglądał jak wielki blond niedźwiedź, siłą wybudzony z zimowego snu.

– O której powinnam pana jutro oczekiwać?

– A która godzina by pani pasowała? Dziesiąta? Dziesiąta trzydzieści?

– Wcześniej – zaproponowałam. – I tak teraz nie usnę. – Cała się trzęsłam i wiedziałam,

że za żadne skarby nie uda mi się zasnąć.

– Cóż, moja zmiana zaczyna się o ósmej. Czy to nie za wcześnie?

– Idealnie – odparłam stanowczo.

Wyszedł, tłumiąc ziewanie. Patrzyłam za nim, jak ociężałym krokiem oddala się korytarzem w kierunku schodów. Potem zamknęłam drzwi na dwa razy, założyłam łańcuch, położyłam się na łóżku i zapatrzyłam w morze. Fale były ciemne i śliskie w świetle księżyca, wznosiły się jak grzbiety wielorybów, potem znów osuwały się w morską toń, a statek unosił się na nich i opadał.

Wiedziałam, że nie zasnę. Krew szumiała mi w uszach, a serce wybijało w mojej piersi rozwścieczone staccato. Byłam wściekła, ale nie do końca wiedziałam dlaczego. Czy dlatego, że ciało zaginionej kobiety zapewne właśnie nie pogrążyło się w czarnej otchłani Morza Północnego i prawdopodobnie nigdy nie zostanie odnalezione? A może moja wściekłość wynikała z faktu, że Nilsson ewidentnie mi nie wierzył?

Może on ma rację, wyszeptał cichy złośliwy głosik w mojej głowie. Przed oczami stawały mi rozmaite obrazy: ja – kuląca się pod prysznicem z powodu przypadkowo zatrzaśniętych drzwi, ja – atakująca Judah w obronie przed nieistniejącym intruzem. Jesteś całkowicie pewna tego, co widziałaś? Ostatecznie trudno cię nazwać wiarygodnym świadkiem. A tak w ogóle to co ty właściwie widziałaś?

Widziałam krew, powiedziałam sobie stanowczo. A dziewczyna z sąsiedniej kabiny zniknęła. Niech ktoś mi to wyjaśni.

Zgasiałam światło i naciągnęłam na siebie kołdrę. Leżałam na boku, obserwując powierzchnię morza, unoszącą się i opadającą w dziwnej hipnotycznej ciszy, za odpornymi na sztorm grubymi szybami. Pomyślałam, że na tym statku jest morderca. I nie wierzy w to nikt poza mną.

Pani Blacklock! – natarczywe pukanie rozległo się ponownie. Usłyszałam huk, gdy drzwi, otworzone uniwersalną kartą, zatrzymały się na łańcuchu, napinając solidne ogniwa.

– Pani Blacklock, tu Johann Nilsson. Czy wszystko w porządku? Jest ósma. Prosiła pani, żebym po panią przyszedł.

Co takiego? Z trudem podniosłam się na łokciach, serce waliło mi w piersi. Dlaczego, u licha, poprosiłam, żeby obudzono mnie o ósmej?

– Chwileczkę – zawołałam z trudem. W ustach czułam suchość, jakby wypełniał je popiół.

Sięgnęłam po szklanę z wodą stojącą przy łóżku i wypiałam kilka łyków. Nagle wróciło wspomnienie ostatnich wydarzeń.

Hałas, który obudził mnie w środku nocy.

Krew na szklanej balustradzie werandy.

Ciało.

Plusk...

Spuściłam nogi na ziemię. Pokład zakołysał mi się pod stopami. Poczułam gwałtowny przypływ mdłości.

Pobiegłam do łazienki i w ostatniej chwili zdążyłam klęknąć przed muszlą klozetową. Fala wymiocin zalała czystą białą porcelanę, opróżniając mój żołądek z resztek wczorajszej kolacji.

– Pani Blacklock?

Odejdź, pomyślałam.

Charakterystyczny odgłos torsji chyba w końcu go zniechęcił, bo drzwi zamknęły się z dyskretnym trzaskiem.

Wstałam i przejrzałam się w lustrze. Wyglądałam strasznie. Miałam przekrwione oczy, resztki makijażu rozmazane na policzkach i wymiociny we włosach. Siniec na twarzy pogarszał sytuację.

Morze tego ranka było bardzo wzburzone i moje kosmetyki turlały się po blacie w tę i z powrotem. Owinęłam się szlafrokiem, wróciłam do salonu i uchyliłam drzwi wejściowe.

– Muszę wziąć prysznic. Czy mógłby pan chwilę poczekać? – poprosiłam tylko.

Po powrocie do łazienki spuściłam wodę w toalecie i kucnęłam, żeby przetrzeć papierem brzeg muszli. Mój wzrok przykuła tubka maskary Maybelline leżąca przy zlewie. Gdy wstawałam, zaciskając palce na blacie, statkiem znów gwałtownie zakołysało – tubka przewróciła się z cichym trzaskiem i sturlała do kosza na śmieci. Wyciągnęłam ją i ścisnęłam w dłoni.

To był jedyny dowód na to, że ta dziewczyna istniała, że nie oszalałam.

Dziesięć minut później byłam ubrana w dzinsy i białą bluzkę, wyprasowaną przez kogoś, kto rozpakował moją walizkę. Twarz miałam bladą, ale czystą. Zdjęłam łańcuch i otworzyłam drzwi. Nilsson czekał cierpliwie w korytarzu, rozmawiając przez krótkofalówkę. Gdy zobaczył, że wychodzę, wyłączył ją.

– Najmocniej przepraszam, pani Blacklock – zaczął. – Może nie powinienem był pani budzić, ale zeszłej nocy tak pani nalegała...

– W porządku – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak oschle, ale bałam się, że jeśli szerzej otworzę usta, znów zwymiotuję. Dzięki Bogu, że

mogłam się usprawiedliwić chorobą morską. Nie było to może do końca eleganckie, ale lepsze, niż gdybym została uznana za alkoholyczkę.

– Rozmawiałem z personelem – oznajmił Nilsson. – Nikt nie zgłosił zaginięcia, ale proponuję, żeby zesłała pani do kwater personelu i sama sprawdziła, czy znajdzie tam pani kobietę, z którą pani rozmawiała. Może to panią uspokoi.

Już chciałam zaprotestować, że moja sąsiadka nie należała do personelu, chyba że zatrudnione tu dziewczyny sprzątają pokoje ubrane w koszulki Pink Floyd, ale ugryzłam się w język. Chciałam na własne oczy zobaczyć dolny pokład.

Ruszyłam za nim korytarzem do niewielkich drzwi tuż przy schodach. Były wyposażone w zamek z klawiaturą, na której Nilsson szybko wystukał sześciocyfrowy kod. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że mieści się za nimi schowek na miotły, tymczasem ujrzałam słabo oświetlony podest i wąskie stopnie prowadzące na dół. Kiedy zaczęliśmy po nich schodzić, z niepokojem zdałam sobie sprawę, że musimy się znajdować już poniżej linii wody.

W końcu dotarliśmy do ciasnego korytarzyka. Najwyraźniej obowiązywały tu zupełnie inne standardy niż w części pasażerskiej. Sufit był niższy, powietrze o kilka stopni cieplejsze, a ściany pomalowane na odcień spłowiałego beżu. Fluorescencyjne lampy migotały męcząco i niemal natychmiast zaczęły mnie boleć oczy.

Kajuty ciągnęły się po obu stronach korytarza. Osiem albo i dziesięć pokoików, zaprojektowanych na tej samej powierzchni, którą na górze zajmowały zaledwie dwa apartamenty. Drzwi do jednego z nich były otwarte na oścież. Zobaczyłam klitkę bez okien, oświetloną taką samą fluorescencyjną lampą co korytarz. Na dolnej pryczy piętrowego łóżka jakaś Azjatka właśnie wkładała rajstopy. Słyszając nasze kroki, nerwowo podniosła wzrok. Na mój widok zamarła niczym królik sparaliżowany przez światła reflektorów. Przez moment siedziała w bezruchu, a potem szybko wyciągnęła nogę i popchnęła stopą drzwi, żeby je zamknąć. Trzaśnięcie zabrzmiało jak wystrzał.

Zaczerwieniłam się jak podglądaczka przyłapaną na gorącym uczynku i pospieszyłam za oddalającym się Nilssonem.

– Tędy – rzucił przez ramię.

Dotarliśmy do drzwi z tabliczką: „Mesa pracownicza”.

Na szczęście to pomieszczenie było większe i narastające we mnie poczucie klaustrofobii ustąpiło. Wprawdzie brakowało tu okien, a sufit zawieszono tak nisko jak w korytarzu, ale przypominająca szpitalną stołówkę jadalnia była dość przestronna. Stały tu trzy stoły – przy każdym mogło zasiąść z pół tuzina ludzi. Pokryte laminatem powierzchnie, stalowe elementy i wszechobecny zapach nijakiego jedzenia tylko podkreślały różnicę między tym światem a jadalnią na górnym pokładzie.

Camilla Lidman siedziała samotnie przy jednym ze stołów, popijając kawę i przeglądając jakiś arkusz kalkulacyjny na laptopie. Przy drugim stole pięć dziewcząt raczyło się słodkim pieczywem. Gdy weszliśmy, podniosły na nas wzrok.

– Hej, Johann – zawołała jedna z nich, a potem dodała coś po szwedzku, a może po duńsku, nie byłam pewna.

– Rozmawiamy po angielsku – poprosił Nilsson. – Mamy wśród nas gościa. Pani Blacklock próbuje odnaleźć kobietę, którą widziała wczoraj w sąsiedniej kabinie. W kabinie numer dziesięć. Była to dwudziestokilkuletnia dziewczyna, płynnie władająca językiem angielskim. Biała, o długich ciemnych włosach.

– Cóż, ja i Birgitta pasujemy do opisu – rzuciła jedna z dziewcząt, z uśmiechem wskazując na przyjaciółkę siedzącą naprzeciwko. – Ja nazywam się Hanni. Ale nie wydaje mi się, żebym była wczoraj w apartamencie Palmgren. Pracuję głównie przy barze. Birgitta?

Ale ja już kręciłam głową. Owszem, Hanni i Birgitta miały bladą skórę i ciemne włosy, jednak żadna z nich nie była dziewczyną z kabiny numer dziesięć. A chociaż angielski Hanni był znakomity, miała zauważalny skandynawski akcent.

– Ja jestem Karla – odezwała się jedna z dwóch blondynek. – Poznałyśmy się wczoraj, jeśli pani sobie przypomina. I rozmawialiśmy przez telefon zeszłej nocy.

– Tak, oczywiście – odparłam z roztargnieniem, przyglądając się twarzom dwóch pozostałych dziewcząt. Jedna była blondynką, druga miała śródziemnomorską urodę i krótkie włosy, obcięte w stylu pixie.

– To nie była żadna z was – stwierdziłam. – Czy jest jeszcze ktoś, kto pasowałby do tego opisu? Może wśród sprzątaczek? Albo załogi statku?

Birgitta zmarszczyła brwi i powiedziała coś do Hanni po szwedzku. Hanni pokręciła głową i odezwała się po angielsku:

– Załoga składa się głównie z mężczyzn. Jest wśród nich jedna kobieta, ale jest ruda, około czterdziestki albo pięćdziesiątki, tak myślę. Natomiast Iwona, jedna z naszych sprzątaczek, pasowałaby do pani opisu. Jest Polką.

– Pójdę po nią – zaoferowała Karla z uśmiechem, po czym wstała od stołu.

– Jest jeszcze Eva – powiedział z namysłem Nilsson, gdy Karla nas opuściła. – To jedna z pracownic spa – wyjaśnił.

– Chyba jest już na górze – wtrąciła Hanni. – Ale ona ma pod czterdziestkę. Może nawet czterdzieści kilka lat.

– W każdym razie z nią też porozmawiamy – obiecał mi Nilsson.

– Nie zapominaj o Ulli – odezwała się w końcu dziewczyna z krótkimi włosami.

– Ach tak. – Nilsson pokiwał głową. – Czy ona teraz pracuje? Ulla to jedna ze stewardes obsługujących kabiny na dziobie, w tym apartament Nobla – dodał gwoli wyjaśnienia, patrząc na mnie.

Dziewczyna przytaknęła.

– Tak, ale myślę, że wkrótce kończy zmianę.

– Pani Blacklock – rozległ się głos za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Karla przyprowadziła niską, przysadzistą kobietę po czterdziestce, z farbowanymi czarnymi włosami, między którymi prześwitywały pasma siwizny. – To jest Iwona.

– Mogę ja pomóc? – zapytała Iwona z ciężkim polskim akcentem. – Jest problem?

Pokręciłam głową.

– Tak mi przykro... – Nie byłam pewna, czy mam przeproszać Iwonę, Nilssona czy Karłę. – Ona jest... Pani nie jest kobietą, której szukam. Ale chciałabym podkreślić, że ta kobieta bez wątpienia ma kłopoty. Nie chodzi o to, że coś przeskrobała. Nic nie ukradła... nic z tych rzeczy. Po prostu martwię się o nią. Słyszałam krzyk.

– Krzyk? – Wąskie brwi Hanni niemal zniknęły pod grzywką. Wymieniła spojrzenia z Karłą, która otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale właśnie w tej chwili zabrała głos Camilla Lidman:

– Jestem pewna, że nie znajdzie pani wśród personelu kobiety, której pani szuka, pani Blacklock. – Przeszła przez pomieszczenie, stanęła przy stole dziewcząt i położyła dłoń na ramieniu Hanni. – Gdyby coś kogoś zaniepokoiło, z pewnością zostalibyśmy o tym poinformowani. Jesteśmy bardzo... jak to się mówi? Bardzo ciasną ekipą.

– Bardzo zżyta – poprawiła ją Karla. Jej spojrzenie pomknęło ku Camilli Lidman, a potem znów przeniosła wzrok na mnie i uśmiechnęła się, chociaż wyskubane brwi nadawały jej twarzy dziwnie zaniepokojony wyraz. – Jesteśmy bardzo szczęśliwą załogą.

– Mniejsza z tym. – Zrozumiałam, że nie wyciągnę nic więcej z tych dziewczyn.

Popełniłam błąd, wspominając o krzyku. Teraz zwarły szeregi. Może rozmawianie z nimi w obecności Camilli i Nilssona było błędem. – Nie przejmujcie się. Pójdę teraz porozmawiać z... Evą, zgadza się? I z Ullą. Dziękuję, że poświęciłyście mi czas. Ale jeśli czegoś się dowiecie, czegokolwiek... możecie mnie znaleźć w kabinie numer dziewięć, apartament Linneusza. Proszę, nie krępujcie się, niezależnie od pory.

– Nic nie słyszałyśmy – oznajmiła stanowczo Hanni. – Ale oczywiście damy pani znać, jeśli czegoś się dowiemy. Życzymy pani wspaniałego dnia, pani Blacklock.

– Dziękuję – pożegnałam się.

Gdy opuszczałam stołówkę, pokład nagle się przechylił. Dziewczyny zaczęły piszczeć i chichotać, łapiąc za swoje kubki z kawą. Ja sama zatoczyłam się i byłabym upadła, gdyby Nilsson nie złapał mnie za ramię.

– Wszystko w porządku, pani Blacklock?

Pokiwałam głową, choć ramię zabolalo. Gwałtowność ruchu sprawiła, że ból przeszył mi czaszkę. Pożałowałam, że przed opuszczeniem kabiny nie wzięłam aspiryny.

– Podoba mi się to, że Aurora jest małym statkiem i nie przypomina potworów pływających po Morzu Karaibskim – przyznał Nilsson. – Ale niestety oznacza to również, że uderzenia fal są bardziej odczuwalne niż na większych jednostkach. Czy jest pani pewna, że nic się pani nie stało?

– Nic mi nie jest – zapewniłam, rozcierając ramię. – Chodźmy porozmawiać z Evą.

– Najpierw może odrobinę zboczmy z trasy i zahaczmy o kuchnię – zaproponował Nilsson. – Potem możemy pójść na górę, do spa, żeby porozmawiać z Evą. Zakończymy w pokoju śniadaniowym. – Trzymał w dłoni listę personelu i po kolei skreślał nazwiska.

– W porządku – zgodziłam się. Prawdę mówiąc, chciałam jak najszybciej opuścić duszny, słabo oświetlony korytarz. Czulałam się osaczona, uwięziona poniżej linii wody. Z przerażeniem wyobraziłam sobie, jak statek w coś uderza, woda wlewa się do ciasnych pomieszczeń, moje usta z trudem łapią powietrze...

Ale nie mogłam teraz się poddać. Gdybym to zrobiła, musiałabym się przyznać do porażki. To tylko utwierdziłoby Nilssona w przekonaniu, że ma rację. Podążyłam więc za nim na dziób statku, czując, jak podłoga kołysze się pod mną. Zapach kuchni stawał się coraz bardziej intensywny. Czulałam woń bekonu i gorącego tłuszczu oraz charakterystyczny maślany zapach pieczonych croissantów, ale też gotowaną rybę, sos pieczeniowy i coś słodkiego. To połączenie sprawiło, że mdłości wróciły. Zaciśnęłam zęby i mocniej chwyciłam się poręczy. Statek podskoczył na kolejnej fali, a mój żołądek fiknął koziołka.

Właśnie się zastanawiałam, czy nie poprosić Nilssona, żebyśmy jednak zawrócili, gdy zatrzymał się przed stalowymi drzwiami, w których widniały dwa okrągłe okienka, i wszedł do środka. Głowy w białych czapkach skierowały się w naszą stronę. Twarze pracowników, na widok mojej osoby, wyrażały uprzejme zaskoczenie.

– *Hej, alla!* – zawołał Nilsson, dodał coś po szwedzku, a potem zwrócił się do mnie: – Przepraszam, cały personel pokładowy mówi po angielsku, ale nie wszyscy pracownicy kuchni znają ten język. Po prostu wyjaśniam, dlaczego tu jesteśmy.

Ludzie uśmiechali się i kiwali głowami, a jeden z kucharzy podszedł i wyciągnął do mnie dłoń w powitaniu.

– Witam, pani Blacklock – powiedział znakomitym angielskim. – Nazywam się Otto Jansson. Moi pracownicy z przyjemnością pani pomogą, choć niestety nie wszyscy mówią dobrze po angielsku. Mogę służyć za tłumacza. Czego chciałaby się pani dowiedzieć?

Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Z trudem przełykałam ślinę, wlepiając wzrok w jego wyciągniętą dłoń, w białej lateksowej rękawiczce. Krew szumiała mi w uszach.

Spojrzałam w jego przyjazne niebieskie oczy, a potem przeniosłam wzrok z powrotem na rękawiczkę, na ciemne włoski, rozpląszczone pod gumą, i pomyślałam sobie: Nie wolno ci zacząć krzyżeć. Nie wolno ci zacząć krzyżeć.

Jansson podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, jakby chciał zrozumieć, na co tak się gapię, a potem roześmiał się i ściągnął rękawiczkę.

– Najmocniej przepraszam, wciąż zapominam, że je noszę. Przygotowujemy w nich jedzenie.

Wrzucił zwiotczałą rękawiczkę do kosza, po czym energicznie uściśnął moją bezwładną, niestawiającą oporu dłoń. Miał ciepłe palce – odrobinę przyprószone talkiem pochodzącym z wnętrza rękawiczki.

– Szukam pewnej dziewczyny – wyjaśniłam. Wiedziałam, że zachowuję się obcesowo, ale byłam za bardzo roztrzęsiona, żeby pamiętać o uprzejmości. – Ciemnowłosej, mniej więcej w moim wieku albo trochę młodszej. Ładnej, o bladej skórze. Nie miała akcentu. Była albo Angielką, albo osobą dwujęzyczną.

– Niestety. – Jansson wyglądał, jakby faktycznie było mu przykro. – Nie sądzę, by którakolwiek z moich pracownic pasowała do tego opisu, ale proszę się rozejrzeć. Mamy w zespole tylko dwie kobiety, żadna z nich nie mówi dobrze po angielsku. Jameela pracuje przy wydawaniu dań, a Ingrid na sałatkach, za stanowiskiem grillowym, o tam. Może chodzi pani o którąś ze stewardes albo kelnerek?

Wyciągnęłam szyję, żeby przyjrzeć się kobietom, które wskazał, i przekonałam się, że miał rację. Żadna z nich nawet w przybliżeniu nie przypominała tajemniczej dziewczyny. Jameela, chociaż głowę miała pochyloną i stała zgarbiona tyłem do mnie, bez wątpienia była Azjatką, którą zobaczyłam w kajucie, gdy zeszliśmy na dół. Chyba pochodziła z Pakistanu albo z Bangladeszu i była bardzo drobnej budowy, miała może z metr pięćdziesiąt wzrostu. Ingrid z kolei była Skandynawką i ważyła co najmniej osiemdziesiąt kilo, poza tym była ode mnie wyższa o dobre piętnaście centymetrów. Gdy zobaczyła, że na nią patrzę, odwróciła się przodem do mnie i wsparła ręce na biodrach w agresywnym geście, choć wiedziałam, że nie ma na myśli nic złego. To jej zwalista sylwetka sprawiła, że gest wydawał się groźny.

– No trudno – westchnęłam. – Przepraszam, że panu przeszkodziłam.

– *Tack*, Otto – powiedział Nilsson, a potem zażartował po szwedzku.

Otto zaśmiał się, poklepał Nilssona po plecach i dodał coś od siebie, a Nilsson zarechotał, aż brzuch mu się zatrząsł. Pożegnał resztę ekipy gestem dłoni.

– *Hej då!* – zawołał, po czym wyprowadził mnie na korytarz.

– Przepraszam za to – rzucił przez ramię, zmierzając w stronę schodów. – Na pokładzie oficjalnie obowiązuje angielski i przestrzegamy zasady, by przy gościach rozmawiać wyłącznie w tym języku, ale pomyślałem, że w takich okolicznościach... – urwał, a ja pokiwałam głową.

– Naturalnie. Lepiej, żeby pracownicy czuli się swobodnie i dobrze rozumieli, o co się ich pyta.

Gdy mijaliśmy kabiny personelu, raz jeszcze zaszokowała mnie ich obskurność i ciasnota. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak można spędzać całe tygodnie, a nawet miesiące w tych klitkach bez okien.

Nilsson chyba wyczuł, o czym myślę.

– Są trochę małe, prawda? – odezwał się. – Ale poza załogą obsługującą maszynię na pokładzie przebywa zaledwie tuzin pracowników, więc nie potrzebujemy dużo miejsca. I mogę panią zapewnić, że warunki są tu o wiele lepsze niż na statkach konkurencji.

Nie powiedziałam mu, że wymiary kajut mnie szokują, ale przede wszystkim w kontraście z widnymi, przestronnymi pokojami na górze. Szczerze mówiąc, kwatery personelu

Aurory nie były o wiele gorsze od kajut, które można było zobaczyć na promach pływających do Francji. Ale tu stanowiły one żywy przykład przepaści między bogatymi a biednymi.

– Czy wszystkie kajuty są dzielone? – zapytałam, gdy mijaliśmy zaciemnioną klitkę, w której jedna osoba ubierała się przy uchylonych drzwiach, a druga chrapała na swojej pryczy.

Nilsson pokręcił głową.

– Młodszy personel mieszka w dwuosobowych kabinach. Sprzątaczkę, niżsi rangą stewardzi, stewardesy i tak dalej. Ale wszyscy członkowie starszego personelu mają własne kwatery.

Dotarliśmy do schodów. Powoli zaczęłam wchodzić na górę za Nilssonem, przytrzymując się poręczy. Mężczyzna otworzył drzwi dzielące część gościnną statku od pracowniczej, po czym zamknął je za nami.

– Przykro mi, że nic z tego nie wyszło – powiedział. – Miałem nadzieję, że znajdzie pani wśród pracownic kobietę, którą pani widziała, i to panią uspokoi.

– Proszę posłuchać... – Potarłam twarz, czując szorstkość gojącej się rany i narastający ciśnieniowy ból głowy. – Nie jestem pewna...

– Porozmawiajmy z Evą – przerwał mi Nilsson stanowczo, po czym odwrócił się i poprowadził mnie korytarzem ku kolejnym schodom.

Statek zdawał się brnąć z trudem przez wzburzone morze. Przełknęłam ślinę, zbierającą mi się w ustach, i poczułam, jak zimny pot spływa mi po plecach. Przez chwilę rozważałam, czy nie zrezygnować i nie wrócić do swojej kabiny. Nie chodziło tylko o ból głowy. Wciąż jeszcze nie dokończyłam lektury materiałów prasowych i nawet nie zaczęłam pisać artykułu, którego Rowan będzie oczekiwać po moim powrocie. Dręczyła mnie świadomość, że Ben, Tina, Alexander pewnie już robią notatki, wysyłają pierwsze fragmenty artykułów, wyszukują informacje na temat Bullmera w internecie i dobierają zdjęcia.

Ale wzięłam się w garść. Jeśli chciałam, żeby Nilsson traktował mnie poważnie, musiałam doprowadzić sprawę do końca. I choć bardzo pragnęłam piąć się po drabinie kariery w „Velocity”, niektóre rzeczy po prostu były ważniejsze.

Znaleźliśmy Evę w recepcji spa – pięknym, niemal całkowicie przeszklonym pomieszczeniu ulokowanym na górnym pokładzie. W porównaniu z półmrokiem panującym w beżowym labiryncie dolnych kwater było tu tak jasno, że blask wpadający przez szyby niemal mnie oślepił. Gdy otworzyliśmy drzwi, długie zasłony zatańczyły na wietrze.

Znad blatu spojrzęła na nas uderzająco piękna ciemnowłosa kobieta po czterdziestce, z wielkimi złotymi kółkami w uszach.

– Johann! – ucieszyła się na jego widok. – Co mogę dla ciebie zrobić? A to musi być...?

– Lo Blacklock – przedstawiłam się, wyciągając do niej dłoń. Tutaj, na górze, od razu zrobiło mi się lepiej, a mdłości zaczęły ustępować dzięki morskiej bryzie.

– Dzień dobry, pani Blacklock. – Uśmiechnęła się, ścis-kając moją rękę silnymi kościstymi palcami. Jej angielski był zdumiewająco dobry, ale to nie była dziewczyna z kabiny numer dziesięć. – Co mogę dla pani zrobić?

– Przepraszam. Szukałam kogoś i stewardesy zasugerowały, że może chodzić o panią, ale niestety nie.

– Pani Blacklock widziała zeszłej nocy kobietę – wtrącił Nilsson. – W sąsiedniej kabinie. Miała dwadzieścia kilka lat, długie ciemne włosy i bladą skórę. Pani Blacklock usłyszała hałasy, które ją zaniepokoiły, i próbujemy ustalić, czy ta osoba należała do personelu.

– Obawiam się, że to nie byłam ja – powiedziała Eva życzliwie. W jej głosie nie było ani śladu rezerwy, którą demonstrowała Camilla Lidman. Kobieta zaśmiała się cicho. – Jeśli mam być szczerą, wiele lat upłynęło, od kiedy byłam dwudziestolatką. Czy rozmawiała pani ze

stewardesami? Hanni i Birgitta mają ciemne włosy i są mniej więcej w tym wieku. Tak samo Ulla.

– Tak, rozmawialiśmy z nimi – powiedział Nilsson. – I zaraz poszukamy Ulli.

– Ona nie wpakowała się w żadne kłopoty – zapewniłam. – To znaczy... ta kobieta. Po prostu się o nią martwię. Jeśli podejrzewa pani, kto mógłby to być...

– Przykro mi, że nie jestem w stanie pomóc – Eva zwróciła się bezpośrednio do mnie. Zauważyłam małą zmarszczkę między jej idealnie wyregulowanymi brwiami. Była autentycznie zaniepokojona tą historią. – Naprawdę mi przykro. Jeśli usłyszę cokolwiek...

– Dziękuję – powiedziałam.

– Dzięki, Eva – dodał Nilsson i odwrócił się, żeby odejść.

– Proszę bardzo. – Eva wyszła zza blatu recepcji, żeby odprowadzić nas do drzwi. – Już się cieszę na nasze następne spotkanie, pani Blacklock.

– Następne spotkanie?

– O jedenastej. Ma pani zarezerwowaną wizytę w spa, wraz z pozostałymi paniami... Nie znalazła pani tej informacji w harmonogramie?

– Tak, oczywiście. Dziękuję za przypomnienie – powiedziałam. – A zatem do zobaczenia.

Z poczuciem winy pomyślałam o teczce prasowej, której zawartości nie przeczytałam, i zastanowiłam się, o czym jeszcze nie wiem.

Ze spa wyszliśmy bezpośrednio na pokład. Silny wiatr wyrwał mi z ręki klamkę, a skrzydło drzwi zatrzymało się dopiero na gumowym stoperze, najwyraźniej zamontowanym tam nie bez powodu. Nils-son zamknął je za nami. Podeszłam do relingu, drżąc w podmuchach wiatru.

– Jest pani zimno? – zapytał Nilsson, przekrzykując szum wiatru i ryk silników.

Pokręciłam głową.

– Nie... To znaczy tak, ale potrzebuję świeżego powietrza.

– Wciąż ma pani nudności?

– Tutaj nie. Ale boli mnie głowa.

Zacisnęłam palce na zimnym żelazie relingu i wychyliłam się, spoglądając na przeszklone werandy kabin na rufie, na spieniony kilwater i na przestwór morza – niewyobrażalnie głębokiego i zimnego. Pomyślałam o sążniach wirującej toni pod nami, o tym, jaka musi tam panować cisza, o tym, że można opadać całymi dniami, zanim w końcu spocznie się na dnie, pograżonym w całkowitych ciemnościach.

Pomyślałam o dziewczynie, którą wczoraj poznałam. Pomyślałam o tym, jak łatwo ktoś – Nilsson, Eva, ktokolwiek – mógłby po prostu podejść, stanąć za mną i delikatnie mnie popchnąć...

Zadrzałam.

Co tu się naprawdę wydarzyło? Przecież sobie tego nie wymyśliłam. Mogło mi się wydawać, że słyszałam krzyk i plusk. Ale krew widziałam na własne oczy, tego byłam pewna.

Nabrałam w płuca czystego, morskiego powietrza, po czym odwróciłam się i uśmiechnęłam z determinacją do Nilssona. Potrząsnęłam głową, żeby zapanować nad włosami, które wiatr zawiewał mi na twarz.

– A więc gdzie się teraz znajdujemy?

– Na wodach międzynarodowych – wyjaśnił Nilsson. – W drodze do Trond-heim, o ile mi wiadomo.

– Trondheim? – Próbowałam przywołać w myślach rozmowy towarzyszące wczorajszej kolacji. – Wydawało mi się, że lord Bullmer wspominał, że najpierw udamy się do Bergen.

– Może nastąpiła zmiana planów. Wiem, że lord Bull-mer ma nadzieję pokazać państwu

zorzę polarną. Może okazało się, że na dziś wieczór zapowiadają szczególnie dobre warunki do obserwacji, więc postanowił pospieszyć na północ. O zmianie kursu mógł też zdecydować kapitan. Może ze względu na pogodę lepiej jest popłynąć tą trasą. Zresztą nie mamy sztywnego planu podróży. Jesteśmy w stanie dostosować się do kaprysów naszych pasażerów. Możliwe, że ktoś z gości nie doczeka się wizyty w Trondheim i wspomniał o tym przy kolacji.

– A co można zobaczyć w Trondheim?

– W samym Trondheim? Cóż, jest tam słynna katedra i niektóre dzielnice miasta są bardzo atrakcyjne turystycznie. Ale przede wszystkim zachwycają fiordy. No i Trondheim jest oczywiście położone znacznie dalej na północ niż Bergen, co zwiększa szanse na zobaczenie zorzy. Ale możliwe, że będziemy musieli popłynąć jeszcze dalej na północ, do Bodø albo nawet do Tromsø. O tej porze roku nie ma gwarancji.

– Rozumiem. – Z jakiegoś powodu jego słowa mnie zaniepokoiły. Udział w zorganizowanej wycieczce to jedno, ale świadomość, że jest się bezsilnym pasażerem, podczas gdy ktoś inny siedzi za sterami, to zupełnie co innego.

– Pani Blacklock...

– Proszę mi mówić Lo – przerwałam. – Nalegam.

– A zatem Lo – poprawił się Nilsson ze zboląłą miną. – Nie chcę, żebyś pomyślała, że ci nie wierzę, Lo, ale czy w świetle dnia...

– Czy wciąż jestem pewna?

Pokiwał głową.

Westchnęłam smutno, myśląc o wątpliwościach, jakie mnie dręczyły. Niewypowiedzianemu pytaniu Nilssona wtórował paskudny dokuczliwy głos w mojej głowie. Zanim przemówiłam, skręciłam w palcach materiał bluzki.

– Prawda jest taka, że nie wiem. Było późno i faktycznie... piłam. Mogłam się pomylić co do krzyku i plusku. Nawet ta krew... to chyba mogło być złudzenie optyczne, choć jestem całkiem pewna, że ją widziałam. Ale dziewczyna w sąsiedniej kabinie... nie ma mowy, żebym ją sobie wymyśliła. Ja ją widziałam. Rozmawiałam z nią. Jeśli nie ma jej na pokładzie, to gdzie się podziała?

Milczeliśmy długo.

– Cóż, jeszcze nie rozmawialiśmy z Ullą – powiedział w końcu Nilsson. – Wątpię, czy to o nią chodzi, ale powinniśmy ją przynajmniej wykluczyć. – Wyciągnął krótkofalówkę i zaczął przyciskać guziki. – Nie wiem jak ty, ale ja chętnie napiłbym się kawy. Może poprosimy, żeby spotkała się z nami w pokoju śniadaniowym?

Pokój śniadaniowy znajdował się w tym samym pomieszczeniu, w którym jedliśmy kolację minionego wieczoru. Teraz jednak dwa duże stoły rozsunięto, zyskując sześć mniejszych. Nie było tu nikogo poza młodym kelnerem z włosami koloru kukurydzy, zaczesanymi z przedziałkiem z boku. Wszedł nam na spotkanie, gdy wkroczyliśmy do środka.

– Pani Blacklock? – powitał mnie z uśmiechem. – Czy zje pani śniadanie?

– Tak, chętnie – powiedziałam z roztargnieniem, rozglądając się wokół. – Gdzie powinienam usiąść?

– Gdzie pani sobie życzy. – Wskazał dłonią na puste stoliki. – Większość gości zamówiła śniadanie do kabin. Może przy oknie? Czy napije się pani kawy albo herbaty?

– Poproszę kawę – powiedziałam. – Z mlekiem i bez cukru.

– Ja też wypiję filiżankę, Bjorn – powiedział Nilsson, a potem, patrząc nad moim ramieniem, zawołał: – Ach, witaj, Ulla!

Odwróciłam się i zobaczyłam olśniewająco piękną dziewczynę – o ciemnych włosach zaczesanych w ciężki kok – zmierzającą przez jadalnię do naszego stolika.

– Witaj, Johann – przywitała się. Jej akcent przesądził sprawę, ale jeszcze zanim się odezwała, zyskałam pewność, że nie jest dziewczyną z kabiny numer dziesięć. Była wyjątkowo piękna, miała wręcz porcelanową skórę, a ciemne włosy dodatkowo podkreślały jej błądź. Dziewczyna z kabiny owszem, była bardzo atrakcyjna, ale nie tak delikatna, brakowało jej tego klasycznego powabu rodem z renesansowych obrazów. Poza tym Ulla musiała mieć z metr osiemdziesiąt, tymczasem tamta była mniej więcej mojego wzrostu. Nilsson rzucił mi pytające spojrzenie, ale zaprzeczyłam ruchem głowy.

Bjorn powrócił z dwiema filiżankami na tacy i z menu dla mnie.

Nilsson odchrząknął.

– Napijesz się z nami, Ulla?

– Nie, dziękuję. – Pokręciła głową, a ciężki kok zakołysał się na jej karku. – Już jadłam śniadanie. Ale posiedzę z wami przez chwilę.

Zajęła krzesło naprzeciwko i uśmiechnęła się do nas wyczekująco. Nilsson ponownie odkaszlnął.

– Pani Blacklock, to Ulla, stewardesa obsługująca kabiny na dziobie, to jest apartamenty Bullmerów, Jenssenów, Cole’a Lederera i Owena White’a. Ulla, pani Blacklock szuka dziewczyny, którą spotkała wczoraj na pokładzie. Kobieta ta nie figuruje na liście pasażerów, więc założyliśmy, że należy do personelu, ale na razie nie udało się nam jej odnaleźć. Pani Blacklock, czy zechciałaby pani opisać osobę, którą pani widziała?

Czułam, jakbym powtarzała wszystko po raz setny.

– Czy ktoś przychodzi pani do głowy? – Byłam świadoma tego, że mój głos zaczyna brzmieć błagalnie. – Ktokolwiek, kto pasowałby do tego opisu?

– Cóż, oczywiście ja mam ciemne włosy – zauważyła Ulla ze śmiechem. – Ale to nie byłam ja, więc sama nie wiem. Jest jeszcze Hanni, ona jest brunetką, i Birgitta...

– Poznałam je – przerwałam jej. – To nie była żadna z nich. A ktoś inny? Któraś ze sprzątaczek? Z załogi?

– N-nie... Wśród załogi nie ma nikogo, kto mógłby pasować do tego opisu – powiedziała Ulla z namysłem. – Jeśli chodzi o personel, to jest jeszcze Eva, ale wiek się nie zgadza. Czy rozmawiała pani z pracownikami kuchni?

– To na nic. – Powoli traciłam nadzieję. Sytuacja zaczynała przypominać powracający koszmar. Przepytywałam jedną osobę za drugą, podczas gdy obraz ciemnowłosej dziewczyny rozpląwał się i migotał w mojej pamięci, przeciekając mi przez palce niczym woda. Im więcej twarzy widziałam, tym trudniej było mi zachować wspomnienie tej właściwej.

A jednak tamta dziewczyna miała w sobie coś charakterystycznego. Byłam pewna, że ją rozpoznam, jeśli tylko znów ją zobaczę. Nie chodziło o rysy – ładne, ale dość przeciętne – ani o włosy czy koszulkę Pink Floyd. Chodziło o coś, co tkwiło w niej samej, o jakąś witalność i temperament malujące się na jej twarzy, gdy wyrzała na korytarz.

Czy to naprawdę możliwe, że już nie żyła?

Alternatywa nie była jednak o wiele lepsza. Bo jeśli ta dziewczyna nie zginęła, to oznaczało, że zaczynam popadać w szaleństwo.

Ulla i Nilsson pożegnali się ze mną, gdy przyniesiono moje śniadanie. Siedziałam sama i gapiłam się przez okno. Tutaj, na górze, nie było mi tak niedobrze i zdołałam zjeść dość obfity posiłek. Czułam, jak wraca mi energia, a dokuczliwe mdłości ustępują. Pomyślałam, że przynajmniej częściowo moje złe samopoczucie wynikało z niskiego poziomu glukozy we krwi. Pusty żołądek zawsze sprawia, że zaczynam czuć się dziwnie roztrzęsiona.

Ale choć jedzenie i piękne widoki sprawiły, że fizycznie poczułam się lepiej, wciąż roztrząsałam wydarzenia zeszłego wieczoru. Raz po raz odtwarzałam w myślach przebieg rozmowy z dziewczyną; zaskoczenie na jej twarzy, gdy mnie zobaczyła, cień irytacji, gdy wciskała mi do ręki maskarę. W tym apartamencie coś się działo, byłam tego pewna. Czułam się tak, jakbym weszła do kina w połowie seansu i z trudem próbowała połapać się, kto jest kim. Przeszkodziłam w czymś tej dziewczynie. Ale w czym?

Cokolwiek robiła, prawdopodobnie miało to związek z jej późniejszym zniknięciem. I cokolwiek myślał Nilsson, nie mogłam uwierzyć, że sprzątała pokój. Sprzątaczkę nie pracują rozneglizowane, w sięgających uda koszulkach Pink Floyd. Poza tym ona po prostu nie wyglądała jak sprzątaczkę. Przy pensji sprzątaczkę nie mogłaby sobie pozwolić na takie dbanie o włosy i paznokcie. Połyskujące gęste pukle świadczyły o latach stosowania kosztownych odżywek i balejażu. Czy była szpiegiem przemysłowym? Pasażerką na gapę? Miała romans z którymś z gości? Przypomniam sobie zimny błysk w oczach Cole'a, gdy wspominał o swojej żonie. Pomyślałam o zapewnieniach Camilli Lidman, o zwalistej sylwetce Nilssona, o nieprzyjemnym wykładzie Alexandra na temat trucizn... Jednak każda kolejna teoria wydawała mi się jeszcze bardziej nieprawdopodobna niż poprzednia.

Przede wszystkim niepokoiło mnie to, że im usilniej próbowałam sobie przypomnieć jej twarz, tym bardziej zacierała mi się w pamięci. Dokładnie pamiętałam, jakiego była wzrostu, jaki miała kolor włosów, w jakim stanie były jej paznokcie. Ale jej rysy... zgrabny nos, wąskie, ciemne, starannie wyregulowane brwi... I to by było na tyle. Łatwo było stwierdzić, jaka nie była: nie była stara, nie była pulchna, nie miała twarzy pokrytej trądzikiem. Znacznie trudniej było jednak dokładnie ją opisać. Jej nos był... normalny. Usta też normalne. Nie szerokie, nie różane, nie wydęte, nie pełne – po prostu normalne. Nie miała żadnych cech charakterystycznych, które mogłyby utkwąć mi w pamięci.

Równie dobrze mogłaby być mną.

Wiedziałałam, na co liczył Nilsson. Chciał, żebym zapomniała o tym, co usłyszałam. O krzyku, o odgłosie ukradkowo odsuwanych drzwi werandy i o tym strasliwym, głośnym plusku.

Potraktował mnie poważnie tylko po to, żebym sama zaczęła wątpić we własne słowa. Pozwalał mi zadawać wszystkie te pytania, żebym przekonała samą siebie, iż jestem w błędzie.

Nie mogłam go za to winić. Ostatecznie to był dziewiczy rejs Aurory, a na pokładzie przebywali dziennikarze, fotograf i grupa wpływowych ludzi. Trudno o gorszy moment na taką wpadkę. Już sobie wyobrażałam te nagłówki: „Rejs ku śmierci: pasażerka tonie podczas luksusowej wycieczki”. Jako szef ochrony Nilsson ryzykował własną głową. Gdyby coś poszło nie tak na jego warcie, i to podczas pierwszego kursu, z pewnością straciłby pracę – jeśli nie więcej.

Ale to nie wszystko. Rozgłos związany z zagadkową śmiercią mógłby storpedować całe przedsięwzięcie Bull-mera, jeszcze zanim Aurora rozpocznie regularne rejsy. Wtedy wszyscy

straciliby posady, od kapitana po Iwonę sprzątaczkę.

Zdawałam sobie z tego sprawę.

Ale ja naprawdę coś słyszałam. Coś wyrwało mnie ze snu i sprawiło, że serce zaczęło mi walić jak oszalałe, a dłonie stały się wilgotne od potu. Obudziło mnie przekonanie, że gdzieś w pobliżu inna kobieta ma poważne kłopoty. Wiedziałam, jakie to uczucie – znaleźć się w takiej sytuacji, uświadomić sobie nagle, jak złudne jest poczucie bezpieczeństwa, jak kruche jest życie człowieka.

Niezależnie od tego, co twierdził Nilsson, jeśli tej dziewczynie nie stało się nic złego, to gdzie ona jest? Ten krzyk, krew – to wszystko mogłam sobie wyobrazić. Ale sama dziewczyna była prawdziwa. Nie mogła się rozpląnąć w powietrzu bez czyjejś pomocy.

Potarłam oczy, czując piasek pod powiekami, i pomyślałam o jedynym dowodzie na to, że dziewczyna nie była wytworem mojej wyobraźni: o maskarce marki Maybelline.

W głowie kotłowały mi się szalone myśli. Zabiorę tubkę do Anglii w plastikowej torebce i zażadam, by zdjęli z niej odciski palców. Nie, jeszcze lepiej – żeby przebadali zawartość pod kątem DNA. Na szczoteczkach zostawało DNA, prawda? W *Kryminalnych zagadkach Miami* wystarczyłaby jedna rzęsa. Na pewno mogą coś z tego wyciągnąć.

Wyobraziłam sobie, jak z maskarą w torebce maszeruję na komisariat w Crouch End i żądam przeprowadzenia zaawansowanej ekspertyzy sądowej od policjanta, który z trudem powstrzymuje rozbawiony uśmiech, ale odsunęłam od siebie tę wizję. Ktoś by mi uwierzył. Na pewno. A jeśli nie... zapłaciłabym za badania z własnej kieszeni.

Wyciągnęłam telefon, żeby sprawdzić w internecie, ile kosztują testy DNA, ale jeszcze zanim odblokowałam ekran, uświadomiłam sobie, jaki to absurdalny pomysł. Nie uzyskam wiarygodnych wyników od firmy, która specjalizuje się głównie w przeprowadzaniu testów na ojcostwo. A zresztą na co przydałyby mi się te wszystkie dane, skoro nie miałam ich z czym porównać?

Zamiast tego sprawdziłam pocztę. Ani słowa od Judah. Właściwie to ani słowa w ogóle. Nie miałam zasięgu, ale powinnam móc się połączyć z siecią wi-fi na statku, więc odświeżyłam ekran. Nic jednak się nie wydarzyło. Mała ikonka wirowała i wirowała, aż w końcu moim oczom ukazał się komunikat: „Brak połączenia z siecią”.

Z westchnieniem schowałam telefon do kieszeni i spojrzałam na borówki na moim talerzu. Naleśniki były przepyszne, ale straciłam apetyt. To wszystko wydawało mi się takie nierealne. Byłam świadkiem morderstwa, a siedziałam tutaj, delektując się kawą i naleśnikami. Morderca wciąż przebywał na wolności, a ja nie mogłam nic z tym zrobić.

Czy zdawał sobie sprawę z tego, że miał świadka, który zgłosił sprawę załodze statku? Podniosłam taki alarm i zadawałam tyle pytań, że nawet jeśli wczoraj się nie zorientował, to teraz z pewnością o tym wiedział.

Kolejna fala uderzyła w burtę. Odsunęłam od siebie talerz i wstałam.

– Podać coś jeszcze, pani Blacklock? – rozległ się głos Bjorna.

Podskoczyłam przestraszona. Kelner wyłonił się, jakby za sprawą czarów, zza drzwi ukrytych w boazerii na tyłach jadalni. Jeśli ktoś nie wiedział o ich istnieniu, niemal nie dało się ich zauważyć. Czy chłopak czekał tam cały czas, obserwując mnie? Czy miał tam jakiś wizjer do podglądania gości?

Pokręciłam głową i zmusiłam się do uśmiechu, ostrożnie stawiając kroki na chwiejnej podłodze.

– Nie, dziękuję, Bjorn. Dziękuję za wszystko.

– Życzę pani wspaniałego dnia! Ma pani jakieś plany na dziś? Jeśli jeszcze nie korzystała pani z jacuzzi na pokładzie, polecam. Widoki są olśniewające.

Wyobraziłam sobie, jak siedzę samotnie w jacuzzi, a ręka w lateksowej rękawiczce nagle wpycha mi głowę pod wodę...

– Jestem mówiona na wizytę w spa. Ale chyba najpierw utnę sobie drzemkę w kabinie. Jestem bardzo zmęczona. Nie spałam za dobrze minionej nocy.

– Oczywiście – powiedział, źle akcentując. – Zatem życzę miłego odpoczynku!

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się, ale nagle przeszły mnie ciarki na myśl o tym, że ktoś mógł podsłuchiwać naszą rozmowę. Przynajmniej po powrocie do kabiny będę miała pewność, że jestem sama. Odwróciłam się, żeby odejść, i w tym samym momencie zderzyłam się z zaspanym Benem Howardem.

– Blacklock!

– Howard.

– Jeśli chodzi o zeszłą noc... – zaczął ze skrępowaniem.

Pokręciłam głową. Nie zamierzałam rozmawiać o tym w obecności gadatliwego Bjorna, który uśmiechał się do nas z drugiego krańca jadalni.

– Nie wracajmy do tego – ucięłam. – Oboje byliśmy pijani. Dopiero wstałeś?

– Tak. – Stłumił głębokie ziewnięcie. – Po tym, jak wyszedłem od ciebie, wpadłem na Archera. Ostatecznie całą noc graliśmy w pokera z Larsem i Richardem Bullmerem. Skończyliśmy o jakiejś nieprzyzwoitej porze.

– Och... – Zagryzłam wargę. – O której dotarłeś do łóżka?

– Licho wie. Chyba koło czwartej nad ranem.

– Pytam, bo... – przerwałam. Nilsson mi nie wierzył. Sama już ledwie sobie wierzyłam. Ale Ben... on by mi uwierzył, prawda? Pomyślałam o tym, co nas kiedyś łączyło i jak to się skończyło... I nagle już nie byłam taka pewna. – Nieważne – zrezygnowałam. – Powiem ci później. Zjedz śniadanie.

– Dobrze się czujesz? – Zatrzymał mnie. – Wyglądasz strasznie.

– Dzięki.

– Nie... Chodzi mi o to, że wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała.

– Bo nie spałam – warknęłam. Próbowałam panować nad głosem, ale lęk i wyczerpanie skutecznie mi to utrudniały. Gdy statek przechylił się pod wpływem kolejnej fali, dodałam: – Morze jest dziś nieco za bardzo wzburzone jak na mój gust.

– Tak? Ja mam szczęście. Nigdy nie dokucza mi choroba morska. – W głosie Bena usłyszałam irytującą nutę samozadowolenia. Oparłam się pokusie, żeby mu się odciąć. – Nie przejmuj się, jutro wczesnym rankiem będziemy w Trond-heim.

– Jutro?

Ben musiał wyczuć mój niepokój, bo spojrzał na mnie byстрым wzrokiem.

– Tak. A co? O co chodzi?

– Myślałam... wydawało mi się, że dzisiaj...

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, to długa trasa.

– Nieważne. Wracam do swojego pokoju... Muszę się położyć. – Tak naprawdę musiałam przemyśleć to wszystko, ustalić, co faktycznie widziałam, a czego nie.

– Pewnie. Do zobaczenia później, Blacklock – rzucił lekko Ben, ale gdy opuszczałam pokój śniadaniowy, zauważyłam, że patrzy na mnie z troską.

Wydawało mi się, że zmierzam prosto do schodów prowadzących na pokład, na którym mieściły się kabiny pasażerów, ale musiałam źle skręcić, bo wylądowałam w bibliotece. Wyglądała jak miniaturowa wersja wyłożonej boazerią czytelnicy w jakiejś wiejskiej posiadłości; były tu lampy z zielonymi abażurami, a regał wyposażono w drabinę.

Westchnęłam i zaczęłam się zastanawiać, w którym momencie źle skręciłam i czy istnieje jakaś inna droga, czy też będę musiała zawrócić, narażając się na kolejną konfrontację z Benem. Trudno było sobie wyobrazić, że można się zgubić na takim małym statku, ale pomieszczenia zazębiały się ze sobą w zagmatwany sposób – jak elementy układanki zaprojektowanej tak, by wykorzystać każdy centymetr kwadratowy wolnej przestrzeni. Kołysanie statku tylko pogłębiało moją dezorientację i utrudniało poruszanie się po tym labiryncie.

Nie pomagał też fakt, że na ścianach brakowało jakichkolwiek oznaczeń czy planów pokładów, które normalnie umieszczano na promach. Podejrzewałam, że chodziło o to, by nadać statkowi jak najbardziej domową atmosferę.

W końcu postanowiłam wyjść na pokład, żeby się zorientować, w którą stronę zmierzam. Zimny wiatr uderzył mnie w twarz, a jednocześnie usłyszałam chrapliwy, przesiąknięty nikotyną głos tuż za moimi plecami:

– Kochana, to cud, że trzymasz się na nogach! Jak się dziś czujesz?

Odwróciłam się. Tina stała za budką z profilowanego szkła i paliła papierosa.

Zaciągnęła się głęboko i dodała:

– Chyba nie za dobrze?

Miałam ochotę odwrócić się i uciec, ale stłumiłam to pragnienie. W końcu Rowan kazała mi nawiązywać kontakty. Nie mogłam pozwolić, by przeszkodził mi w tym kac, którego zresztą nabawiłam się z własnej winy. Zmusiłam się do uśmiechu, mając nadzieję, że wyglądał przekonująco.

– Trochę kiepsko – odparłam. – Nie powinnam była tyle pić.

– Cóż, byłam pod wrażeniem twoich możliwości – zauważyła z lekko drwiącym uśmiechem. – Jak mawiała moja była szefowa, gdy zaczynałam w „Expressie”, jeśli jesteś w stanie wypić więcej niż osoba, z którą przeprowadzasz wywiad, masz szansę na zdobycie sensacyjnego materiału. To było w czasach, kiedy modne były naprawdę długie lunchy.

Spojrzałam na nią przez chmurę dymu. Krążyły plotki, że szła do celu po trupach niezliczonych młodych kobiet, a gdy już wspięła się po szczeblach kariery i przebiła przez szklany sufit, wciągnęła drabinę za sobą. Rowan powiedziała kiedyś, że Tina jest jedną z tych kobiet, które uważają, że choćby odrobina dodatkowego estrogenu w sali posiedzeń stanowi zagrożenie dla jej własnej egzystencji.

Ale ta charakterystyka jakoś nie pasowała do stojącej przede mną kobiety. Znałam co najmniej jedną dziewczynę, która twierdziła, że zawdzięcza Tinie swoją karierę, a teraz, gdy patrzyłam na jej mocno umalowane roześmiane oczy, pomyślałam o tym, jak musiało jej być ciężko, kiedy siłą torowała sobie drogę w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Nawet obecnie bywało to trudne. Może to nie była jej wina, że nie mogła za sobą ciągnąć każdej innej kobiety, która marzyła o karierze dziennikarki.

– Chodź tu, kochana. Zdradzę ci mały sekret. – Pierścionki zabręczały na jej kościstych palcach, gdy gestem przywołała mnie do siebie. – Na kaca najlepszy jest klin, a potem długie, powolne rżnięcie.

Dyplomatycznie milczałam. Tina znów zaniósła się swoim chrapliwym, przesiąkniętym nikotyną śmiechem.

– Zaszokowałam cię.

– W sumie to nie. Tyle że wiesz... brakuje odpowiednich kandydatów.

– Ty i ten mały, seksowny Ben Howard wyglądaliście na mocno zaprzyjaźnionych wczoraj wieczorem – zauważyła, przeciągając samogłoski.

Powstrzymałam wzruszenie ramion.

– Ben i ja byliśmy parą wiele lat temu – wyjaśniłam. – I nie mam ochoty od nowa się w to

pakować.

– Bardzo rozsądnie, kochana. – Poklepała mnie po ramieniu. – Jak mówią Afgańczycy, nie można się wykąpać dwa razy w tym samym jeziorze.

Nie byłam pewna, co na to odpowiedzieć.

– Przypomnij mi, jak się nazywałeś? – rzuciła nagle. – Louise, dobrze pamiętam?

– Lo. To skrót od Laury.

– Miło cię poznać, Lo. I pracujesz z Rowan w „Velocity”, zgadza się?

– Tak. Jestem publicystką. – A potem, zaskakując samą siebie, dodałam: – Ale liczę na to, że będę ją zastępować, gdy pójdzie na urlop macierzyński. Myślę, że między innymi dlatego wysłali mnie na tę wycieczkę. Chcieli zbadać grunt. Zobaczyć, jak sobie poradzę.

Jeśli rzeczywiście traktowali to jak test, to byłam na dobrej drodze do jego obłania. Oskarżanie gospodarzy rejsu o zatuszowanie śmierci jednego z pasażerów z pewnością nie należało do rewelacji, na jakie liczyli.

Tina znów się zaciągnęła, po czym wypluła drobinę tytoniu i popatrzyła na mnie oceniająco.

– Taka rola oznacza dużą odpowiedzialność. Ale to dobrze, że chcesz się rozwijać. A co zrobisz, gdy ona wróci?

Otworzyłam usta, ale nie odezwałam się. Rzeczywiście, co wtedy zrobię? Wrócę do mojej starej pracy? Wciąż zastanawiałam się, jak odpowiedzieć na to pytanie, gdy Tina podjęła:

– Przedzwoń do mnie jakoś po powrocie do Londynu. Rozglądam się za freelancerami. Zwłaszcza za takimi bystrymi, ambitnymi osóbkami.

– Mam podpisaną umowę na wyłączność – powiedziałam z żalem. Doceniałam fakt, że mnie komplementuje, ale byłam przekonana, że moja klauzula o zakazie konkurencji nie pozwoliłaby mi dorabiać na boku.

– Jak sobie chcesz. – Tina wzruszyła ramionami. W tym samym momencie pokład przechylił się, a ona straciła równowagę. W ostatniej chwili przytrzymała się barierki. – Do licha, papieros mi zgasł. Nie masz przy sobie zapalniczki, skarbie? Zostawiłam swoją w pokoju.

Pokręciłam głową.

– Nie palę.

– Cholera... – Wyrzuciła niedopałek za burtę. Obie patrzyłyśmy, jak porywa go wiatr. Zniknął nam z oczu, jeszcze zanim wpadł do wzburzonej wody.

Wiedziałam, że powinnam dać Tinie swoją wizytówkę albo przynajmniej wypytać o plan wydawniczy „Vernean” na najbliższe miesiące. Tak właśnie zrobiłaby Rowan. A Ben już pewnie zaczęłyby ustalać temat artykułu, pieprząc klauzulę o zakazie konkurencji.

A jednak w tym właśnie momencie – podczas gdy Nilsson zapewne podważał moją historię w rozmowie z kapitanem – moja kariera nie wydawała mi się aż taka ważna. Jeśli już, to powinnam podpytać Tinę, co robiła zeszłej nocy. Skoro Ben grał w pokera z Larsem, Archerem i Bullmerem, krąg podejrzanych znacznie się zawęził. Czy Tina byłaby w stanie wypchnąć kobietę za burtę? Obserwowałam ją ukradkowo, gdy chwiejnym krokiem zmierzała do wejścia po spryskanym solą pokładzie, a jej wąskie obcasy ślizgały się na malowanej metalowej powierzchni. Była chuda jak chart i raczej żyłasta niż umięśniona, ale podejrzewałam, że w jej niepozornych ramionach kryje się spora siła. Co więcej, jej legendarna bezwzględność zapewne z naddatkiem kompensowała ewentualne fizyczne braki.

– A ty? – Ruszyłam za nią. – Dobrze się bawiłaś zeszłego wieczoru?

Zatrzymała się gwałtownie i zacisnęła palce na metalowej klamce ciężkich drzwi. Napięte ścięgna na grzbiecie jej dłoni przypominały żelazne kable. Odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Co ty powiedziałaś? – Wysunęła brodę do przodu niczym welociraptor i przeszyła mnie

wzrokiem.

– Ja... – Gwałtowność jej reakcji mnie zszokowała. – Ja nie... tylko się zastanawiałam...

– Cóż, sugeruję, abyś przestała się zastanawiać i zachowała swoje insynuacje dla siebie. Mądra dziewczyna, taka jak ty, powinna wiedzieć, że w tej branży lepiej nie robić sobie wrogów – powiedziała, po czym puściła klamkę i pozwoliła, by drzwi zatrzasnęły się za nią.

Patrzyłam w osłupieniu, jak znika za szklaną taflą, pokrytą mgiełką słonej wody, i próbowałam zrozumieć, co, u licha, właśnie się wydarzyło.

W końcu pokręciłam głową i wzięłam się w garść. Teraz nie było sensu tego roztrząsać. Powinnam wrócić do kabiny i zabezpieczyć ten jeden jedyny dowód, który mi pozostał.

Rano, wychodząc z Nilssonem, zamknęłam za sobą drzwi do kabiny, ale teraz, gdy zobaczyłam w korytarzu sprzątaczkę z odkurzacami i wózkami, na których piętrzyły się stosy ręczników i bielizny pościelowej, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam wywiesić tabliczkę „Nie przeszkadzać”.

Apartament został wysprzątaný do czysta. Zlew wypolerowano, szyby oczyszczono z solnego nalotu; nawet moja rozdarta wieczorowa suknia zniknęła w magiczny sposób.

Ruszyłam do łazienki. Roztrąciłam kosmetyki, schludnie poustawiane na blacie. Szminka, błyszczak, pasta do zębów, krem nawilżający, płyn do demakijażu oczu, na wpół zużyte opakowanie tabletek... ale różowo-zielonej tubki nigdzie nie było. Może spadła pod blat? Może leży w koszu? Nic.

Przeszukałam sypialnię – otwierałam szuflady, jedną po drugiej, zaglądałam pod fotele. Gdzie ona była? Gdzie ona była?!

Ale już znałam odpowiedź. Padłam na łóżko i skryłam twarz w dłoniach. Maskara – ostatnie ogniwo łączące mnie z zaginioną dziewczyną – zniknęła.

„Harringay Echo”, sobota, 26 września
BRYTYJSKA TURYSTKA ZNIKĘŁA Z POKŁADU NORWESKIEGO STATKU
WYCIECZKOWEGO

Przyjaciele i krewni zaginionej mieszkanki Londynu, Laury Blacklock, twierdzą, że coraz bardziej się boją o jej bezpieczeństwo. Blacklock (32), zamieszkała w West Grove w dzielnicy Harringay, brała udział w rejsie na pokładzie ekskluzywnego statku wycieczkowego Aurora Borealis. Zaginięcie zgłosił jej partner Judah Lewis (35). Lewis, który nie brał udziału w wycieczce, zaczął się niepokoić, gdy okazało się, że Blacklock nie odpowiada na wiadomości, a dalsze próby nawiązania z nią kontaktu zawiodły.

Rzecznik Aurora Borealis, statku wycieczkowego, który opuścił port w Hull zeszłej niedzieli, aby wyruszyć w dziewiczy rejs, potwierdził, że kobiety nie widziano od dnia postoju w Trondheim, we wtorek 22 września. Wyjaśnił, że początkowo uznano, iż po prostu postanowiła zakończyć wycieczkę przed czasem. Dopiero w piątek, gdy okazało się, że Blacklock nie wróciła do Wielkiej Brytanii, a jej partner podniósł alarm, załoga zrozumiała, że jej zniknięcie nie było planowane.

Pamela Crew, matka zaginionej kobiety, zapewniła, że gdyby jej córka mogła się z nią skontaktować, z pewnością by to zrobiła. Zaapelowała też do wszystkich, którzy mogli widzieć Laurę Blacklock, aby zgłosili się na policję.

CZEŚĆ CZWARTA

Próbowałam nie dopuścić do tego, by ogarnęła mnie panika.

Ktoś był w moim pokoju.

Ktoś, kto wiedział.

Ktoś, kto wiedział, co zobaczyłam, co usłyszałam i co powiedziałam.

Minibarek został uzupełniony. Rozpaczliwie zapragnęłam drinka, ale odepchnęłam od siebie tę myśl i zaczęłam krążyć po apartamencie, który nagle wydał mi się klaustrofobicznie mały.

Ktoś tu był. Ale kto?

Miałam ochotę zacząć krzyczeć, rzucić się do ucieczki albo ukryć pod łóżkiem i już nigdy spod niego nie wyjść. Ale nie miałam dokąd uciec, dopóki nie dotrzemy do Trond-heim.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że zatrzymałam się i oparłam dłonie o blat toaletki, kuląc ramiona. Spojrzałam na swoje wymizerowane odbicie w lustrze. Wyglądałam fatalnie, i to nie tylko z braku snu. Wyraz moich podkrążonych oczu sprawił, że zamarłam. Czaił się w nich strach. Wyglądałam jak zaszczute zwierzę.

Odgłos wycia odkurzacza dobiegający z korytarza wyrwał mnie z zadumy i przypomniałam sobie o sprzątaczkach. Odetchnęłam głęboko, wyprostowałam się i potrząsnęłam głową. Potem otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Iwona, Polka, którą przedstawiono mi na dole, właśnie sprzątała kabinę Bena. Drzwi do jego apartamentu były otwarte na oścież.

– Przepraszam! – zawołałam, ale nie usłyszała. Podeszłam więc bliżej. – Przepraszam!

Podskoczyła i odwróciła się, przyciskając dłoń do serca.

– Wybacz! – zawołała zdyszczym głosem, po czym nadepnęła przełącznik, żeby uciszyć odkurzacza. Miała na sobie ciemnoniebieski uniform, a jej twarz, o ciężkich rysach, była zaróżowiona z wysiłku. – Ja wystraszona.

– Przepraszam – powiedziałam ze skrucą. – Nie chciałam pani przestraszyć. Chciałam tylko zapytać... czy sprzątała pani mój pokój?

– Tak, już sprzątałam. Coś nie jest czyste?

– Nie, jest bardzo czysto... Właściwie to jest pięknie wysprzątane. Chodzi tylko o to... zastanawiałam się... czy nie widziała pani maskary?

– Mas...? – Pokręciła głową. Widać było, że nie rozumie, co do niej mówię. – Co to jest?

– Maskara. Do oczu... O tak. – Udałam, że maluję rzęsy, i jej twarz nagle pojaśniała.

– Ach! Tak, wiem – zawołała, po czym dodała coś, co zabrzmiało jak „Toosh do resh”. Nie miałam pojęcia, czy tak się po polsku mówi na maskarę, czy może sprzątaczką chce mi powiedzieć, że wyrzuciła ją do śmieci, ale energicznie pokiwałam głową.

– Tak, tak, w różowo-zielonej tubce. O takiej... – Wyciągnęłam telefon, żeby wygooglować maskarę Maybelline, ale wi-fi wciąż nie działało. – Och, do licha... Nieważne. Ale jest różowo-zielona. Widziała ją pani?

– Tak, widzę wczoraj wieczorem, kiedy sprzątam.

Cholera.

– Ale nie dziś rano?

– Nie. – Pokręciła głową z zatroskaną miną. – Jest nie w łazience?

– Nie.

– Przykro mi. Nie widziałam. Mogę zapytać Karla, stewardesa, czy możliwe, żeby, eee...

jak powiedzieć... żeby kupić nowa...?

Jej kulejący angielski i niepokój sprawiły, że nagle uświadomiłam sobie, jak to musi wyglądać. Zachowywałam się jak wariatka, niemal oskarżając sprzątaczkę o kradzież używanej maskary. Pokręciłam głową i położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam. To nieważne. Proszę się nie martwić.

– Ale tak, to ważne!

– Nie, serio. Pewnie po prostu gdzieś ją zapodziałam. Może zostawiłam w kieszeni...

Ale już znałam prawdę. Maskara zniknęła.

Po powrocie do kabiny zamknęłam drzwi na dwa razy i nałożyłam łańcuch, a potem uniosłam słuchawkę telefonu, wybrałam zero i poprosiłam o połączenie z Nilssonem. Długo słuchałam muzyki płynącej z głośnika, aż w końcu rozległ się głos kobiety, która brzmiała jak Camilla Lidman:

– Pani Blacklock? Dziękuję za cierpliwość. Połączę panią.

Rozległo się kliknięcie, potem trzask i usłyszałam głęboki męski głos:

– Halo? Johann Nilsson przy telefonie. W czym mogę pomóc?

– Maskara zniknęła – oznajmiłam bez wstępów.

Milczał przez chwilę. Wyobraziłam sobie, jak przegląda szufladki w mózgu, szukając tej właściwej.

– Maskara – powtórzyłam z niecierpliwością. – Ta, o której powiedziałam panu zeszłej nocy. Ta, którą dała mi kobieta z kabiny numer dziesięć. To dowodzi mojej racji, nie rozumie pan?

– Nie widzę...

– Ktoś zakradł się do mojej kabiny i zabrał maskarę – tłumaczyłam powoli, próbując nad sobą panować. Czułam, że jeśli nie będę mówić jasno i spokojnie, nie wytrzymam i zacznę krzyczeć. – Po co by to zrobił, gdyby nie miał nic do ukrycia?

Zapadło między nami długie milczenie.

– Halo?

– Zaraz do pani przyjdę – powiedział w końcu Nilsson. – Jest pani w swojej kabinie?

– Tak.

– Będę za jakieś dziesięć minut. Jestem teraz z kapitanem, muszę tu coś dokończyć, ale przyjdę tak szybko, jak to możliwe.

– Do zobaczenia – wycedziłam, z hukiem odkładając słuchawkę na widełki. Byłam wściekła – choć nie wiedziałam, czy bardziej na siebie, czy na Nilssona.

Znowu zaczęłam krążyć po kabinie, analizując wydarzenia zeszłego wieczoru. W głowie kłębiły mi się obrazy, odgłosy i lęki. Nie potrafiłam się pozbyć wrażenia, że pogwałcono moją prywatność. Ktoś był w moim pokoju. Ktoś wykorzystał fakt, że przebywałam z Nilssonem, przyszedł tu, przetrząsnął moje rzeczy i zabrał jedyny dowód, który potwierdzał moją historię.

Ale kto miał dostęp do klucza? Iwona? Karla? Josef?

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, odwróciłam się na pięcie i poszłam otworzyć. W progu stał Nilsson – zmęczony, niedźwiedziowaty, a jednak niepokojąco groźny. On też miał podkrążone oczy, chociaż nie tak bardzo jak ja.

– Ktoś zabrał maskarę – powtórzyłam.

Skinął głową.

– Mogę wejść?

Cofnęłam się, a on minął mnie i wszedł do pokoju.

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Kiedy siadał, sofa zaprotestowała cicho. Ja przycupnęłam naprzeciw niego na krześle stojącym przy toaletce. Milczałam. Czekałam, aż on zacznie. Możliwe, że on czekał, aż ja się odezwę, albo po prostu szukał odpowiednich słów. W końcu ścisnął palcami grzbiet nosa – delikatny gest, który wydał się komiczny w wykonaniu tak potężnego mężczyzny.

– Pani Blacklock...

– Lo – powiedziałam stanowczo.

Westchnął i zaczął od początku:

– A zatem, Lo, rozmawiałem właśnie z kapitanem. Nikogo z personelu nie brakuje, jesteśmy już tego pewni. Porozumieliśmy się z wszystkimi pracownikami i nikt nie zauważył niczego podejrzanego w tamtej kabinie. To wszystko prowadzi do konkluzji, że...

– Hej – przerwałam mu ostro, jakbym mogła w ten sposób wpłynąć na wniosek, do jakiego doszli z kapitanem.

– Pani Blacklock...

– Nie. Nie może pan się tak zachowywać...

– Jak?

– W jednej chwili traktuje mnie pan poważnie i szanuje moje zdanie, a w drugiej bagatelizuje moje obawy i robi ze mnie histeryczkę, która wszystko to sobie ubzduriała.

– Ja nie... – zaczął, ale znów weszłam mu w słowo, za bardzo wściekła, by dopuścić go do głosu:

– Albo mi pan wierzy, albo... Och nie, zaraz! – Zamarłam, nie mogąc uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadłam. – A co z kamerami przemysłowymi? Nie macie tu jakiegoś systemu bezpieczeństwa?

– Pani Blacklock...

– Mógłby pan sprawdzić nagrania z korytarza. Ta dziewczyna na nich będzie! Musi być!

– Pani Blacklock! – Nilsson podniósł głos. – Rozmawiałem z panem Howardem.

– Co?

– Rozmawiałem z panem Howardem – powtórzył z jeszcze większym znużeniem. – Z Benem Howardem.

– No i co z tego? – Serce waliło mi jak oszalałe. – Jaki on ma z tym związek?

– Jego kabina sąsiaduje z drugiej strony z tą pustą. Odwiedziłem go, żeby zapytać, czy cokolwiek słyszał, czy mógłby potwierdzić pani relację.

– Nie było go tam wtedy – zauważyłam. – Grał w pokera.

– Wiem o tym. Ale powiedział mi... – Nilsson urwał.

Och, Ben, pomyślałam i poczułam chłód w żołądku. Ben, ty zdrajco. Co zrobiłeś?

Już wiedziałam. Zrozumiałam to, patrząc na minę szefa ochrony. Ale nie zamierzałam tak łatwo mu odpuścić.

– Tak? – wycodziłam przez zaciśnięte zęby. Będzie musiał załatwić to, jak trzeba, powiedzieć to na głos, wydusić z siebie jedną nieznośną sylabę za drugą.

– Pan Howard powiedział mi o włamaniu do pani mieszkania.

– To nie ma nic wspólnego z całą sprawą.

– To, hmm... – Zakasłał, skrzyżował ręce na piersi, a potem założył nogę na nogę. Widok tak dużego mężczyzny przycupniętego ze skrępowaniem na skraju sofy wydał mi się niemal absurdalnie komiczny. Milczałam. Delektowałam się faktem, że wije się jak piskorz, że próbuje się zapaść pod ziemię. Ty wiesz, pomyślałam, wiesz, jakie to draństwo z twojej strony wykorzystywać ten argument.

– Pan Howard powiedział mi, że pani, eee, że pani nie sypia za dobrze od czasu, eee, włamania – wydusił w końcu.

Milczałam. Byłam wściekła na Nilssona, ale przede wszystkim na Bena. Kiedy w końcu się nauczę, że nie można mu ufać?

– No i jest jeszcze kwestia alkoholu – dodał szef ochrony z nieszczęśliwą miną. – To, eee... nie powinno się go mieszać z...

Urwał i spojrzał w stronę łazienkowego blatu.

– Z czym? – zapytałam cichym, lodowatym głosem, zupełnie niepodobnym do mojego.

Nilsson wlepił wzrok w sufit. Biło od niego skrępowanie.

– Z... antydepresantami – dokończył niemal szeptem, znów zerknął na powyginany, do połowy zużyty blister leżący koło zlewu, po czym spojrzał na mnie przepaszająco.

Ale nie mógł już cofnąć tego, co powiedział, i oboje o tym wiedzieliśmy.

Zapadła cisza. Twarz mi płonęła, jakby ktoś mnie spoliczkował. A więc to by było na tyle. Ben Howard, ten mały gnojek, naprawdę opowiedział mi o wszystkim. W ciągu kilku minut nie tylko podważył moją wersję zdarzeń, ale też zdradził najintymniejsze szczegóły mojej biografii. Zrobił ze mnie niestabilną neurotyczkę, cierpiącą na zaburzenia równowagi chemicznej w mózgu.

Tak, owszem, biorę antydepresanty. I co z tego?

Od lat łączyłam tabletki z alkoholem i nic złego się nie działo. Miewałam napady lękowe, ale nie urojenia. Ale nawet gdybym cierpiała na psychozę, nie zmieniałoby to faktu, że prawdopodobnie byłam świadkiem morderstwa. Zazywanie tabletek nie miało z tym żadnego związku.

– A więc to tak – powiedziałam głucho. – Uważa pan, że ponieważ lecę się na depresję, jestem wariatką i paranoiczką, która nie potrafi odróżnić faktów od fikcji? Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że setki tysięcy osób zażywają takie leki?

– Absolutnie nie to miałem na myśli – zapewnił Nilsson. – Ale nie da się ukryć faktu, że nie mamy żadnych dowodów potwierdzających pani wersję wydarzeń. Poza tym... pani Blacklock, z całym szacunkiem, ale pani opowieść jest tak bliska temu, czego pani sama doświadczyła...

– Nie! – krzyknęłam, zrywając się z krzesła. Spojrzałam na Nilssona z góry. – Powiedziałam panu, że nie może pan mnie tak traktować. Nie może pan zachowywać się wobec mnie usłużnie, a potem lekceważyć moich słów. Owszem, ostatnimi czasy nie sypiam za dobrze. Owszem, wczoraj wieczorem piłam. I tak, ktoś się włamał do mojego mieszkania. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z tym, co tu widziałam.

– Ale właśnie na tym polega problem, czyż nie? – Nilsson też zerwał się z sofy. Był poirytowany, na policzki wystąpił mu rumieniec. – Pani niczego nie widziała. Widziała pani dziewczynę, których jest na tym statku wiele. A znacznie później usłyszała pani plusk. I na podstawie tych dwóch faktów wyciągnęła pani pochopne wnioski, bardzo przypominające traumatyczne wydarzenie, którego kilka dni temu sama pani doświadczyła. Dodała pani dwa do dwóch i wyszło pani pięć. Nie ma podstaw, by rozpoczynać śledztwo w sprawie morderstwa, pani Blacklock.

– Proszę wyjść – rzuciłam, czując, jak zaczyna się we mnie gotować. Wiedziałam, że zaraz zrobię coś bardzo głupiego. – Niech pan wyjdzie! – Sztynnym krokiem podeszłam do drzwi i otworzyłam je gwałtownie. Ręce mi się trzęsły. – Niech pan się stąd wynosi! Natychmiast – powtórzyłam. – Chyba że chce pan, żebym zadzwoniła do kapitana i poinformowała go, że samotna pasażerka wielokrotnie prosiła pana o opuszczenie jej apartamentu, a pan odmówił. **NIECH PAN SIĘ WYNOŚI Z MOJEJ KABINY, DO KURWY NĘDZY!**

Nilsson zgarbił się i sztywnym krokiem wyszedł na korytarz. Zatrzymał się jeszcze, jakby chciał coś powiedzieć, ale na widok mojej miny, a może wyrazu oczu, tylko się wzdrygnął.

– Do widzenia – powiedział. – Pani...

Nie czekałam na dalszy ciąg. Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem, a potem rzuciłam się na łóżko i zaczęłam szlochać.

Nie istnieje żaden powód, w każdym razie oficjalny, dla którego potrzebowałabym tych tabletek, żeby normalnie żyć. Miałam wspaniałe dzieciństwo, kochających rodziców, cały pakiet. Nie byłam bita ani molestowana, nie wymagano ode mnie, żebym przynosiła ze szkoły same piątki. Otrzymywałam od bliskich wyłącznie miłość i wsparcie. Ale jakimś cudem to nie wystarczyło.

Zdaniem mojej przyjaciółki, Erin, wszyscy mamy swoje demony, które szepczą, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy, że jeśli nie dostaniemy tego awansu albo piątki na tym egzaminie, cały świat przekona się, że tak naprawdę jesteśmy bezwartościową kupą gówna. Może to prawda. Może moje demony po prostu szepczą głośniejsz.

Ale ja nie sądzę, żeby to było takie łatwe. Depresja, której nabawiłam się po zakończeniu studiów, nie miała związku z egzaminami ani z poczuciem własnej wartości. To było coś, czego nie potrafiły naprawić słowa. Ani terapia kognitywno-behawioralna, ani psychoterapia nie pomogły mi tak jak tabletki. Lissie mówi, że przeraża ją myśl o przywróceniu równowagi w mózgu za pomocą chemii, o zażywaniu leków, które zmieniają to, jaki człowiek jest naprawdę. Ale ja tak tego nie widzę; traktuję to jak noszenie makijażu – nie jako maskę, lecz sposób na to, by podkreślić swoje atuty, stać się najlepszą wersją siebie.

Ben zobaczył mnie bez tego makijażu. I odszedł. Długo byłam wściekła, ale w końcu uświadomiłam sobie, że nie mogę go za to winić. Rok, w którym skończyłam dwadzieścia pięć lat, był naprawdę koszmar. Gdybym sama mogła od siebie odejść, też bym odeszła.

Ale to nie usprawiedliwiało tego, co zrobił teraz.

– Otwieraj!

Odgłos bębnienia palcami po klawiaturze laptopa ucichł. Usłyszałam, jak krzesło odsuwa się od biurka. Ben ostrożnie uchylił drzwi.

– Tak? – Niepewnie wyjrzał na korytarz. Gdy mnie zobaczył, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. – Lo! Co ty tu robisz?

– A jak myślisz?

Miał na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na nieco speszzonego.

– Ach, to.

– Tak, to! – Przepchnęłam się obok niego i weszłam do pokoju. – Rozmawiałeś z Nilssonem – oznajmiłam z napięciem w głosie.

– Posłuchaj... – Uniósł dłoń w uspokajającym geście, ale ja nie zamierzałam dać się uspokoić.

– Żadne „posłuchaj”. Jak mogłeś, Ben? Ile trwało, zanim puściłeś farbę? Powiedziałeś mi o moim załamaniu? O lekach? O fakcie, że niemal straciłam pracę? Powiedziałeś mi to wszystko? Powiedziałeś mi o tamtych dniach, gdy nie byłam w stanie się ubrać, a już tym bardziej wyjść z domu?

– Nie! Oczywiście, że nie! Chryste, jak możesz tak myśleć?

– A zatem tylko o tabletkach? I o fakcie, że ktoś się włamał do mojego mieszkania? A może podałeś kilka innych pikantnych szczegółów, żeby utwierdzić go w przekonaniu, że zdecydowanie nie można mi ufać?

– Nie! To nie było tak! – Ben podszedł do drzwi werandy. Odwrócił się i popatrzył na mnie, nerwowo przeczesując palcami włosy. – Ja po prostu... cholera, to po prostu mi się wymknęło. Nie wiem, jak to ze mnie wyciągnął. Zna się na swojej pracy.

– Jesteś dziennikarzem! Chyba znasz frazę „bez komentarza”?

– Bez komentarza – jęknął.

– Nie masz pojęcia, co narobiłeś – wycodziłam. Zaciskałam dłonie tak mocno, że paznokcie wpijały mi się w skórę. Zmusiłam się, żeby rozewrzeć pięści, i potarłam zeszywniałe ręce o materiał dzinsów.

– Jak to? Słuchaj, poczekaj. Potrzebuję kawy. Chcesz?

Miałam ochotę mu powiedzieć, żeby się odpieprzył. Ale prawda była taka, że ja też bardzo potrzebowałam kawy. Skinęłam głową.

– Z mlekiem bez cukru, zgadza się?

– Tak.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – zauważył, wlewając do ekspresu wodę mineralną i wtykając kapsułkę w podajnik.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Cholernie dużo się zmieniło i dobrze o tym wiesz. Jak mogłeś mu to wszystko powiedzieć?

– Ja... sam nie wiem. – Znowu wetknął dłonie we włosy i ścisnął je u nasady, jakby próbował wyciągnąć wymówkę z głowy. – Wpadłem na niego, gdy wracałem ze śniadania. Zatrzymał mnie w korytarzu i zaczął opowiadać, że się o ciebie martwi. Mówił coś o jakichś hałasach w nocy. Miałem kaca, nie rozumiałem, o co mu chodzi. W pierwszej chwili pomyślałem, że nawiązuje do tego włamania. Potem on zaczął wyjaśniać, że nie czujesz się za dobrze... Jezu, Lo, przepraszam. Ale przecież nie poszedłem do niego, żeby cię obgadać. O co mu w ogóle chodziło?

– To nie ma znaczenia. – Wzięłam od niego kawę. Była jeszcze za gorąca, więc oparłam filiżankę na kolanie.

– Owszem, ma. Coś ewidentnie tobą wstrząsnęło. Czy coś się stało zeszłej nocy?

Miałam ochotę posłać go do diabła. Chciałam mu powiedzieć, że stracił moje zaufanie, gdy zaczął paplać na temat mojego prywatnego życia i podważył moją wiarygodność jako świadka. Ale potrzeba powiedzenia komuś o tym, co się stało, przeważała.

– Ja... – Przełknęłam z trudem. Może jeśli zrelacjonuję Benowi wydarzenia ostatniej nocy, wpadnie na coś, o czym ja nie pomyślałam. Ostatecznie był reporterem. I to dość szanowanym, co przyznawałam z niechęcią.

Nabrałam powietrza w płuca, a potem powtórzyłam mu wszystko, co powiedziałam Nilssonowi zeszłej nocy. Mówiłam gorączkowo, rozpaczliwie pragnąc, żeby moja wersja zabrzmiała przekonująco.

– I sęk w tym, że ona tam była, Ben – dokończyłam. – Musisz mi uwierzyć!

– Hola, hola – zawołał, mrugając ze zdziwieniem. – To przecież oczywiste, że ci wierzę.

– Naprawdę? – Z trzaskiem odstawiłam filiżankę na szklany blat stolika. – Wierzysz mi?

– Pewnie, że tak. Nigdy byś sobie czegoś takiego nie wymyśliła.

– Nilsson mi nie wierzy.

– Potrafię zrozumieć, dlaczego Nilsson nie chce ci uwierzyć – powiedział Ben. – Oboje wiemy, że zbrodnie na statkach wycieczkowych to delikatny temat.

Pokiwałam głową. Każdy dziennikarz podróżniczy znał mroczne plotki krążące na temat takich statków. Nie chodziło o to, że ich właściciele mieli bardziej przestępcze ciągoty niż przedstawiciele innych gałęzi branży turystycznej, ale przestępstwa popełniane na pełnym morzu automatycznie trafiały do szarej strefy.

Chociaż Aurora nie przypominała molochów wyglądających jak pływające miasta, o których miałam okazję pisać, jej status prawny na wodach międzynarodowych był zapewne

równie niesprecyzowany. Nawet jeśli zaginięcia były dobrze udokumentowane, sprawy często zamiatano pod dywan. W sytuacjach, gdy nie było jasne, na który kraj spada odpowiedzialność za przeprowadzenie śledztwa, aż za często rozwiązanie problemu pozostawiano zespołowi ochrony na pokładzie – a jego pracownicy, zatrudnieni przez właściciela statku, nie mogli sobie pozwolić na drażnienie lwa, nawet gdyby chcieli.

Potarłam ramiona. Nagle zrobiło mi się zimno, choć w dusznej kabinie działało ogrzewanie. Poszłam do Bena, żeby go ochrzanić i poczuć się lepiej. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, to że podzieli moje obawy.

– Najbardziej martwi mnie to, że... – zaczęłam, ale zamilkłam.

– Co takiego? – zachęcił mnie Ben.

– Ona... ona pożyczyła mi maskarę. To tak ją poznałam. Nie wiedziałam, że sąsiednia kabina jest pusta. Po prostu zapukałam do pierwszych lepszych drzwi, szukając kogoś, kto mnie poratuje w potrzebie.

– No i? – Zmarszczył brwi i wziął kolejny łyk kawy. Ewidentnie nie rozumiał, do czego zmierzam.

– A teraz ta maskara zniknęła.

– Co? Jak to zniknęła?

– Po prostu zniknęła. Ktoś ją zabrał z mojej kabiny, gdy byłam na obchodzie z Nilssonem. Jeśli rzeczywiście nic złego się nie wydarzyło, to po co ktoś by to robił? To był mój jedyny dowód na to, że dziewczyna naprawdę istniała.

Ben wstał, podszedł do werandy i zaciągnął zasłony, jakby się obawiał, że ktoś może nas podglądać. To był dziwny, niepotrzebny gest. Może nie chciał spojrzeć mi w oczy i grał na zwłokę, zastanawiając się, co powiedzieć?

W końcu odwrócił się i usiadł z powrotem w nogach łóżka. Na jego twarzy malowała się już wyłącznie zawodowa determinacja.

– Kto jeszcze o tym wiedział?

– O maskarze? – To było dobre pytanie. Z odrobiną rozgoryczenia pomyślałam, że sama nie wpadłam na to, aby je sobie zadać. – Hmm... chyba nikt poza Nilssonem.

Ta myśl nie dodała mi otuchy. Popatrzyliśmy po sobie. W oczach Bena czaiły się te same nieprzyjemne pytania, które kłębiły się w mojej głowie.

– Ale on był ze mną – powiedziałam w końcu. – Gdy maskara zniknęła.

– Przez cały czas?

– Cóż... raczej tak... Nie, czekaj, jednak nie. Sama jadłam śniadanie. A potem rozmawiałam z Tiną.

– Więc miał czas, żeby ją zabrać.

– Tak – powiedziałam powoli. – Miał. – Czy to on zakradł się do mojej kabiny? Czy to w taki sposób dowiedział się o moich lekach?

– Słuchaj. – Ben westchnął. – Myślę, że powinnaś z tym pójść do Richarda.

– Do lorda Bullmera?

– Tak. Mówiłem ci, że grałem z nim w pokera zeszłej nocy. Wygląda na przyzwoitego gościa. Nie ma sensu kłócić się z Nilssonem. To na Bullmerze spoczywa odpowiedzialność. Mój tata zwykł mawiać, że jeśli masz skargę, powinieneś się z nią udać na samą górę.

– To nie jest kwestia niezadowolonia z obsługi klienta, Ben.

– Mimo wszystko. Ale ten Nilsson... Sytuacja nie wygląda dla niego za dobrze, prawda? A jeśli na pokładzie jest ktoś, kto może go pociągnąć do odpowiedzialności, to tylko Bullmer.

– Ale czy to zrobi? Ma tyle samo powodów co Nilsson, żeby zatuszować sprawę. A nawet więcej. Jeśli to wyjdzie na jaw, przyszłość Aurory stanie pod znakiem zapytania. Kto, do cholery,

będzie chciał płacić dziesiątki tysięcy funtów za luksusową wycieczkę na statku, na którym zabito młodą dziewczynę?

– Znaleźliby się amatorzy, założę się – rzucił Ben z sarkastycznym uśmiechem, a ja się wzdrygnęłam. – Słuchaj, nic ci nie zaszkodzi, jeśli z nim porozmawiasz – naciskał dalej. – Przynajmniej wiemy, gdzie on spędził zeszłą noc, czego nie można powiedzieć o Nilssonie.

– Jesteś pewien, że żadna z osób, z którymi grałeś, nie opuszczała w tym czasie kabiny?

– Absolutnie pewien. Byliśmy w apartamencie Jenssena. Siedziałem twarzą do drzwi wyjściowych przez całą noc. Ludzie wstawali, chodzili do łazienki i tak dalej, ale nikt nie wychodził na zewnątrz. Chloe siedziała z nami przez jakiś czas i czytała książkę, a potem poszła się położyć do sypialni obok – a stamtąd nie było innego wyjścia, jak tylko przez salon. Nikt nie opuszczał apartamentu aż do czwartej rano, co najmniej. Możesz wszystkich wykluczyć.

Zmarszczyłam brwi, odhaczając pasażerów na palcach.

– A więc... ciebie, Bullmera... Archera... Larsa i Chloe. Zostają nam Cole, Tina, Alexander, Owen White i lady Bullmer. Plus personel.

– Lady Bullmer? – Ben uniósł brew. – To chyba trochę naciągana teoria.

– No co? – rzuciłam defensywnie. – Może nie jest taka chora, na jaką wygląda.

– Ta, pewnie, symulowała czteroletnią chorobę, chemioterapię i radioterapię tylko po to, by zapewnić sobie alibi na czas morderstwa jakiejś dziewczyny.

– Daruj sobie ten sarkazm. To była tylko hipoteza.

– Myślę, że szukanie sprawcy pośród pasażerów to fałszywy trop – powiedział Ben. – Nie możesz ignorować faktu, że tylko ty i Nilsson wiedzieliście o tej maskarce. Jeśli nie zabrał jej osobiście, musiał kazać to zrobić komuś innemu.

– Cóż... – Nagle się zawahałam. Coś do mnie dotarło. Spojrzałam na Bena z poczuciem winy.

– Co?

– Ja... próbuję sobie przypomnieć... Gdy byłam z Nilssonem na obchodzie... Nie jestem całkowicie pewna... mogłam coś chlapnąć na temat tej maskary.

– Jezu, Lo! – Ben spojrział na mnie z niedowierzaniem. – To chlapnęłaś czy nie chlapnęłaś? To ma dość istotne znaczenie, wiesz?

– Zdaję sobie z tego sprawę – wycedziłam z rozdrażnieniem. Statkiem zaczęło mocniej kołysać i znów dopadły mnie mdłości. Na wpół strawione naleśniki przelewały mi się w brzuchu. Staralam się odtworzyć w myślach rozmowy prowadzone pod pokładem, ale nie było to łatwe. Miałam takiego kaca, tak bardzo rozpraszało mnie sztuczne oświetlenie tych klaustrofobicznych kajut bez okien... Zamknęłam oczy, czując, jak pokład się przechyla, a wraz z nim sofa, na której siedzę. Próbowałam sobie przypomnieć scenę w stołówce dla personelu. Co, do cholery, powiedziałam tym dziewczętom o sympatycznych buziach? – Nie pamiętam – poddałam się. – Naprawdę nie pamiętam. Ale mogłam o niej wspomnieć. Nie sądzę, żebym to zrobiła, ale też nie mogę być absolutnie pewna, że tego nie zrobiłam.

– Cholera. Cóż, to znacznie poszerza krąg podejrzanych.

– Tak. – Z powagą pokiwałam głową.

– Słuchaj – zasugerował Ben – może ktoś z innych pasażerów coś widział? Kogoś wchodzącego do tej pustej kabiny albo tego, kto ukradł maskarę, kręcącego się pod twoimi drzwiami. Kto jeszcze mieszka w kabinach na rufie?

– Hmm... – Zaczęłam wyliczać na palcach: – Cóż, ja w dziewiątce, ty w ósemce, Alexander w... chyba w szóstej?

– Tina w piątce – dodał Ben w zamyśleniu. – Widziałem wczoraj wieczorem, jak tam wchodziła. To znaczy, że Archer musi zajmować siódemkę. Okay. Chcesz się pobawić w mały

doorstepping?

– Pewnie – zgodziłam się. Od razu zrobiło mi się lepiej. Nie wiedziałam, czy to dlatego, że Ben mi uwierzył, czy że w końcu miałam jakiś plan. Ale potem zerknęłam na ekran laptopa Bena i zobaczyłam, która jest godzina. – Do licha, nie mogę. Nie teraz. Mam tę cholerną wizytę w spa dla pań.

– O której to się kończy? – zapytał Ben.

– Nie mam pojęcia. Ale chyba przed lunchem. Co w tym czasie mają robić panowie?

Ben wstał i przejrzał broszurkę leżącą na biurku.

– Wizyta na mostku kapitańskim. Miłe i seksistowskie. Dla facetów sprawy techniczne, dla kobiet aromaterapia. A nie, czekaj, na jutro mam zaplanowane spa dla mężczyzn. Może po prostu muszą nas jakoś podzielić ze względu na ograniczoną liczbę miejsc. – Wziął z toaletki notes i długopis. – Ja też muszę już iść. Zobaczymy, czego się dowiemy, a po lunchu możemy się tu spotkać i przejść po kabinach pozostałych gości. Potem będziemy mogli przedstawić całą sprawę Bullmerowi. Może zarządzi zmianę kursu i sprowadzi na pokład policję.

Skinęłam głową. Nilsson nie potraktował mnie poważnie, ale gdyby udało się nam znaleźć kogoś jeszcze, kto potwierdziłby moją historię, kto na przykład też usłyszał plusk... Bullmerowi byłoby znacznie trudniej to wszystko zignorować.

– Wciąż o niej myślę – powiedziałam z westchnieniem, kiedy szliśmy do drzwi.

Ben zastygł z ręką na klamce.

– To znaczy?

– O tej dziewczynie. Co musiała czuć, gdy została zaatakowana. Czy jeszcze żyła, gdy wypadła za burtę. Wciąż myślę o tym, co przeżywała, gdy znalazła się w lodowatej wodzie, gdy patrzyła na oddalające się światła statku...

Czy krzyknęła, kiedy zamykały się nad nią fale? Czy próbowała wołać o pomoc, podczas gdy słona woda zalewała jej płuca? Czy jej pierś unosiła się gwałtownie, gdy przenikały ją igielki zimna, a tlenu było coraz mniej? Wyobraziłam sobie jej ciało, opadające coraz głębiej w ciemną, milczącą toń, białe niczym kość. Wyobraziłam sobie ryby skubiące jej oczy, włosy targane morskimi prądami, przypominające smugi czarnego dymu... O tym wszystkim jednak już nie wspomniałam Benowi.

– Przestań – powiedział. – Niech cię nie ponosi wyobraźnia, Lo.

– Ale ja wiem, jak to jest – zaprotestowałam, gdy otwierał drzwi. – Nie rozumiesz? Ja wiem, jak ona się czuła, gdy ktoś przyszedł po nią w środku nocy. Właśnie dlatego muszę się dowiedzieć, kto jej to zrobił.

I dlatego że jeśli nie odkryję prawdy, być może podzielę jej los.

Gdy dotarłam do spa, Chloe i Tina już tam były. Tina przechylała się przez kontuar i przeglądała zawartość otwartego laptopa Evy, a Chloe, zagłębiona w luksusowym skórzanym fotelu, grała na telefonie. Z zaskoczeniem odkryłam, że bez wieczorowego makijażu wygląda kompletnie inaczej. Jej kości policzkowe wydawały się mniej wydatne, a oczy bez mocnego makijażu nie przyciągały tak bardzo uwagi.

Przysłapała mnie na tym, że przyglądam się jej odbiciu w lustrze, i uśmiechnęła się szeroko.

– Zastanawiasz się nad moją tapetą? Najwyraźniej zostałam zapisana na maseczkę, więc ją zmyłam. Mówiłam ci, że niezła ze mnie makijażystka.

– Och, ja nie chciałam... – Zamilkłam, czując, że się czerwienię.

– Konturowanie. – Chloe obróciła się w fotelu i puściła do mnie oko. – Serio, to odmieni twoje życie. Korzystając z kosmetyków, które mam w kabinie, mogłabym z ciebie zrobić każdego – od Kim Kardashian po Natalie Portman.

Już chciałam zażartować, gdy kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Zamarłam. Jedno z ogromnych lusterek za blatem recepcji poruszyło się i schowało do wewnątrz. Kolejne drzwi? Serio? Ile sekretnych przejść jest na tym statku?

Tina poderwała głowę znad laptopa, gdy Eva wyłoniła się zza lustra z uprzejmym uśmiechem.

– Czy mogę pani w czymś pomóc, pani West? – zapytała. – Na tym laptopie trzymamy poufne informacje dotyczące klientów. Obawiam się, że goście nie mogą z niego korzystać. Jeśli potrzebuje pani komputera, Camilla Lidman z radością zorganizuje jakiś i pośle do pani kabiny.

Tina wyprostowała się z zakłopotaniem i odstawiła laptop na miejsce.

– Przepraszam, skarbie. – Miała na tyle przyzwoitości, żeby udawać speszoną. – Ja tylko... eee... szukałam listy zabiegów.

Pełną listę umieszczono w naszych teczkach prasowych, więc była to kiepska wymówka.

– Z przyjemnością przygotuję dla pani wydruk – zapewniła Eva. W jej tonie nie było ani odrobiny chłodu, ale patrzyła na Tinę z rezerwą. – Oferujemy standardowe zabiegi i masaże, maseczki, pedicure i tak dalej. Manicure oraz zabiegi na włosy odbywają się tutaj. – Wskazała na fotel, w którym siedziała Chloe.

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie w takim razie odbywają się pozostałe zabiegi, skoro stał tu tylko jeden fotel, a jacuzzi i sauna zajmowały resztę miejsca, gdy do spa weszła Anne Bullmer. Wyglądała trochę lepiej niż wczorajszego wieczoru, jej skóra wydawała się mniej ziemista, twarz mniej wymizerowana, ale jej ciemne oczy wciąż były podkrążone, jakby w ogóle nie spała.

– Przepraszam – powiedziała zdyszonym głosem, próbując się uśmiechnąć. – Wchodzenie po schodach zajmuje mi teraz tyle czasu...

– Proszę! – Chloe pospiesznie zerwała się z fotela, żeby ustąpić jej miejsca. – Siadaj.

– Nie ma potrzeby – zapewniła Anne.

Chloe jednak nalegała, aż w końcu Eva z uśmiechem przerwała tę wymianę uprzejmości.

– I tak udamy się już do pokoiów zabiegowych, drogie panie. Lady Bullmer, czy zechciałyby pani zająć miejsce w fotelu? Pani West, pani Blacklock i pani Jenssen, może zejdziemy na dół?

Na dół? Zanim dotarło do mnie, co to oznacza, Eva ponownie otworzyła przejście ukryte za lustrzanymi drzwiami, naciskając na ich krawędź. Zaczęłyśmy schodzić gęsiego po skąpanych

w półmroku wąskich schodach.

Mrugałam gwałtownie, próbując się przyzwyczać do przyćmionego światła. Migotanie małych elektrycznych świeczek rozmieszczonych wzdłuż schodów tylko potęgowało ciemność w miejscach, gdzie ich blask nie docierał. Gdy statek przechylił się pod wpływem większej fali, dostałam zawrotów głowy. Czułam za plecami obecność Chloe i zrobiło mi się nieswojo na myśl o tym, że wystarczyłoby lekkie popchnięcie, bym stoczyła się w dół. Skręciłabym kark, a wszyscy pomyśleliby, że to był wypadek.

W końcu dotarliśmy do niewielkiego lobby. W niszy w ścianie umieszczono małą fontannę z zamkniętym obiegiem wody – jej szmer wypełniał całe pomieszczenie. Dźwięk powinien być kojący i na stałym łądzie zapewne by tak było, ale ponieważ przebywaliśmy na pokładzie statku, efekt był wręcz odwrotny. Od razu zaczęłam myśleć o przeciekach i wyjściach ewakuacyjnych. Czy ta część spa znajdowała się poniżej linii wody? Nie było tu żadnych okien.

Poczułam dławienie w okolicach splotu słonecznego i zacisnęłam pięści. Nie panikuj. Na litość boską, chyba nie dostaniesz tu ataku paniki.

Raz. Dwa. Trzy...

Uświadomiłam sobie, że Eva coś do nas mówi. Spróbowałam się skoncentrować na jej słowach i nie myśleć o nisko zawieszonym suficie oraz ciasnej i dusznej przestrzeni. Może zrobi mi się lepiej, gdy już rozpoczną się zabiegi i przestaniemy się tu tłoczyć jak sardynki w puszcze.

– ...trzy pokoje zabiegowe – mówiła właśnie Eva. – Plus fotel na górze, więc pozwoliłam sobie na taki dobór zabiegów, żeby można było przeprowadzić je wszystkie w tym samym czasie.

Proszę, proszę, niech mi przypadnie fotel na górze... Wbijałam paznokcie we wnętrza dłoni.

– Pani West, panią zapisałam na sesję aromaterapii w pokoju numer jeden, z Hanni. – Eva spojrzała na swoją listę. – Pani Jenssen, pani będzie miała maseczkę w dwójce, z Klausem. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani pracownik płci męskiej? Pani Blacklock, dla pani zarezerwowałam zabieg błotny w pokoju numer trzy. Wykona go Ulla.

Poczułam, jak mój oddech przyspiesza.

– A co z lady Bullmer? – zapytała Chloe, rozglądając się. – Gdzie ona jest?

– Będzie miała manicure na górze.

– Hmm... Pewnie nie... czy byłoby możliwe, żeby mi też zrobiono manicure na górze? – odezwałam się nieśmiało.

– Przykro mi. – Eva pokręciła głową z autentycznym żalem. – Ale na górze jest tylko jedno miejsce. Z przyjemnością zapiszę panią na manicure dziś po południu, po zabiegu błotnym. A może wolałaby pani inny zabieg? Możemy zaproponować reiki, szwedzki masaż, tajski masaż, refleksologię... mamy też kabinę floatingową. Jeśli pani czegoś takiego jeszcze nie próbowała, zapewniam, że jest to niezwykle kojące doświadczenie...

– Nie! – przerwałam jej tak gwałtownie, że Tina i Chloe aż odwróciły głowy w moją stronę. Świadomie zniżyłam głos i dodałam: – Nie, nie, dziękuję. Deprywacja sensoryczna to... po prostu nie przepadam za takimi rzeczami.

Już sama myśl o położeniu się w zamkniętej plastikowej trumnie wypełnionej wodą...

– Nie ma sprawy. – Eva się uśmiechnęła. – Cóż, jeśli są panie gotowe, zapraszam. Pokoje zabiegowe znajdują się w głębi korytarza. W każdym jest prysznic. Do dyspozycji pań przygotowano szlafroki i ręczniki.

Pokiwałam głową, ledwie słuchając, co do mnie mówi. Gdy skierowała się z powrotem na górę, ruszyłam wąskim korytarzem za Chloe i Tiną w nadziei, że moja mina nie zdradza, jak bardzo się boję. Dam radę. Nie mogę pozwolić, żeby moje fobie przeszkadzały mi

w wykonywaniu obowiązków zawodowych. „Cześć, Rowan, nie, nie przetestowałam spa, bo znajdowało się dwa piętra niżej niż kabiny i nie miało okien. Przepraszam”. Nie, nie ma mowy. Na pewno poczuje się lepiej, gdy już wejdę do pokoju zabiegowego.

Liczyłam na to, że podczas wizyty w spa uda mi się porozmawiać z Tiną, Anne i Chloe i wysondować, co robiły zeszłej nocy, ale szybko zdałam sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. Chloe prędko zniknęła w pokoju, który jej przydzielono, a Tina już stała przed drzwiami do swojego. Czekałam, aż wejdzie, żebym nie musiała się obok niej przeciskać, ale ona zatrzymała się z ręką na klamce i spojrzała na mnie.

– Skarbie... – Wyglądała na zakłopotaną. – Ja, hmm... Chyba trochę przesadziłam, gdy ostatnio rozmawialiśmy.

W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, o czym ona mówi, a potem przypomniałam sobie o naszym spotkaniu na pokładzie i o jej gwałtownej reakcji na moje pytanie o zeszłą noc. Swoją drogą ciekawe, dlaczego ten temat był dla niej taki drażliwy?

– Cóż mogę powiedzieć... kac... brak fajek. Ale to nie powód, żeby na ciebie naskakiwać... – Widać było, że Tina jest bardziej przyzwyczajona do przyjmowania przeprosin niż do przepraszania.

– Nic się nie stało – zapewniłam ją sztywno. – Całkowicie rozumiem, ja też nie przepadam za porankami. Ja... serio, już puściłam to w niepamięć – skłamałam, czując, jak na twarz wypływa mi rumieniec.

Tina wyciągnęła rękę i ścisnęła moje ramię. Zapewne miał to być przyjazny gest, ale kiedy poczułam na skórze zimne pierścionki zdobiące jej palce, z trudem stłumiłam wzdrygnięcie. Zadrżałam, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. Potem głęboko nabrałam powietrza i zapukałam do pokoju zabiegowego numer trzy.

– Proszę wejść, pani Blacklock! – Otworzyła mi uśmiechnięta Ulla ubrana w biały uniform.

Weszłam i rozejrzałam się po pomieszczeniu. Było małe, ale nie tak wąskie jak korytarz. Poczułam, jak ucisk w piersi powoli ustępuje.

Pokój oświetlono tymi samymi elektrycznymi świeczkami co schody. Na samym środku stało łóżko z uniesionym zagłówkiem, pokryte przezroczystą plastikową folią. W nogach leżało złożone w kostkę białe prześcieradło.

– Witamy w spa, pani Blacklock – przywitała mnie Ulla oficjalnie. – Na dziś zaplanowaliśmy dla pani zabieg błotny. Czy próbowała pani kiedyś czegoś takiego?

Bez słowa pokręciłam głową.

– To bardzo przyjemne doświadczenie, a do tego wspomaga detoksykację skóry. Proszę się rozebrać, położyć na łóżku i przykryć prześcieradłem.

– Czy powinnam zostać w bieliźnie? – zapytałam z udawaną swobodą, jakbym codziennie bywała w takich miejscach.

– Nie, pobrudzi się od błota – odparła Ulla stanowczo. Ale na widok mojej miny schyliła się i wyjęła z szafki coś, co wyglądało jak zmięty papierowy ręcznik.

– Może pani założyć jednorazowe majteczki. Niektóre klientki ich używają, inne nie, najważniejsze, żeby czuła się pani komfortowo. A teraz zostawię panią na chwilę. Gdyby chciała pani najpierw skorzystać z prysznicza, znajduje się tutaj. – Wskazała na wejście do małej łazienki, a potem, wciąż z uśmiechem, wycofała się z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zaczęłam zdejmować ubrania warstwa po warstwie, czując się coraz bardziej niekomfortowo. Położyłam je w stercie na krześle, a potem założyłam liche papierowe majteczki i wdrapałam się na łóżko. Naga skóra nieprzyjemnie lepiała się do plastiku. Podciągnęłam białe prześcieradło aż pod brodę.

Gdy tylko to zrobiłam – tak szybko, że aż zaczęłam się zastanawiać, czy w pokoju przypadkiem nie zamontowano ukrytej kamery – rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Usłyszałam głos Ulli:

– Czy mogę wejść, pani Blacklock?

– Tak – odparłam chrapliwym głosem.

Weszła, trzymając w dłoniach miskę czegoś, co wyglądało jak ciepłe błoto i zapewne właśnie tym było.

– Proszę położyć się na brzuchu – powiedziała cicho, a ja obróciłam się posłusznie, choć nie było to łatwe, bo lepiłam się do plastikowego pokrowca, a prześcieradło zsuwało się z mojej nagiej skóry. Na szczęście dziewczyna przytrzymała je i przykryła mnie z powrotem. Dotknęła jakiegoś przycisku przy drzwiach i pokój wypełniły ciche odgłosy wielorybów i morskich fal. Znowu zaczęły mnie nękać niepokojące obrazy – zaczęłam myśleć o toni, od której dzielił mnie tylko cienki metalowy kadłub...

– Czy mogłaby pani...? – wymamrotałam z zakłopotaniem. – Czy można włączyć jakąś inną muzykę?

– Oczywiście. – Ulla ponownie coś nacisnęła i usłyszałam dźwięk tybetańskich dzwoneczków i dzwoneczków wietrznych. – Czy tak lepiej? – Skinęłam głową. – A zatem jeśli jest pani gotowa...

Gdy już zmusiłam się do rozluźnienia, zabieg okazał się zaskakująco przyjemny. Nie przeszkadzała mi nawet świadomość, że kompletnie obca mi osoba wciera błoto w moje niemal nagie ciało. Nagle zorientowałam się, że Ulla coś do mnie powiedziała.

– Przepraszam – wymruczałam sennie – co pani mówiła?

– Prosiłam, żeby się pani odwróciła – wyjaśniła, a ja przekreśliłam się na plecy, czując, jak pokryta błotem skóra ślizga się na plastiku. Ulla poprawiła przykrywające mnie prześcieradło i zaczęła masować przód moich nóg. Metodycznie posuwała się w górę, aż w końcu rozsmarowała błoto na moim czole, policzkach i powiekach, po czym znów przemówiła cichym, kojącym głosem: – Teraz panią owinę, pani Blacklock, aby błoto zaczęło działać. Wrócę za jakieś pół godziny i pomogę pani zdjąć okład. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę skorzystać z guzika po prawej. – Poprowadziła moją dłoń do guzika wbudowanego w bok łóżka. – Czy wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – wymamrotałam. Ciepło i cichy dźwięk dzwoneczków działały usypiająco. Trudno mi było myśleć o tym, co wydarzyło się minionej nocy. Jeszcze trudniej było mi się tym przejmować. Chciałam tylko spać...

Poczułam, jak Ulla owija mnie folią, a później przykrywa czymś ciężkim i ciepłym – zapewne ręcznikiem. Mimo zamkniętych powiek zarejestrowałam, że światła w pomieszczeniu zostały jeszcze bardziej przygaszone.

– Będę tuż za drzwiami – usłyszałam, a potem rozległo się ciche kliknięcie.

Przestałam walczyć ze zmęczeniem. Pozwoliłam, by ogarnęły mnie ciepło i ciemność.

Śniłam o dziewczynie unoszącej się w zimnych i ciemnych głębinach Morza Północnego, całe mile pod nami. Śniłam o jej śmiejących się oczach, teraz pokrytych bielmem i wytrzeszczonych od słonej wody, o jej miękkiej skórze, pomarszczonej i odchodzącej od kości, o jej koszulce – porwanej na strzępy przez ostre skały.

Tylko jej długie czarne włosy pozostały niezmienione. Falowały niczym sploty ciemnych wodorostów, wplątywały się w muszle i rybackie sieci. Ich pasma, wyrzucane na brzeg jak skrawki postrzępionej liny, leżały zwiotczałe na kamienistej plaży, podczas gdy ryk wzburzonych

fal wypełniał moje uszy.

Obudziłam się pełna lęku, ocieżała z przerażenia. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, gdzie jestem. Jeszcze więcej czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że ryk, który słyszę, nie był częścią snu, lecz jest prawdziwy.

Wstałam z łóżka, drżąc odrobinę i zastanawiając się, jak długo tu leżałam. Ciepły ręcznik zdążył wystygnąć, a błoto pokrywające moją skórę zaschło i popękało.

Ryk najwyraźniej dochodził z łazienki.

Serce waliło mi jak oszałałe, gdy podchodziłam do zamkniętych drzwi, ale w końcu zebrałam się na odwagę i otworzyłam je na oścież. Ze środka buchnęła gorąca para. Zakasłałam, przedzierając się przez jej kłęby, żeby wyłączyć prysznic. Czy to Ulla weszła tu, gdy spałam, i puściła dla mnie wodę? Ale jeśli tak, to dlaczego mnie nie obudziła?

Prysznic w końcu zabulgotał i ucichł. Cofnęłam się, kompletnie przemoczona, z włosami przyklejonymi do twarzy, i po omacku odnalazłam kontakt. Światło zalało łazienkę i wtedy to zobaczyłam.

Na pokrytym parą lustrze ktoś napisał literami wysokimi na jakieś piętnaście centymetrów: PRZESTAŃ WĘSZYĆ.

BBC News, poniedziałek, 28 września

Zaginęła Brytyjka Laura Blacklock: duński rybak znajduje ciało

Duński rybak bagrujący dno Morza Północnego u wybrzeży Norwegii natrafił na ciało kobiety.

W poniedziałek, we wczesnych godzinach porannych, ciało kobiety zostało wyłowione z morza przez duńskiego rybaka. Norweska policja prowadząca śledztwo powiadomiła o sprawie Scotland Yard, co przydało wagi spekulacjom, że zwłoki mogą należeć do zaginionej brytyjskiej dziennikarki Laury Blacklock (32), która w zeszłym tygodniu zniknęła z pokładu norweskiego statku wycieczkowego. Rzecznik Scotland Yardu potwierdził, że brytyjskie służby zostały poproszone o pomoc w dochodzeniu, jednak nie skomentował możliwego związku między tą sprawą a zniknięciem Blacklock.

Norweska policja poinformowała, że ciało należy do młodej kobiety rasy białej, lecz jej tożsamość nie została jeszcze ustalona.

Partner Laury Blacklock, Judah Lewis, odmówił komentarza, gdy zatelefonowaliśmy do jego mieszkania w północnym Londynie. Powiedział tylko, że jest „zdruzgotany przedłużającą się nieobecnością Laury”.

CZEŚĆ PIĄTA

Stałam jak sparaliżowana, patrząc na rozplywające się litery, a serce biło mi tak mocno, że prawie zwymiotowałam. Usłyszałam dziwny dźwięk, jakby skomlenie przerażonego zwierzęcia. Był to straszliwy odgłos, pełen bólu i przerażenia. Jakaś część mnie wiedziała, że źródłem tego dźwięku jestem ja sama.

Potem ściany zaczęły falować i zamykać się wokół mnie. Zdałam sobie sprawę, że właśnie mam atak paniki i że stracę przytomność, jeśli nie wyjdę z łazienki. Ostatkiem sił dotoczyłam się do łóżka i skuliłam w pozycji embrionalnej, próbując uspokoić oddech. Przypomniłam sobie wskazówki mojego psychologa z terapii poznawczo-behawioralnej: spokojne, świadome oddychanie i stopniowa relaksacja – po jednym mięśniu na raz. Spokojne oddychanie... świadoma relaksacja. Spokojne... i świadoma... Świadoma... i spokojne... Już wtedy go nienawidziłam. Jego techniki ledwie mi pomagały nawet w kontrolowanych warunkach, a co dopiero teraz, gdy faktycznie miałam powód do paniki.

Spokojne... i świadoma... Usłyszałam jego pogodny, zadowolony z siebie ton; dawna wściekłość dodała mi sił i pomogła odzyskać grunt pod nogami. Zapanowałam nad płytkim, rwącym się oddechem, usiadłam, przeczesując palcami wilgotne włosy, i rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu telefonu.

Zobaczyłam aparat na blacie, obok pustej miski. Ręce mi się trzęsły, pokrywała je popękana skorupa błota; ledwie udało mi się podnieść słuchawkę i wybrać zero. Ale gdy ktoś po drugiej stronie zapytał ze skandynawskim akcentem: „Dzień dobry, w czym mogę pomóc?“, nie odezwałam się. Trwałam przez chwilę w bezruchu, a potem odłożyłam słuchawkę.

Bo napis zniknął. Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam łazienkowe lustro. Gdy zakręciłam prysznic i zaczął działać wyciąg, cała para zniknęła. Zostało tylko kilka smużek wody w miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się podstawy liter. To wszystko.

Nilsson nigdy by mi nie uwierzył.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i wyszłam na korytarz. Drzwi do pozostałych pokoi zabiegowych były otwarte na oścież. Gdy zajrzałam do każdego z nich, przekonałam się, że są już puste, a schludnie wysprzątane łóżka czekają na kolejnych gości. Jak długo spałam?

Poszłam na górę do recepcji, ale siedziała tu tylko Eva, bębniąc w klawiaturę laptopa. Podniosła wzrok, gdy wyłoniłam się zza lustrzanych drzwi, i posłała mi uśmiech.

– Ach, pani Blacklock! Czy zabieg sprawił pani przyjemność? Jakiś czas temu Ulla zeszła na dół, żeby pomóc pani w zdjęciu okładu, ale spała pani tak głęboko, że postanowiła poczekać jeszcze kwadrans. Mam nadzieję, że nie poczuła się pani zdezorientowana, gdy obudziła się sama?

– Nic się nie stało – zapewniłam sztywno. – Kiedy wyszły Chloe i Tina?

– Jakież dwadzieścia minut temu.

Wskazałam podbródkiem na lustrzane drzwi, teraz zamknięte i niemal niewidoczne.

– Czy to jest jedyne wejście do spa?

– To zależy, co ma pani na myśli, mówiąc „wejście” – powiedziała Eva powoli, ewidentnie zdziwiona. – Może ujmę to inaczej: jest to jedyne wejście, ale nie jedyne wyjście. Na dole znajduje się jeszcze wyjście ewakuacyjne, które prowadzi do kwater personelu, ale ono jest... jak to powiedzieć po angielsku... jednokierunkowe? Otwiera się tylko na zewnątrz. I jest podłączone do systemu alarmowego, więc lepiej, żeby nie próbowała pani go używać, bo da sygnał do ewakuacji! A dlaczego pani pyta?

– Bez powodu.

Źle zrobiłam, paplając tyle przy Nilssonie dziś rano. Nie zamierzałam powtórzyć tego błędu.

– Zaczęli już podawać lunch – Eva zmieniła temat. – Ale proszę się nie martwić, nie jest pani spóźniona. Posiłek jest serwowany w formie bufetu, więc można swobodnie przychodzić i wychodzić. Och! Byłabym zapomniała – zawołała za mną, gdy już odwracałam się, żeby odejść. – Czy panu Howardowi udało się panią znaleźć?

– Nie. – Zamarłam z dłonią na kłamce. – A dlaczego?

– Był tu i szukał pani. Wyjaśniłam, że jest pani w trakcie zabiegu, więc nie będzie mógł porozmawiać z panią osobiście, ale zszedł na dół, żeby zostawić wiadomość u Ulli. Czy chce pani, żebym ją przywołała?

– Nie – odparłam krótko. – Sama go znajdę. Czy ktoś jeszcze w tym czasie schodził na dół?

Eva pokręciła głową.

– Nie. Siedziałam tu przez cały czas. Pani Blacklock, jest pani pewna, że wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam. Po prostu odwróciłam się i opuściłam spa, czując chłód swojej wilgotnej skóry pod ubraniami i lodowaty strach, którego źródło znajdowało się znacznie głębiej.

W jadalni zastałam tylko Cole'a, majstrującego przy swoim aparacie, oraz Chloe, która siedziała naprzeciwko niego, wyglądała przez okno i z roztargnieniem jadła sałatkę. Gdy weszłam, podniosła wzrok i skinęła głową na sąsiednie krzesło.

– Hej! Czyż nie było wspaniale?

– Chyba tak – bąknęłam, siadając obok niej, ale zdałam sobie sprawę, jak dziwnie i nieuprzejmie musiało to zabrzmieć, więc szybko się poprawiłam: – To znaczy tak, było! Mój zabieg był przyjemny. Ja po prostu... nie czuję się za dobrze w zamkniętych przestrzeniach. Cierpię na klaustrofobię.

– Och! – Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. – No właśnie zastanawiałam się, dlaczego wyglądałaś na taką spiętą. Myślałam, że masz kaca.

– Cóż. – Zaśmiałam się sztucznie. – To pewnie też.

Czy to ona zostawiła mi wiadomość na lustrze? Niewykluczone. Ale przecież Ben kategorycznie twierdził, że minionej nocy Chloe nie opuszczała apartamentu.

A zatem może Tina? Pomyślałam o jej żyłastych, silnych ramionach i gwałtownej reakcji na pytanie, jak się bawiła zeszłej nocy. Byłam w stanie uwierzyć, że wypchnęła kogoś za burtę.

Czy to mogła być sprawka Bena? Ostatecznie zszedł na dół, do spa, a na potwierdzenie tego, że wczoraj przesiedział całą noc u Jenssenów, miałam tylko jego słowo.

Chciało mi się krzyżeć. Cała ta sytuacja doprowadzała mnie do szaleństwa.

– Słuchaj – zagadnęłam Chloe z pozorną bez troską – ty grałaś w pokera zeszłej nocy, prawda?

– Sama nie grałam. Ale owszem, byłam tam. Biedny Lars został kompletnie oskubany, ale w sumie stać go na to... – Zaśmiała się krótko i bezlitośnie.

Cole spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To zabrmi odrobinę dziwnie, ale... czy ktokolwiek wychodził z kabiny w trakcie gry?

– Nie potrafiłabym stwierdzić. – Chloe wzruszyła ramionami. – Szybko przeniosłam się do sypialni. Obserwowanie pokera jest wyjątkowo nudne. Ale Cole siedział tam przez jakiś czas, prawda, Cole?

– Tylko z pół godziny – powiedział Cole. – Faktycznie poker nie należy do widowiskowych sportów. Pamiętam, że Howard wychodził po portfel. A dlaczego pytasz?

Nagle zaschło mi w gardle.

– W sumie bez powodu. – Zmusiłam się do uśmiechu i szybko zmieniłam temat: – Jak wyszły zdjęcia?

– Sama zobacz. – Rzucił mi aparat z taką beztroską, że wydałam stłumiony okrzyk i niemal upuściłam sprzęt na blat. – Naciśnij przycisk „play” z tyłu, to będziesz mogła je przejrzeć. Wyślę ci odbitki tych, które ci się spodobają.

Zaczęłam podróż w czasie, oglądając fotografie od końca. Najpierw nastrojowe ujęcia chmur i krążących po niebie mew, potem fotki z wczorajszej partii pokera, na których Bullmer ze śmiechem zagarnia żetony w swoją stronę, a Lars krzywi się, pokazując parę dwójek przeciwko trzem piątkom Bena. Jedna z fotografii zaparła mi dech w piersi. To było zdjęcie Chloe, zrobione z bardzo bliska, akurat gdy zerknęła w stronę obiektywu. Było widać delikatny złocisty puszek na jej policzku i uśmiech drgający w kąciку ust. Fotografia była tak czuła i intymna, że oglądając ją, poczułam się jak intruz. Odruchowo popatrzyłam na Chloe, zastanawiając się, czy coś ją łączy z Cole’em. Zauważyła to i uniosła wzrok.

– Co jest? Znalazłaś jakieś, na którym jestem?

Pokręciłam głową i szybko przeszłam do następnego zdjęcia, zanim zdążyła spojrzeć mi przez ramię. Na kolejnej fotografii byłam ja. To była fotka, którą Cole zrobił mi zniecka wczoraj wieczorem, kiedy niosłam kawę. Uchwycił mnie w momencie, gdy z niepokojem przekręciłam głowę. Wyraz moich oczu sprawił, że się wzdrygnęłam.

Nacisnęłam guzik, żeby kontynuować.

Przeglądałam kolejne zdjęcia ze statku – Tina na pokładzie, spoglądająca w obiektyw niczym drapieżny ptak; Ben wchodzący po trapie z wielkim plecakiem. Ten widok sprawił, że przypomniałam sobie o ogromnej walizce Co-le’a. Co naprawdę w niej było? Twierdził, że sprzęt fotograficzny, ale jak do tej pory widziałam go tylko z tym jednym prostym aparatem.

W końcu dotarłam do serii zdjęć z jakiegoś eleganckiego przyjęcia. Już miałam oddać Cole’owi aparat, gdy nagle moje serce szarpnęło i zastygłam. Na ekranie było widać mężczyznę jedzącego tartinkę.

– Kto to? – zapytała Chloe, zerkając mi przez ramię, a potem dodała: – Zaraz, zaraz, czy tam, w tle, to nie -Alexander Belhomme rozmawia z Archerem?

Owszem, to byli oni. Ale ja nie patrzyłam ani na -Alexandra, ani na Archera.

Patrzyłam na kelnerkę trzymającą tacę z tartinkami.

Wprawdzie stała profilem do obiektywu, a jej ciemne włosy wysunęły się ze spinki i przesłaniały policzek, ale byłam pewna – niemal całkowicie pewna – to była dziewczyna z kabiny numer dziesięć.

Ostrożnie oddałam Cole'owi aparat, próbując ukryć drżenie rąk. Zastanawiałam się, czy powinnam coś powiedzieć. To był dowód. Niezbity dowód na to, że Cole, Archer i Alexander mieli styczność z kobietą, którą widziałam w sąsiedniej kabinie. Czy powinnam zapytać o nią Cole'a?

Siedziałam jak na szpilkach, tymczasem on wyłączył aparat i zaczął go pakować.

Cholera. Cholera! Czy powinnam się odezwać?

Nie miałam pojęcia, co robić.

Z jednej strony, jeśli Cole ma coś do ukrycia, zachowałabym się niewiarygodnie głupio, zdradzając, że zauważyłam zaginioną dziewczynę na fotografii. Udałby, że jej nie kojarzy, a potem zapewne skasowałby fotkę.

Z drugiej strony było bardzo prawdopodobne, że nie zdawał sobie sprawy z wagi tego zdjęcia. Ostatecznie skupiał się na jakimś nieznanym mi mężczyźnie, a dziewczyna tylko przypadkiem znalazła się w kadrze. Możliwe, że nie miał pojęcia, kim ona jest, i byłby skłonny użyć mi tej fotografii. Ale gdybym poruszyła sprawę teraz, przy Chloe... Zresztą licho wie, kto jeszcze nam się przysłuchiwał...

Pomyślałam o tym, jak przy śniadaniu Bjorn wyszedł zza drzwi ukrytych w boazerii, i mimowolnie obejrzałam się przez ramię. Ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę, to żeby zdjęcie podzieliło los maskary. Nie zamierzałam dwa razy popełnić tego samego błędu. Jeśli uznam, że powinnam porozmawiać z Cole'em, muszę to zrobić na osobności. Skoro zdjęcie do tej pory znajdowało się w jego aparacie, będzie w nim bezpieczne jeszcze parę godzin dłużej.

Wstałam na drżących nogach.

– Ja... w sumie to nie jestem głodna – zwróciłam się do Chloe. – Zresztą i tak miałam się spotkać z Benem.

– Och, no właśnie! Zupełnie zapomniałam! – zawołała Chloe. – Szukał cię. Spotkałam go, gdy wychodziłam ze spa. Mówił, że ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– A mówił, dokąd idzie?

– Chyba miał wrócić do swojej kabiny, żeby trochę popracować.

– Dzięki.

Niepostrzeżenie u mego boku znów pojawił się Bjorn.

– Czy mogę przynieść pani coś do picia, pani Black-lock?

Pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję. Przypomniałam sobie, że muszę się z kimś spotkać. Czy mógłbyś, proszę, przysłać kanapkę do mojej kabiny?

– Oczywiście. – Skinął głową.

Wyślizgnęłam się z pomieszczenia, przepaszając machając na pożegnanie Cole'owi i Chloe.

Popędziłam korytarzem prowadzącym do kabin na rufie, a gdy skręciłam za róg, dosłownie wpadłam na Bena. Zderzyliśmy się z takim impetem, że aż mnie zatkało.

– Lo! – Ben złapał mnie za ramię. – Wszędzie cię szukałem!

– Wiem. Co robiłeś w spa?

– No przecież mówię: szukałem ciebie.

Patrzyłam na niego, na tę jego minę niewiniątka i okrągłe oczy, w których czaił się niepokój. Czy mogłam mu zaufać? Nie miałam pojęcia. Jeszcze kilka lat temu powiedziałabym,

że znam Bena na wylot. Byłam o tym przekonana aż do momentu, gdy mnie zostawił. Teraz wiedziałam już, że nie mogę całkowicie ufać nawet samej sobie, a co dopiero komuś innemu.

– Czy byłeś w moim pokoju zabiegowym? – zapytałam ostro.

– Co? – Był zdezorientowany. – Nie, pewnie, że nie. Powiedzieli, że robią ci okład z błota. Uznałem, że raczej nie chciałabyś, żebym się tam wpraszał. Miałem poszukać jakiejś dziewczyny imieniem Ulla, ale nie było jej na dole, więc wsunąłem karteczkę pod twoje drzwi i wróciłem do recepcji.

– Nie widziałam żadnej karteczki.

– Cóż, zostawiłem ją tam. A o co chodzi?

Czułam, jakby mieszanka strachu i frustracji miała rozsadzić mi pierś. Skąd mogłam wiedzieć, czy Ben mówi prawdę? Ale chyba nie kłamałby w takiej sprawie jak jakaś głupia karteczka. Zwłaszcza jeśli to on zostawił wiadomość na lustrze. A może liścik faktycznie tam był, a ja w panice po prostu go nie zauważyłam?

– Ktoś inny zostawił mi wiadomość – wycedziłam w końcu. – Zostawił ją na zaparowanym lustrze w łazience przylegającej do gabinetu, gdy miałam zabieg. Napisał „Przestań węszyć”.

– Co? – Szczeka mu opadła. Jeśli udawał, to był to najlepszy popis gry aktorskiej w jego wykonaniu, jaki kiedykolwiek widziałam. – Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

– Ale... ale nie zauważyłaś, jak ten ktoś wchodzi do pokoju? Czy było jakieś inne wejście do tej łazienki?

– Nie. Ten ktoś musiał przejść przez mój pokój. Ja... – Nagle poczułam się dziwnie zawstydzona, ale szybko zadarłam podbródek. Nie zamierzałam przeproszać. – Ja zasnęłam. Jest tylko jedno wejście do spa, a Eva powiedziała mi, że nikt nie schodził na dół poza Tiną, Chloe... i tobą.

– I personelem – przypomniał mi Ben. – Poza tym na dole z pewnością musi być jakieś wyjście ewakuacyjne.

– Jest wyjście, ale drzwi otwierają się tylko na zewnątrz. Prowadzą do kwater personelu, ale nie można ich otworzyć z drugiej strony. Pytałam.

Ben nie był przekonany.

– Chyba nie tak trudno byłoby je podważyć, prawda?

– Nie, ale są podłączone do systemu alarmowego. Syreny zaczęłyby wyc na całym statku.

– Cóż, z alarmem pewnie też można by sobie poradzić, gdyby wiedzieć o nim wystarczająco dużo. A zresztą Eva nie siedziała w recepcji przez cały czas.

– Jak to?

– Nie było jej tam, gdy wróciłem na górę. Anne Bullmer siedziała i czekała, aż wyschnie jej lakier na paznokciach, ale Ewy nigdzie nie było. Więc jeśli twierdzi, że siedziała w recepcji przez cały czas, to nie mówi prawdy.

O Boże... Pomyślałam o tym, że leżałam tam, niemal całkowicie naga, pod cienką warstwą folii i ręczników, podczas gdy każdy, ktokolwiek, mógł wejść, zatkać mi usta, omotać głowę folią...

– No więc dlaczego tak bardzo chciałeś się ze mną zobaczyć? – Spróbowałam przybrać normalny ton.

Ben wyglądał na autentycznie zaniepokojonego.

– No właśnie. Mieliśmy to oprowadzanie po mostku kapitańskim i tak dalej, co nie? – Skinęłam głową. – Archer chyba próbował wysłać do kogoś esemesa i komórka wypadła mu z rąk. Podniosłem ją. Była otwarta na stronie z kontaktami.

– I?

– Zauważyłem imię „Jess”, ale zdjęcie przedstawiało dziewczynę bardzo podobną do tej, którą opisałaś. Dwudziestokilkuletnia, długie ciemne włosy, ciemne oczy... I jeszcze jedno. Miała na sobie koszulkę Pink Floyd.

Poczułam, jak zimny pot spływa mi po kręgosłupie. Pomyślałam o Archerze, o jego roześmianej twarzy, gdy wykręcał mi rękę, o pełnych dezaprobaty słowach Chloe: „Zaczynam wierzyć, że plotki na temat tego, co zrobił swojej pierwszej żonie, były prawdziwe...”.

– Czy to do niej próbował pisać? – zapytałam.

Ben wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mógł przypadkiem coś nacisnąć, gdy telefon wyslizgnął mu się z dłoni.

Odruchowo wyciągnęłam własną komórkę, żeby wy-googlować „Jess Archer Fenlan”, ale wyniki wyszukiwania nie chciały się załadować. Wciąż nie miałam internetu, nie mogłam nawet sprawdzić poczty.

– Działa ci internet?

Ben pokręcił głową.

– Nie, chyba mają tu jakieś problemy z routerem. Podejrzewam, że takie niedociągnięcia są typowe podczas dziewiczych rejsów, ale ta usterka jest wyjątkowo upierdliwa. Archer tak się o to awanturował w trakcie lunchu, że biedna Hanni prawie wybuchnęła płaczem. Ale poszła porozmawiać z Camillą Jakjejtą i podobno wkrótce to naprawią. W każdym razie taką mam, cholera, nadzieję. Muszę odesłać artykuł.

Ściągnęłam brwi i wetknęłam telefon z powrotem do kieszeni. Czy to Archer zostawił mi wiadomość na lustrze? Pomyślałam o jego sile, o okrucieństwie czającym się w jego uśmiechu – i zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, że być może kręcił się koło mnie, gdy spałam.

– Zeszliśmy na sam dół, do maszynowni – powiedział Ben, jakby czytał mi w myślach. – Po drodze pewnie mijaliśmy to wyjście ewakuacyjne ze spa.

– Czy zauważyłbyś, gdyby ktoś odłączył się od grupy? – zapytałam.

– Wątpię. Było tam bardzo ciasno, nie mieściliśmy się wszyscy naraz w tych małych przestrzeniach. Cała grupa zebrała się z powrotem dopiero po powrocie na górę.

Nagle poczułam nadciągający atak klaustrofobii. Miałam wrażenie, że przytłacza mnie masa statku.

– Muszę się stąd wydostać – rzuciłam.

– Lo...

Ben wyciągnął dłoń, aby dotknąć mojego ramienia, ale uchyliłam się i chwiejnym krokiem ruszyłam do drzwi wychodzących na pokład. Otworzyłam je, walcząc z napierającym wiatrem.

Podmuch uderzył mnie w twarz niczym cios. Dobiegłam do barierki i przewiesiłam się przez nią, czując kołysanie statku. Pustynia ciemnych fal rozciągała się aż po horyzont. Nie widziałam ani skrawka lądu czy choćby innego statku. Zacisnęłam powieki. Pomyślałam o jałowo wirującej ikonce na ekranie telefonu. Nie było dosłownie żadnego sposobu na to, by wezwać pomoc.

– Dobrze się czujesz? – usłyszałam głos Bena nad moim ramieniem. Wiatr porывał słowa. Jeszcze mocniej zamknęłam oczy, chroniąc je przed słoną bryzą, i pokręciłam głową. – Lo...?

– Nie dotykaj mnie – wycedziłam, a gdy statek podskoczył na wyjątkowo dużej fali, poczułam, jak żołądek fika mi koziołka, i zwymiotowałam za reling.

Targały mną torsje, aż w oczach stanęły mi łzy, a w żołądku została tylko żółć.

Ze złośliwą przyjemnością zauważyłam, że moje wymiociny przywarły do kadłuba i iluminatora poniżej. Już nie jest tak idealnie, pomyślałam, ocierając usta rękawem.

– Wszystko w porządku? – zapytał ponownie Ben, a ja zacisnęłam dłonie na barierce. Bądź miła, Lo...

Odwrociłam się i zmusiłam do kiwnięcia głową.

– Już trochę lepiej. Marny ze mnie żeglarz.

– Och, Lo... – Objął mnie i przytulił.

Pozwoliłam mu na to, choć walczyłam z pragnieniem, by się odsunąć. Musiałam mieć Bena po swojej stronie. Musiał mi ufać i myśleć, że ja ufam jemu...

Nagle poczułam woń papierosowego dymu i usłyszałam stukot szpilek na pokładzie.

– Boże... – Wyprostowałam się gwałtownie, wyzwając się z objęć Bena. – To Tina. Możemy wejść do środka? Nie mam siły z nią rozmawiać.

Nie teraz. Nie z zaschniętymi na policzkach łzami i wymiocinami na rękawie. Z pewnością nie wyglądałam w tej chwili na ambitną profesjonalistkę, za jaką chciałam uchodzić w jej oczach.

– Pewnie – powiedział troskliwie Ben i przytrzymał mi drzwi.

W pośpiechu weszliśmy do środka, dokładnie w momencie gdy Tina wyłoniła się zza zakrętu.

W porównaniu z hałasem panującym na zewnątrz w korytarzu było cicho i duszno. Przyglądaliśmy się w milczeniu, jak Tina podchodzi do barierki i wychyla się zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym przed chwilą stałam.

– Jeśli chcesz znać prawdę – mruknął Ben – to stawiałbym na nią. To zimna dziwka.

Popatrzyłam na niego, nie kryjąc zdumienia. Zdarzało się, że nie przepadał za kobietami, z którymi pracował, ale nigdy nie słyszałam w jego głosie tak jawnej niechęci.

– Co? Tylko dlatego, że jest ambitną kobietą?

– Nie tylko. Ty nie miałaś z nią wiele do czynienia, lecz ja owszem. Spotkałem w życiu kilka karierowiczek, ale to zupełnie inna liga. Dla awansu byłaby gotowa zabić. I zazwyczaj czepia się innych kobiet. Nie znoszę takich bab. Same dla siebie są największym wrogiem.

Nie skomentowałam tego. Wydawało mi się, że w jego słowach i tonie pobrzmiwa mizoginia. Ale również Rowan miała o Tinie podobne zdanie.

No i Tina *była* w spa razem ze mną. A rano na mnie naskoczyła...

– Zapytałam ją, jak się bawiła wczoraj wieczorem – przyznałam niechętnie. – Zareagowała naprawdę dziwnie. Bardzo agresywnie. Powiedziała, że nie powinnam robić sobie wrogów.

– Ach, to! – Ben się uśmiechnął, ale nie był to przyjemny uśmiech. Raczej złośliwy. – W życiu by się nie przyznała, że spędziła noc z Josefem. Ale tak się składa, że ja o tym wiem.

– Z Josefem? To znaczy... ze stewardem Josefem? Chyba żartujesz?

– Nie. Dowiedziałem się od Alexandra w trakcie wizyty na mostku. Widział, jak Josef nad ranem po cichu opuszcza kabinę Tiny w stanie... powiedzmy, że w stanie dezabilu.

– A niech mnie!

– W rzeczy samej. Kto by pomyślał, że Josef aż tak dba o komfort pasażerów. On nie jest w moim typie, ale zastanawiam się, czy udałoby mi się namówić Ullę, żeby się o mnie zatroszczyła...

Nie zaśmiałam się. Myślałam o ciasnych kłitkach bez naturalnego oświetlenia, w których mieszkał personel. Do czego mógłby się posunąć człowiek, żeby odmienić swój los?

Tina odwróciła się i zauważyła nas za przeszkłonymi drzwiami. Wyrzuciła papierosa za burtę i puściła do mnie oko, po czym ruszyła z powrotem po pokładzie. Nagle poczułam się

okropnie na myśl o tych wszystkich mężczyznach nabijających się z jej małej przygody.

– A co z Alexandrem, skoro już o tym mówimy? – zapytałam oskarżycielskim tonem. – Jego kabina znajduje się na rufie, razem z naszymi. Dlaczego szpiegował Tinę w środku nocy?

Ben prychnął śmiechem.

– Żartujesz? On musi ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. Nie wyobrażam sobie, żeby był w stanie przerzucić dorosłą osobę przez barierkę.

– Nie grał w pokera, więc nie mamy pojęcia, gdzie się podziewał. Wiemy tylko, że nad ranem wałęsał się po korytarzu. – Przypomniałam sobie, że jego też było widać na zdjęciu zrobionym przez Cole'a, i po plecach przeszły mi ciarki.

– Jest rozmiarów morsa. Poza tym ma problemy z sercem. Widziałaś kiedyś, jak korzysta ze schodów? Albo, co bardziej istotne, czy to słyszałaś? Sapie jak lokomotywa. Aż strach za nim wchodzić, bo brzmi, jakby w każdej chwili mógł wykitować. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby pokonał kogoś w trakcie szarpaniny.

– Ona mogła być bardzo pijana. Albo odurzona narkotykami. Założę się, że każdy mógłby wyrzucić nieprzytomną kobietę za burtę.

– Jeśli była nieprzytomna, to czyj krzyk słyszałaś? – zapytał Ben, a ja nagle poczułam, jak ogarnia mnie wściekłość.

– Boże, mam tego dość! Wszyscy mnie przepytują, czepiają się, jakbym powinna znać odpowiedź na każde pytanie. Nie wiem, Ben. Już sama nie wiem, co o tym myśleć. W porządku?

– W porządku – odparł łagodnie. – Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu głośno myślałem. Alexander...

– Obgadujecie mnie? – z głębi korytarza rozległ się głos.

Odwrociliśmy się jak na komendę. Poczułam, jak rumieńce zalewają mi policzki. Jak długo tam był? Czy słyszał moje spekulacje?

– Och, witaj, Belhomme! – zawołał gładko Ben. Nie wydawał się ani trochę speszony. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

– Słyszałem. – Alexander podszedł do nas, głośno dysząc. Zdałam sobie sprawę, że Ben ma rację. Nawet najmniejszy wysilek sprawiał, że temu facetowi brakowało tchu. – Mam nadzieję, że mówiliście o mnie same dobre rzeczy?

– Oczywiście. Właśnie rozmawialiśmy o dzisiejszej kolacji. Lo mówiła, jak doskonale znasz się na jedzeniu.

Byłam w szoku. Kiedy Ben nauczył się tak dobrze kłamać? A może zawsze potrafił łąć jak z nut, tylko tego nie zauważałam?

Nagle zdałam sobie sprawę, że obaj czekają, aż się odezwę, więc wyjąkałam:

– O tak, pamiętasz, Alexandrze? Opowiadałeś mi o fugu.

– Oczywiście. To takie ekscytujące. Uważam, że odpowiedzialnością człowieka jest wycisnąć z życia każdą, nawet najmniejszą odrobinę wrażeń, nie sądzicie? Inaczej zamienia się ono w krótkie, paskudne i brutalne interludium prowadzące do śmierci. – Obdarzył nas szerokim, krokodylim uśmiechem i poprawił książkę, którą trzymał pod pachą. Zauważyłam, że jest to powieść Patricii Highsmith.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Ben od niechcienia. – Mamy kilka wolnych godzin przed kolacją, jak sądzę?

– Nie mów nikomu – Alexander zniżył głos – ale ten kolor nie jest całkowicie naturalny.

– Dotknął swojego policzka. Skóra rzeczywiście miała raczej orzechową barwę. – Więc idę do spa na maleńki retusz. Moja żona zawsze powtarza, że z opalenizną bardziej mi do twarzy.

– Nie wiedziałam, że jesteś żonaty. – Miałam nadzieję, że moje zaskoczenie nie jest zbyt ewidentne.

Alexander skinął głową.

– Płacę za moje grzechy. Trzydzieści osiem lat w tym roku. Z tego, co wiem, nawet za morderstwo dostaje się mniejszy wyrok!

Niemal się wzdygnęłam na dźwięk jego zgrzytliwego śmiechu. Jeśli faktycznie nie słyszał, o czym wcześniej rozmawialiśmy, była to dziwna uwaga. A jeśli słyszał, była to uwaga w naprawdę złym guście.

– Baw się dobrze – powiedziałam bez przekonania.

Uśmiechnął się znowu.

– Będę. Do zobaczenia na kolacji!

Szedł już korytarzem, gdy wiedziona jakimś niezrozumiałym impulsem zawołałam:

– Czekaj, Alexandrze...

Odwrócił się i uniósł brew. Poczułam, że zaczyna mi brakować odwagi, ale brnęłam dalej:

– Ja... to zabrzmiało odrobinę dziwnie, ale słyszałam zeszłej nocy jakieś hałasy dochodzące z kabiny numer dziesięć, tej na samej rufie. Miała być pusta, tymczasem wczoraj widziałam w niej kobietę. Ale teraz nie możemy jej odnaleźć. Czy widziałeś albo słyszałeś cokolwiek zeszłej nocy? Jakiś plusk wody? Jakikolwiek hałas? Ben mówił, że nie spałeś.

– W rzeczy samej nie spałem – odrzekł oschle. – Mam problemy ze snem. To typowe w moim wieku, wiesz, a nowe łóżko tylko pogarsza sprawę. Więc zrobiłem sobie mały nocny spacer. A po drodze sporo widziałem. Naszą drogą przyjaciółkę Tinę odwiedził pewien bardzo troskliwy steward. A i seksowny pan Lederer krążył po okolicy w którymś momencie. Nie wiem, co tu robił, ostatecznie jego kabina znajduje się na drugim końcu statku. W istocie zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przyszedł odwiedzić... ciebie? – Znowu uniósł brew, spoglądając na mnie porozumiewawczo.

Zarumieniłam się z wściekłości.

– Nie, zdecydowanie nie. Czy to możliwe, że poszedł do kabiny numer dziesięć?

– Nie widziałem – przyznał Alexander z żalem. – Zauważyłem tylko, jak skręca za róg. Może wracał do swojej kabiny, aby zapewnić sobie alibi na czas przewinienia?

– O której godzinie to było? – zapytał Ben.

Alexander ściągnął usta w ciup.

– Hmm... jakoś około czwartej czy czwartej trzydzieści, tak sędzę.

Wymieniliśmy z Benem spojrzenia. Obudziłam się o trzeciej cztery. Zatem jeśli Alexander widział Josefa o czwartej nad ranem, to chyba mogliśmy skreślić Tinę z listy podejrzanych. Steward przypuszczalnie spędził w jej kabinie całą noc. Ale Cole... Z jakiego powodu kręcił się w tej części statku?

Znowu pomyślałam o tej jego ogromnej walizie ze sprzętem, podskakującej na spoinach trapu.

– A kim była kobieta, która wychodziła z twojej kabiny? – zapytał Alexander, chytrze zerkając na Bena.

Ben zamrugał.

– Słucham? Jesteś pewien, że nie pomyliłeś kabin?

– Numer osiem, zgadza się?

– To moja kabina. – Ben zaśmiał się ze skrzepowaniem. – Ale mogę cię zapewnić, że nie było w niej nikogo poza mną.

– Czyżby? – Alexander zachichotał. – Cóż, skoro tak twierdzisz. W sumie było ciemno. Może pomyliłem kabiny. – Znowu poprawił książkę pod pachą. – Cóż, jeśli nie macie więcej pytań, moi drodzy...?

– N-nie... – wybąkałam odrobinę niechętnie. – W każdym razie nie teraz. Ale czy mogę do ciebie zajrzeć, jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy?

– Oczywiście. W takim razie *adieu* do kolacji, na której pojawię się przyrumieniony niczym młody Adonis i podlany jak świąteczny indyk. Tymczasem!

Oddalił się, głośno sapiąc. Patrzyliśmy z Benem, jak znika za rogiem.

– Barwna postać, czyż nie? – zauważył Ben.

– Owszem, wyjątkowo. Myślisz, że to tylko pozory czy zachowuje się tak dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że początkowo udawał, ale teraz stało się to jego drugą naturą.

– A jego żona? Poznałeś ją?

– Nie. Ale najwyraźniej naprawdę istnieje. Ponoć nieco przypomina smoka. To córka niemieckiego hrabiego, swego czasu prawdziwa piękność. Mają niesamowity dom -w South Kensington, pełen oryginalnych dzieł sztuki; Rubens, jeden czy dwa Tycjany, kompletnie niewiarygodne rzeczy. Jakiś czas temu był o tym artykuł w „Hello!”. Poszły plotki, że to obrazy zrabowane przez nazistów, i podobno zainteresowała się nimi Międzynarodowa Fundacja Poszukiwań Dzieł Sztuki, ale ja myślę, że to bzdury.

– Nie potrafię stwierdzić, czy cokolwiek z tego, co powiedział, ma dla nas jakąkolwiek wartość. – Potarłam twarz dłońmi, próbując się pozbyć znużenia, które zaczęło mnie spowijać niczym czarna chmura. – Ta nocna wycieczka Cole’a to dziwna sprawa, co nie?

– Tak... chyba tak. Ale jeśli kręcił się tu około czwartej, to tak naprawdę nic nam nie daje. Szczerze mówiąc, zaczynam podejrzewać, że on po prostu zmyśla to wszystko dla draki. Ta historia o dziewczynie wychodzącej z mojej kabiny to wierutna bzdura. Wierzysz mi, Lo, prawda?

– Ja... – Poczułam rosnącą w moim gardle gulę. Byłam taka zmęczona. Ale nie mogłam teraz odpocząć. Jezu... To by było na tyle, jeśli chodzi o pracę nad przełomem w karierze. Jeśli dalej będę robić tyle hałasu, skończę z książką adresową pełną wrogów, a nie kontaktów. – Tak, oczywiście – wydusiłam w końcu.

Ben spojrzał na mnie, jakby próbował ocenić, czy mówię prawdę.

– To dobrze. Bo przysięgam, że nikogo nie było w mojej kabinie. Chyba że ktoś wszedł do środka pod moją nieobecność...

– Myślisz, że Alexander nas słyszał? – zapytałam bardziej po to, żeby zmienić temat. – To znaczy wcześniej? Tak niepostrzeżenie wyłonił się zza rogu... I pomyśleć, że ktoś tak duży może się tak skradać.

Ben wzruszył ramionami.

– Wątpię. Zresztą nie wygląda mi na człowieka, który długo chowa urazę.

Nie byłam pewna, czy się z nim zgadzam. Alexander wyglądał dokładnie na tego rodzaju człowieka – człowieka, który chowa urazę, i to z przyjemnością.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytał Ben. – Mam pójść z tobą poszukać Bullmera?

Pokręciłam głową. Musiałam wrócić do swojej kabiny i coś zjeść. A poza tym nie byłam wcale pewna, czy chcę, aby Ben uczestniczył w moim spotkaniu z lordem Bullmerem.

Drzwi do mojej kabiny były zamknięte, ale na toaletce stały taca z kanapką i butelką schłodzonej wody mineralnej. Sądząc po kropelkach spływających po ściankach butelki, lunch czekał tu już od jakiegoś czasu.

Nie byłam szczególnie głodna, ale nie miałam nic w ustach od śniadania, a większość tego i tak zwymiotowałam, więc usiadłam i zmusiłam się do jedzenia. Przeżuwałam kanapkę z żytniego chleba z krewetką i jajkiem na twardo i obserwowałam, jak morze unosi się i opada. Bezustanne falowanie odzwierciedlało niespokojne myśli, które kłębiły się w mojej głowie.

Cole, Alexander i Archer mieli styczność z zaginioną dziewczyną. Byłam tego niemal pewna. Coraz trudniej było mi przypomnieć sobie jej rysy, ale gdy zobaczyłam ją na zdjęciu, doznałam wstrząsu. To musiała być ona.

Archer przynajmniej miał alibi, choć dotarło do mnie, że opiera się ono wyłącznie na zeznaniach Bena, który też mógł mieć coś do ukrycia. Jakkolwiek by na to patrzeć, celowo mnie okłamał. Gdyby nie przypadkowa uwaga Cole'a, nigdy nie dowiedziałabym się, że opuszczał kabinę Jenssenów w trakcie gry.

Ale Ben. Ben? To z pewnością nie mógł być on. Jeśli miałam zaufać komukolwiek na pokładzie tego statku, to chyba właśnie jemu, prawda?

Nie byłam już tego pewna.

Przełknęłam ostatni kęs kanapki, otarłam palce w serwetkę i wstałam, czując, jak podłoga przechyla się pod moimi stopami. Podczas gdy jadłam, nadciągnęła morska mgła i w kabinie zrobiło się ciemniej, więc włączyłam światło, zanim sięgnęłam po komórkę. Żadnych nowych wiadomości. Odświeżyłam pocztę. Bałam się choćby myśleć o tym, co oznacza milczenie Judah.

Gdy na ekranie pojawił się komunikat „Próba połączenia nieudana”, odczułam ulgę i strach. Ulgę, bo to oznaczało, że może Judah jednak próbował się ze mną skontaktować. Że jego milczenie nie oznaczało tego, czego się obawiałam. Ale też strach, bo im dłużej internet nie działał, tym bardziej byłam przeświadczona, że ktoś celowo ogranicza mi dostęp do sieci. A to naprawdę zaczynało mnie martwić.

Drzwi do apartamentu Nobla wykonano z tego samego dyskretnego białego drewna co pozostałe, ale fakt, że kabina zajmowała cały dziób statku, świadczył o tym, iż jej wnętrze musi być naprawdę wyjątkowe.

Zapukałam cicho. Nie wiem, czego się spodziewałam: że otworzy mi sam Richard Bullmer, a może pokojówka? Poczulałam się kompletnie zbита z tropu, gdy w progu stanęła Anne Bullmer.

Ewidentnie płakała – jej ciemne oczy były podkrążone i zaczerwienione, a na wymizerowanych policzkach było widać ślady łez.

Zamrugałam. Wielokrotnie przećwiczona w myślach formułka wyleciała mi z głowy. Zastanawiałam się, co powiedzieć, ale każda kolejna fraza wydawała mi się jeszcze bardziej nie na miejscu niż poprzednia: Czy dobrze się pani czuje? Co się stało? Czy mogłabym coś zrobić?

Więc tylko przełknęłam ślinę.

– Tak? – zapytała Anne odrobinę wyzywająco. Uniosła rąbek jedwabnego szlafroka i otarła oczy, a potem zadarła podbródek. – Czy mogę pani w czymś pomóc?

Przełknęłam jeszcze raz i wydukałam:

– Ja... tak, mam nadzieję... Przepraszam, że przeszkadzam, pewnie jest pani zmęczona po poranku w spa...

– Niespecjalnie – odrzekła lakonicznie.

Zagryzłam wargę. Może wykazałam się brakiem taktu, robiąc aluzję do jej choroby.

– Właściwie to miałam nadzieję porozmawiać z pani mężem.

– Z Richardem? Obawiam się, że jest zajęty. Czy ja mogłabym pomóc?

– Ja... nie sędzę – powiedziałam z zakłopotaniem.

Zastanawiałam się, czy przeprosić i po prostu odejść, czy zostać i próbować wyjaśnić, o co mi chodzi. Miałam wyrzuty sumienia, że zakłócam jej spokój, ale z pewnością nie chciałam być niegrzeczna. To jej łzy wytrąciły mnie z równowagi. Inna sprawa, że jej wyniszczona twarz wydawała mi się wyjątkowo niepokojąca. Pod tyłoma innymi względami Anne Bullmer sprawiała wrażenie doskonałej. Zobaczyć kogoś tak uprzywilejowanego, mającego dostęp do najlepszych lekarstw, doktorów i terapii... Widzieć, jak ktoś taki walczy o życie... To było niemal nie do zniesienia.

Chociaż korciło mnie, żeby uciec, gdy o tym wszystkim pomyślałam, postanowiłam, że się nie poddam.

– Cóż, przykro mi – powiedziała kobieta. – Czy to może poczekać? Mogę mu przekazać, o co chodzi?

– Ja... – Wykręciłam palce. Cóż mogłabym jej powiedzieć? Przecież nie zwierzę się ze swoich podejrzeń tej kruchej, znękaney kobiecie. – Ja... Pani mąż obiecał mi wywiad – wyjąkałam w końcu, przypominając sobie propozycję rzuconą mimochodem po kolacji. Ostatecznie nie mijałam się z prawdą. – Powiedział mi, żebym zajrzała do państwa kabiny dziś po południu.

– Och... – Na twarzy kobiety wreszcie pojawiło się zrozumienie. – Tak mi przykro. Musiał o tym zapomnieć. Wydaje mi się, że jest w jacuzzi z Larsem i innymi gośćmi. Mam nadzieję, że złapie go pani przy kolacji.

Nie miałam zamiaru czekać tak długo, ale nie wspomniałam jej o tym, tylko skinęłam głową.

– Czy... czy zobaczymy panią dziś wieczorem? – zapytałam, zirytowana tym, jak bardzo się jąkam. Na litość boską! Ta kobieta jest chora, nie trędowna.

– Mam taką nadzieję. Czuję się dziś odrobinę lepiej. Szybko się męczę, ale nie mogę pozwalać mojemu ciału, by za często wygrywało. To byłaby kapitulacja.

– Czy wciąż przechodzi pani leczenie? – zapytałam.

Pokręciła głową owiniętą w jedwabną chustę.

– Nie w tej chwili. Niedawno przeszłam ostatnią rundę chemioterapii, jak do tej pory. Po powrocie z rejsu czeka mnie jeszcze radioterapia, a potem zobaczymy.

– Cóż, życzę powodzenia – wymamrotałam i skrzywiłam się na myśl o tym, że niechcący potraktowałam jej walkę o życie jak grę hazardową. – I, eee... dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Zamknęła drzwi, a ja ruszyłam w kierunku schodów prowadzących na górny pokład. Czulałam, jak twarz płonie mi ze wstydu.

Nie byłam jeszcze w okolicach jacuzzi, ale wiedziałam, gdzie powinno się znajdować – na górnym pokładzie, nad jadalnią, tuż za spa. Wspięłam się wyłożonymi grubą wykładziną schodami prowadzącymi do restauracji, czekając, aż otoczy mnie jasna przestrzeń, ale zapomniałam o mgłę – gdy dotarłam do drzwi na pokład, za szkłem zobaczyłam tylko ścianę szarości. Gęste opary otulały statek tak ciasno, że ledwie widziałam drugi kraniec pokładu. Wraz z mgłą zrobiło się jeszcze chłodniej i dostałam gęsiej skórki. Stałam niepewnie w drzwiach,

trzęsąc się z zimna i zastanawiając, gdzie dokładnie jestem, gdy usłyszałam przeciągły, żalony ryk buczka mgłowego.

Mgła sprawiła, że wszystko wyglądało obco. Dopiero po pewnym czasie udało mi się ustalić, gdzie znajdują się schody prowadzące na górny pokład. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak ktoś może czerpać przyjemność z siedzenia w jacuzzi przy takiej pogodzie, i nawet przeszło mi przez myśl, że może Anne Bullmer się pomyliła. Ale gdy skręciłam za róg jadalni, zobaczyłam światła i usłyszałam śmiech dochodzący z górnego pokładu. Najwyraźniej istnieli ludzie wystarczająco szaleni, by rozebrać się na takim zimnie.

Żałowałam, że nie nałożyłam kurtki, ale teraz nie było już sensu po nią wracać, więc objęłam się ramionami i wspierałam po przyprawiających o zawrót głowy śliskich stopniach.

W połowie długości pokładu znajdowało się szklane przepierzenie; gdy za nie zajrzałam, zobaczyłam całe towarzystwo. Siedzieli w największym jacuzzi, jakie kiedykolwiek widziałam. Musiało mieć ze trzy metry szerokości. Nad powierzchnię wystawały tylko ramiona i głowy, a bulgocząca woda parowała tak intensywnie, że dopiero po chwili udało mi się rozpoznać twarze Larsa, Chloe, Richarda Bullmera i Cole'a.

– Pani Blacklock! – zawołał Bullmer serdecznie, przekrzykując syk biczy wodnych. – Czy doszła pani do siebie po zeszłej nocy?

Wyciągnął ku mnie opalone muskularne ramię, które szybko pokryło się gęsią skórką w zimnym powietrzu. Ścisnęłam ociekającą wodą dłoń, po czym znów objęłam się ramionami. Ciepło jego uścisku natychmiast się ulotniło i poczułam chłód wiatru na swojej wilgotnej skórze.

– Dołączysz do nas? – Chloe ze śmiechem przywołała mnie gestem, po czym wskazała na kocioł pełen bąbelków.

– Dzięki. – Pokręciłam głową, próbując stłumić drżenie. – Jak na mój gust jest na to trochę za zimno.

– Tutaj jest cieplej, tyle mogę pani powiedzieć! – Bullmer puścił do mnie oko. – Gorące jacuzzi, zimny prysznic... – Wskazał na otwarty prysznic z ogromną głowicą wznoszącą się nad podestem. Ewidentnie nie miał regulacji temperatury wody, tylko jeden stalowy guzik z niebieskim oczkiem. Na ten widok zadrżałam mimowolnie. – ...A potem prosto do sauny – dokończył, spoglądając na drewnianą kabinę za szklanym przepierzeniem. Gdy wyciągnęłam szyję, dojrzałam zaparowane szklane drzwi, za którymi widać było czerwoną poświatę piecyka. – I tak w kółko, tyle razy, ile wytrzyma serce!

– To naprawdę nie moja bajka – odparłam z zakłopotaniem.

– Nie wiesz, co tracisz. – Cole włączył się do rozmowy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, obnażając siekacze. – Muszę przyznać, że wskoczenie pod zimny prysznic prosto po wyjściu z sauny to niezwykle doświadczenie. Co nas nie zabije, to nas wzmocni, prawda?

Wzdrygnęłam się.

– Dzięki, ale raczej nie skorzystam.

– Jak chcesz. – Chloe uśmiechnęła się, leniwie wyciągnęła ociekające wodą ramię nad aparatem Cole'a, który leżał na ziemi, i wzięła kieliszek schłodzonego szampana ze stolika przy jacuzzi.

Nabrałam głęboko powietrza i próbując ignorować zaciekawione miny pozostałych, zwróciłam się bezpośrednio do gospodarza:

– Lordzie Bullmer, proszę posłuchać...

– Proszę mi mówić po imieniu – wtrącił Bullmer.

Zagryzłam wargę i skinęłam głową, próbując uporządkować myśli.

– Richardzie, liczyłam na to, że będę mogła z tobą o czymś porozmawiać, ale nie jestem pewna, czy to odpowiedni moment. Czy mogłabym odwiedzić cię później w twojej kabinie?

– Po co czekać? – Bullmer wzruszył ramionami. – Jeśli czegoś się nauczyłem w trakcie tych wszystkich lat prowadzenia biznesu, to że „teraz” niemal zawsze jest odpowiednią porą. To, co bierzemy za rozważę, najczęściej okazuje się tchórzostwem i ktoś inny dociera na metę przed nami.

– Cóż... – Nie wiedziałam, co robić. Naprawdę nie chciałam z nim rozmawiać w towarzystwie.

– Może coś do picia? – zaproponował Bullmer. Nacisnął przycisk umieszczony na krawędzi jacuzzi i po chwili na pokładzie pojawiła się Ulla.

– Tak, proszę pana? – zapytała grzecznie.

– Szampan dla pani Blacklock.

– Oczywiście, proszę pana. – Dygnęła i ulotniła się.

Odetchnęłam głęboko. Nie miałam wyjścia. Tylko Bullmer mógł zdecydować o zmianie kursu. Jeśli nie porozmawiam z nim teraz, mogę nie dostać następnej szansy. Lepiej wyjaśnić wszystko przy świadkach, niż ryzykować... Wbiłam paznokcie we wnętrze dłoni, starając się nie myśleć o tym, co mogłoby mi się przytrafić.

Otworzyłam usta. Przystań węższyć, syknął cichy głosik w mojej głowie, ale zmusiłam się, żeby przemówić:

– Lordzie Bullmer...

– Richardzie.

– Richardzie... nie wiem, czy rozmawiałeś ze swoim szefem ochrony, Johannem Nilssonem... Czy widziałeś się z nim dzisiaj?

– Z Nilssonem? Nie. – Bullmer ściągnął brwi. – On odpowiada przed kapitanem, nie przede mną. A dlaczego pani pyta?

– Cóż... – zaczęłam, ale w tym momencie u mego boku pojawiła się Ulla z tacą, na której poza kieliszkiem szampana stała cała jego butelka zanurzona w kubelku z lodem.

– Hmm, dziękuję – powiedziałam niezdecydowana. Nie byłam pewna, czy powinnam w tej chwili pić alkohol. Nie po kąśliwych komentarzach Nilssona i przy kacu, który wciąż mi dokuczał. Ale znajdowałam się w trudnym położeniu. Byłam przedstawicielką „Velocity” i gościem Bullmera. Miałam zrobić na nim wrażenie swoim profesjonalizmem i olśnić go urokiem osobistym, tymczasem właśnie zamierzałam rzucić najgorsze możliwe oskarżenie pod adresem jego personelu i gości. Powinnam przyjąć szampana choćby z przyzwoitości.

Sięgnęłam po kieliszek i zaczęłam sączyć z wahaniem, próbując uporządkować myśli. Czując na języku kwaśny posmak, zadrżałam i niemal się skrzywiłam. Zreflektowałam się w ostatniej chwili. To z pewnością wydałoby się Bullmerowi niegrzeczne.

– Ja... to trudne.

– Nilsson – zachęcił mnie Bullmer. – Pytała pani, czy z nim rozmawiałam.

– Tak. Cóż, zeszłej nocy musiałam do niego zatelefonować. Ja... usłyszałam hałasy dochodzące z sąsiedniej kabiny. Z kabiny numer dziesięć.

Richard słuchał mnie uważnie, tak jak pozostałe trzy osoby, przy czym Lars jakby z wyjątkowym zainteresowaniem. Cóż, nie miałam już wyjścia, więc postanowiłam z tego skorzystać. Powiodłam wzrokiem po twarzach zebranych, próbując ocenić ich reakcje, szukając jakichkolwiek oznak poczucia winy czy niepokoju. Lars patrzył na mnie sceptycznie, ściągając usta w niedowierzaniu. W szeroko otwartych zielonych oczach Chloe wyczytałam wyłącznie ciekawość. Tylko Cole wyglądał nieswojo.

– Z apartamentu Palmgren? – Bullmer ściągnął brwi, zdezorientowany. – Myślałem, że ta kabina jest pusta. Solberg zrezygnował, czyż nie? – Popatrzył na resztę gości, szukając u nich potwierdzenia.

– Wysłałam na werandę – ciągnęłam, cały czas obserwując słuchaczy. – A gdy zajrzałam na sąsiedni balkon, na szklanej balustradzie zobaczyłam krew.

– Dobry Boże! – zawołał Lars ze śmiechem, nawet nie próbując ukryć niedowierzania. – Ta historia brzmi jak żywcem wyjęta z powieści kryminalnej. – Czy celowo próbował podważyć moje słowa i wytrącić mnie z równowagi? A może reagował w taki sposób naturalnie? Nie potrafiłam tego stwierdzić. – Mów dalej – zachęcił mnie z sarkazmem w głosie. – Siedzę jak na szpilkach.

– Twój szef ochrony wpuścił mnie do środka – zwróciłam się do Richarda. – Ale kabina była pusta. A krew na barierce...

Nagle rozległ się brzęk, a zaraz po nim plusk.

Wszyscy w tym samym momencie spojrzeliśmy na Cole'a. Krew spływała mu po palcach na drewniane odeskowanie pokładu.

– Chyba nic mi nie jest – powiedział niepewnie. – Przepraszam, Richardzie, nie wiem, jak to się stało, ale przewróciłem kieliszek i... – Wyciągnął przed siebie garść odłamków poplamionych krwią.

– Faj! – Chloe głośno przełknęła ślinę i zacisnęła powieki. Jej twarz stała się bladozielona. – Boże, Lars...

Richard odstawił swój kieliszek, wyszedł z jacuzzi i wziął biały szlafrok ze sterty leżącej na ławce. Przez chwilę nic nie mówił, tylko patrzył niewzruszony na pokaleczoną dłoń Cole'a. Następnie zerknął na Chloe, która zdawała się bliska omdlenia, i wydał serię rozkazów na podobieństwo chirurga na sali operacyjnej:

– Cole, na litość boską, zostaw to szkło. Poproszę Ullę, żeby oczyściła ci ranę. Lars, zabierz Chloe do kabiny. Jest biała jak ściana. Daj jej valium, jeśli będzie trzeba. Eva ma dostęp do apteczki. Pani Blacklock... – zawahał się, jakby ważył słowa. – Pani niech pójdzie do jadalni. Przyjdę tam, jak już się uporam z tym bałaganem, i porozmawiamy o tym, co dokładnie pani widziała i słyszała.

Po godzinnej rozmowie z Richardem Bullmerem wiedziałam już, dlaczego zaszedł w życiu tak daleko.

Nie tylko wysłuchał mojej opowieści, ale dosłownie mnie przemaglował, zatrzymując się przy niemal każdym słowie, żądając podania dokładnych godzin i szczegółów, wyciągając ze mnie detale, o których sama nie wiedziałam, że je pamiętam. Zapytał na przykład o to, jak dokładnie wyglądał ślad krwi na balustradzie i czy był to raczej rozprysk, czy może rozmazana smuga.

Jednocześnie nie wypełniał żadnych luk spekulacjami, nie próbował mnie zwodzić czy przekonywać do rzeczy, których nie byłam pewna. Po prostu siedział i zasypywał mnie pytaniami, popijając stygnącą czarną kawę i wpatrując się we mnie intensywnie niebieskimi oczami. O której godzinie? Jak długo? Kiedy to było? Jak głośny był krzyk? Jak ona wyglądała? Zauważyłam, że ton jego głosu odrobinę się zmienił, zniknęła fasada uprzejmości, pozostał czysty profesjonalizm. Bullmer był całkowicie skupiony, poświęcał mojej opowieści absolutną uwagę, a na jego twarzy nie malowały się żadne emocje.

Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, nie przypuszczałby, że właśnie poinformowałam Bullmera o czymś, co mogłoby zadać cios całemu jego przedsięwzięciu, i zasugerowałam, że na pokładzie znajduje się psychopata. Spodziewałam się, że zareaguje sceptycznie, tak jak zrobił Nilsson, albo będzie powściągliwy jak stewardesy. Ale choć uważnie obserwowałam jego twarz, nie znalazłam w niej ani odrobiny niedowierzania czy wyparcia. Wyglądał, jakby rozwiązywał krzyżówkę. Zaimponował mi ten jego stoicyzm, ale też sprawił, że poczułam się dziwnie. Starcie z Nilssonem nie było miłe, ale musiałam przyznać, że okazywał bardzo ludzkie emocje. Nie potrafiłam natomiast stwierdzić, co myślał Bullmer. Czy był wściekły i spanikowany, ale po prostu dobrze to ukrywał? A może naprawdę był taki spokojny i opanowany, na jakiego wyglądał?

Kiedy poprosił, abym raz jeszcze streściła mu swoją rozmowę z zaginioną dziewczyną, pomyślałam, że może ta zimna krew to niezbędny warunek do osiągnięcia w życiu tego, co on osiągnął – zarządzał setkami miejsc pracy oraz inwestycjami wartymi miliony funtów.

W końcu, gdy już wszystko zostało powiedziane i nie miałam nic więcej do dodania, Bullmer zamilkł na chwilę, z pochyloną głową i ściągniętymi brwiami. Potem zerknął na rolexa na swoim opalonym nadgarstku i odezwał się:

– Dziękuję, pani Blacklock. Myślę, że w tej chwili już nic więcej nie wskóramy, a widzę, że personel chce zacząć przygotowywać salę do kolacji. Ogromnie mi przykro, to ewidentnie było dla pani bardzo stresujące i przerażające doświadczenie. Jeśli wyrazi pani zgodę, chciałbym przedyskutować sprawę z Nilssonem i kapitanem Larsenem, aby się upewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wyjaśnić sytuację. Może moglibyśmy się spotkać jutro z samego rana, żeby omówić następne kroki? Tymczasem mam ogromną nadzieję, że mimo wszystko będzie pani w stanie zrelaksować się na tyle, by cieszyć się nadchodzącą kolacją i resztą wieczoru.

– A na czym będą polegać te następne kroki? – nie ustępowałam. – Rozumiem, że zmierzamy do Trondheim, ale czy moglibyśmy się zatrzymać gdzieś wcześniej? Wydaje mi się, że powinnam to zgłosić na policję tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Być może uda się znaleźć wcześniej jakieś miejsce postojowe – powiedział Bullmer, wstając. – Ale będziemy w Trondheim już jutro z samego rana, więc możliwe, że to wciąż

najlepsze rozwiązanie. Jeśli przybijemy do brzegu w środku nocy, możemy mieć małe szanse na znalezienie działającego posterunku policji w jakiejś przypadkowej wiosce. Będę musiał porozmawiać o tym z kapitanem. Jeśli do incydentu doszło na wodach brytyjskich lub międzynarodowych, norweska policja może nie być w stanie za wiele zdziałać. To kwestia jurysdykcji, nie ich opieszałości, rozumie pani. Jest dużo zmiennych.

– A jeśli faktycznie tak było? Co, jeśli byliśmy na wodach międzynarodowych?

– Statek jest zarejestrowany na Kajmanach. Będę musiał porozmawiać z kapitanem i dowiedzieć się, jak to może wpłynąć na sytuację.

Poczułam ucisk w żołądku. Czytałam relacje ze śledztw prowadzonych na statkach zarejestrowanych na Bahamach. Wysyłają jednego policjanta, żeby sporządził pobieżny raport i zamiótł sprawę pod dywan najszybciej, jak się da. I to w okolicznościach, gdy zaginięcie było ewidentne. Jak wyglądałoby dochodzenie w tej sytuacji, kiedy jedyny dowód na istnienie tamtej dziewczyny dawno rozpląnął się w powietrzu?

Mimo wszystko rozmowa z Bullmerem sprawiła, że poczułam się lepiej. W przeciwieństwie do Nilssona on przynajmniej zdawał się mi wierzyć i traktował moją relację poważnie.

Wyciągnął dłoń na pożegnanie, a gdy jego przeszywające niebieskie spojrzenie napotkało moje, uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu. To był osobiście asymetryczny uśmiech, ale było mu z nim do twarzy.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę wspomnieć – powiedziałam nagle.

– Tak? – Bullmer opuścił dłoń, podczas gdy jego brwi powędrowały do góry.

– Ja... – Przełknęłam. Nie chciałam o tym mówić, ale wiedziałam, że jeśli zamierza porozmawiać z Nilssonem, prawda i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw. Lepiej, żeby usłyszał to ode mnie. – Piłam alkohol tamtego wieczoru, zanim... zanim to się wydarzyło. A jednocześnie przyjmuję antydepresanty. Zażywam je od kilku lat, mniej więcej od dwudziestego piątego roku życia. Ja... miałam kiedyś załamanie nerwowe. A Nilsson... myślę, że uznał... – Znowu przełknęłam ślinę.

Bullmer uniósł brwi jeszcze wyżej.

– Chce pani powiedzieć, że Nilsson zważył w pani opowieść, bo zażywa pani leki na depresję?

Wzdrygnęłam się, słysząc, jak dosadnie to ujął. Pokiwałam głową.

– Nie otwarcie, ale owszem, rzucił komentarz na temat tego, że takich leków nie powinno się mieszać z alkoholem, i sędzę, że miał na myśli... – Bullmer milczał, przyglądając mi się z niezmaconym spokojem, a ja nagle zaczęłam wyrzucać z siebie słowa tak intensywnie, jakbym chciała stanąć w obronie Nilssona: – Chodzi o to, że tuż przed rejssem ktoś włamał się do mojego mieszkania. Mężczyzna zaatakował mnie. Nilsson dowiedział się o tym i chyba uznał, że... cóż, że moja reakcja na wydarzenia wczorajszej nocy mogła być przesadzona.

– Jest mi niewymownie wstyd, że jeden z pracowników tego statku sprawił, że tak się pani poczuła. – Bullmer ujął moją dłoń i ścisnął jak w imadle. – Proszę mi wierzyć, pani Blacklock, że traktuję pani opowieść z całkowitą powagą.

– Dziękuję. – To jedno krótkie słowo nie oddawało sprawiedliwości uldze, jaką poczułam na myśl o tym, że ktoś w końcu naprawdę mi uwierzył. I to nie byle kto, ale sam Richard Bullmer, właściciel Aurory. Jeśli ktokolwiek mógł się uporać z zaistniałą sytuacją, to tylko on.

Idąc do swojej kabiny, potarłam oczy, czując, jak pieką mnie ze zmęczenia, a potem pogrzebałam w kieszeni w poszukiwaniu komórki, żeby sprawdzić, która godzina. Dochodziła siedemnasta. Jak ten czas szybko mija!

Odruchowo otworzyłam pocztę i próbowałam ją odświeżyć, ale wciąż nie było połączenia

z siecią. Poczułam znajome ukłucie niepokoju. Ta awaria z pewnością trwa już za długo, prawda? Powinnam była wspomnieć o tym Bullmerowi, ale teraz było już za późno. Zniknął za jednym z niepokojących ukrytych przejść, zapewne po to, aby porozmawiać z kapitanem albo nawiązać kontakt radiowy z lądem.

A jeśli Jude wysłał do mnie maila? Albo nawet próbował się dodzwonić? A może po prostu wciąż mnie ignorował? Pomyślałam o jego dłoni głaszczącej moje plecy, o mojej twarzy wtulonej w jego pierś, poczułam ciepło jego koszulki pod policzkiem i fala tęsknoty zalała mnie z taką siłą, że niemal się zachwiałam.

Jutro będziemy w Trondheim. A wtedy nikt mnie nie powstrzyma przed uzyskaniem dostępu do internetu.

– Lo! – zawołał ktoś za moimi plecami.

Odwrociłam się. Ben szedł wąskim korytarzem. Nie był dużym mężczyzną, ale zdawał się całkowicie wypełniać tę przestrzeń. Złudzenie optyczne rodem z *Alicji w Krainie Czarów* sprawiało, że korytarz zdawał się kurczyć, a Ben robił się coraz większy i większy.

– Ben! – Staralam się, by zabrzmiało to radośnie.

– Jak poszło? – Zrównał się ze mną i zaczęliśmy iść razem w stronę naszych kabin. – Widziałas się z Bullmerem?

– Tak... Myślę, że poszło dobrze. W każdym razie wygląda na to, że mi uwierzył. – Nie wspomniałam o tym, o czym zaczęłam myśleć po rozstaniu z nim, a mianowicie że w ogóle nie odkrył swoich kart. Kiedy skończyliśmy rozmawiać, czułam się pewna siebie i uspokojona, jednak gdy zaczęłam wspominać jego słowa, zdałam sobie sprawę, że niczego mi nie obiecał. Używał sformułowań takich jak „Jeśli to jest prawda...” albo „Jeśli to, co pani mówi...”. Jak się nad tym zastanowić, to nie powiedział mi nic konkretnego.

– No to świetnie – ucieszył się Ben. – Czy zmieni kurs?

– Nie wiem. Chyba uznał, że zbaczanie z kursu w tym momencie nie ma już sensu, że lepiej będzie dopłynąć do Trondheim najszybciej, jak się da.

Dotarliśmy do naszych kabin i wyciągnęłam z kieszeni kartę magnetyczną.

– Boże, mam nadzieję, że dzisiejsza kolacja minie szybciej niż wczorajsza. – Westchnęłam ze znużeniem, otwierając drzwi. – Chcę się porządnie wyspać, żeby mieć jutro jasny umysł, gdy będę zeznawać na policji.

– A więc wciąż chcesz tak to rozegrać? – Ben trzymał dłoń na futrynie, więc nie mogłam się pożegnać i zamknąć drzwi, ale zakładałam, że nie robił tego świadomie.

– Tak. Gdy tylko statek zacumuje w Trondheim, idę na komisariat.

– A czy to nie zależy od tego, co powie kapitan na temat pozycji statku w chwili incydentu?

– Prawdopodobnie. Myślę, że Bullmer właśnie teraz z nim o tym rozmawia. Ale mimo wszystko chcę, żeby to zostało gdzieś zgłoszone, nawet jeśli norweska policja nie będzie mogła rozpocząć śledztwa.

Im szybciej moje zeznania zostaną gdzieś oficjalnie odnotowane, tym bezpieczniej będę się czuła.

– Jasne, rozumiem – skwitował Ben swobodnie. – Cóż, cokolwiek wydarzy się jutro, masz czysty rejestr. Trzymaj się faktów, mów jasno i bez emocji, jak w rozmowie z Bullmerem. Uwierzą ci. Nie masz powodu, żeby kłamać. – Opuścił ramię i cofnął się o krok. – Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała, prawda?

– Tak. – Obdarzyłam go zmęczonym uśmiechem.

Już miałam zamknąć drzwi, gdy jego ręka wróciła na futrynę.

– Och, byłbym zapomniiał... Słyszałaś o Cole'u? – rzucił od niechcenia.

– O jego ręce? – Tamto zdarzenie prawie wyleciało mi z głowy, ale teraz przypominałam je sobie ze wszystkimi szczegółami; krew ściekająca na pokład, zielonkawy odcień twarzy Chloe... – Biedny facet. Będzie potrzebował szycia?

– Nie wiem, ale to nie wszystko. Przy okazji jakimś cudem stracił do jacuzzi swój aparat. Jest kompletnie zdruzgotany. Mówi, że nie potrafi zrozumieć, jak mógł zostawić go tak blisko krawędzi.

– Żartujesz?

– Nie. Uważa, że obiektyw da się uratować, ale sam aparat i kartę SD można spisać na straty.

Świat zamigotał mi przed oczami, na moment straciłam ostrość widzenia. Pomyślałam o zdjęciu zaginionej dziewczyny, które oglądałam na małym ekranie aparatu Cole'a. O zdjęciu, które prawdopodobnie przypadło na zawsze.

– Hej! – zawołał Ben ze śmiechem. – Nie przejmuj się tak! Jestem pewien, że był ubezpieczony. Szkoda tylko tych fotek. Pokazywał nam je przy lunchu. Miał sporo świetnych zdjęć, w tym jedno twoje, bardzo urocze... – urwał i wyciągnął rękę, by dotknąć mojego podbródka. – Wszystko w porządku, Lo?

– Nic mi nie jest. – Gwałtownie odchyliłam głowę i spróbowałam się zmusić do uśmiechu. – Ja tylko... nie sądzę, bym kiedykolwiek jeszcze wybrała się w taki rejs. Nie za dobrze się tu czuję. Wiesz... całe to morze i poczucie klaustrofobii... Naprawdę chciałabym już być w Trond-heim. – Serce waliło mi jak oszalałe. Nie mogłam się doczekać, kiedy Ben wreszcie sobie pójdzie. Musiałam zebrać myśli. Musiałam rozgryźć tę zagadkę. – Czy... mógłbyś? – Wskazałam na jego dłoń wciąż spoczywającą na futrynie, a on roześmiał się i wyprostował.

– Pewnie! Przepraszam, my tu gadu-gadu, a ty pewnie chcesz się przebrać do kolacji, prawda?

– Prawda. – Mój głos zabrzmiał wysoko i fałszywie.

Kiedy już się pozbyłam Bena, zamknęłam drzwi na zamek, a potem przywarłam plecami do drewna i osunęłam się na ziemię. Przyciągnęłam kolana do piersi i oparłam o nie czoło, przymykając oczy. Pod powiekami natychmiast ujrzałam wyraźny obraz – Chloe wyciągająca rękę po swój kieliszek. Przypomniałam sobie wodę ściekającą z jej ramienia na aparat leżący na ziemi.

Nie było mowy, żeby Cole czy ktokolwiek inny przypadkiem stracił aparat do wody. Sprzęt wcale nie leżał blisko krawędzi jacuzzi. Ktoś skorzystał z zamieszania, wywołanego przez moje rewelacje oraz stłuczony kieliszek Cole'a, i celowo go tam wrzucił. A ja nie potrafiłam stwierdzić kto. To mogło się wydarzyć znacznie później, gdy już wszyscy opuściliśmy pokład. To mogła być sprawka niemal każdego z gości albo kogoś z personelu, a może nawet samego Cole'a.

Ściany apartamentu zdawały się mnie przytłaczać. Było tu za ciepło, za duszno i poczułam, że muszę natychmiast wydostać się na zewnątrz.

Mgła wciąż spowijała statek, ale stałam na werandzie, głęboko wdychając zimne powietrze, i czułam, jak jego świeżość wypełnia moje płuca, wrywa mnie z otępienia. Musiałam zacząć myśleć. Czułam, że mam do dyspozycji wszystkie elementy układanki i uda mi się poskładać je w całość, jeśli wystarczająco się postaram. Gdyby tylko głowa nie bolała mnie tak bardzo...

Wychyliłam się przez balustradę, jak ostatniej nocy, i przypominałam sobie ten moment: głośny plusk, odgłos ukradkowo zasuwanych drzwi, smuga krwi na szkle... Nagle nabrałam całkowitej pewności, że nie wymyśliłam sobie żadnej z tych rzeczy. Ani maskary, ani krwi, ani twarzy dziewczyny z kabiny numer dziesięć. A przede wszystkim nie wymyśliłam sobie jej

samej. I to ze względu na nią nie mogłam odpuścić. Bo wiedziałam, jakie to uczucie obudzić się w środku nocy i odkryć, że ktoś obcy wszedł do twojego pokoju, jak okropne jest przeświadczenie, że zaraz wydarzy się coś strasznego, a ty nie możesz temu zapobiec.

Wieczorne wrześnie powietrze nagle wydało mi się lodowato zimne i przypomniałam sobie, jak daleko na północy jesteśmy – niemal w okolicach koła podbiegunowego. Zadrżałam gwałtownie. Wyciągnęłam telefon z kieszeni i jeszcze raz sprawdziłam, czy mam zasięg. Uniosłam aparat wysoko, jakby to mogło w magiczny sposób przywrócić sygnał, ale na wyświetlaczu nie pojawiła się ani jedna kreska.

Ale jutro... Już jutro będziemy w Trondheim. Zamierzałam zejść z tego statku i udać się prosto na posterunek policji. Żeby nie wiem co.

Gdy przed kolacją robiłam makijaż, czułam się tak, jakbym przybierała barwy wojenne. Warstwa po warstwie nakładałam na twarz maskę profesjonalizmu i opanowania, która miała mi pomóc w przejściu przez to wszystko.

Tak naprawdę miałam ochotę skulić się pod kołdrą i nigdzie nie wychodzić. Sama myśl o prowadzeniu jałowych rozmów z grupą osób, pośród których mógł się kryć morderca – albo o jedzeniu posiłków serwowanych przez kogoś, kto być może zeszłej nocy zabił kobietę – wydawała mi się przerażająca i kompletnie nierealna.

Ale nie zamierzałam się poddać. Gdy tak stałam przy łazienkowym lustrze, tuszując rzęsy maskarą pożyczoną od Chloe, przyłapałam się na tym, że badawczo przyglądam się swemu odbiciu, szukając zbuntowanej, pełnej ideałów dziewczyny, która piętnaście lat temu zaczynała studia dziennikarskie. Przypomniałam sobie, jak marzyłam o tym, że zostanę dziennikarką śledczą i będę zmieniać świat. Ale podjęłam pracę w magazynie podróżniczym, żeby mieć za co płacić rachunki, i niemal wbrew sobie zaczęłam czerpać z tego przyjemność, cieszyć się bonusami i marzyć o stanowisku, które zajmowała Rowan – o prowadzeniu własnego czasopisma. I nie było w tym nic złego. Nie wstydziłam się tego, kim się stałam. Jak większość ludzi brałam to, co mi dawali, i starałam się pracować jak najlepiej. Ale nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy, gdyby zabrakło mi odwagi, żeby spróbować odkryć, co naprawdę wydarzyło się na pokładzie tego statku.

Rozmyślałam o wszystkich tych kobietach, które podziwiałam, zdających relacje ze stref wojennych na całym świecie; o ludziach, którzy demaskowali skorumpowane rządy, szli do więzienia, żeby chronić swoje źródła, ryzykowali życie, by dotrzeć do prawdy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby Martha Gellhorn posłusznie zastosowała się do ostrzeżenia „Przestań węszyć”, a Kate Adie chowała się w pokoju hotelowym ze strachu przed konsekwencjami swoich działań.

„Przestań węszyć”. Groźba wyryła się w mej pamięci. Musnęłam usta błyszcznikiem, po czym chuchnęłam w lustro i wypisałam na mgiełce przesłaniającej moje odbicie jedno jedyne słowo: NIE.

Inna sprawa, że gdy w końcu wyszłam z łazienki i włożyłam wieczorowe buty, jakiś cichy egoistyczny głosik podpowiedział mi, że w towarzystwie będę bardziej bezpieczna. Nikt nie mógł mi zrobić krzywdy w pokoju pełnym świadków.

Właśnie wyglądałam sukienkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto to? – zawołałam.

– Tu Karla, pani Blacklock.

Otworzyłam drzwi. Karla stała w korytarzu, uśmiechając się do mnie.

– Dobry wieczór, pani Blacklock. Chciałam tylko przypomnieć, że kolacja zaczyna się za dziesięć minut, a drinki są podawane w salonie Lindgren, jeśli jest pani gotowa do nas dołączyć.

– Dziękuję – odparłam, a gdy się odwróciła, pod wpływem jakiegoś impulsu zawołałam za nią: – Karla?

– Tak? – Zawróciła, wysoko unosząc wyskubane brwi. Na jej twarzy odmalowało się coś na podobieństwo trwogi. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Ja... sama nie wiem. Chodzi o to, że... – Odetchnęłam głęboko, zastanawiając się, jak to ująć. – Kiedy rozmawiałam z wami dziś rano, na dole, odniosłam wrażenie, że... że może jednak jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć. Że może wolałaś się nie odzywać w obecności pani

Lidman... Chciałam tylko dać ci znać, że jutro zgłoszę się na policję w Trondheim, żeby złożyć zeznania na temat tego, co widziałam. Więc jeśli jest coś... cokolwiek, co chciałaś mi powiedzieć, to teraz byłby naprawdę dobry moment, żeby to zrobić. Mogę ci zagwarantować, że pozostaniesz anonimowa. – Znowu pomyślałam o Marcie Gellhorn i Kate Adie, i o tym, kim chciałam kiedyś być. – Jestem dziennikarką – dodałam. – Zawsze chronimy nasze źródła.

Dziewczyna milczała, wykręcając palce.

– Karla? – zachęciłam ją. Przez chwilę wydawało mi się, że do jej oczu napływają łzy, ale zamrugała i powstrzymała je.

– Ja nie... – zaczęła, a potem wymamrotała coś pod nosem w swoim języku.

– Nie martw się – przekonywałam dalej. – Możesz mi zaufać. Obiecuję, że nikomu tego nie powtórzę. Czy kogoś się obawiasz?

– To nie o to chodzi – jęknęła żałośnie. – Jestem smutna, bo mi pani żal. Johann mówi, że pani to wszystko zmyśliła, że jest pani... jak to się mówi? Że ma pani paranoję i że... że robi to pani, bo chce pani ściągnąć na siebie uwagę. Ale ja tak nie myślę. Wierzę, że jest pani dobrą osobą. I że jest pani przekonana, że mówi prawdę. Ale... pani Blacklock, my potrzebujemy naszych posad. Jeśli policja stwierdzi, że na tym statku wydarzyło się coś złego, nikt nie będzie chciał z nami podróżować. I trudno nam będzie znaleźć nową pracę. Ja potrzebuję tych pieniędzy. Mam małego synka, Erika... jest w domu z moją matką. Ona potrzebuje pieniędzy, które jej posyłam. Nawet jeśli ktoś pozwolił swojej przyjaciółce skorzystać z pustej kabiny, to nie oznacza od razu, że została zabita, prawda?

Odwróciła się, ale wyciągnęłam rękę, żeby ją zatrzymać.

– Czekaj. Co chcesz przez to powiedzieć? Że w tamtej kabinie była dziewczyna? Że ktoś ją przeszmugłował na pokład?

– Ja nic nie chcę powiedzieć. – Wyrwała ramię z mojego uścisku. – Ja tylko proszę, pani Blacklock. Proszę nie robić nam kłopotów, jeśli nic się nie wydarzyło.

A potem pobiegła korytarzem, wstukała kod i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do kwater personelu.

Idąc na górę, odtwarzałam w myślach tę rozmowę, próbując zrozumieć jej sens. Czy Karla widziała kogoś w kabinie albo podejrzewała, że ktoś tam był? A może po prostu czuła się rozdarta między współczuciem dla mnie a strachem przed tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby moje słowa okazały się prawdą.

Zanim weszłam do salonu, ukradkiem zerknęłam na telefon w płonnej nadziei, że może jesteśmy już na tyle blisko lądu, bym odzyskała zasięg. Gdy chowałam komórkę z powrotem do wieczorowej torebki, u mego boku pojawiła się Camilla Lidman.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytała, wskazując na torebkę.

Pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję. – Wiedziałam, że mój telefon wyda sygnał, kiedy tylko połączy się z siecią w roamingu. Chciałam mieć go przy sobie, gdy ten moment nadejdzie, żebym mogła natychmiast zacząć działać.

– Czy mogę zatem zaoferować pani odrobinę szampana? – Spojrzała na tacę umieszczoną na małym stoliku przy wejściu, a ja skinęłam głową i sięgnęłam po kieliszek. Wiedziałam, że powinnam zachować jasność umysłu ze względu na to, co czeka mnie jutro, ale jedna lampka dla animuszu nie powinna mi zaszkodzić.

– Chciałam tylko panią uprzedzić, że wieczorny wykład na temat zorzy polarnej został odwołany. – Popatrzyłam na nią nierozumiejącym wzrokiem, po czym dotarło do mnie, że jeszcze nie zajrzałam do rozpiski z atrakcjami dla gości. – Po kolacji miała się odbyć prezentacja na temat zorzy polarnej – wyjaśniła Camilla Lidman, widząc moją minę. – Wykład lorda

Bullmera, któremu miały towarzyszyć zdjęcia pana Lederera. Niestety, lord Bullmer został wezwany w pilnej sprawie, a pan Lederer zranił się w dłoń, więc ostatecznie prezentacja odbędzie się jutro, gdy grupa wróci z Trondheim.

Skinęłam głowę na znak, że rozumiem, i rozejrzałam się po pomieszczeniu, żeby sprawdzić, kogo jeszcze brakuje.

Zgodnie ze słowami Camilli zarówno Bullmer, jak i Cole byli nieobecni. Nie widziałam również Chloe, a gdy zapytałam o nią Larsa, powiedział, że wciąż źle się czuje i została w swojej kabinie. Anne była obecna, choć wyglądała blado. Gdy uniosła kieliszek do ust, jej kimono rozsunęło się, odsłaniając ogromny fioletowy siniec na obojczyku. Zauważyła, że na niego zerkam, i zaśmiała się z zakłopotaniem.

– Strasznie to wygląda, prawda? Potknęłam się pod prysznicem, a teraz tak łatwo robią mi się siniaki – wyjaśniła. – Obawiam się, że to efekt uboczny chemioterapii. W rzeczywistości nie jest tak źle.

Gdy zasiadaliśmy do stołu, zobaczyłam, że Ben wskazuje mi miejsce obok swojego, naprzeciwko Archera. Udałam, że tego nie widzę, i zajęłam najbliższe wolne krzesło, obok Owena White'a, który wkrótce zaczął raczyć Tinę przemową na temat swoich interesów oraz funkcji, którą pełni w pewnej firmie inwestycyjnej.

Słuchałam ich rozmowy jednym uchem, jednocześnie śledząc resztę konwersacji toczących się przy stole, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że zmienili temat. Owen ściszył głos, jakby nie chciał, by wszyscy go usłyszeli.

– ...szczerze mówiąc, to nie – zwierzał się Tinie. – Po prostu nie jestem w stu procentach przekonany do tej inwestycji, moim zdaniem jest za bardzo niszowa. Ale myślę, że Bullmer nie będzie miał problemów ze zdobyciem innych inwestorów. Zresztą sam ma dość głębokie kieszenie czy też raczej ma żonę z głębokimi kieszeniami. Stać go na to, żeby poczekać, aż pojawi się odpowiednia osoba. Szkoda, że Solberg nie był w stanie się pojawić. To zdecydowanie biznes bardziej w jego stylu.

Tina pokiwała głową, robiąc mądrą minę, po czym rozmowa zeszła na inne tematy – dokąd lubili jeździć na wakacje i z czego, do licha, są zrobione jaskrawozielone kostki galaretki otoczonej kupkami wodorostów, które właśnie pojawiły się na naszych talerzach... Pozwoliłam, by mój wzrok błądził po jadalni. Archer mówił coś do Bena, śmiejąc się na całe gardło. Wyglądał na pijanego, muchę miał już przekrzywioną. Anne, siedząca przy tym samym stole, rozmawiała z Larsem. Na jej twarzy nie było już śladu łez, które widziałam po południu, ale minę miała udręczoną i uśmiechała się z przymusem, słuchając wywodów Larsa.

– Rozmyślasz o naszej gospodyni? – usłyszałam cichy głos z naprzeciwka. Spojrzałam na Alexandra, który powoli sączył alkohol. – To prawdziwa enigma, czyż nie? Wydaje się taka krucha, a jednak mówią, że to ona stoi za sukcesem Richarda. Żelazna pięść w jedwabnej rękawiczce, można powiedzieć. Podejrzewam, że odziedziczenie takiego majątku w wieku, gdy większość dzieci wciąż ślini się nad miską z płatkami śniadaniowymi, może istotnie wpłynąć na charakter człowieka.

– Dobrze ją znasz? – zapytałam.

Alexander pokręcił głową.

– Nigdy wcześniej jej nie spotkałem. Richard spędza połowę życia w samolotach, ale ona prawie nie opuszcza Norwegii. To dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Jak wiesz, ja żyję podróżami. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym się ograniczyć do małego kraju, takiego jak Norwegia, mając na wyciągnięcie ręki wszystkie restauracje świata. Nie spróbować pieczonego prosięcia w El Bulli? Nie posmakować tej wspaniałej fuzji kultur, jaką serwują w Gaggan w Bangkoku? Ale podejrzewam, że to z jej strony pewna forma buntu. Jej rodzice

zginęli w katastrofie samolotowej, gdy miała osiem czy dziewięć lat, i z tego, co wiem, przez całe dzieciństwo, na życzenie dziadków, włączyła się po rozmaitych europejskich szkołach z internatem. Wyobrażam sobie, że w dorosłym życiu mogła wybrać inaczej.

Zabraliśmy się do jedzenia, gdy nagle przy drzwiach jadalni zrobiło się zamieszanie. Oderwałam wzrok od talerza i zobaczyłam Cole'a – chwiejnym krokiem zmierzał do naszego stołu.

– Pan Lederer! – Stewardesa pospieszyła po jedno z krzeseł stojących pod ścianą. – Pani Blacklock, czy mogłabym poprosić, aby pani odrobinę...

Przesunęłam się nieco wraz ze swoim nakryciem, a ona podstawiła krzesło dla Cole'a. Opadł na nie ciężko. Rękę miał zabandażowaną i najwyraźniej był już pod wpływem alkoholu.

– Nie, nie będę pił szampana – oznajmił na widok Hanni, która pojawiła się przy nim z tacą. – Przynieś mi szkockiej.

Hanni skinęła głową i oddaliła się szybko. Cole rozsiadł się wygodnie na krześle, pocierając dłońią nieogoloną twarz.

– Przykro mi z powodu twojego aparatu – zagałam ostrożnie.

Skrzywił się i zauważyłam, jak bardzo jest pijany.

– To jakiś pieprzony koszmar. – Westchnął. – A najgorsze, że sam jestem sobie winien, do cholery. Powinienem robić kopie.

– Straciłeś wszystkie zdjęcia?

Cole wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale pewnie tak. Znam jednego kolesia w Londynie, może uda mu się odzyskać część z nich, ale mój komputer nawet nie czyta karty, gównu widać.

– Naprawdę mi przykro – powtórzyłam. Serce łomotało mi w piersi. Nie byłam pewna, czy postępuję rozsądnie, ale stwierdziłam, że nie mam nic do stracenia. – Miałeś tam tylko zdjęcia z tego rejsu? Wydawało mi się, że widziałam jeszcze jakieś inne fotki...?

– A tak, zmieniałem karty. Na tej było jeszcze trochę zdjęć z sesji, którą zrobiłem dwa tygodnie temu w Magellanie.

Znałam Magellana. Był to ekskluzywny klub na Piccadilly, tylko dla mężczyzn, stanowiący miejsce spotkań dyplomatów i tak zwanych dżentelmenów podróżników. Żadna kobieta nie mogła do niego przyjść sama, ale regulamin zezwalał na wprowadzanie gości płci żeńskiej, więc raz czy dwa byłam tam na przyjęciu, zastępując Rowan.

– Jesteś członkiem klubu? – zapytałam.

Parsknął śmiechem.

– Przestań! To zupełnie nie moje klimaty. Nawet gdyby mnie przyjęli, co jest wątpliwe... Za elegancko jak na mój gust. Jeśli gdzieś nie pozwalają nosić dżinsów, to nie jest miejsce dla mnie. Frontline bardziej mi odpowiada. Ale Alexander jest członkiem Magellana. Podobnie Bullmer, jak sądzę. Zasada jest prosta: żeby tam przynależeć, musisz być wytworny albo cholernie bogaty. Ja niestety nie jestem ani taki, ani taki.

Wypowiadając ostatnią uwagę, wstrzelił się akurat w przerwę w pozostałych konwersacjach – jego bełkotliwe słowa rozległy się głośno w niewielkiej jadalni. Zobaczyłam, że kilka głów odwraca się w naszą stronę, a Anne zerka wymownie na stewardesę, jakby chciała jej powiedzieć: Dajcie mu jeść, zanim wypije whisky.

– A zatem co tam robiłeś? – zapytałam cicho, jakbym mogła go w ten sposób przekonać, żeby sam zniżył głos.

– Zdjęcia dla „Harpers”. – Na stole postawiono talerz; Cole sięgnął po widelec i zaczął wrzucać do ust kolejne kęsy artystycznie zaaranżowanej potrawy, nawet jej nie smakując. – Z okazji premiery czegoś tam... Nie pamiętam. Chryste! – Spojrzał na swoją obandażowaną

rękę, w której niezgrabnie dzierżył widelec. – Boli jak cholera. Nie ma mowy, żebym jutro podziwiał katedrę w Trond-heim. Idę prosto do lekarza. Niech to obejrzy i przepisze mi jakieś porządne prochy przeciwbólowe.

Po kolacji zabraliśmy filiżanki z kawą do salonu, a ja znów znalazłam się obok Owena White'a. Uprzejmie skinął głową w moją stronę, ale najwyraźniej nie spieszyło mu się, by zaczynać rozmowę. W milczeniu wyglądaliśmy przez okno. Zastanawiałam się, co na moim miejscu zrobiłaby Rowan. Oczarowałaby go? A może zignorowała i poszła porozmawiać z kimś, kto mógł mieć większe znaczenie dla „Velocity”? Z Archerem?

Zerknęłam przez ramię na Archera i dostrzegłam, że jest bardzo, bardzo pijany. Właśnie zapędził Hanni w kąt salonu – stała plecami do okna, a on skutecznie blokował jej drogę ucieczki. Dziewczyna trzymała dzbanek z kawą w jednej ręce i uśmiechała się uprzejmie, ale z rezerwą. W końcu powiedziała coś i wskazała na dzbanek. Ewidentnie próbowała się oddalić, ale Archer tylko się roześmiał i otoczył ją ramieniem w geście dobrotliwej zaborczości. Aż przeszły mnie ciarki.

Hanni dodała coś jeszcze, po czym wyślizgnęła się z jego uścisku z wyćwiczoną zwinnością. Przez twarz Archera przemknęła wściekłość, ale szybko się otrząsnął i poszedł porozmawiać z Benem.

Z westchnieniem odwróciłam się z powrotem do Owena. Nie byłam pewna, czy czuję ulgę, że Hanni uciekła, czy rezygnację, że nie potrafię pokonać oporów przed nawiązywaniem kontaktów z nieprzyjemnymi ludźmi, nawet dla dobra własnej kariery.

W porównaniu z Archerem Owen wydawał się pocieszająco nieszkodliwy, ale gdy zerkałam ukradkiem na jego odbicie w szybie, zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czy znajomość z nim byłaby korzystna dla „Velocity”. Podobno był inwestorem, ale od samego początku tej wycieczki trzymał się na uboczu, więc nie wiedziałam, czym tak naprawdę się zajmował. Tak czy inaczej, nie miałam ochoty polować na kogoś innego.

– A więc, hmm... – odezwałam się z zakłopotaniem – mam wrażenie, że nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Nazywam się Laura Blacklock. Jestem dziennikarką podróżniczą.

– Owen White – rzucił krótko, ale w jego tonie nie wyczułam lekceważenia; chyba po prostu był małomówny.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja ścisnęłam ją niezręcznie lewą dłonią, w której trzymałam ciasteczko – w prawej dzierżyłam bowiem filiżankę gorącej kawy.

– A zatem co pana sprowadza na Aurorę, panie White?

– Pracuję dla grupy inwestycyjnej. – Pociągnął długi łyk kawy. – Bullmer chyba miał nadzieję, że polecę Aurorę przełożonym jako dobrą inwestycję.

– Ale... z tego, co mówił pan Tinie, tak się nie stanie? – zauważyłam ostrożnie, zastanawiając się jednocześnie, czy popełniam nietakt, że przyznaję się do podsłuchania ich konwersacji. Trudno jednak było nie usłyszeć, o czym rozmawiają, siedząc tuż obok.

White nie wyglądał na urażonego.

– Zgadza się. Muszę przyznać, że tak naprawdę nie interesują mnie tego typu przedsięwzięcia. Ale zaproszenie mi pochlebiło. Jestem za bardzo skorumpowany, żeby zrezygnować z darmowej wycieczki. Jak już mówiłem Tinie, szkoda, że Solberg nie mógł się pojawić.

– Miał zamieszkać w kabinie numer dziesięć, prawda? – Owen White pokiwał głową. Nagle dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, kim właściwie jest ów wielki nieobecny – Solberg. I dlaczego się nie pojawił. – Czy pan znał... to znaczy... czy pan dobrze go zna? Tego Solberga?

– Tak, dość dobrze. Zajmujemy się podobnymi rzeczami. On ma biuro w Norwegii, ja w Londynie. Ale to mała branża, człowiek zna wszystkich rywali. Wyobrażam sobie, że to samo

dotyczy dziennikarstwa podróżniczego. – Uśmiechnął się, wrzucając ciasteczko do ust, a ja odwzajemniłam uśmiech, przyznając, że to trafna uwaga.

– A zatem skoro to bardziej jego obszar zainteresowań, dlaczego nie przybył? – zapytałam.

Owen White nie odpowiedział i zaczęłam się zastanawiać, czy nie posunęłam się za daleko. Może byłam zbyt wścibska? W końcu jednak przełknął i zrozumiałam, że po prostu walczy ze swoim ciastkiem.

– Doszło do włamania – zaczął, z ustami wciąż pełnymi orzechów. – Do jego domu, z tego, co mi wiadomo. Ukradziono mu paszport, ale to chyba nie był jedyny powód. Podobno do włamania doszło, gdy jego żona i dzieci były w domu. Bardzo to nimi wstrząsnęło. A cokolwiek by mówić o skandynawskich biznesmenach... – urwał, znowu przełykając heroicznie – ...zawsze stawiają rodzinę na pierwszym miejscu. Dobry Boże, radzę pani nie próbować tego nugatu, chyba że ma pani mocne zęby. Ja chyba właśnie straciłem plombę.

– Tylko nie nugat! – usłyszałam za plecami czyjś okrzyk, podczas gdy próbowałam przetrwać to, czego właśnie się dowiedziałam. Odwróciłam się, akurat gdy Alexander pochylił się nad nami. – Owen, błagam, powiedz mi, że nie spróbowałeś nugatu!

– Spróbowałem nugatu. – Owen wziął łyk kawy i przeplukał nią usta, krzywiąc się lekko. – Niestety.

– Takim przysmakom powinno towarzyszyć ostrzeżenie dentysty. Co najmniej! O! – Wskazał na mnie. – To aż się prosi o dziennikarskie śledztwo. Już sobie wyobrażam bezlitosne exposé w „Velocity” na temat podejrzanych związków Richarda Bullmera z branżą stomatologii estetycznej. Jeśli dodamy do tego ten drugi incydent, przyszłym pasażerom będzie bardzo trudno ubezpieczyć się przed podróżą, nie sądzisz?

– Jaki drugi incydent? – zapytałam ostro, próbując sobie przypomnieć, co wcześniej powiedziałam Alexandrowi. Byłam pewna, że nie zdradziłam mu żadnych szczegółów. Czy Lars powtórzył mu, o czym mówiłam Bullmerowi przy jacuzzi? – Jaki incydent masz na myśli?

– No przecież rękę Cole’a, oczywiście! – Alexander teatralnie wytrzeszczył oczy. – A o czym myślałaś?

Po kawie ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich kabin. Owen zniknął niepostrzeżenie, z kolei Lars pożegnał nas hałaśliwie, żartując na temat Chloe. Bullmer w ogóle się nie pojawił, a i Anne się ulotniła.

– Wybierzesz się z nami na kieliszek czegoś do baru? – zapytała Tina, gdy odstawiłam pustą filiżankę na stolik. – Alexander obiecał, że zagra dla nas na fortepianie.

– Ja... chyba nie... – Pokręciłam głową, wciąż zastanawiając się nad tym, co Owen White powiedział mi na temat włamania u Solberga. Czy to coś oznaczało? – Lepiej się położę.

– A ty, Ben? – zamruczała Tina.

Ben popatrzył na mnie.

– Lo? Chcesz, żebym odprowadził cię do kabiny?

– Nie ma takiej potrzeby, poradzę sobie – rzuciłam oschle.

Byłam już niemal przy drzwiach, gdy poczułam, jak ktoś łapie mnie za nadgarstek. Odwróciłam się gwałtownie.

– Hej – syknął cicho Ben. – Co się dzieje?

– Ben... – Zerknęłam nad jego ramieniem na pozostałych gości. Śmiali się i gawędzili, podczas gdy stewardzi sprząтали salę. – To nie jest czas ani miejsce na takie rozmowy. Nic się nie dzieje.

– To dlaczego zachowywałaś się tak dziwnie przez całą kolację? Widziałaś, że zająłem ci miejsce, i świadomie mnie zignorowałaś.

– Nic się nie dzieje – powtórzyłam, czując bolesne ciśnienie w skroniach. Gniew, który tłumiałam przez cały wieczór, zaczął zbierać żniwo.

– Nie wierzę ci. Daj spokój, Lo. Wyduś to z siebie.

– Okłamałeś mnie – szepnęłam wściekle, zanim zdążyłam się zastanowić, czy mądrze robię, oskarżając Bena.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Co? Wcale nie!

– Czyżby? A więc ani razu nie opuszczałeś kabiny, gdy graliście w pokera?

– Nie! – Teraz to on zerknął na resztę grupy. Tina patrzyła na nas, więc odwrócił się i zniżył głos: – Nie, nie wychodziłem... Nie, czekaj, faktycznie wyszedłem po portfel. Ale to nie było kłamstwo!

– Czyżby? Powiedziałeś mi z całą stanowczością, że nikt nie opuszczał tej kabiny. A potem nagle dowiaduję się od Cole'a, że owszem, ty wyszedłeś. A przecież w czasie, gdy cię nie było, inni też mogli wychodzić.

– Ale to co innego... – wymamrotał. – Ja wyszedłem... Boże, nie pamiętam dokładnie kiedy, ale to było na samym początku wieczoru. A nie w godzinach, o których mówiłaś.

– Więc po co kłamałeś?

– To nie było kłamstwo! Po prostu nie pomyślałem. Jezu, Lo...

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Wyrwałam nadgarstek z jego uścisku i wypadłam na korytarz, zostawiając Bena, z rozdziawionymi ustami.

Byłam tak zaaferowana, że wypadłam za róg i zderzyłam się z kimś. To była Anne. Oparła się o ścianę, jakby zbierała siły. Nie byłam pewna, czy chciała wrócić na przyjęcie, czy zmierzała do swojej kabiny. Wyglądała na skrajnie wycieńczoną, twarz miała poszarzałą, a kręgi pod oczami ciemniejsze niż wcześniej.

– Och, tak mi przykro! – wykrzyknęłam, a potem, myśląc o sińcu na jej obojczyku, upewniłam się: – Nie zrobiłam pani krzywdy, prawda?

Uśmiechnęła się, napinając cienką skórę wokół ust, ale uśmiech nie sięgał oczu.

– Nic mi nie jest. Po prostu jestem bardzo zmęczona. Czasami... – Jej głos się załamał i na moment straciła perfekcyjny brytyjski akcent. Przełknęła powoli. – Czasami to dla mnie za dużo... Wie pani, co mam na myśli? Muszę odgrywać całe to przedstawienie.

– Rozumiem – odparłam ze współczuciem.

– A teraz, jeśli mi pani wybaczy, udam się do łóżka.

Skinęłam głową, po czym ruszyłam dalej, w stronę schodów prowadzących do kabin na rufie. Byłam już niemal przy drzwiach swojego apartamentu, gdy usłyszałam za sobą rozszłoszczony głos:

– Lo! Lo, czekaj! Nie możesz rzucać takich oskarżeń, a potem odchodzić!

Cholera. Ben. Kusilo mnie, żeby się wślizgnąć do kabiny i zatrasnąć za sobą drzwi, ale oparłam się plecami o boazerię i zmusiłam, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Nie rzucałam żadnych oskarżeń. Powtórzyłam tylko to, co usłyszałam.

– Generalnie zasugerowałaś, że mnie podejrzewasz! Znamy się ponad dziesięć lat, Lo! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ja się poczułem?

W jego głosie pobrzmiwał autentyczny ból, ale nie pozwoliłam, by mnie to rozczuliło. Gdy byliśmy razem, to była jego ulubiona taktyka w trakcie kłótni. Bagatelizował to, co mnie irytowało, i skupiał się na fakcie, że raniłam jego uczucia i zachowywałam się irracjonalnie. Nie raz kończyło się na tym, że to ja przeproszałam jego za to, że go zdenerwowałam, podczas gdy on ignorował moje emocje. W tym procesie zawsze jakimś cudem traciliśmy z oczu problem, który wywołał całe nieporozumienie. Tym razem nie zamierzałam dać się na to nabrać.

– Nie próbowałam cię zranić – oznajmiłam spokojnie. – Po prostu stwierdzam fakty.
– Fakty? Nie bądź śmieszna!
– Śmieszna? – Skrzyżowałam ręce na piersi. – Co to ma znaczyć?
– To znaczy, że zachowujesz się jak kompletna paranoiczka – wypalił. – Wszędzie wieszysz zagrożenie! Może Nilsson...

Zacisnęłam dłoń na swojej delikatnej wieczorowej torebce, pokrytej śliskimi cekinami. Pod palcami wyczułam kształt telefonu.

– Proszę, mów dalej! Może Nilsson co?
– Nic.
– Może Nilsson miał rację? Może sobie to wszystko wymyśliłam?
– Nie powiedziałem tego.
– Ale właśnie to chciałeś mi dać do zrozumienia, prawda?
– Ja tylko proszę cię, żebyś się cofnęła o krok i spojrzała na to wszystko z dystansu, Lo. Popatrz na to bardziej racjonalnie.

Z trudem się uśmiechnęłam.
– Zachowuję się racjonalnie, Ben. Ale z przyjemnością cofnę się o krok... – Otworzyłam swój apartament, tyłem weszłam do środka i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.
– Lo! – usłyszałam jego krzyk, a po chwili walenie do drzwi. – Lo!
Przekręciłam zamek i nałożyłam łańcuch. Nikt nie sforsuje tych drzwi bez tarana. A już na pewno nie Ben Howard.

– Lo! – Załomotał ponownie. – Słuchaj, czy możesz ze mną po prostu porozmawiać? Sytuacja naprawdę wymyka się spod kontroli. Zdradź mi chociaż, co zamierzasz powiedzieć jutro na policji... – zamilkł. Chyba czekał, aż odpowiem. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Rzuciłam torebkę na łóżko, zdjęłam wieczorową suknię i poszłam do łazienki. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i odkręciłam kurki, żeby zagłuszyć jego wrzaski. Gdy wreszcie zanurzyłam się w gorącej kąpieli i zakręciłam wodę, słyszałam już tylko cichy szum wyciągu. Dzięki Bogu, wreszcie się poddał.

Zostawiłam telefon w sypialni, więc nie wiedziałam, która jest godzina, gdy w końcu wyszłam z wanny. Skórę na palcach miałam pomarszczoną od wody i bardzo chciało mi się spać, ale to było przyjemne uczucie, dalekie od nerwowego wyczerpania, które towarzyszyło mi przez kilka ostatnich dni. Myjąc zęby, susząc włosy i opatulając się białym szlafrokiem, ciągle rozmyślałam o tym, jak porządnie się wyśpię i jak składnie będę jutro zeznawać na policji.

A potem – Chryste, zrobiło mi się niemal słabo z ulgi, gdy o tym pomyślałam – wsiąść do autobusu albo do pociągu, albo do jakiegokolwiek innego cholernego środka lokomocji dostępnego w Trondheim i pojadę na najbliższe lotnisko. A potem polecę do domu.

Wychodząc z łazienki, wstrzymałam oddech, jakbym się spodziewała, że Ben wciąż jest na korytarzu, ale wokół panowała kompletna cisza. Ostrożnie podeszłam do drzwi, cicho stąpając po grubej wykładzinie, uniosłam kłapkę wizjera i wyjrzałam na zewnątrz. Nie było tam nikogo. W każdym razie ja nikogo nie widziałam. O ile Ben nie położył się plackiem na ziemi.

Westchnęłam z ulgą i sięgnęłam po wieczorową torebkę, żeby sprawdzić godzinę i nastawić budzik na rano. Nie zamierzałam czekać na telefon od Karli. Chciałam być na nogach i zejść z pokładu tak szybko, jak to tylko możliwe.

Ale mojej komórki nie było.
Przekręciłam torebkę i potrząsnęłam nią, choć wiedziałam, że to na nic. Była mała i lekka – niemożliwe, by coś się w niej zawieruszyło. Telefonu nie było.

Spróbowałam się skupić.
Mogłam zostawić komórkę na stole podczas kolacji, ale przecież nie wyjmowałam jej

przez cały wieczór. Zresztą wyraźnie pamiętałam, że wyczuwałam jej kształt przez materiał torebki w trakcie kłótni z Benem. Z pewnością też zauważyłabym, że torebka jest za lekka, gdy rzuciłam ją na łóżko.

Sprawdziłam w łazience – z nadzieją, że może jednak ją tam zabrałam, działając na autopilocie, ale na próżno. Zaczęłam szukać bardziej gorączkowo, zrzuciłam kołdrę na podłogę, przesunęłam łóżko... I wtedy to zobaczyłam.

Na wykładzinie w pobliżu werandy widniał odcisk. Mokry odcisk stopy.

Zamarłam.

Czy to ja go tam zostawiłam, gdy wyszłam z łazienki?

Nie, wiedziałam, że to niemożliwe. Osuszyłam stopy tuż po kąpieli, poza tym nie zbliżałam się do okna. Podeszłam bliżej, dotykając zimnego wilgotnego kształtu opuszkami palców, i zdałam sobie sprawę, że to odcisk buta. Wyraźnie widziałam kształt obcasa.

Istniała tylko jedna możliwość.

Wyprostowałam się, odsunęłam drzwi werandy i wyszłam na zewnątrz. Przechyliłam się przez balustradę, żeby zajrzeć na pustą werandę po lewej. Ścianka działowa z mlecznego szkła była wysoka i wznosiła się pionowo, ale na upartego można było ją pokonać – jeśli ktoś miał odwagę, nie cierpiał na lęk wysokości i nie przeszkadzała mu możliwość, że może się poślizgnąć i wpaść prosto do wodnego grobu.

Drżałam niemal konwulsyjnie. Szlafrok nie dawał mi żadnej ochrony przed zimnym północnym wiatrem, ale była jeszcze jedna rzecz, którą musiałam sprawdzić, choć wiedziałam, że jeśli się mylę, będę tego bardzo żałować i będę się czuła bardzo głupio.

Ostrożnie pociągnęłam drzwi werandy i pozwoliłam, by zamknęły się z kliknięciem.

Potem spróbowałam je otworzyć.

Odsunęły się – gładko i bez problemów.

Wróciłam do środka i powtórzyłam ten sam eksperyment, po czym sprawdziłam zamek. Moje podejrzenia się potwierdziły. Nie dało się zamknąć werandy w taki sposób, żeby nikt nie wszedł do apartamentu z zewnątrz. Jak się nad tym głębiej zastanowić, miało to sens. Ostatecznie jedyną osobą, która powinna przebywać na werandzie, był lokator kabiny. Nie można było ryzykować, że ktoś przypadkowo zatrzaśnie się na zewnątrz przy złej pogodzie albo że dziecko zamknie tam dorosłego w akcie buntu, a potem nie będzie potrafiło samo otworzyć zamka.

Zresztą przecież nie było się czego bać. Ostatecznie weranda wychodziła na morze – nikt z zewnątrz nie mógł się na nią dostać.

Tyle że mógł. Jeśli był bardzo odważny i bardzo głupi.

W końcu to do mnie dotarło. Żadne zamki, żadne łańcuchy czy wywieszki z napisem „Nie przeszkadzać” mi nie pomogą, skoro każdy, kto ma dostęp do pustej kabiny i wystarczającą siłę w rękach, żeby się podciągnąć, mógł się tu dostać przez werandę.

Mój apartament nie był bezpieczny. Nigdy taki nie był.

Włożyłam dzinsy, botki i moją ulubioną bluzę z kapturem. Sprawdziłam jeszcze zamek w drzwiach kabiny, po czym skuliłam się na sofie, przyciskając poduszkę do piersi.

Nie było mowy, żebym teraz poszła spać.

Każdy mógł wejść do pustego apartamentu obok, a potem pokonać szklaną ściankę działową. Każdy członek personelu mógł otworzyć pustą kabinę swoją kartą. Jeśli zaś chodzi o gości...

Pomyślałam o rozkładzie kabin. Na prawo ode mnie mieszkał Archer – były żołnierz piechoty morskiej, tak silny, że aż się skrzywiłam na wspomnienie tego, jak wykręcił mi rękę. Po lewej... po lewej była pusta kabina. A dalej kabina Bena Howarda.

Bena, który zakwestionował moją wiarygodność w rozmowie z Nilssonem.

Bena, który skłamał na temat swojego alibi.

I oglądał fotografie w aparacie Cole'a, zanim ja je zobaczyłam. Jego słowa wróciły do mnie jak we śnie: „Pokazywał nam je przy lunchu. Miał sporo świetnych zdjęć...”.

Ben Howard. Jedyna osoba na pokładzie, której – jak sądziłam – mogę zaufać.

Potem pomyślałam o tym, jaką głupotą i brawurą wykazał się ktoś, kto włamał się tu, by ukraść mi telefon, gdy brałam kąpiel. Wiele ryzykował, żeby go zdobyć. Pytanie brzmiało: dlaczego? Dlaczego teraz? Ale chyba już znałam odpowiedź.

Chodziło o Trondheim. Tak długo, jak internet na statku nie działał, sprawca nie miał się czym przejmować. Ale gdy zaczęliśmy się zbliżać do lądu...

Mocniej przycisnęłam poduszkę do piersi. Myślałam o Trondheim, o Judah i o policji.

Musiałam tylko przetrwać do rana.

WhoDunnit: Forum dyskusyjne dla gabinetowych detektywów.

Proszę się zapoznać z zasadami forum przed założeniem nowego wątku i zachować ostrożność przy publikowaniu treści potencjalnie oszczerczych lub szkodliwych dla toczących się śledztw. Posty niezgodne z regulaminem będą usuwane.

Poniedziałek, 28 września, 10:03

Zaginiona Brytyjka

Iamsherlocked: Hej, słuchajcie, czy ktoś jeszcze śledzi sprawę tej zaginionej Lorny Blacklock? Wygląda na to, że znaleźli ciało.

TheNamesMarpleJaneMarple: Zaginiona nazywa się Laura Blacklock. I owszem, śledzę tę sprawę. Bardzo tragiczna i niestety nie taka znów nietypowa historia. Czytałam gdzieś, że w ciągu ostatnich kilku lat ponad 160 osób zaginęło w trakcie podobnych rejsów i niemal żadna z tych spraw nie została rozwiązana.

Iamsherlocked: Tak, ja chyba też coś o tym słyszałem. Czytałem w „Daily Fail”², że jej eks był na pokładzie tego statku. Udzielił łzawego wywiadu, opowiadając o tym, jak bardzo jest zaniepokojony. Uważa, że kobieta opuściła pokład na własną rękę. Czy tylko mi się tak wydaje, czy to odrobinę podejrzanę? Nie mówią czasem, że jedna trzecia kobiet ginie z ręki byłych albo obecnych partnerów czy coś?

TheNamesMarpleJaneMarple: „jedna trzecia kobiet ginie z ręki byłych albo obecnych partnerów czy coś?”. Zakładam, że chodzi ci o sytuacje, w których faktycznie popełniono morderstwo, a nie o to, że jedna trzecia wszystkich kobiet ginie z ręki byłych lub obecnych partnerów! Ale tak, to by się zgadzało. No i oczywiście mamy jeszcze tego jej chłopaka. Coś w jego oświadczeniach brzmi fałszywie i najwyraźniej przebywał poza krajem w czasie, gdy to się stało... hmm... bardzo dogodny moment na wyjazd. W końcu nie tak trudno polecieć do Norwegii, prawda?

AnonInsider: Jestem tu stałym bywalcem (choć na potrzeby tego wątku zmieniłem nick, bo nie chcę się zdemaskować) i właściwie to wiem coś o tej sprawie. Jestem przyjacielem rodziny. Nie chcę powiedzieć za dużo, żeby nie można mnie było zidentyfikować, nie chcę też naruszać prywatności rodziny, ale mogę wam powiedzieć, że Judah jest kompletnie zdruzgotany zniknięciem Lo, na waszym miejscu zachowałbym więc ostrożność i darował sobie takie insynuacje, inaczej ten wątek zostanie zablokowany.

TheNamesMarpleJaneMarple: Anon, uznałabym twoje rewelacje za bardziej przekonujące, gdybyś zrzucił maskę. Zresztą nic z tego, co napisałam, nie kwalifikuje się jako zniesławienie. Napisałam po prostu, że osobiście uważam, że jego oświadczenia nie brzmią przekonująco. Gdzie tu widzisz pomówienie?

AnonInsider: Słuchaj, MJM, nie zamierzam z tobą debatować na ten temat, ale znam tę rodzinę bardzo dobrze. Chodziłem do szkoły z Laurą i mogę ci powiedzieć, że mylisz się w ocenie sytuacji. Jeśli musisz wiedzieć, Lo miała poważne problemy, od lat brała leki na depresję i zawsze była... cóż, delikatnie ujmując, „niestabilna”. Podejrzewam, że policja na tym się skupi.

Iamsherlocked: Myślisz, że to samobójstwo?

AnonInsider: Nie mogę spekulować, jak rozwine się policyjne dochodzenie, ale tak – właśnie to wyczytałem między wierszami. Zauważcie, że są bardzo ostrożni, żeby nie sugerować prasie, że jest to śledztwo w sprawie morderstwa.

JudahLewis01: Przyjaciel poinformował mnie o istnieniu tego wątku, więc zarejestrowałem się, żeby to opublikować. I w przeciwieństwie do Anona podaję prawdziwe

nazwisko. Anon, nie mam pojęcia, kim jesteś, ale szczerze mówiąc, możesz się odpieprzyć. Owszem, Lo zażywa leki (choć jeśli już musisz wiedzieć, jest to lekarstwo na stany lękowe, a nie na depresję, i gdybyś naprawdę był jej przyjacielem, wiedziałbyś o tym), ale te same leki biorą dosłownie setki tysięcy ludzi. Sugestia, że to automatycznie czyni z niej osobę „niestabilną” o tendencjach samobójczych, jest kurewsko obraźliwa. Owszem, byłem poza krajem. Byłem w Rosji, w ramach pracy. I owszem, znaleźli ciało, ale nie zostało ono zidentyfikowane jako ciało Lo, więc na tym etapie to wciąż jest śledztwo w sprawie zaginionej osoby. To dlatego nie widzieliście w prasie żadnych informacji sugerujących, że to dochodzenie w sprawie morderstwa. Ludzie, moglibyście pamiętać, że dyskutujecie o prawdziwej osobie? Że to nie jest wasz prywatny odcinek serialu Napisała: Morderstwo? Nie wiem, kto jest administratorem tego gówna, ale zgłaszam ten wątek do moderatora.

Iamsherlocked: „w przeciwieństwie do Anona podaję prawdziwe nazwisko”. Sorry, koleś, ale mamy na to tylko twoje słowo.

MrsRaisin (Admin): Cześć wszystkim, przykro mi to mówić, ale zgadzamy się z panem Lewisem. Ten wątek zawiera raczej nieprzyjemne spekulacje, więc go zamkniemy. Naturalnie nie chcemy was powstrzymywać przed rozmawianiem o tym, co piszą w gazetach, więc możecie przenieść dyskusję gdzie indziej, ale proszę, trzymajcie się faktów.

InspektörWallander: A co z tym norweskim blogiem, na którym napisali, że zwłoki zidentyfikowano pozytywnie jako należące do Laury?

MrsRaisin (Admin): Zamykamy ten wątek.

2 Pejoratywne określenie na brytyjski tabloid „Daily Mail”.

CZEŚĆ SZÓSTA

Zostałam uwięziona. Nie byłam pewna, gdzie mnie przetrzymywano, ale się domyślałam.

Pomieszczenie bez okien było małe i duszne, a ja leżałam na pryczy z zamkniętymi oczami, kryjąc głowę w ramionach i próbując stawiać opór panice, która we mnie narastała.

W nieskończoność odtwarzałam w myślach to, co się stało. Raz za razem przypominałam sobie moment, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, podczas gdy ja siedziałam na skraju sofy i czekałam, aż nadejdzie świt i przybijemy do Trondheim.

Ten dźwięk, choć niezbyt głośny, zabrzmiał w cichej kabinie jak wystrzał. Poderwałam głowę, poduszka wypadła mi z rąk, a serce zaczęło łomotać w piersi. Jezu! Zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, i zmusiłam się, by odetchnąć powoli, a potem znów nabrać powietrza. Liczyłam sekundy.

Pukanie rozległo się znowu. Nie było to gwałtowne walenie do drzwi, lecz dyskretne „puk-puk-puk”, po którym nastąpiła pauza, a potem, jakby po namyśle, jeszcze jedno, nieco głośniejsze puknięcie. Właśnie przy tym ostatnim wstałam i podeszłam do drzwi najciszej, jak potrafiłam.

Zasłoniłam ręką wizjer, żeby błysk szarego światła sączącego się przez okno nie zdradził mojej obecności, i uniosłam stalową klapkę. Gdy moja twarz znalazła się wystarczająco blisko soczewki, zabrałam palce i wyjrzałam.

Nie wiem, kogo się spodziewałam zobaczyć po drugiej stronie. Może Nilssona. Może Bena. Nie byłabym nawet zaskoczona widokiem Bullmera.

Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zobaczę osobę, która stała w korytarzu.

To była ona.

Kobieta z kabiny numer dziesięć. Zaginiona dziewczyna. Stała pod moimi drzwiami jak gdyby nigdy nic.

Zamarłam, z trudem łapiąc powietrze, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Ona żyła. Nilsson miał rację, a ja myliłam się przez cały ten czas.

A potem dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem w stronę drzwi prowadzących do kwater personelu.

Musiałam za nią pobiec. Musiałam ją dogonić, zanim znów zniknie.

Zdjęłam łańcuch, przekręciłam zamek i z szarpnięciem otworzyłam drzwi.

– Hej! – krzyknęłam. – Hej, ty, poczekaj! Muszę z tobą porozmawiać!

Nie zatrzymała się, nawet nie zerknęła przez ramię. Była już przy drzwiach i wstukiwiała kod. Rzuciłam się za nią bez namysłu. Po prostu wiedziałam, że tym razem nie zamierzam pozwolić jej zniknąć bez śladu. Pobiełam.

Przekraczała próg i niemal w ostatniej chwili udało mi się chwycić za krawędź drzwi. Boleśnie przytrzasnęłam sobie palce, ale odciągnęłam skrzydło i wcisnęłam się do środka.

Za drzwiami panowała ciemność, żarówka u szczytu schodów musiała się przepalić. Albo została wykręcona, pomyślałam później.

Gdy skrzydło zatrzasnęło się za mną, zamarłam na moment, próbując dojrzeć pierwszy schodek. I wtedy to się stało. Czyjaś ręka złapała mnie za włosy, druga wykręciła mi ramię za plecami. Przez chwilę szamotałam się, dysząc z przerażenia i rozpaczliwie usiłując się uwolnić. Wbiłam paznokcie w skórę napastnika, wolną ręką próbowałam uchwycić szczupły nadgarstek dłoni wplecionej w moje włosy. Ale nagle ta dłoń pociągnęła mocniej, boleśnie odchylając do tyłu moją głowę, którą następnie uderzyła o zamknięte drzwi. Usłyszałam trzask, gdy moja

czaszka zderzyła się z metalową futryną. A potem wszystko zniknęło.

Odzyskałam przytomność tutaj, na pryczy, przykryta cienkim kocem. Ból głowy był nie do wytrzymania. Pulsował powoli, a słaba jarzeniówka pod sufitem migotała i zamazywała mi się przed oczami. Na ścianie naprzeciwko piętrowego łóżka wisiała zasłona. Wstałam, przytrzymując się górnej pryczy, i podeszłam do niej chwiejnym krokiem, ale gdy odsunęłam cienką pomarańczową tkaninę, okazało się, że nie ma za nią okna – tylko pusta ściana z kremowego plastiku, z delikatnym wzorem mającym imitować fakturowaną tapetę.

Miałam wrażenie, że ściany zaczynają się poruszać, że zamykają się wokół mnie. Zaczęłam szybciej oddychać. Raz. Dwa. Trzy. Wdech.

Cholera. Czułam narastający w gardle szloch, który groził, że udusi mnie od środka.

Cztery. Pięć. Sześć. Wydech.

Znalazłam się w pułapce. Boże, Boże, Boże...

Raz. Dwa. Trzy. Wdech.

Przytrzymując się ściany, niepewnie podeszłam do drzwi, ale jeszcze zanim chwyciłam za klamkę, wiedziałam, że sprawa jest beznadziejna. Były zamknięte.

Nie chcąc myśleć o tym, co to oznacza, zbliżyłam się do drugich drzwi, umieszczonych w ścianie pod kątem, ale te otwierały się na malutką, zupełnie pustą łazienkę. Był tu tylko martwy pajak, zwinięty w kulkę w umywalce.

Zatoczyłam się z powrotem do pierwszych drzwi i ponownie spróbowałam je otworzyć. Tym razem ciągnęłam mocniej, napinając każdy mięsień i szarpiąc za klamkę tak długo, aż zaczęłam dyszeć z wysiłku, przed oczami pojawiły mi się mroczki i osunęłam się na podłogę. Nie. Nie, to niemożliwe... Czy naprawdę byłam w pułapce?

Podniosłam się i rozejrzałam w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym podważyć drzwi, ale wszystko było albo za miękkie, albo przytwierdzone do podłogi lub ścian. Raz jeszcze szarpnęłam za klamkę, próbując nie myśleć o fakcie, że znajduję się w celi bez okien o wymiarach mniej więcej metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt, położonej głęboko pod powierzchnią morza, a od nieskończonej toni dzieli mnie zaledwie stalowa skorupa statku. Drzwi ani drgnęły, za to moją głowę przeszła błyskawica bólu. W końcu dotoczyłam się z powrotem do pryczy i wczołgałam na nią, unikając myśli o wodzie napierającej na kadłub, za to skupiając się na rozbitej czaszce. Czułam pulsowanie w skroniach. Boże, jaka ja byłam głupia! Sama wpadłam w tę pułapkę...

Próbowałam się skupić. Musiałam zachować spokój, musiałam utrzymać głowę nad powierzchnią dławiącego mnie strachu. Musiałam zachować logikę. Zachować kontrolę. Musiałam. Jaki mieliśmy dzień? Nie potrafiłam stwierdzić, ile czasu upłynęło. Członki miałam zeszywniałe, jakbym długo leżała nieruchomo na pryczy, ale choć odczuwałam pragnienie, moje gardło nie było kompletnie wyschnięte. Gdybym leżała nieprzytomna dłużej niż kilka godzin, obudziłabym się poważnie odwodniona. To znaczyło, że prawdopodobnie nadal był wtorek.

A w takim razie... Ben wiedział, że zamierzam zejść z pokładu w Trondheim. Z pewnością zacznie mnie szukać, gdy zauważy, że nie wróciłam, prawda? Nie pozwoli, żeby odpłynęli beze mnie.

Nagle dotarło do mnie, że przecież silniki cały czas działają, a ja czuję, jak statek unosi się i opada na falach. Albo nie zatrzymaliśmy się w ogóle... albo już opuściliśmy port.

Boże! Wypływaliśmy z powrotem na pełne morze i wszyscy z pewnością uznali, że zostałam w Trondheim. Jeśli w ogóle mnie szukali, to zupełnie nie tam, gdzie trzeba.

Gdyby tylko ból nie był tak potworny, gdyby tylko nie miała takiego mętliku w głowie, gdyby tylko ściany nie zamykały się wokół mnie, odbierając mi dech, utrudniając myślenie...

Paszporty. Nie wiedziałam, jak duży jest port w Trondheim, ale przecież musieli tam

mieć jakąś kontrolę graniczną. I z pewnością ktoś z personelu statku pełnił służbę przy trapie i sprawdzał, kto wychodzi i kto wraca. Nie mogli ryzykować, że kogoś zostawią. Gdzieś tam istnieje dowód na to, że nie opuściłam pokładu. Ktoś zda sobie sprawę, że wciąż tu jestem.

Musiałam na to liczyć.

Ale jak miałam nie tracić nadziei, siedząc w celi oświetlonej jedną smętną przygasającą jarzeniówką, gdzie powietrze zdawało się kończyć z każdym moim oddechem? Boże, jakie to było trudne!

Zamknęłam oczy, żeby odciąć się od górujących nade mną ścian i mrugającego światła, które tylko pogłębiało uczucie klaustrofobii, i naciągnęłam na siebie cienki koc. Próbowałam się na czymś skupić. Na płaskiej zwiotczącej poduszce pod moim policzkiem. Na dźwięku mojego oddechu.

Ale wciąż wracałam myślami do dziewczyny stojącej nonszalancko pod moimi drzwiami, z jedną dłonią wspartą na biodrze. Wciąż wspominałam, jak odchodziła, kołysząc biodrami, w stronę drzwi dla personelu.

Jak? Jak?!

Czy ukrywała się na statku przez cały ten czas? Może nawet tutaj, w tym pomieszczeniu? Nie. Nie musiałam otwierać oczu, żeby zyskać pewność, że przede mną nikt tu nie mieszkał. Nie było żadnych plam na wykładzinie, śladów po kubkach z kawą na plastikowej półce, żadnego słabnącego zapachu jedzenia czy ludzkiego potu. Nawet pająk leżący w zlewie świadczył o tym, że pomieszczenie nie było wcześniej używane. To niemożliwe, żeby tak pełna życia dziewczyna przebywała w tej kajucie i nie zostawiła po sobie żadnego śladu. Nie wiedziałam, gdzie się ukrywała, ale z pewnością nie tutaj.

To miejsce przypominało grób. Możliwe, że był to mój grób.

Musiałam zasnąć wyczerpana bólem głowy i rykiem silników, bo ocknęłam się nagle, słysząc dźwięk zatraskiwanych drzwi.

Usiadłam tak gwałtownie, że wyrznęłam głową o spód górnej pryczy. Z jękiem padłam z powrotem na łóżko, trzymając się za obolałe miejsce. Krew szumiała mi w uszach.

Leżałam tak, zaciskając powieki, dopóki ból nie ustąpił na tyle, żebym mogła przekreślić się na bok i znów otworzyć oczy.

Na podłodze stały talerz i szklanka z jakimś napojem.

Podniosłam ją i powąchałam zawartość. Wyglądała i pachniała jak sok pomarańczowy, ale nie potrafiłam się zmusić do jego wypicia. Wstałam z trudem, otworzyłam drzwi do małej łazienki, wylałam sok do zlewu i napełniłam szklankę wodą z kranu. Była ciepła i stęchła, ale tak bardzo chciało mi się pić, że nie zwracałam na to uwagi. Wychyliłam całą szklankę i nalałam sobie kolejną. Sączyłam powoli, wracając na pryczę.

Ciągle potwornie bolała mnie głowa i żałowałam, że nie mam jakichś środków przeciwbólowych. W ogóle byłam w fatalnym stanie – trzęsłam się, a w mięśniach czułam słabość, jakby rozkładała mnie grypa. Podejrzewałam, że to wszystko wina głodu. Minęło wiele godzin, odkąd ostatnio miałam coś w ustach, i poziom glukozy we krwi musiał mi gwałtownie opaść.

Łupiący ból sprawiał, że miałam ochotę położyć się z powrotem i odpocząć, ale zaburczało mi w brzuchu, więc przyjrzałam się talerzowi z jedzeniem. Wyglądało zupełnie zwyczajnie – klopsiki w jakimś sosie, purée z ziemniaków, groszek i bułka. Wiedziałam, że powinnam coś zjeść, ale poczułam ten sam wstręt, który zmusił mnie do wylania soku. Wzięcie do ust czegoś dostarczonego przez osobę, która zamknęła mnie w tym podwodnym lochu, wydawało mi się po prostu nie w porządku. W tej potrawie mogło być cokolwiek. Trutka na szczury. Tabletki nasenne. Coś gorszego. A ja nie miałam wyboru, musiałam to zjeść.

Na myśl o spróbowaniu choć kęsa dostałam mdłości i spanikowałam. Podniosłam się na drżących nogach, gotowa wyrzucić wszystko do toalety, ale nagle coś do mnie dotarło i opadłam z powrotem na pryczę.

Nie musieli dodawać mi trucizny do jedzenia. Po co? Gdyby chcieli mnie zabić, mogli po prostu zagłodzić mnie na śmierć.

Próbowałam odzyskać trzeźwość umysłu.

Gdyby osoba, która mnie tu zamknęła, chciała mnie zabić, już by to zrobiła, prawda?

Prawda. Uderzyłaby mnie raz jeszcze, mocniej, albo przyłożyła mi poduszkę do twarzy, gdy leżałam nieprzytomna, albo założyłaby mi plastikową torebkę na głowę. A nie zrobiła tego. Musiała zadać sobie trochę trudu, żeby mnie tu zawlec.

Więc nie chciała, żebym zginęła. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Jedno ziarnko groszku. Chyba nie można umrzeć od jednego zatrutego ziarnka?

Uniosłam na widelcu zieloną kulkę i przyjrzałam się jej. Wyglądała zupełnie normalnie. Żadnych śladów proszku. Żadnego dziwnego koloru.

Włożyłam groszek do ust i powoli obracałam na języku, próbując wyczuć jakikolwiek dziwny posmak. Nic.

Przełknęłam. Nic.

Nie żebym się spodziewała jakichś spektakularnych następstw. Nie wiedziałam za wiele o truciznach, ale podejrzewałam, że te, które zabijają w ciągu kilku sekund, są bardzo trudne do

zdobycia.

Za to wydarzyło się coś innego. Poczułam głód.

Nabrałam na widelec jeszcze kilka ziaren groszku i zjadłam je. Najpierw ostrożnie przeżuwałam każdy kęs, potem zaczęłam jeść szybciej. Od razu zrobiło mi się lepiej. Skosztowałam klopsika. Pachniał i smakował zupełnie normalnie, choć kojarzył mi się raczej ze stołówkowym jedzeniem, przygotowywanym dla dużej liczby osób.

Wymiotłam talerz do czysta i zaczęłam czekać, aż ktoś przyjdzie go zabrać.

I czekałam.

I czekałam.

Czas jest bardzo elastyczny. To pierwsza rzecz, jaką człowiek sobie uświadamia, gdy zostaje zamknięty w pomieszczeniu bez dziennego światła, zegara czy jakiegokolwiek innego sposobu mierzenia upływających sekund. Próbowałam liczyć uderzenia własnego serca, ale gdy doszłam do ponad dwóch tysięcy, straciłam rachubę.

Głowa wciąż mnie bolała, ale bardziej niepokoiło mnie drżenie członków. Najpierw myślałam, że to z głodu, potem przestraszyłam się, że może jednak dodali mi czegoś do jedzenia, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, kiedy ostatnio zażyłam swoje lekarstwo.

Pamiętałam, że wyjęłam jedną tabletkę z blistra tuż po spotkaniu z Nilssonem, w poniedziałek rano. Ale nie połknęłam jej. Poczułam jakąś głupią potrzebę udowodnienia, że nie jestem uzależniona od tych niewinnie wyglądających białych pigułek. Zostawiłam ją na blacie, bo nie mogłam się zmusić, żeby ją zażyć, ale też nie chciałam jej wyrzucić.

Nie miałam zamiaru odstawić teraz leków. Chciałam tylko dowieść... sama nie wiem czego. Że to ja mam kontrolę nad sytuacją. To był taki mały, bezcelowy gest, symboliczny środkowy palec pokazany Nilssonowi.

Ale potem pokłóciłam się z Benem i zupełnie zapomniałam o tabletkce. Poszłam do spa, gdzie doszło do tego incydentu pod prysznicem...

To oznaczało, że od ostatniej dawki upłynęło co najmniej czterdzieści osiem godzin. Może nawet sześćdziesiąt. Ta myśl mnie zaniepokoiła. A nawet przeraziła.

Pierwszy atak paniki przeżyłam, gdy miałam... trzynaście lat? Czternaście? W każdym razie byłam nastolatką. Przyszedł i odszedł, a ja tak się go wystraszyłam, że nikomu o tym nie wspomniałam. Wydawało mi się, że takie rzeczy przytrafiają się tylko dziwadłom. Inni ludzie przecież normalnie szli przez życie, nie dostawali drgawek i nie odkrywali, że nagle nie są w stanie oddychać, prawda?

Przez jakiś czas wszystko było w porządku. Ale gdy zaczęłam się przygotowywać do egzaminów końcowych w szkole średniej, ataki paniki powróciły. Najpierw jeden, potem dwa, w końcu zaczęłam odnosić wrażenie, że walka z nimi to zajęcie na cały etat. Ściany zaczęły się wokół mnie zamykać.

Mama posłała mnie do terapeuty. Właściwie to do kilku. Pierwszego wybrała z książki telefonicznej. Była to kobieta o poważnej twarzy, w okularach i z długimi włosami, która oczekiwała, że wyjawię jej jakiś mroczny sekret, stanowiący klucz do rozwiązania zagadki. Tyle że ja nie miałam żadnych takich sekretów. Przez jakiś czas zastanawiałam się nawet, czy czegoś nie zmyślić – tylko po to, by sprawdzić, czy dzięki temu przypadkiem nie poczuję się lepiej. Ale zanim zdążyłam sobie przygotować naprawdę dobrą historyjkę, mama zdenerwowała się na tę kobietę (i wystawiane przez nią rachunki) i zmieniła mi lekarza.

Trafiłam do młodego, modnego terapeuty, prowadzącego grupę wsparcia dla dziewcząt, które borykały się z najrozmaitszymi problemami – od anoreksji po samookaleczanie. Aż w końcu wylądowałam na kozetce u Barry'ego, specjalisty od terapii kognitywno-behawioralnej, którego polecił nam mój lekarz pierwszego kontaktu. Barry nauczył mnie liczyć i kontrolować

oddech i sprawił, że nabawiłam się alergii na łysiejących mężczyzn przemawiających cichym, wyrozumiałym tenorem.

Ale żaden z nich nie potrafił mi pomóc. W każdym razie nie do końca. Udało mi się jednak jakoś przejść przez egzaminy, a potem wyjechałam na uniwersytet i poczułam się lepiej. Doszłam do wniosku, że może to było coś, z czego po prostu się wyrasta – jak ze słuchania NSYNC czy używania wiśniowego błyszczyka do ust – że zostawiłam to wszystko za sobą, w mojej starej sypialni w domu rodziców, razem z resztą emocjonalnego bagażu z dzieciństwa. Uniwerek okazał się wspaniałym miejscem. Gdy skończyłam studia, czułam się gotowa na podbój świata. Poznałam Bena, dostałam pracę w „Velocity”, wynajęłam własne mieszkanie w Londynie i wszystko zdawało się układać idealnie.

I właśnie wtedy się załamałam.

Tylko jeden raz próbowałam odstawić tabletki. To był dobry moment w moim życiu. Doszłam już do siebie po rozstaniu z Benem (totalnie mi przeszło), więc mój internista zgodził się obniżyć mi dawkę do dwudziestu miligramów na dzień, potem do dziesięciu, a później, ponieważ radziłam sobie całkiem nieźle, do dziesięciu miligramów co drugi dzień, aż w końcu przestałam brać leki.

Załamalam się po dwóch miesiącach. W tym czasie zdążyłam schudnąć dwanaście kilo i prawie straciłam pracę w „Velocity”, choć w redakcji nie wiedzieli, dlaczego przestałam przychodzić do biura. W końcu Lissie zadzwoniła do mojej mamy, a ona zaprowadziła mnie z powrotem do lekarza. Ten tylko wzruszył ramionami i stwierdził, że to pewnie objawy odstawienia, ale też być może nie był to odpowiedni moment, żeby rezygnować z terapii. Przepisał mi z powrotem dawkę wyjściową – czterdzieści miligramów dziennie – i dosłownie po kilku dniach poczułam się lepiej. Umówiliśmy się, że powtórzymy próbę innym razem, ale jakoś nigdy później nie wróciliśmy do tematu.

To zdecydowanie nie był właściwy moment na taką próbę. Nie tutaj, podczas gdy tkwiłam zamknięta w stalowym pudełku dwa metry pod wodą.

Próbowałam sobie przypomnieć, jak długo to trwało ostatnim razem. Ile czasu minęło, nim zaczęłam się czuć naprawdę, ale to naprawdę gównianie. Z tego, co pamiętałam, to wcale nie tak dużo. Cztery dni? Może mniej?

Już czułam małe lodowate igiełki paniki przeszywające mi skórę.

Umrzesz tutaj.

Nikt się nie dowie.

Boże. Boże, Boże...

Za drzwiami rozległ się jakiś dźwięk, więc zamarłam w bezruchu. Przestałam oddychać, panikować, myśleć... Po prostu siedziałam oparta plecami o pryczę. Czy powinnam przygotować się do skoku? Zaatakować?

Klamka się poruszyła.

Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła. Wstałam i wycofałam się pod przeciwległą ścianę. Wiedziałam, że powinnam walczyć, ale nie potrafiłam. Nie w sytuacji, gdy nie miałam pojęcia, kto stanie w progu.

Obrazy kłębiły mi się w głowie. Nilsson. Szef kuchni w swoich lateksowych rękawiczkach. Dziewczyna w koszulce Pink Floyd z nożem w dłoni.

Przełknęłam ślinę.

Drzwi uchyliły się odrobinę, czyjaś ręka porwała tacę błyskawicznym ruchem i z powrotem zamknęła kajutę. Po chwili zgasło światło i klitka pogrążyła się w tak gęstym

mroku, że aż czułam jego smak.

Kurwa.

Nie mogłam nic zrobić. Miałam wrażenie, że od wielu godzin leżę w nieprzeniknionych ciemnościach, to tracąc, to odzyskując przytomność, ale nie wiedziałam, ile czasu tak naprawdę upłynęło. Za każdym razem, gdy otwierałam oczy, miałam nadzieję, że coś zobaczę, choćby cienką linię światła pod drzwiami – cokolwiek, co stanowiłoby dowód na to, że naprawdę tu jestem, że istnieję i nie zagubiłam się w piekle własnej wyobraźni.

W końcu musiałam zapaść w głębszy sen, bo obudziłam się gwałtownie, a serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Kajuta wciąż była pogrążona w kompletnych ciemnościach, a ja leżałam, roztrzęsiona i spocona, przytrzymując się pryczy jak tratwy ratunkowej. Próbowałam dojść do siebie po jednym z najgorszych koszmarów, jakie przyśniły mi się w ostatnich latach.

Śniłam, że dziewczyna w koszulce Pink Floyd weszła do mojej kajuty. Było ciemno, ale mimo wszystko potrafiłam ją wyczuć. Po prostu wiedziałam, że tu jest, że stoi pośrodku pomieszczenia, podczas gdy ja nie mogę się poruszyć. Ciemność przyszpilała mnie do łóżka niczym żywa istota kucająca mi na piersi. Dziewczyna była coraz bliżej, aż w końcu stanęła zaledwie kilka centymetrów od mojej pryczy. Skraj koszulki muskał jej szczupłe uda.

Uśmiechnęła się, a potem jednym płynnym ruchem ściągnęła koszulkę. Była bardzo wychudzona – spod skóry sterczały jej żebra, obojczyki i miednica. Stawy w łokciach miała szersze niż przedramiona, a nadgarstki gruzłowate jak u dziecka. Popatrzyła na siebie, po czym rozpięła stanik, powoli, jakby robiła striptiz, choć w jej płaskich piersiach i przesadnie wklęsłym brzuchu nie było nic seksownego.

Leżałam na pryczy sparaliżowana strachem, dysząc ciężko, a ona dalej się rozbierała. Zdjęła majteczki z wąskich bioder i pozwoliła, aby opadły na ziemię, tworząc kałużę u jej stóp. Jednak na tym nie poprzestała. Zanurzyła palce we włosach i wyrwała je z cebulkami. Następnie oderwała sobie brwi – najpierw jedną, potem drugą, i wargi. Urwała nos i rzuciła go na podłogę. Później zaczęła zrywać sobie paznokcie, jeden po drugim, powoli, jakby rozluźniała wieczorowe rękawiczki i pozwalala, aby spadały na ziemię z cichym łoskotem. Wtedy zaczęła wyrwać zęby, klik... klik... klik. Aż w końcu – i to było najstraszniejsze – zaczęła obdzierać się ze skóry, jakby zdejmowała z siebie dopasowaną wieczorową suknię, aż jej ciało zmieniło się w krwawą płataninę mięśni, kości i ścięgien. Wyglądała jak obdarty ze skóry królik.

Kucnęła i zaczęła się czołgać w moją stronę. Usta bez zarysowanych warg rozszerzyły się w potwornej parodii uśmiechu.

Cofałam się i cofałam, aż w końcu natrafiłam na ścianę i nie miałam już dokąd uciec.

Czułam, jak oddech więźnie mi w gardle. Próbowałam się odezwać, ale nie miałam głosu. Próbowałam się ruszyć, ale sparaliżował mnie strach.

Dziewczyna otworzyła usta i zrozumiałam, że chce mi coś powiedzieć. Ale wtedy ona sięgnęła do środka i wyrwała sobie język.

Obudziłam się zdyszana, drżąc ze strachu. Ciemność otaczała mnie niczym zaciśnięta pięść.

Chciałam krzyknąć. Panika narastała we mnie niczym lawa próbująca wydostać się z wulkanu. A jeśli krzyknę? – pomyślałam w amoku. Co najgorszego może się wydarzyć? Ktoś mnie usłyszy? A niech mnie słyszą, niech słyszą! Może ktoś przyjdzie i mnie uwolni.

Więc pozwoliłam, by napęczniały krzyk, tak długo tłumiony przez zaciśnięte gardło i zęby, w końcu wydostał się na zewnątrz.

I krzyczałam, i krzyczałam, i krzyczałam.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, przyciskając do piersi cienką poduszkę i wbijając paznokcie w nagi materac pod spodem, ale w końcu w kajucie zapadła cisza. Było słyhać tylko

niski ryk silników i mój własny oddech, chrypiący w obolałym od krzyku gardle.

Nikt nie przyszedł.

Nikt nie załomotał w drzwi, żeby zapytać, co się dzieje. Nikt nie zagroził, że mnie zabije, jeśli się nie zamknę. Nikt nic nie zrobił. Równie dobrze mogłabym krzyczeć w próżnię, unosząc się w przestrzeni kosmicznej.

Ręce mi się trzęsły. Nie potrafiłam zapomnieć o koszmarnych obrazach z mojego snu, o odartym ze skóry, zakrwawionym ciele dziewczyny, czołgającym się w moją stronę, czepiającym się materaca, spragnionym.

Co ja najlepszego zrobiłam? Boże, po co ja to zrobiłam? Dlaczego wciąż węszyłam, dlaczego nie trzymałam gęby na kłódkę? Sama stałam się celem, bo nie chciałam przemilczeć tego, co się wydarzyło w tamtej kabine. Ale... co właściwie się tam wydarzyło?

Leżałam, dociskając dłonie do oczu, w duszących ciemnościach, próbując to wszystko zrozumieć. Ta dziewczyna żyła. Cokolwiek słyszałam. Cokolwiek wydawało mi się, że widziałam, to nie było morderstwo.

Musiała przebywać na pokładzie przez cały ten czas. Nie zatrzymywaliśmy się nigdzie po drodze, nawet nie zbliżyliśmy się do lądu. Kim była i dlaczego ukrywała się na statku? I czyją krew widziałam na szkle?

Próbowałam zignorować ból głowy i myśleć logicznie. Czy ona należała do personelu? Ostatecznie знаła kod do drzwi. Przypomniałam sobie jednak, jak Nilsson go wstukował, podczas gdy ja stałam tuż za nim. Nie próbował osłaniać klawiatury. Gdybym chciała, bez problemu mogłabym zapamiętać cyfry. A na dole nie było już zbyt wielu przejść zamkniętych w ten sposób.

Ale ona miała dostęp do pustej kabiny, a to wymagało posiadania karty magnetycznej. Albo karty do tego konkretnego apartamentu, albo karty uniwersalnej, która otwierała drzwi do wszystkich kabin. Pomyślałam o sprzątaczkach gnieźdzących się w klitkach na dolnym pokładzie, o przerażonej twarzy Azjatki, która zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Za jaką cenę jedna z nich sprzedałaby kartę magnetyczną? Za sto koron? Za tysiąc? Nie musiałyby nawet jej sprzedawać – z pewnością istniały miejsca, w których można skopiować taką kartę. Musiałyby tylko pożyczyć ją na kilka godzin i nie zadawać niepotrzebnych pytań. Pomyślałam o Karli, która zasugerowała, że takie rzeczy się zdarzają, że ktoś mógł „pożyczyć” kabinę przyjaciółce.

Karta magnetyczna mogła też zostać ukradziona albo kupiona przez internet – nie miałam pojęcia, na jakiej zasadzie działają te elektroniczne zamki. Możliwe, że nikt inny nie był w to zamieszany. Że przez cały ten czas szukałam sprawcy wśród niewinnych osób. Pomyślałam o oskarżeniach, które rzuciłam pod adresem Bena, o podejrzeniach, jakie miałam co do Cole’a, Nilssona i całej reszty – i zrobiło mi się niedobrze.

Ale sam fakt, że ta dziewczyna istnieje i żyje, nie wykluczał automatycznie udziału kogoś innego. Właściwie im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że ktoś jej pomagał – ktoś napisał wiadomość na lustrze w spa, wrzucił aparat Cole’a do jacuzzi, ukradł mój telefon. Sama nie mogła zrobić tego wszystkiego. Ktoś zauważyłby i rozpoznał dziewczynę, o której przecież gadałam jak najęta przez dwa dni, gdyby włóczyła się po statku.

Głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej. Dlaczego? To było pytanie, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Wyprawiać takie rzeczy tylko po to, żeby móc dalej ukrywać się na pokładzie i powstrzymać mnie przed zadawaniem pytań? Gdyby ta dziewczyna rzeczywiście zginęła, próba zatuszowania jej śmierci miałyby sens. Ale ona żyła i miała się dobrze. Zatem najwyraźniej liczyło się to, kim była. Czyjaś żoną? Córką? Kochanką? Czy próbowała uciec z kraju?

Pomyślałam o Cole’u i jego byłej żonie. O Archerze i jego tajemniczej Jess. Pomyślałam

o tym, co się stało z aparatem.

Nic z tego nie miało sensu.

Przekręciłam się na bok, czując przytłaczający ciężar ciemności. Musiałam się znajdować głęboko w trzewiach statku, teraz byłam tego pewna. Ryk silników był tu głośniejszy niż na pokładzie z kabinami. Głośniejszy nawet niż ten słyszalny w kwaterach personelu. Byłam gdzie indziej, może na poziomie maszynowni, w każdym razie głęboko pod powierzchnią wody, w czeluściach kadłuba.

Na tę myśl ponownie ogarnęło mnie przerażenie. Czułam wodę napierającą na moją głowę i ramiona. Powietrze w kabine krążyło, a ja dusiłam się własną paniką...

Ostrożnie wstałam z pryczy i ruszyłam na drżących nogach, po omacku wyciągając przed siebie ręce. Wzdrygałam się na myśl o tym, co mogło się kryć w tych ciemnościach. Moja wyobraźnia przywoływała lęki z dzieciństwa: dotyk pajęczyny na twarzy, mężczyźni próbujący mnie dopaść... Potem ujrzałam dziewczynę z koszmaru – bez powiek, warg i języka. Ale w głębi duszy wiedziałam, że nie ma tu nikogo poza mną, że na tak ograniczonej przestrzeni byłabym w stanie usłyszeć, poczuć, wyczuć inną istotę ludzką.

Drepcząc ostrożnie, dotarłam do drzwi i zaczęłam je obmacywać. Chwyciłam za klamkę, ale wciąż były zamknięte. Przesuwałam dłońmi po ich powierzchni, żeby sprawdzić, czy mają wizjer, ale nie miały. Zresztą nie pamiętałam, bym go wcześniej widziała. Zapamiętałam za to płaski beżowy kontakt po lewej stronie od wejścia. Moje palce odnalazły go w ciemnościach i nacisnęłam przełącznik. Serce waliło mi w piersi.

Ale nic się nie wydarzyło.

Pstryknęłam jeszcze raz, choć już bez nadziei, bo domyśliłam się, co się stało. W korytarzu musiał być jakiś przełącznik albo bezpiecznik, który gasił automatycznie wszystkie światła. W każdej kajucie, w której wcześniej byłam, zawsze paliła się jakaś lampka bezpieczeństwa. Człowiek nigdy nie zostawał w kompletnych ciemnościach, nawet gdy światła były pogaszone. Tutaj natomiast panowały ciemności tak nieprzeniknione, że mogły być wyłącznie efektem całkowitego odcięcia prądu.

Wczołgałam się z powrotem na pryczę i przykryłam kocem. Trzęsłam się ze strachu, powróciło osłabienie mięśni przypominające początek grypy. W głowie miałam pustkę, jakby ciemność sączyła się do wnętrza mojej czaszki, wciskała między synapsy i przytępiła wszystko poza uczuciem paniki narastającej w moich trzewiach.

O Boże... Nie. Nie poddawaj się temu. Nie teraz.

Nie mogę. Nie zrobię tego. Nie pozwolę jej wygrać.

Zalała mnie fala gniewu i było to coś, czego mogłam się uczepić, coś konkretnego w tych nieprzeniknionych ciemnościach. Co za suka! Zdrajczyni. To by było na tyle, jeśli chodzi o cholerną solidarność kobiet. Walczyłam za nią, ryzykowałam utratą wiarygodności, znosiłam sceptycyzm Nilssona i dociekliwość Bena... I po co to wszystko? Żeby mogła mnie zdradzić, rozbić mi głowę i zamknąć mnie w tej pieprzonej trumnie!

Nie wiedziałam, o co chodziło w tej intrydze, ale ona była w nią aktywnie zaangażowana.

To ona przygotowała tę zasadzkę. A im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że dłoń, która wsunęła się w szparę w drzwiach, żeby zabrać tacę z naczyniami, też należała do niej. To była szczupła, zwinna, silna dłoń. Dłoń, która mogła chwycić za włosy albo wykręcić komuś rękę za plecami.

To wszystko musiało mieć jakąś przyczynę. Nikt nie zorganizowałby takiej skomplikowanej farsy bez powodu. Czy ona sfigowała własną śmierć? Czy miałam zobaczyć to, co się wydarzyło? Ale jeśli tak, to po co udawać, że dziewczyna nigdy nie istniała? Po co sprzątać kabinę, wycierać krew, kraść maskarę i celowo podwazyć całą moją relację z tej nocy?

Nie. Ona nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył. Coś wydarzyło się w tej kabinie – i cokolwiek to było, miało się odbyć bez świadków.

Leżałam na pryczy, łamiąc sobie głowę i starając się to wszystko rozgryźć, ale im usilniej próbowałam dopasować do siebie fragmenty informacji, tym bardziej byłam przekonana, że jest to układanka, która ma zbyt wiele elementów, żeby zmieściły się w ramce.

Zastanawiałam się, jakie okoliczności mogły doprowadzić do krzyku, który usłyszałam, do śladów krwi, które zobaczyłam, i do próby zatuszowania faktów. Kłótnia? Ktoś zarobił cios w nos, krzyknął z bólu i wybiegł na werandę, zostawiając ślady krwi na balustradzie... Nikt nie zginął. A jeśli dziewczyna była pasażerką na gapę, to zrozumiałe, że chcieli wyciszyć sprawę. Przenieśli ją w inne miejsce, zmyli krew.

Ale ta teoria nie trzymała się kupy. Jeśli do kłótni doszło przypadkiem, to jakim cudem tak szybko wysprzątały kabinę? Widziałam wewnątrz tego apartamentu przed kolacją. Po całym pokoju walały się ubrania dziewczyny i jej rzeczy osobiste. Nie było mowy, żeby spakowali i wynieśli wszystko w ciągu tych kilku minut, które zajęło mi skontaktowanie się z Nilssonem.

Nie. Cokolwiek się tam wydarzyło, zostało zaplanowane. Już wcześniej opróżnili pokój, skrupulatnie go wysprzątały. I zaczęłam podejrzewać, że to nie był przypadek, iż jeden z gości nie pojawił się na pokładzie. Potrzebowali pustej kabiny, i to musiała być kabina numer dziesięć. Ulokowana na samej rufie, tak aby żaden przypadkowy świadek nie zauważył, że coś zostaje wrzucone do morza i znika w spienionych falach.

Ktoś zginął. Byłam tego pewna. Tyle że nie ta dziewczyna. Ale w takim razie kto?

Wierciłam się w ciemnościach i przekręcałam z boku na bok, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów, które mogłyby się przebić przez ryk silników, a jednocześnie próbowałam znaleźć odpowiedzi na pytania kłębiące się w mojej głowie. Miałam wrażenie, że mój mózg spowija gęsta mgła, i wciąż wracałam do jednej jedynej kwestii. Kto? Kto tak naprawdę zginął?

Po raz kolejny ze snu wyrwało mnie to samo metaliczne kliknięcie, które słyszałam już wcześniej, i kajutę zalał blask światła. Słaba jarzeniówka zamigotała, nagrzewając się. Towarzyszyło temu charakterystyczne buczenie, które mieszało się z rykiem silników. Zerwałam się z pryczy z bijącym sercem i potrąciłam coś, co stało na podłodze nieopodal łóżka.

Straciłam swoją szansę.

Jasna cholera, znowu straciłam swoją szansę.

Musiałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, co zamierzają ze mną zrobić, dlaczego próbują mnie uciszyć. Od jak dawna tu jestem? Czy jest dzień, czy noc? A może po prostu dziewczyna akurat znalazła wolną chwilę, żeby zejść tu i z powrotem włączyć prąd?

Próbowałam policzyć, ile czasu mogło upłynąć. Zostałam zaatakowana we wtorek nad ranem. Teraz musiała być już co najmniej środa rano, a może i później. Miałam wrażenie, że siedzę tu dłużej niż dwadzieścia cztery godziny – znacznie dłużej.

Poszłam do łazienki, żeby ochłapać twarz wodą. Gdy osuszałam ją rękawem bluzy, dostałam zawrotów głowy. Pomieszczenie zaczęło wirować, a ja poczułam, że spadam. Wyciągnęłam rękę, by przytrzymać się futryny, i zacisnęłam powieki.

Po chwili zawroty ustąpiły i wróciłam na pryczę. Usiadłam na jej skraju, z głową między kolanami, czując, jak wstrząsają mną na przemian zimne i gorące dreszcze. Tak głęboko pod pokładem ruchu statku wyczuwało się zupełnie inaczej. Kadłub nie wznosił się i nie opadał rytmicznie, tylko kołysał się powoli. W połączeniu z nieustannym rykiem silników dawało to dziwny hipnotyczny efekt.

Na ziemi leżała taca z drożdżówką i miseczką brejowatego muesli. To ją musiałam potrącić, gdy się zerwałam. Sięgnęłam po muesli i zaczęłam jeść bez apetytu. Nie byłam głodna, ale od poniedziałkowego wieczoru nie jadłam nic poza klopsikami. Wiedziałam, że jeśli chcę się stąd wydostać, będę musiała walczyć. A żeby walczyć, muszę mieć na to siłę.

Ale tak naprawdę to nie jedzenia potrzebowałam. Chciałam odzyskać swoje tabletki. To było gwałtowne, wręcz fizyczne pragnienie, jakie pamiętałam z czasów, gdy spróbowałam je odstawić. Jednak w przeciwieństwie do tego, co wmawiałam sobie wtedy, teraz wiedziałam, że bez nich mój stan się nie poprawi, tylko pogorszy.

Jeśli w ogóle to przeżyjesz, wyszeptał złośliwy głosik w mojej głowie. Porcja muesli stanęła mi w gardle.

Nie mogłam się doczekać, kiedy dziewczyna pojawi się z powrotem. Wyobraziłam sobie z najdrobniejszymi szczegółami, jak łapię ją za włosy w taki sam sposób, jak ona złapała mnie, jak rozbijam jej kość policzkową o ostrą metalową krawędź pryczy, patrzę, jak płynie krew – czuję jej metaliczny zapach w ciasnej i dusznej kajucie... Znowu pomyślałam o czerwonej smudze na balustradzie werandy i pożałowałam, że to nie była jej krew.

Nienawidzę cię, pomyślałam. Z trudem przełknęłam muesli i nabrałam kolejną łyżkę, choć ręka mi się trzęsła, gdy unosiłam ją do ust. Tak bardzo cię nienawidzę. Mam nadzieję, że naprawdę utoniesz. Muesli miało konsystencję cementu, dławilo mnie, kiedy je przełykałam, ale wmuszałam w siebie łyżkę po łyżce, dopóki nie opróżniłam miseczki do połowy.

Nagle wpadłam na pomysł. Nie byłam pewna, czy się uda, ale musiałam spróbować.

Sięgnęłam po cienką melaminową tacę, na której przyniesiono mi jedzenie, i stuknęłam nią o metalową krawędź pryczy. Odbiła się od niej i prawie uderzyła mnie w twarz. Uchyliłam się w ostatniej chwili, a przed oczami stanął mi żywy obraz drzwi, którymi oberwałam w trakcie

włamania. Musiałam na moment zamknąć oczy i przytrzymać się łóżka.

Drugi raz nie spróbowałam tej metody. Zamiast tego oparłam tacę o metalową krawędź, przycisnęłam kolanem brzeg znajdujący się bliżej mnie i z całych sił nacisnęłam dłońmi na ten drugi. Początkowo taca nie zareagowała, więc nacisnęłam mocniej. Wreszcie pękła na pół, z hałasem przypominającym wystrzał z pistoletu. Miałam to, czego chciałam – dwa kawałki plastiku, może nie do końca ostre jak brzytwa, ale z krawędziami, które mogły narobić trochę szkód.

Podniosłam je, oceniając ich przydatność i sprawdzając, w jaki sposób najwygodniej je chwycić. W końcu wybrałam ten, który wyglądał na groźniejszą broń, i kucnęłam przy ścianie tuż obok drzwi.

Czekałam.

Miałam wrażenie, że trwało to wiele godzin. Raz czy dwa poczułam, jak kleją mi się oczy, a ciało próbuje odpocząć, odcinając się od wyczerpującego działania adrenaliny, ale za każdym razem gwałtownie unosiłam powieki. Zachowaj przytomność, Lo!

Zaczęłam liczyć. Tym razem nie po to, aby zapanować nad atakiem paniki, lecz żeby nie zasnąć. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Gdy dotarłam do tysiąca, przeszłam na francuski. *Un. Deux. Trois...* Potem zaczęłam liczyć dwójkami. W końcu przerzuciłam się na tę dziecięcą zabawę, w której mówi się „fizz” zamiast piątki i jej wielokrotności oraz „buzz” zamiast każdej siódemki i jej wielokrotności. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Fizz. (Ręce mi się trzęsły). Sześć. Buzz. Osiem. Dziewięć. Dziesięć – nie, zaraz, to powinno być „fizz”...

Ze zniecierpliwieniem pokręciłam głową, potarłam obolałe ramiona i zaczęłam od nowa. Raz. Dwa...

A potem to usłyszałam. Hałas na korytarzu. Dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Wstrzymałam oddech.

Słyszałam zbliżające się kroki. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Poczułam ucisk w żołądku.

Odgłos klucza przekręcanego w zamku...

Drzwi uchyliły się ostrożnie, a ja zaatakowałam.

To była ona.

Zorientowała się, co zamierzam zrobić, i spróbowała zamknąć drzwi, ale ja byłam szybsza. Wepchnęłam rękę w szczelinę i skrzydło przytrzasnęło mi przedramię. Krzyknęłam z bólu, ale drzwi odskoczyły i udało mi się do połowy przecisnąć na zewnątrz. Jednocześnie cały czas dźgałam jej ramiona poszarpaną krawędzią złamanej tacy. Ale zamiast się wycofać, jak tego oczekiwałam, dziewczyna runęła na mnie i wepchnęła się do kabiny. Skraj tacy boleśnie wbił mi się w skórę, a krew pociekła po grzbiecie mojej dłoni. Uderzyłam plecami o plastikową ścianę i zanim zdołałam się zorientować, ona skoczyła do drzwi, zamknęła je od środka, a potem stanęła plecami do nich, ściskając klucz w pięści.

– Wypuść mnie! – zawołałam głosem, który przypominał ryk zwierzęcia.

Dziewczyna pokręciła głową. Na twarzy miała rozmazaną krew – moją krew – i była przestraszona, ale też podekscytowana, widziałam to w jej oczach. Miała nade mną przewagę i wiedziała o tym.

– Zabiję cię – warknęłam. Mówiłam serio. Uniosłam tacę poplamioną moją krwią. – Poderżnę ci gardło.

– Nie dałabyś rady – rzuciła z pogardliwym lekceważeniem. – Tylko na siebie popatrz, ledwie się trzymasz na nogach. Biedna dziwka...

– Dlaczego? – Teraz brzmiałam płaczliwie niczym dziecko. – Dlaczego mi to robicie?

– Bo nas do tego zmusiłaś – wysyczała z nagłą wściekłością. – Nie mogłaś przestać

węszyc, prawda? Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam cię odstraszyć... Gdybyś tylko trzymała gębę na kłódkę i przestała paplać o tym, co widziałas w tej cholernej kabinie...

– A co takiego widziałam?

Wykrzywiła wargi.

– Boże, ty chyba myślisz, że jestem głupsza, niż wyglądam. Czy naprawdę chcesz umrzeć? – Zaprzeczyłam. – Dobrze. A zatem czego chcesz?

– Chcę się stąd wydostać.

Z ciężkim westchnieniem opadłam na łóżko, bo nie byłam pewna, jak długo jeszcze ustoję o własnych siłach.

Dziewczyna gwałtownie pokręciła głową, a ja zobaczyłam w jej oczach kolejny błysk strachu.

– On nigdy by mi na to nie pozwolił.

On?

Poczułam przypływ ekscytacji. Oto miałam pierwszy dowód na to, że ktoś jej pomaga. Ale kto? Nie miałam odwagi zapytać. Jeszcze nie. Zresztą teraz to nie było najważniejsze.

– W takim razie chociaż oddaj mi moje tabletki.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Te, które trzymałaś przy zlewie? – zapytała. – Możliwe, że uda mi się to załatwić. Dlaczego ich potrzebujesz?

– To antydepresanty – przyznałam z goryczą. – Mają... nie należy ich gwałtownie odstawiać.

– Och... – Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. – To dlatego tak kiepsko wyglądasz. Nie mogłam tego pojąć. Myślałam, że może za mocno cię uderzyłam. Okay. Mogę to zrobić. Ale musisz obiecać mi coś w zamian.

– Co takiego?

– Żadnych więcej prób ucieczki. Te tabletki to nagroda za dobre sprawowanie, rozumiemy się?

– W porządku.

Dziewczyna zabrała talerz i miseczkę, po czym wyciągnęła rękę po kawalki tacy. Wahałam się przez chwilę, ale w końcu je oddałam.

– Teraz otworzę drzwi – uprzedziła. – Nie zrób niczego głupiego. W korytarzu są jeszcze jedne drzwi, zamykane na kod, więc i tak nie uciekłabyś za daleko. Bez wygłupów, okay?

– Okay – mruknęłam niechętnie.

Gdy odeszła, usiadłam na pryczy, gapiąc się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Analizowałam to, co mi powiedziała.

On.

Więc jednak miała współnika na pokładzie. On – to jedno słowo wystarczyło, żebym mogła wykluczyć Tinę, Chloe, Anne i dwie trzecie personelu.

Kim był? Zaczęłam wylizywać.

Nilsson.

Bullmer.

Cole.

Ben.

Archer.

Na liście mniej podejrzanych umieściłam Owena White'a, Alexandra oraz załogę i stewardów.

Analizowałam wszelkie możliwe scenariusze, jednak wciąż dochodziłam do tego samego

wniosku. Tylko jeden mężczyzna był na dole w spa i mógł zostawić na lustrze ostrzeżenie. Ben.

Musiałam przestać się skupiać na motywie. I tak nie udałoby mi się znaleźć odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Po prostu miałam za mało informacji.

Jak? Bardzo niewiele osób miałooby okazję zakraść się do mojego gabinetu zabiegowego. Istniało tylko jedno ogólnodostępne wejście do spa, a Ben był jedynym mężczyzną, który z całą pewnością z niego skorzystał.

Tak wiele rzeczy nagle nabrało sensu. To, jak chętnie podważył moją wiarygodność w rozmowie z Nilssonem. To, że dobijał się do mojej kabiny tej ostatniej nocy, więc wiedział, że zamknęłam się w łazience i będzie łatwo ukraść mi telefon.

Fakt, że jego apartament również sąsiedował z pustą kabiną, a jednak on niczego nie widział i nie słyszał.

Fakt, że kłamał na temat swojego alibi w trakcie gry w pokera.

Oraz fakt, że tak usilnie próbował zniechęcić mnie do kontynuowania śledztwa.

Rozwiązanie tej zagadki powinno dać mi satysfakcję, ale tak się nie stało. Bo jaki miałam pożytek z tej informacji tutaj, na dole?

Musiałam się stąd wydostać.

Leżałam na boku, wlepiając wzrok w kremową plastikową ścianę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołałam słabym głosem. Chciało mi się śmiać na myśl o tym, jak idiotycznie to zabrzmiało w tej sytuacji.

– To ja – rozległ się głos za drzwiami. – Żadnych wygłupów, jasne? Albo to będzie ostatnia tabletką, jaką ode mnie dostaniesz.

– Jasne – odparłam, próbując ukryć entuzjazm.

Usiadłam i owinięłam się cienkim kocem. Nie brałam prysznicza, od kiedy się tu znalazłam, więc cuchnęłam potem i strachem.

Drzwi uchyliły się ostrożnie. Dziewczyna postawiła na podłodze tacę z jedzeniem, popchnęła ją stopą, po czym sama wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Proszę. – Wyciągnęła do mnie dłoń, na której leżała biała tabletką.

– Tylko jedna? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Jedna. Może przyniosę ci jeszcze ze dwie jutro, jeśli będziesz grzeczna.

Zrozumiałam, że zapewniłam jej idealne narzędzie szantażu. Skinęłam głową i wzięłam tabletkę. Wtedy dziewczyna wyciągnęła z kieszeni książkę, którą musiała znaleźć wśród moich rzeczy. *Szklany klosz*. Normalnie w takich okolicznościach nie wybrałabym takiej lektury, ale uznałam, że to lepsze niż nic.

– Pomyślałam, że może będziesz chciała trochę poczytać. Można zwariować, gdy nie ma się nic do roboty. – Zerknęła na tabletkę, którą wciąż trzymałam w dłoni, i dodała: – Bez obrazy.

– Dzięki – rzuciłam, a gdy się odwróciła, żeby odejść, zawołałam: – Poczekaj.

– Tak?

– Ja... – Nie byłam pewna, jak zapytać o to, o co chciałam zapytać. Zacisnęłam w pięść dłoń, w której trzymałam tabletkę. Cholera. – Co... co się ze mną stanie?

Wyraz jej twarzy zmienił się, jakby ktoś nagle zasłonił okno. Spojrzała na mnie z rezerwą.

– To nie zależy ode mnie.

– A od kogo? Od Bena?

Prychnęła szyderczym śmiechem.

– Smacznego.

Gdy sięgała do klamki, zauważyła swoje odbicie w małym lusterku na drzwiach łazienki.

– Kurwa, mam krew na twarzy! Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jeśli on się dowie, że mnie zaatakowałaś...

Weszła do małego pomieszczenia, żeby się umyć. Ale zmyła z twarzy nie tylko krew. Kiedy ponownie przede mną stanęła, zamarłam na jej widok. Nagle zrozumiałam, z kim mam do czynienia.

Razem z krwią dziewczyna zmyła ze skóry również obie brwi. Ujrzałam gładkie czoło i przypominającą nagą czaszkę twarz, którą natychmiast rozpoznałam.

Dziewczyną z kabiny numer dziesięć była Anne Bull-mer.

Byłam za bardzo zaszokowana, żeby cokolwiek powiedzieć. Po prostu siedziałam i patrzyłam na nią z rozdziawioną buzią.

Na widok mojej miny odruchowo zerknęła w lustro i chyba dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Po jej twarzy przemknął cień irytacji, ale tylko wzruszyła ramionami. Opuściła kajutę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, a potem nieco cichszy łoskot kolejnych drzwi.

Anne Bullmer.

Anne Bullmer?

Wydawało mi się niemożliwe, żeby to była ta sama – wymizerowana i przedwcześnie podstarzała – kobieta, którą widziałam i z którą rozmawiałam. A jednak nie miałam wątpliwości. Miała te same ciemne oczy. Te same wysokie wystające kości policzkowe. Nie potrafiłam tylko zrozumieć, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć.

Gdybym nie była świadkiem tej transformacji, nigdy nie uwierzyłabym, jak bardzo włosy i delikatnie nakreślone ołówkiem brwi mogą zmienić twarz. Bez tych dodatków wydawała się pozbawiona rysów i osobliwie gładka. Nie dało się nie myśleć o śmierci i chorobie, gdy patrzyło się na tę połąć skóry, bladą jak kość, a szal obwiązany ciasno wokół czaszki tylko podkreślał jej kruchość, boleśnie akcentując linie wychudzonej szyi i obojczyków poniżej.

Kształtne czarne brwi i peleryna ciemnych włosów kompletnie ją odmieniały. Dzięki nim stawała się młoda, zdrowa. Żywa.

Zdałam sobie sprawę, że kiedy wcześniej rozmawiałam z Anne Bullmer, byłam tak zahipnotyzowana jej chorobą, że nie patrzyłam na kobietę kryjącą się pod spodem. A właściwie to próbowałam nie patrzeć. W oczy rzucały mi się tylko charakterystyczne luźne stroje, brak brwi i niepokojąco gładka czaszka, spowita w delikatne chusty...

Musiała nosić perukę – nie miałam co do tego wątpliwości. Nie ukryłaby takich gęstych ciemnych włosów pod cienkimi zwojami jedwabiu...

Ale czy rzeczywiście była chora? Zdrowa? Umierała? Udawała? Nic już nie miało sensu.

Próbowałam sobie przypomnieć, co powiedział mi Ben – cztery lata chemioterapii i radioterapii. Czy naprawdę mogła sfingować coś takiego, nawet jeśli było ją stać na opłacanie prywatnych lekarzy i przenoszenie się z jednego systemu służby zdrowia do drugiego co kilka miesięcy? Może.

To przynajmniej wyjaśniało, w jaki sposób dostała się na pokład i co się z nią stało po tamtej nocy, gdy usłyszałam plusk. Po prostu ściągnęła perukę, owinęła głowę chustą i powróciła do życia jako Anne Bullmer. To wyjaśniało również, jakim cudem miała dostęp do wszystkich zakamarków statku. Jej mąż był właścicielem, więc mogła wejść wszędzie.

Ale wciąż nie potrafiłam pojąć dlaczego. Po co założyła perukę i koszulkę Pink Floyd, po co spędziła popołudnie w pustej kabinie? Co tam robiła? A skoro to była taka tajemnica, czemu w ogóle otworzyła mi wtedy drzwi?

Kiedy to ostatnie pytanie przyszło mi do głowy, nagle przypomniałam sobie, w jaki sposób zapukałam do tych drzwi – raz, dwa, trzy, pauza, i jeszcze jedno puknięcie. A wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby dziewczyna czekała na ten ostatni dźwięk. W sumie to było dziwne pukanie, specyficzne. Czy to możliwe, że zupełnie przypadkowo wystukałam wcześniej umówiony sygnał?

Gdyby tylko.... Gdybym tylko zapukała trzy razy, jak zwykle się puka. Albo tylko raz.

Wtedy nigdy bym się nie dowiedziała, że ona tam była, nigdy nie wpakowałabym się w całą tę aferę i nie znalazłabym się w sytuacji, w której trzeba było mnie zamknąć, uciszyć...

Uciszyć. To była nieprzyjemna myśl. Słowo odbijało się echem w mojej głowie.

Trzeba mnie było uciszyć. Ale na jak długo? Będę siedziała tutaj, w zamknięciu, do kiedy? Aż minie jakiś ustalony termin?

A może... aż uciszą mnie na zawsze?

Na kolację dostałam białą rybę w jakimś kremowym sosie, z gotowanymi ziemniakami. Danie było zimne, sos już stężał, ale byłam tak głodna, że nie zwracałam na to uwagi. Zanim zjadłam, popatrzyłam na tabletkę leżącą na mojej dłoni. Zastanawiałam się, co robić. To była połowa mojej normalnej dawki. Mogłam wziąć całą tabletkę teraz albo podzielić ją i zacząć gromadzić zapasy na wypadek... Na wypadek czego? Mało prawdopodobne, żeby udało mi się stąd uciec, a jeśli Anne z jakiegoś powodu przestanie mi wydzielać pigułki, zapasy i tak szybko mi się skończą.

W końcu połknęłam całą tabletkę, uznając, że i tak mam niedobory do uzupełnienia. Jeśli zmienię zdanie, mogę zacząć je oszczędzać jutro. Niemal natychmiast poczułam się lepiej, choć wiedziałam, że to nie może być efekt działania leku. Nie wchłaniał się tak szybko i dopiero po jakimś czasie zaczynał wywierać wpływ na organizm. Ulga, jakiej doświadczyłam, musiała być efektem placebo. Ale nie obchodziło mnie to.

Zabrałam się do zimnej już kolacji. Siedziałam na pryczy, powoli przeżuując kęs kleistego ziemniaka, w nadziei że stanie się smaczniejszy, i próbowałam na nowo poskładać elementy układanki, które tak skrupulatnie gromadziłam w głowie.

Wiedziałam, co oznaczało to pogardliwe prychnięcie.

Biedny Ben. Poczułam wyrzuty sumienia, że osądziłam go tak pochopnie. Po chwili jednak rozzłościłam się na samą siebie. Tak bardzo skupiłam się na fakcie, że Anne wspomniała o współniku płci męskiej, że nie przyszło mi do głowy, że to ona mogła zbiec na dół, podczas gdy schły jej paznokcie, i nabazgrać te słowa na lustrze. Głupia, głupia Lo.

Ale Ben też był głupi. Gdyby przez tyle lat nie lekceważył moich uczuć, gdyby mnie wspierał, zamiast tak ochoczo dyskutować z Nilssonem o mojej przeszłości, może nie wyciągnęłabym tak pochopnych wniosków.

Teraz już wiedziałam, kim był ów tajemniczy „on”. To musiał być Richard Bullmer. Ostatecznie statek należał do niego. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, jak planuje i popełnia morderstwo. Pozostali mężczyźni na pokładzie – tłusty i kapryśny Alexander czy niemrawy, niedźwiedziowaty Nilsson – zupełnie nie pasowali do roli zabójcy.

Tyle że nie doszło do żadnego morderstwa. Dlaczego wciąż musiałam sobie przypominać o tym fakcie? Dlaczego tak trudno było mi to pojąć?

Bo jesteś tutaj, pomyślałam. Bo cokolwiek widziałas, do czegokolwiek doszło w tej kabinie, było to dla nich na tyle ważne, że musieli cię tu zamknąć i powstrzymać przed zgłoszeniem się na policję w Trondheim. Co się wydarzyło? Gra musiała się toczyć o dużą stawkę, skoro nie mogli sobie pozwolić na to, by ich tajemnica wyszła na jaw. Może coś szmuglowali? Może wyrzucali za burtę jakiś towar, żeby ktoś go od nich odebrał?

Następnym razem wyrzucą ciebie, głupia dziwko, warknął głosik w mojej głowie. Wyobraziłam sobie, jak wpadam w głęboką toń. Obraz ten przeszył mnie niczym wstrząs elektryczny.

Skrzywiłam się i zacisnęłam zęby, zmuszając się do przełknięcia kolejnego kęsa kleistych ziemniaków. Statkiem zakołysało i poczułam mdłości.

Co się ze mną stanie? Istniały tylko dwie możliwości – w którymś momencie albo mnie wypuszczą, albo zabiją. I ta pierwsza opcja wydawała mi się coraz mniej prawdopodobna.

Wiedziałam za dużo. Wiedziałam o Anne. Wiedziałam, że nie jest nawet w przybliżeniu tak chora, jak wszyscy myśleli. Bullmerowie nie mogli sobie pozwolić na to, bym zaczęła rozpowiadać na prawo i lewo o tym, co mi się przytrafiło – jak mnie pobili, porwali, uwięzili... Chociaż, zastanawiałam się, czy ktoś by mi uwierzył? Dotknęłam policzka, czując pod opuszkami palców zaschniętą krew – pozostałość po zderzeniu z metalową futryną. Nagle poczułam się obrzydliwie brudna, spocona i zakrwawiona. Sądząc po częstotliwości jej dotychczasowych wizyt, Anne jeszcze długo nie wróci.

Niewiele mogłam zrobić, by poprawić swój los, zamknięta w tej dwumetrowej trumnie. Ale przynajmniej mogłam się umyć.

Prysznic w niczym nie przypominał tego w apartamencie. Nawet gdy odkręciłam wodę do oporu, leciała z niego tylko letnia strużka, ale i tak stałam pod nią tak długo, aż poczułam, że marszczy mi się skóra na palcach. Zaschnięta krew się rozpuściła, a ja zamknęłam oczy, pozwalając, by ciepło rozgrzewało mi mięśnie.

Prysznic sprawił, że poczułam się lepiej. Zmyłam z siebie odrobinę strachu i przemocy, które odcisnęły piętno na kilku ostatnich dniach. Dopiero gdy zaczęłam się z powrotem ubierać, uświadomiłam sobie, jak nisko upadłam. Ubrania cuchnęły, były poplamione krwią i potem.

Położyłam się na pryczy i zamknęłam oczy. Wsłuchiwałam się w miarowe dudnienie silników i zastanawiałam, gdzie jesteśmy. Była środa wieczór, a może już czwartek rano. O ile dobrze pamiętałam, rejs miał się zakończyć za nieco ponad dwadzieścia cztery godziny. A co potem? Gdy w piątkowy ranek statek dotrze do Bergen, pozostali pasażerowie opuszczą pokład, a wraz z nimi odejdzie moja ostatnia nadzieja na to, że ktoś się zorientuje, co mi się przytrafiło.

Przez najbliższą dobę zapewne będę bezpieczna. Ale potem... O Boże... Nie, nie mogłam o tym myśleć.

Docisnęłam dłonie do oczu. Krew szumiała mi w uszach. Co powinnam zrobić? Co mogę zrobić?

Jeśli Anne mówiła prawdę, to nic nie osiągnę, robiąc jej krzywdę. Za tymi drzwiami znajdowały się jeszcze jedne, zamykane na kod, a potem kto wie ile podobnych. Przez chwilę zastanawiałam się, czy gdybym wydostała się na korytarz, zdążyłabym uruchomić alarm przeciwpożarowy, zanim by mnie dogoniła. Ale to wydało mi się mało prawdopodobne. Sądząc po jej sile i refleksie, raczej nie zdołałabym dotrzeć tak daleko.

Nie. Miałabym większe szanse powodzenia, gdyby udało mi się przeciągnąć Anne na swoją stronę.

Ale jak? Co ja właściwie o niej wiedziałam?

Próbowałam się skupić: niewiarygodne bogactwo, samotne dorastanie w europejskich szkołach z internatem... Nic dziwnego, że nie zauważyłam żadnego podobieństwa między nią a dziewczyną z kabiny numer dziesięć. Chuda jak patyk kobieta o smutnych oczach, spowita w szare jedwabie i designerskie chusty, pasowała do historii, którą usłyszałam na temat Anne Bullmer. Ale dziewczyna w koszulce Pink Floyd, z tymi drwiącymi ciemnymi oczami i tanią maskarą... Miałam wrażenie, jakby istniały dwie Anne. Ten sam wzrost, ta sama waga i rysy twarzy, ale nic więcej.

I nagle coś w moim mózgu zaskoczyło.

Dwie Anne.

Dwie kobiety.

Szata z szarego jedwabiu, dobrana pod kolor jej oczu...

Uniosłam powieki i przerzuciłam nogi przez krawędź łóżka, jęcząc na myśl o własnej głupocie. Oczywiście. Oczywiście! Gdybym nie była ledwie żywa ze strachu, już wcześniej bym to dostrzegła. Jak mogłam o tym nie pomyśleć!

Oczywiście, że były dwie Anne.

Prawdziwa Anne Bullmer nie żyła. Zginęła tego wieczoru, gdy opuściliśmy Anglię.

Dziewczyna w koszulce Pink Floyd miała się całkiem dobrze i od tamtej pory odgrywała jej rolę.

Ten sam wzrost, ta sama waga, te same szerokie kości policzkowe... ale oczy się nie zgadzały! A oni postanowili zaryzykować. Założyli, że i tak nikt nie zapamięta barwy oczu kobiety, którą ledwie poznał. Ostatecznie żaden z gości wcześniej nie spotkał Anne. Do tego Richard wyraźnie powiedział Cole'owi, żeby nie robił jej zdjęć. Na litość boską! Teraz już rozumiałam dlaczego. Wcale nie przez wzgląd na uczucia schorowanej kobiety, wrażliwej na punkcie swojego wyglądu. Chodziło o to, żeby nie powstały żadne zdjęcia, które później mogłyby ich zdemaskować, gdyby przyjaciele i rodzina żony lepiej im się przyjrzeni.

Zamknęłam oczy, wplotłam palce we włosy i ścisnęłam je u nasady tak mocno, że aż zabolalo. Próbowałam odtworzyć prawdopodobny bieg wydarzeń.

Richard Bullmer – bo to musiał być on – w jakiś sposób przemycił dziewczynę na pokład i ukrył ją w kabinie numer dziesięć. Siedziała tam, już gdy reszta z nas wchodziła na statek.

Tego pierwszego wieczoru czekała na sygnał od Richarda, żeby przygotować się i opróżnić kabinę. Pomyślałam o tym, co zobaczyłam nad jej ramieniem: jedwabna szata rozłożona na łóżku, kosmetyki do makijażu, plastry z woskiem w łazience! Chryste, jak mogłam być taka głupia? Goliła się i depilowała, żeby wcielić się w rolę kobiety chorej na raka. Ale zamiast Richarda do drzwi zapukałam ja, nieumyślnie kopiując ich umówiony sygnał. I tylko dlatego mi otworzyła.

Co, do licha, musiała sobie pomyśleć? Przypomniam sobie strach i irytację malującą się na jej twarzy, gdy próbowała zamknąć drzwi, a ja ją powstrzymałam. Rozpaczliwie chciała się mnie pozbyć, a jednocześnie starała się zachowywać w miarę normalnie. Lepiej, żebym zapamiętała trochę dziwną dziewczynę, która pożyczyła mi maskarę, niż zaczęła opowiadać pozostałym gościom historie o pasażerce, która zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

I prawie jej się udało.

Czy przyznała się Richardowi do tego, co się stało, gdy w końcu ją odwiedził? Nie mogłam mieć pewności, ale uznałam, że nie. Wydawał się taki normalny podczas tej pierwszej kolacji. Doskonały gospodarz. Poza tym dziewczyna wiedziała, że to ona popełniła błąd, nie patrząc przez wizjer. A Bullmer nie wyglądał na człowieka, który z wyrozumiałością traktowałby błędy innych. Bardziej prawdopodobne, że postanowiła siedzieć cicho i trzymać kciuki w nadziei, że ujdzie jej to płazem.

Spakowała swoje rzeczy, wysprzątała pokój i czekała.

Wieczorem, po tym, jak opuściła nas przed kolacją, prawdziwa Anne w jakiś sposób trafiła do kabiny numer dziesięć. Została tam zwabiona pod jakimś pretekstem? A może już wtedy była martwa? Tak czy inaczej, nie miało to większego znaczenia, bo rezultat był taki sam. Podczas gdy Richard grał w pokera w apartamencie Larsa, zapewniając sobie alibi na całą noc, dziewczyna z kabiny numer dziesięć wyrzuciła ciało Anne za burtę w nadziei, że nigdy nie zostanie odnalezione.

I wszystko to uszłoby im na sucho, gdybym nie usłyszała hałasów dochodzących z sąsiedniej kabiny i nie wyciągnęła wniosków, które były tak błędne, że niemal całkowicie trafne.

A zatem kim ona była? Kim była dziewczyna, która trzymała mnie tu jak zwierzę w klatce?

Nie miałam pojęcia. Ale wiedziałam jedno: była moją jedyną szansą na przeżycie.

Przez całą noc nie zmrzyłam oka. Zastanawiałam się, jak powinnam to rozegrać. Judah i rodzice spodziewają się, że wrócę do domu w piątek. Do tego czasu nie będą mieli powodów, by podejrzewać, że coś jest nie tak. Ale pozostali pasażerowie musieli pomyśleć, że nie wróciłam na pokład. Czy podnieśli alarm? A może Bullmer sprzedał im jakąś historyjkę, by wyjaśnić moje zniknięcie? Może coś mnie zatrzymało w Trondheim albo nieoczekiwanie postanowiłam polecieć do domu?

Zastanawiałam się, kto mógłby być na tyle zaniepokojony, żeby zacząć zadawać pytania. Nie liczyłam na Cole'a, Chloe i większość pozostałych gości. Nie znali mnie. Nie mieli zamiarów na nikogo z mojej rodziny. Najpewniej wzięli za dobrą monetę wszystko, co powiedział im Bull-mer.

Zatem Ben? Znał mnie dobrze – na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zniknęłabym z pokładu bez słowa. W normalnych okolicznościach skontaktowałby się z Judah albo z moimi rodzicami i podzielił się z nimi swoimi obawami, ale my nie rozstaliśmy się w normalnych okolicznościach. Prawie oskarżyłam go o współudział w morderstwie. Pomijając uzasadniony gniew, jaki musiał odczuwać, zapewne nie był zaskoczony, że w takiej sytuacji zniknęłam bez pożegnania.

Z pozostałych gości najbardziej obiecująca wydawała mi się Tina. Trzymałam kciuki, żeby skontaktowała się z Rowan i poinformowała ją, że zniknęłam ze statku. Ale wiedziałam, że nie mogę liczyć tylko na to.

Nie. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce.

Gdy raniem rozległo się pukanie do drzwi, wciąż nie spałam, ale wiedziałam już, co muszę zrobić. Byłam gotowa.

– Proszę. – Drzwi uchyliły się, dziewczyna ostrożnie zajrzała do środka. Zobaczyła, że siedzę spokojnie na łóżku, umyta, z książką na kolanach. – Cześć – przywitałam ją.

Tym razem była przebrana za Anne – miała chustę na głowie i nie narysowała sobie brwi – ale nie poruszała się jak ona. Niecierpliwie postawiła na podłodze tacę z jedzeniem i wyprostowała się, jednak bez wdzięku, który zazwyczaj demonstrowała, wcielając się w żonę Richarda.

– Cześć – odparła. Akcent też miała inny. Spółgłoski zlewały się ze sobą i nie były już takie krystalicznie czyste. – Skończyłaś czytać? – Wskazała na *Szklany klosz*.

– Tak. Czy mogłabyś wymienić mi ją na inną?

– Ta... chyba tak. Co chcesz?

– Wszystko jedno. Cokolwiek. Ty wybierz.

– Okay. – Wyciągnęła rękę, a ja podałam jej książkę. Potem przygotowałam się na to, co muszę zrobić.

– Przepraszam – mruknęłam z zakłopotaniem. – Za tamtą tacę.

Uśmiechnęła się, odsłaniając proste białe zęby. W jej ciemnych oczach pojawił się szelmowski błysk.

– W porządku. Nie dziwię ci się, sama zrobiłabym to samo. Ale tym razem dostałaś mocniejszą. Człowiek uczy się na błędach...

Spojrzałam na posiłek. Kruchę melaminową tacę zastąpiła taka z grubego plastiku, na jakiej serwuje się drinki w barach.

– Cóż, zasłużyłam sobie na to. – Zmusiłam się do uśmiechu.

– Twoja tabletką jest na spodeczku. Pamiętaj, za dobre sprawowanie.
Skinęłam głową, a ona zaczęła się zbierać do odejścia. Głośno przełknęłam ślinę. Musiałam ją zatrzymać, musiałam coś powiedzieć. Cokolwiek, bylebym tylko nie musiała spędzić tu samotnie kolejnego dnia i nocy.

– Jak masz na imię? – zapytałam w desperacji.

Odwróciła się na pięcie i spojrzała na mnie z podejrzliwą miną.

– Co takiego?

– Wiem, że nie jesteś Anne. Przypomniałam sobie, że Anne, którą poznałam pierwszego wieczoru, miała szare oczy. Ty masz ciemne. Ale poza tym grasz bardzo przekonująco. Jesteś naprawdę dobrą aktorką, wiesz o tym?

Przez chwilę na jej twarzy malowała się całkowita obojętność i pomyślałam, że wyjdzie, trzaskając drzwiami, i zostawi mnie tu na kolejne dwanaście godzin. Czułam się jak wędkarz próbujący złowić ogromną rybę na bardzo delikatną żyłkę. Napinałam mięśnie z wysiłku, ale starałam się nie okazać zmęczenia.

– Jeśli się pomyliłam... – podjęłam ostrożnie.

– Zamknij się – warknęła jak rozdrażniona lwica. Wściekłość wykrzywiła jej rysy, w ciemnych oczach pojawiła się uraza.

– Przepraszam – powiedziałam potulnie. – Ja nie chciałam... zresztą, słuchaj, jakie to ma znaczenie? Przecież i tak nigdzie się nie wybieram. Komu miałabym powiedzieć?

– Cholera – rzuciła z goryczą. – Kopiesz sobie grób, rozumiesz to?

Pokiwałam głową. Wiedziałam o tym już od kilku dni. Cokolwiek ta dziewczyna próbowała sobie wmówić – cokolwiek ja próbowałam sobie wmówić – mogłam opuścić to pomieszczenie tylko w jeden sposób.

– Nie sądzę, by Richard pozwolił mi odejść – ciągnęłam dalej. – Wiesz o tym, prawda? Więc to, czy zdradzisz mi swoje prawdziwe imię, tak naprawdę nie będzie miało większego znaczenia.

Zbladła jak ściana. Gdy przemówiła, w jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie:

– Wszystko spieprzyłaś. Dlaczego nie mogłaś sobie odpuścić?

– Próbowałam pomóc! – Moje słowa odbiły się zaskakująco głośnym echem w małym pomieszczeniu. Przełknęłam i zniżyłam głos: – Próbowałam ci pomóc, nie rozumiesz?

– Ale dlaczego? – Była sfrustrowana. – Dlaczego? Przecież ledwie mnie znałaś. Dlaczego musiałaś dalej węszyć?

– Bo wiem, jakie to uczucie znaleźć się w takiej sytuacji! Ja wiem... wiem, jak to jest obudzić się w nocy w obawie o swoje życie.

– Tyle że ja nie byłam w takiej sytuacji – warknęła. Krążyła po małej kabinie. Zauważyłam, że brwi zaczęły jej odrastać. – Ja nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

– Ale będziesz – oznajmiłam, przyszpilając ją spojrzeniem. Nie mogłam pozwolić, aby wyszła stąd bez świadomości, w co tak naprawdę się wpakowała. – Jak sądzisz, gdy Richard już dostanie pieniądze Anne, jaki będzie jego następny ruch? Będzie chciał się zabezpieczyć.

– Zamknij się! Nie masz pojęcia, o czym mówisz. To dobry człowiek. On mnie kocha.

Wstałam z pryczy. Patrzyłyśmy sobie teraz w oczy, z bardzo bliska.

– To brednie, dobrze o tym wiesz – wycodziłam. Ręce mi się trzęsły. Wiedziałam, że jeśli źle to rozegram, ona zamknie drzwi i już nigdy tu nie wróci. Ale musiałam doprowadzić do tego, by zdała sobie sprawę, w jakim położeniu się znajduje. Ze względu i na moje, i na jej dobro. Wiedziałam, że jeśli teraz odejdzie, najprawdopodobniej obie zginiemy. – Gdyby był w tobie zakochany, nie biłby cię i nie zmuszał, żebyś przebierała się za jego zmarłą żonę. Jak sądzisz, o co chodzi w całej tej maskaradzie? O to, żeby mógł być z tobą? Tutaj nie chodzi o ciebie.

Gdyby tak było, po prostu rozwiódłby się z żoną i odpłynęlibyście w siną dal. Ale wtedy ona zabrałaby wszystkie pieniądze. Była dziedziczką ogromnej fortuny. Tego rodzaju ludzie nie zawierają małżeństwa bez intercyzy.

– Zamknij się! – Docisnęła dłonie do uszu i pokręciła głową. – Nie wiesz, o czym mówisz. Żadne z nas nie chciało się znaleźć w tej sytuacji!

– Naprawdę? Myślisz, że to zbieg okoliczności, że zakochał się w kimś tak uderzająco podobnym do Anne? Planował to od samego początku. Jesteś dla niego tylko środkiem prowadzącym do celu.

– Nic o tym nie wiesz. – Odwróciła się ode mnie i podeszła do miejsca, gdzie pewnie znajdowałoby się okno, gdyby tu było, po czym zawróciła. Znużony spokój Anne wyparował z jej twarzy, teraz malowała się na niej mieszanka strachu i furii.

– Mieć do dyspozycji wszystkie te pieniądze, i to bez nadzoru żony – podjęłam. – Podejrzewam, że choroba Anne otworzyła przed nim kuszącą perspektywę. Spodobał mu się ten pomysł: przyszłość bez niej, za to z jej fortuną. Gdy lekarze oznajmili, że wyzdrowiała, nie miał ochoty zrezygnować z tej wizji, zgadłam? A potem zobaczył ciebie i plan zaczął się formować. Gdzie cię poderwał? W barze? Nie, zaraz... – Przypomniałam sobie zdjęcie w aparacie Cole'a. – To było w jego klubie, prawda?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – krzyknęła dziewczyna. – Nie masz bladego pojęcia!

I zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, odwróciła się na pięcie, drżącą dłonią otworzyła drzwi i wypadła z kajuty, z książką pod pachą. Drzwi zatrzasnęły się, usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, a po chwili kolejny huk.

Potem zapadła cisza.

Usiadłam z powrotem na pryczy. Czy udało mi się sprawić, by zwątpiła w intencje Richarda na tyle, aby zaufała mnie? A może właśnie poszła na górę, żeby powtórzyć mu naszą rozmowę? Mogłam się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Musiałam czekać.

Godziny mijały, a ona nie wracała. Zastanawiałam się, jak długo będzie trwało to oczekiwanie.

Gdy nie przyniosła mi kolacji i poczułam, jak głód skręca mi trzewia, zaczęłam podejrzewać, że popełniłam straszliwy błąd.

Długo leżałam na łóżku, gapiąc się na pryczę nade mną. Odtwarzałam w myślach rozmowę z dziewczyną i próbowałam stwierdzić, czy przypadkiem właśnie nie popełniłam najgorszego błędu w moim życiu.

Zaryzykowałam, próbując nawiązać z nią jakąś więź. Chciałam ją zmusić, by się zastanowiła nad tym, co robi – ale najwyraźniej poniosłam porażkę.

Godziny mijały i nikt nie przychodził. Głód sprawiał, że coraz trudniej było mi zebrać myśli. Żałowałam, że oddałam jej książkę. W kajucie nie było nic, na czym mogłabym się skupić. Zaczęłam myśleć o więziennych izolatkach, o więźniach powoli odchodzących od zmysłów, słyszających głosy, błagających o uwolnienie.

Przynajmniej nie odcięła prądu, choć nie sądziłam, by był to z jej strony akt litości. Opuszczała kajutę tak rozwścieczona, że pewnie zostawiłaby mnie w ciemnościach tylko po to, żeby mnie ukarać. Najprawdopodobniej po prostu zapomniała. Ale ten drobny fakt, że mogłam sama decydować o tym, kiedy gasić, a kiedy zapalać światło, w jakiś sposób mi pomógł.

Znowu wzięłam prysznic, a potem zlizalam z talerza resztki zaschniętego dżemu, który wyciekł z croissanta. Położyłam się na łóżku, zamknęłam oczy i zaczęłam przywoływać z pamięci różne rzeczy: rozkład domu, w którym dorastałam, fabułę *Małych kobietek*, Judah i kolor jego...

Nie. Odepchnęłam to wspomnienie. Nie mogłam myśleć o Judah. Nie tutaj. To by mnie złamało.

W końcu zgasłam światło. Leżałam w ciemnościach, czekając na sen.

Nie jestem pewna, czy rzeczywiście zasnęłam. Chyba musiałam się zdrzemnąć. Mijały kolejne godziny, w każdym razie tak mi się wydawało. Nikt nie przychodził, ale w pewnym momencie coś wyrwało mnie ze snu. Usiadłam na łóżku, próbując zrozumieć, co to było. Jakiś nowy hałas? Czyjaś obecność w ciemnościach?

Serce biło mi mocno, gdy wstałam i po omacku dotarłam do drzwi. Ale kiedy zapaliłam światło, okazało się, że wszystko jest po staremu. Kajuta była pusta. Podobnie mała łazienka. Wstrzymałam oddech, ale nie usłyszałam żadnych kroków na korytarzu, żadnych odgłosów. Nic nie mąciło ciszy.

I wtedy to do mnie dotarło. Cisza. Właśnie to mnie obudziło. Silniki przestały pracować.

Spróbowałam na palcach policzyć dni i choć nie mogłam mieć stuprocentowej pewności, byłam niemal pewna, że jest piątek, dwudziesty piąty września. A to oznaczało, że statek zawinął do portu w Bergen, gdzie mieliśmy zejść na ląd, a potem samolotami wrócić do Londynu. Pasażerowie opuszczają pokład.

Zostanę sama.

Ta myśl sprawiła, że wpadłam w panikę. Byli tak blisko, a ja nie mogłam zrobić absolutnie nic, żeby mnie usłyszeli. Wkrótce spakują walizki i znikną, a ja zostanę w tej pływającej trumnie.

Nie mogłam tego znieść. Złapałam miskę po wczorajszym śniadaniu i z całych sił zaczęłam walić nią w sufit.

– Pomocy! – krzyczałam. – Czy ktoś mnie słyszy? Jestem uwięziona, proszę, proszę, pomocy! – Przerwałam, dysząc i nasłuchując w rozpaczliwej nadziei, że ktoś może mnie usłyszeć. Przecież ryk silników nie zagłusza już mojego krzyku.

Ale odpowiedzi nie było. Na pokładach nade mną nie rozległy się żadne stłumione krzyki.

Za to usłyszałam coś innego – metaliczny zgrzyt, jakby coś drapało w kadłub statku.

Czy jednak ktoś mnie usłyszał? Wstrzymałam oddech, próbując uspokoić serce. Czy ktoś po mnie przyjdzie?

Zgrzyt rozległ się znowu. Poczułam, jak ściana statku drży, i nagle dotarło do mnie, co się dzieje. Opuścili trap. Pasażerowie wysiadali.

– Pomóżcie mi! – wrzasnęłam i znów zaczęłam walić w sufit. Dopiero teraz zauważyłam, że plastikowa powierzchnia tłumi i pochłania dźwięk.

– Pomocy! To ja, Lo. Jestem tutaj! Jestem na statku!

Żadnej odpowiedzi. Słyszałam szum swojej krwi. Oddech rzeźił mi w gardle.

– Czy ktoś mnie słyszy? Błagam! Błagam, pomocy!

Przyłożyłam dłonie do ściany. Wyczułam wibracje wywołane przez wózki bagażowe i kroki oddalających się pasażerów.

Czułam to wszystko, ale nic nie słyszałam. Byłam uwięziona głęboko poniżej poziomu wody, a oni znajdowali się na górze, gdzie moje ledwie słyszalne krzyki ginęły w podmuchach wiatru, w skrzeku mew i w gwarze rozmów.

Pozwoliłam, by miska wypadła mi na podłogę, odbiła się od ziemi i potoczyła po cienkiej wykładzinie. Opadłam na łóżko, docisnęłam czoło do kolan i zasłoniłam głowę ramionami. A później zaczęłam szlochać, dławiąc się łzami strachu i rozpacz.

Zdarzało mi się wcześniej odczuwać strach. Zdarzało się, że ze strachu odchodziłam od zmysłów.

Ale nigdy nie rozpaczałam. A teraz odczuwałam rozpacz.

Gdy tak klęczałam na zapadającym się cienkim materacu, szlochając, z twarzą wtuloną w kolana, przed oczami stawały mi kolejne obrazy z przeszłości: Judah czytający gazetę, moja matka rozwiązująca krzyżówkę, z koniuszkiem języka między zębami, ojciec koszący trawnik w niedzielę, nucący pod nosem fałszywie. Dałabym wszystko, by zobaczyć teraz któreś z nich, choć na chwilę. Choćby tylko po to, bym mogła im powiedzieć, że żyję i że ich kocham.

Ale potrafiłam myśleć tylko o tym, że czekają na mój powrót. Wyobrażałam sobie, jak będą rozpaczać, gdy się nie pojawię. Jak do końca życia będą czekać bez nadziei na kogoś, kto nigdy nie wróci...

Od: Judah Lewis

Do: Judah Lewis; Pamela Crew; Alan Blacklock

UDW: [38 odbiorców]

Wysłane: wtorek, 29 września

Temat: Lo – aktualizacja

Cześć wszystkim,

ogromnie mi przykro, że przekazuję Wam tę wiadomość mailowo, ale jestem pewien, że rozumiecie, iż ostatnie dni były dla nas bardzo ciężkie i mieliśmy trudności z odpowiadaniem na wszystkie Wasze pytania. Zresztą do tej pory nie posiadaliśmy tak naprawdę żadnych konkretnych informacji, którymi moglibyśmy się podzielić, a to zaowocowało mnóstwem krzywdzących spekulacji w mediach społecznościowych. Jednak właśnie otrzymaliśmy pewne wieści. Niestety nie takie, na jakie liczyliśmy. Rodzice Lo – Pam i Alan – poprosili mnie, abym przekazał tę nowinę najbliższym przyjaciołom i rodzinie Lo w ich imieniu, jak również w moim własnym. Pewne szczegóły już przeciekły do prasy, ale nie chcemy, żeby ktoś z Was dowiedział się o tym z internetu.

Nie ma łatwego sposobu, by to powiedzieć. Dzisiaj rano Scotland Yard poprosił mnie o obejrzenie pewnych zdjęć, przysłanych przez norweski zespół policyjny prowadzący śledztwo. Były to fotografie ubrań, które z całą pewnością należą do Lo. Rozpoznałem je natychmiast. Zwłaszcza buty miała bardzo charakterystyczne.

Oczywiście jesteśmy zdruzgotani tym odkryciem, ale nie załamujemy się i czekamy na kolejne informacje od policji. Na razie nie wiemy nic więcej, bo ciało wciąż znajduje się w Norwegii. Tymczasem chcielibyśmy Was prosić o zachowanie dyskrecji podczas rozmów z mediami. Ale jeśli wiecie o czymś, co mogłoby pomóc w śledztwie, mogę Wam podać nazwiska funkcjonariuszy Scotland Yardu zajmujących się tą sprawą ze strony brytyjskiej. Przydzielono nam również policjantkę, która opiekuje się nami i pomaga walczyć z mediami, niestety w gazetach wciąż pojawiają się przykre i nieprawdziwe historie na temat Lo. Chcielibyśmy Was prosić o pomoc w uszanowaniu jej prywatności.

Jesteśmy zdruzgotani takim obrotem spraw i próbujemy się pogodzić z tym, co to oznacza, więc proszę, bądźcie cierpliwi. Będziemy Was informować na bieżąco, gdy tylko czegoś się dowiemy.

Judah

CZEŚĆ SIÓDMA

Nie przyszła.

Dziewczyna nie przyszła.

Godziny mijały, zlewając się ze sobą, a ja leżałam ze świadomością, że gdzieś tam, po drugiej stronie tej metalowej trumny, ludzie rozmawiają, śmieją się, jedzą i piją, podczas gdy ja tkwię tutaj – mogę tylko oddychać i odliczać upływający czas, sekunda po sekundzie, minuta po minucie, godzina po godzinie. Gdzieś tam, na zewnątrz, słońce wschodzi i zachodzi, fale kołyszają kadłubem statku, a życie toczy się dalej, podczas gdy ja powoli pogrążam się w ciemności.

Oczami wyobraźni znów zobaczyłam ciało Anne opadające powoli na dno morza i pomyślałam z goryczą, że miała szczęście. Przynajmniej długo nie cierpiała. Chwila podejrzeń, jeden cios w głowę i koniec. Zaczęłam się obawiać, że mnie nie okażą takiej litości.

Leżałam na łóżku, dociskając kolana do piersi, i próbowałam nie myśleć o moim głodzie, o bólu przeszywającym żołądek. Ostatni raz jadłam coś w czwartek rano. Teraz musiał być co najmniej piątek po południu. Dokuczały mi koszmarny ból głowy i skurcze brzucha, a kiedy wcześniej wstałam, żeby skorzystać z toalety, świat zawirował.

Złośliwy głosik znowu się obudził. Jak myślisz, jakie to uczucie umrzeć z głodu? Myślisz, że to spokojna śmierć?

Zamknęłam oczy. Raz. Dwa. Trzy. Wdech.

To trwa bardzo długo. Poszłoby szybciej, gdybyś zdołała powstrzymać się od picia wody...

Wyobraziłam sobie, jak leżę skulona pod lichym pomarańczowym kocem, wymizierowana, blada i zimna.

– Świadomie postanawiam nie myśleć o takich rzeczach – wymamrotałam. – W zamian będę myśleć o... – przerwałam. O czym? O czym? Barry nigdy mi nie powiedział, co zrobić, by zachować optymizm, gdy człowiek jest więziony przez mordercę. Czy powinnam myśleć o mojej mamie? O Judah? O wszystkim, co kochałam i co było mi drogie, a co miałam wkrótce stracić? – Wsadź sobie gdzieś swój optymizm, gnojku – wyszeptałam.

A potem usłyszałam dźwięk na korytarzu.

Zerwałam się z łóżka i znów niemal upadłam. Zdołałam przysiąść na pryczy, zanim nogi ugięły się pode mną.

Czy to była ona?

Czy Bullmer?

Cholera.

Wiedziałałam, że oddycham za szybko, czułam, jak serce mi przyspiesza, a mięśnie drżą, a potem przed oczami pojawiły mi się mroczki...

I zapadła ciemność.

– Kurwa, kurwa, kurwa...

Słyszałam tylko to jedno słowo, powtarzane raz za razem spanikowanym, łzawym, monotonnym głosem.

– Jezu, po prostu się obudź! Obudzisz się wreszcie?

– Co... – zdołałam wydusić.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

– Jasna cholera! Dobrze się czujesz? Ale mnie przestraszyłaś!
Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak pochyła się nade mną z zatroskaną miną.
W powietrzu czułam zapach jedzenia i boleśnie zaburczało mi w brzuchu.

– Przepraszam – powiedziała szybko. Pomogła mi usiąść i podłożyła poduszkę pod plecy.
W jej oddechu czułam alkohol. – Nie chciałam cię zostawiać na tak długo, ja po prostu...

– ...ki dzień? – wychrypiałam.

– Co?

– Ja... jaki mamy dzień?

– Sobota. Sobota, dwudziesty szósty. Jest późno, niemal północ. Przyniosłam ci kolację. –
Wyciągnęła w moją stronę owoc.

Porwałam go i wgryzłam się w skórkę, ledwie zauważając, że to gruszka, dopóki smak nie eksplodował mi w ustach, nieznośnie intensywny.

Sobota... prawie niedziela. Nic dziwnego, że czułam się tak fatalnie. Nic dziwnego, że godziny zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nic dziwnego, że bolesne skurcze szarpały moim żołądkiem nawet teraz, gdy łączywie pożerałam gruszkę. Siedziałam tu zamknięta bez jedzenia i kontaktu z kimkolwiek przez... próbowałam to obliczyć. Od czwartku rano do soboty wieczorem. Czterdzieści osiem... sześćdziesiąt... sześćdziesiąt kilka godzin? Czy to się zgadzało? Głowa mnie bolała. Brzuch mnie bolał. Wszystko mnie bolało.

Poczułam kolejny skurcz żołądka.

– Boże... – Podniosłam się na drżących nogach. – Chyba zwymiotuję... – Chwiejnym krokiem zatoczyłam się w stronę łazienki.

Zaniepokojona dziewczyna ruszyła za mną, żeby mnie podtrzymać, gdy przepchnęłam się przez wąskie drzwi, padłam na kolana i zwymiotowałam do zabarwionej na niebiesko muszli klozetowej. Najwyraźniej miała wyrzuty sumienia, bo powiedziała niemal pokornie:

– Mogę ci załatwić jeszcze jedną, jeśli chcesz. Ale przyniosłam też jakieś danie z ziemniaków. To może ci pomóc na żołądek. Kucharz nazwał to pytaj-panna czy jakoś tak... Nie pamiętam³.

Kłęczałam nad muszlą, czekając na następną falę wymiotów. Ale mdłości ustąpiły, więc w końcu otarłam usta i wstałam powoli, przytrzymując się ściany i testując siłę swoich nóg. Wreszcie niepewnym krokiem wróciłam do pryczy. Kostki ziemniaków wyglądały i pachniały niezmiernie. Sięgnęłam po widelec i zaczęłam jeść, tym razem wolniej, starając się nie połykać łączywie.

Obserwowała mnie przez cały czas.

– Przepraszam – powtórzyła. – Nie powinnam cię karać w taki sposób.

Przełknęłam duży kęs letnich słonych ziemniaków, czując, jak skórka chrupie mi między zębami.

– Jak masz na imię? – zapytałam w końcu.

Zagryzła wargę, odwróciła wzrok, a potem westchnęła.

– Pewnie nie powinnam ci mówić, ale jakie to ma teraz znaczenie. Carrie.

– Carrie. – Przeżuwałam kolejny kęs, jednocześnie obracając to słowo w ustach. – Cześć, Carrie.

– Cześć – odparła bezbarwnym głosem. Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem przesunęła się po podłodze i oparła plecami o przeciwległą ścianę.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Ja metodycznie pochłaniałam zawartość talerza, próbując się nie spieszyć, a ona mi się przyglądała. Nagle wydała cichy okrzyk, pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła z niej coś.

– Prawie zapomniałam. Proszę.

Podawała mi tabletkę zawiniętą w skrawek chusteczki. Chciało mi się śmiać z ulgi, jaką odczułam. Wydawało mi się żalosne, że liczę na to, iż ta mała tabletkę pomoże mi w takich okolicznościach, a jednak...

– Dzięki – powiedziałam. Położyłam pigułkę na języku i połknęłam, popijając sokiem.

Gdy zdrapałam z talerza resztki ziemniaków, zdałam sobie sprawę, że Carrie wciąż mnie obserwuje. I że pierwszy raz została tu na czas posiłku. Ta myśl ośmieliła mnie na tyle, by ponownie zapytać:

– Co się ze mną stanie?

Nie odpowiedziała. Wstała, powoli kręcąc głową i otrzepując swoje jedwabne kremowe spodnie. Była aż niemożliwie chuda – zastanawiałam się, czy to ze względu na rolę, czy po prostu ma taką figurę.

– Czy on... – Przełknęłam. Przeciągałam strunę, ale musiałam to wiedzieć. – Czy on zamierza mnie zabić?

W milczeniu podniosła tacę i ruszyła do wyjścia. Ale gdy się odwracała, zobaczyłam, że do oczu napływają jej łzy. Zatrzymała się na moment i już myślałam, że jednak coś powie, ale ona tylko znów pokręciła głową. Po policzku spłynęła jej łza. Otarła ją niemal z gniewem i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Gdy zniknęła, wstałam ostrożnie, przytrzymując się łóżka. Wtedy zauważyłam, że zostawiła na podłodze kolejną książkę. To był mój egzemplarz *Chatki Puchatka*.

Chatka Puchatka zawsze dodawała mi otuchy. Sięgałam po tę książkę w chwilach stresu, bo po raz pierwszy czytałam ją w czasach, gdy niczego się nie bałam, gdy jedyne zagrożenie stanowiły Hefalumpy, a ja miałam cały świat u stóp niczym Krzyś.

O mały włos zapomniałabym ją spakować. Leżała na stoliku nocnym i zauważyłam ją w ostatniej chwili, gdy wrzucałam do walizki ubrania i buty. Postanowiłam zabrać ją ze sobą jako talizman przeciwko stresom tej podróży.

Przez resztę nocy leżałam na pryczy z otwartą książką na poduszce i gładziłam palcami sfatygowaną obwolotę. Znałam tekst na pamięć, może aż za dobrze, i może dlatego jego magiczne działanie osłabło. Przyłapałam się na tym, że wciąż wracam myślami do rozmowy z Carrie i zastanawiam się, co się ze mną stanie.

Mogłam opuścić to miejsce tylko na dwa sposoby – żywa albo martwa. Wiedziałam, który sposób bardziej mi odpowiada. Musiałam się stąd wydostać – z pomocą Carrie lub bez niej.

Jeszcze kilka dni temu – nawet przed kilkoma godzinami – stwierdziłabym bez wahania, że moja jedyna szansa to uciec stąd na własną rękę. Ostatecznie Carrie mnie pobiła, uwięziła, a nawet próbowała głodzić. Ale po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru nie byłam już tego taka pewna. Troskliwość, z jaką pomogła mi usiąść; smutek malujący się na jej twarzy, gdy czekała, aż zjem, obserwując każdy mój kęs; łzy w jej oczach, gdy wychodziła... Nie wydawało mi się, żeby była morderczynią – w każdym razie nie z wyboru. I w ciągu tych kilku ostatnich dni musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że to do niej dotarło. Pomyślałam o długim, koszmarnym oczekiwaniu na jej przyjście, podczas gdy godziny mijały tak powoli, a mój głód wzmagął się nieubłaganie, i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może ona też przeżywała katusze. Może sama stanęła twarzą w twarz z czymś, na co nie była gotowa. Musiała sobie wyobrazić, jak słabnę z każdym dniem, jak drapię w drzwi. Aż w końcu złamała się i zbiegła na dół ze skradzionym z kuchni talerzem jedzenia.

Co musiała sobie pomyśleć, kiedy otworzyła drzwi i znalazła mnie na podłodze? Że przyszła za późno? Że zemdlalam z głodu albo z wyczerpania? Może nagle zdała sobie sprawę,

że nie będzie w stanie żyć z kolejną śmiercią na sumieniu.

Nie chciała, żebym zginęła. Byłam tego całkowicie pewna. I wątpiłam, czy byłaby w stanie mnie teraz zabić. Zwłaszcza jeśli będę jej dalej przypominać, że znalazłam się tu ze względu na nią, bo przecież próbowałam jej pomóc.

Ale przecież Bullmer... Bullmer, który czekał, aż jego żona skończy chemioterapię, w nadziei, że nowotwór i tak zwycięży. Który już cieszył się na jej śmierć i przeliczał jej majątek. Którego wszystkie plany spaliły na panewce w ostatniej chwili, bo żona wygrała walkę...

Tak. Potrafiłam to sobie wyobrazić aż za dobrze. Bull-mer byłby w stanie mnie zabić. I nie spędzałoby mu to snu z powiek.

Gdzie on w ogóle był? Czy opuścił pokład, żeby zapewnić sobie alibi, podczas gdy Carrie głodziła mnie na śmierć? Nie miałam pojęcia. Ale skoro tak skrupulatnie zadbał o to, żeby nie mieć nic wspólnego ze śmiercią Anne, wątpiłam, by chciał być zamieszany w moją.

Kiedy się nad tym zastanawiałam, usłyszałam narastający ryk uruchamianych silników. Buczały przez jakiś czas, a potem poczułam, jak statek zaczyna kołysać. Opuszczaliśmy port w Bergen. Znowu wypływaliliśmy na pełne morze.

3 Pyttipanna – popularne, zwłaszcza w Szwecji, danie kuchni skandynawskiej, przygotowywane z pokrojonych w drobną kostkę ziemniaków, cebuli i mięsa, podsmażonych na patelni (przyp. tłum.).

Gdy się obudziłam, silniki milczały, ale czułam, jak falujące masy wody napierają na kadłub. Zastanawiałam się, gdzie jesteśmy. Może w okolicach fiordów. Wyobraziłam sobie wysokie ciemne skały, głęboko zakorzenione pod powierzchnią niebieskiego morza, oraz wąskie pasmo wyblakłego nieba. Z tego, co słyszałam, głębokość niektórych fiordów potrafi dochodzić do ponad kilometra – niewyobrażalnie ciemna i zimna głębia. Ciało zatopione w takim miejscu mogłoby nigdy nie zostać odnalezione.

Myślałam o tym, która jest godzina, gdy rozległo się pukanie. W drzwiach stanęła Carrie z miską muesli i kubkiem kawy.

– Przepraszam, że nie mam więcej – powiedziała, odstawiając tacę. – Teraz, gdy pasażerowie i załoga opuścili pokład, trudniej jest zdobywać jedzenie, tak żeby kucharz nie nabrał podejrzeń.

– Załoga opuściła pokład? – Ten fakt mnie przeraził, choć nie potrafiłam powiedzieć dlaczego.

– Nie wszyscy – wyjaśniła Carrie. – Oczywiście kapitan i jego ludzie wciąż tu są. Ale cały personel czuwający nad pasażerami udał się z Richardem do Bergen na jakieś warsztaty dotyczące budowania zespołu.

Więc Bullmera nie było na statku. Może to tłumaczyło, dlaczego Carrie zmieniła nastawienie. Pod jego nieobecność...

Zaczęłam powoli jeść, a ona usiadła i obserwowała mnie jak poprzednio. W jej oczach czaił się smutek. Pomyślałam o jej brutalnie wydepilowanych brwiach i zapytałam między kęsami:

– Nie wyrwałaś sobie rzęs?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie potrafiłam się do tego zmusić. I tak mam wątle rzęsy, jeśli ich nie umaluję. Zresztą pomyślałam, że jeśli ktoś zauważy, po prostu powiem, że są sztuczne.

– Kto... – urwałam. Zamierzałam zapytać: „Kto ją zabił?”, ale nie byłam w stanie tego z siebie wydusić. Za bardzo się bałam, że to mogła być Carrie. Zresztą liczyłam na to, że uda mi się ją przekonać, iż nie jest morderczynią. Lepiej jej nie przypominać, że już raz odebrała komuś życie.

– Co? – zapytała.

– Ja... Co powiedzieliście? To znaczy... moim krewnym? I innym pasażerom? Czy oni myślą, że jestem w Trondheim?

– Tak. Założyłam perukę i opuściłam pokład z twoim paszportem. Wybrałam moment, gdy stewardzi przygotowywali śniadanie i przy trapie pełnił służbę jeden z marynarzy. Na szczęście nie zdążyłaś wziąć udziału w wycieczce po mostku kapitańskim i nie poznałaś żadnego z nich. I na szczęście obie mamy ciemne włosy. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś była blondynką... Nie mam blond peruki. Potem wróciłam na pokład jako Anne, w nadziei, że się nie zorientują, że ona przecież nie schodziła na ląd.

Szczęście. Nie ujęłabym tego w ten sposób. A zatem nie miałam co liczyć na dokumenty pokładowe. Odnotowano, że opuściłam Aurorę i już nie wróciłam na pokład. Nic dziwnego, że policja nie pojawiła się, aby przeszukać statek.

– Jaki był plan? – zapytałam cicho. – Gdybym cię nie zobaczyła? Co miało się wydarzyć?

– I tak wysiadłabym w Trondheim – powiedziała z goryczą. – Ale jako Anne. A potem

założyłabym perukę, przebrała się, domalowała brwi i wtopiła w tłum anonimowych turystów. Trop urwałby się w Trondheim. Rozstrojona psychicznie kobieta walcząca ze śmiercią znika bez śladu... A potem, gdy sprawa już by przycichła, Richard i ja mieliśmy się oficjalnie poznać i zakochać. Powtórzyć to wszystko, tyle że przed kamerami.

– Dlaczego to zrobiłaś, Carrie? – zapytałam z rozpaczą, po czym ugryzłam się w język. To nie był najlepszy moment, żeby się jej czepiać. Musiałam ją przeciągnąć na swoją stronę, a nie uda mi się to, jeśli będę ją oskarżać. Nie potrafiłam jednak dłużej tego w sobie dusić. – Po prostu nie rozumiem.

– Czasami ja też nie. – Skryła twarz w dłoniach. – To nie miało się tak skończyć.

– A jak? Opowiedz mi – poprosiłam, nieśmiało kładąc rękę na jej kolanie. Wzdrygnęła się, jakby oczekiwała ciosu. Zdałam sobie sprawę, jaka jest przerażona. Jak wiele z jej życiowej energii ma swoje źródło w strachu, a nie w nienawiści. – Carrie? – zachęciłam ją.

Odwróciła wzrok, jakby nie mogła spojrzeć mi w oczy.

– Poznaliśmy się w Magellanie – zaczęła. – Byłam tam kelnerką, a jednocześnie próbowałam zrobić karierę jako aktorka. A on... on chyba po prostu zawrócił mi w głowie. To była historia jak z *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, ja bez grosza przy duszy i on... zakochujący się we mnie, pokazujący mi życie, o jakim nigdy nie śniłam... – urwała i przełknęła ślinę. – Oczywiście wiedziałam, że jest żonaty, był ze mną absolutnie szczery. Nie mogliśmy się widywać publicznie, a ja nie mogłam nikomu o nas opowiadać. Ich małżeństwo było skończone, jeszcze zanim się zaczęło. Anne była okropnie oziębła i despotyczna, żyli oddzielnie – ona w Norwegii, a on w Londynie. Nie miał łatwo, wiesz... Jego matka odeszła, gdy był niemowlęciem, a ojciec zmarł tuż po tym, jak Richard skończył studia. To wydawało mi się takie niesprawiedliwe, że Anne, właśnie ta osoba, która powinna go kochać najbardziej ze wszystkich, nie mogła znieść przebywania z nim pod jednym dachem! Ale ona była umierająca, a on nie potrafił się rozwieść z kobietą, której zostało zaledwie kilka miesięcy życia. To wydawało się mu zbyt okrutne. Wciąż mówił o tym, co będzie potem, kiedy ona umrze, gdy wreszcie będziemy razem... – zamilkła. Przez moment myślałam, że to koniec, że wstanie i wyjdzie, ale ona podjęła wątek. Słowa zaczęły płynąć szybciej, jakby już nie była w stanie się powstrzymać: – Któregoś wieczoru wpadł na pewien pomysł. Powiedział, że powinnam się przebrać za jego żonę i pójść z nim do teatru, żebyśmy mogli spędzić razem czas w miejscu publicznym. Dał mi jedno z jej kimon i kasetę z nagraniem, na którym coś mówiła, żebym mogła się nauczyć, jak się poruszać i zachowywać. Schowałam włosy pod czepkiem kąpielowym, owinęłam głowę jedną z jej chust i udało nam się. Siedzieliśmy w łoży, tylko we dwoje, popijaliśmy szampana i... och, to było takie wspaniałe! Jak zabawa. Oszukaliśmy wszystkich. Powtórzyliśmy to jeszcze raz czy dwa, ale tylko wtedy, gdy Anne była akurat przejazdem w Londynie, żeby ludzie nie nabrali podejrzeń. A potem, kilka miesięcy później, on wpadł na kolejny pomysł. Początkowo wydawało mi się, że to szaleństwo, ale Richard już taki jest, wiesz... Dla niego nic nie jest niemożliwe. Naprawdę potrafi przekonać człowieka do wszystkiego. Powiedział, że zbliża się ten rejs i że Anne ma spędzić na pokładzie pierwszy wieczór, a potem opuścić statek późną nocą i wrócić do domu, do Norwegii. Zaproponował, że przemyci mnie na pokład, żebym później udawała, że jestem nią. Dzięki temu moglibyśmy się zachowywać jak prawdziwa para, pokazywać się razem, publicznie, przez cały tydzień. Przysięgał, że na pewno sobie poradzę. Powiedział, że na Aurorze nie będzie nikogo, kto wcześniej widział Anne, a on zadba o to, żeby nikt mnie nie fotografował. Żeby nie było ryzyka, że ktoś nas przyłapie już po wszystkich. Statek miał kończyć rejs w Bergen, więc pasażerowie po prostu uznaliby, że Anne postanowiła zostać na pokładzie odrobinę dłużej. A potem, ostatniego dnia, mogłabym się przebrać we własne ciuchy i normalnie wrócić do domu. Zadbał o to, by jeden z gości się nie pojawił, żeby mógł mi udostępnić jego kabinę. I powiedział,

że jedyna rzecz... – urwała na chwilę, ale zaraz podjęła: – Jedyna rzecz, jaką musiałabym zrobić, to zgolić włosy, żeby lepiej wcielić się w jej rolę. Ale wydawało mi się... wydawało mi się, że warto zrobić coś takiego. Żeby móc być z nim. – Przełknęła ślinę. Gdy odezwała się znowu, mówiła już spokojniejszym tonem: – To był pierwszy wieczór na pokładzie. Właśnie przebierałam się za Anne, gdy Richard przyszedł do mojej kabiny. Po prostu wychodził z siebie. Powiedział, że Anne dowiedziała się o naszym romansie, wpadła w szal i rzuciła się na niego. Odepchnął ją w samoobronie, a ona potknęła się i uderzyła głową o stolik kawowy. Próbował ją ocucić, kiedy odkrył... – zawahała się, ale mówiła dalej: – Odkrył, że ona nie żyje. Nie wiedział, co robić. Powiedział, że jeśli sprawa trafi na policję, moja obecność na pokładzie wyjdzie na jaw i nikt nie uwierzy w jego wersję kłótni. Powiedział, że oboje zostaniemy oskarżeni. On o morderstwo, a ja o współudział w uknuciu tej intrygi. Powiedział, że wszystko wyjdzie na jaw, również to, że już wcześniej przebierałam się za Anne. Powiedział, że Cole ma zdjęcie, na którym widać mnie w jej ubraniach. Przekonał mnie... – Była coraz bardziej rozemocjonowana. – Przekonał mnie, że jedyne, co możemy zrobić, to wyrzucić ciało Anne za burtę i kontynuować nasz plan, a potem sfingować jej zaginięcie w Trondheim. Wtedy nikt nie powiązałby jej śmierci z nami. Ale to nie miało się wydarzyć w taki sposób!

Pytania cisnęły mi się na usta. Niby jak Anne miałyby opuścić pokład po pierwszym wieczorze, skoro mieliśmy dotrzeć do Norwegii dopiero następnego dnia? I jak mogłaby wylądować bez paszportu, bez wiedzy personelu? To nie miało sensu. Jedyne wyjaśnienie było takie, że Richard wcale nie zamierzał pozwolić, by Anne opuściła pokład z własnej woli, a Carrie z pewnością musiała to rozumieć. Przecież nie była głupia. Nieraz widziałam, jak zaślepione potrafią być kobiety, jak upierają się na przykład, że mężczyzna ich nie zdradza, choć mają dowody przed nosem. Najwyraźniej człowiek jest w stanie wmówić sobie wszystko. Jeśli wbrew wszelkiej logice Carrie przekonała samą siebie do zaakceptowania tej pokręconej historyjki, którą sprzedał jej Richard, to było mało prawdopodobne, że teraz mnie posłucha.

Odetchnęłam głęboko i ponownie spytałam:

– Co się ze mną stanie?

– Kurwa! – Carrie zerwała się z podłogi tak gwałtownie, że aż przekrzywiła się jej chusta, odsłaniając skrawek ogolonej głowy. – Nie wiem. Przestań mnie o to pytać, proszę.

– On mnie zabije, Carrie. – Byłam już absolutnie pewna, że zabije nas obie, ale nie wiedziałam, czy ona jest gotowa na to, by usłyszeć prawdę. – Proszę, proszę, możesz nas stąd wyciągnąć, wiesz, że możesz. Będę zeznawać. Powiem, że mnie uratowałaś, że...

– Po pierwsze – przerwała mi z kamienną twarzą – nigdy bym go nie zdradziła. Ja go kocham. Ty chyba tego nie rozumiesz. A po drugie, nawet gdybym przystała na twoją propozycję, i tak oskarżyliby mnie o morderstwo.

– Ale gdybyś zeznawała przeciwko niemu...

– Nie – ucięła. – Nie. Nie ma mowy. Ja go kocham. A on kocha mnie. Wiem, że mnie kocha.

Ruszyła do drzwi. Wiedziałam już, że muszę jej uświadomić, w co się wplątała. Teraz albo nigdy. Nawet jeśli skończy się na tym, że zostawi mnie tu i pozwoli mi umrzeć z głodu.

– On cię zabije, Carrie – powiedziałam, gdy sięgała do klamki. – Wiesz o tym, prawda? Najpierw zabije mnie, a potem ciebie. To twoja ostatnia szansa.

– Ja go kocham – powtórzyła łamiącym się głosem.

– Tak bardzo, że pomogłaś mu zabić jego żonę?

– Nie zabiłam jej! – udręczony okrzyk zabrzmiał boleśnie głośno w ciasnej przestrzeni.

Wciąż stała plecami do mnie z dłonią na klamce; jej szczupłym ciałem wstrząsały dreszcze. Szlochała jak dziecko. – Ona już była martwa... w każdym razie tak mi powiedział. Zostawił jej

ciało w apartamencie, w walizce, a potem przeniósł ją do kabiny numer dziesięć, kiedy wszyscy byliście na kolacji. Musiałam tylko przetrzucić walizkę przez burtę, podczas gdy on będzie grał w pokera. Ale...

Urwała, odwróciła się i osunęła z powrotem na ziemię. Bezsilnie zwiesiła głowę.

– Ale co?

– Ale ta walizka była niewiarygodnie ciężka. Myślę, że musiał dodatkowo ją czymś obciążyć. Gdy ciągnęłam ją w stronę werandy, zahaczyłam o róg łóżka. Otworzyła się i to wtedy... – zaszlochała. – O Boże, sama już nie wiem! Jej twarz... była cała zakrwawiona, ale tylko przez sekundę ja... wydawało mi się, że powieki jej zadrgały.

– Jezu... – Zmroziło mnie. – Chcesz powiedzieć... chyba nie wyrzuciłaś jej za burtę, kiedy jeszcze żyła, prawda?

– Nie wiem. – Carrie skryła twarz w dłoniach. Głos jej się załamał, był teraz wysoki i piskliwy, jakby miała wpaść w histerię. – Krzyknęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Ale dotknęłam jej zakrwawionej twarzy i była zimna. Gdyby ona żyła, krew byłaby ciepła, prawda? Pomyślałam, że może tylko mi się wydawało albo że to był jakiś mimowolny odruch. Mówią, że to się zdarza, prawda? W kostnicach i tak dalej. Nie wiedziałam, co robić, więc po prostu zatrzasnęłam z powrotem walizkę! Ale najwyraźniej nie zamknęłam jej dobrze, bo gdy wyrzuciłam ją za burtę, zamek puścił i zobaczyłam jej twarz... jej twarz w wodzie... Boże! – Oddychała szybko, dławiąc się szlochem. Próbowałam się pogodzić z okropieństwem tego, co być może zrobiła, i zastanawiałam się, jak zareagować na jej wyznanie, gdy odezwała się znowu: – Od tamtej pory nie udało mi się zasnąć, wiesz? Co noc leżę i myślę o niej, myślę o tym, że może jeszcze żyła. – Podniosła wzrok, a ja po raz pierwszy zobaczyłam w jej oczach poczucie winy i strach, które tak rozpaczliwie próbowała ukrywać od tamtej pierwszej nocy. – To nie miało się wydarzyć – zaskomliła. – Ona miała umrzeć w domu, we własnym łóżku... a ja... a ja...

– Nie musisz tego robić – weszłam jej w słowo. – Niezależnie od tego, w jakich okolicznościach zginęła Anne, jeszcze możesz to wszystko powstrzymać. Czy naprawdę będziesz w stanie żyć, mając na sumieniu moją śmierć? Już ta jedna niemal doprowadziła cię do szaleństwa, Carrie. Nie dopuść do drugiej, błagam cię, ze względu na nas obie. Proszę, wypuść mnie. Nic nikomu nie powiem, przysięgam. Ja... ja skłamię Judah, że wysiadłam w Trondheim i musiałam stracić przytomność. I tak nikt by mi nie uwierzył! Nie wierzyli, gdy powiedziałam, że ciało wypadło przez burtę. Dlaczego mieliby uwierzyć w cokolwiek innego? – Wiedziałam dlaczego: ze względu na DNA, odciski palców, karty stomatologiczne, ślady krwi Anne, które musiały pozostać na szklanej barierce i gdzieś w kabinie Richarda. Ale nie wspomniałam o tym, a Carrie najwyraźniej na to nie wpadła. Kiedy już wyrzuciła z siebie to wszystko, zaczęła się uspokajać. Gapiła się na mnie z twarzą zalaną łzami, ale opanowaną i osobliwie piękną. – Carrie? – zapytałam nieśmiało.

– Pomyślę o tym – oznajmiła.

Ukłękła i zabrała tacę. Gdy odwracała się w stronę drzwi, przypadkiem potrafiła stopą egzemplarz *Chatki Puchatka*. Kiedy spojrzała na okładkę, coś w jej twarzy się zmieniło. Podniosła książkę wolną ręką i przekartkowała.

– Uwielbiałam ją, gdy byłam mała – przyznała.

Pokiwała głową.

– Ja też. Czytałam ją chyba ze sto razy. Fragment na końcu, ten o Zaczarowanym Miejscu, zawsze doprowadza mnie do łez.

– Mama nazywała mnie Tygrysiem. Mawiała, że niezależnie od tego, ile razy się przewrócę, za chwilę znów zaczynam brykać. – Carrie zaśmiała się z drzeniem, a potem rzuciła

książkę na pryczę, ewidentnie próbując wrócić do rzeczywistości. – Słuchaj, bardzo możliwe, że nie będę w stanie przynieść ci dziś kolacji. Kucharz robi się podejrzliwy. Postaram się, ale jeśli mi się nie uda, wtedy przyniosę ci coś ekstra na śniadanie, w porządku?

– W porządku – powiedziałam, a później, wiedziona jakimś impulsem, dodałam: – Dziękuję ci.

Gdy wyszła, pomyślałam, jakie to niedorzeczne, że dziękuję kobiecie, która mnie więzi i zmusza do posłuszeństwa, wydzielając mi jedzenie i leki. Czyżby rozwijał się u mnie syndrom sztokholmski? Być może. Chociaż jeśli tak było, to ona musiała cierpieć na to samo. To chyba było bliższe prawdy. Nie byliśmy więźniem i porywaczem. Obie byłyśmy uwięzione na tym statku. Tyle że jej klatka była odrobinę większa.

Zaczęłam krążyć po kajucie, próbując ignorować narastający głód i strach przed tym, co się wydarzy, jeśli Carrie nie zrozumie, jakie zamiary ma wobec niej Richard. Byłam święcie przekonana, że nie zamierzał pozostawić jej długo przy życiu po tym, jak już opuści statek w przebraniu Anne. Kiedy zamknęłam oczy, zalała mnie fala obrazów – twarz Anne, jej oczy, szkliste z przerażenia, podczas gdy Carrie wyrzuca walizkę za burtę. Carrie idąca niewinnie jakąś uliczką w Norwegii, nieświadoma tego, że ktoś się za nią skrada.

A teraz ja...

Odepchnęłam te wizje i zaczęłam myśleć o swoim domu i o Judah, aż strony *Chatki Puchatka* zamazały mi się przed oczami, a znajome frazy rozplynęły w powodzi łez. Płacz tak mnie wyczerpał, że długo nie miałam siły się ruszyć.

Zaczęłam już tracić nadzieję na kolację i uznałam, że Carrie najwyraźniej nie udało się przechytrzyć kucharza, gdy usłyszałam na korytarzu jej szybkie kroki. Spodziewałam się, że zapuka, ale ona przekręciła klucz w drzwiach i otworzyła je na oścież. Gdy tylko przekroczyła próg, stało się jasne, że nie przyniosła mi żadnego jedzenia. Ale to spostrzeżenie nie wydało mi się istotne, kiedy zobaczyłam panikę na jej twarzy.

– On tu wraca.

– Co?

– Richard. Wraca dziś wieczorem. Miał wrócić dopiero jutro, ale właśnie przysłał mi wiadomość. Wraca dziś wieczorem.

Telegraph Online

Wtorek, 29 września

WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI: Drugie ciało znalezione w trakcie poszukiwań zaginionej Brytyjki, Laury Blacklock.

CZEŚĆ ÓSMA

On... on wraca? – Poczulałam suchość w ustach. – Co to znaczy?

– A jak myślisz? To znaczy, że musimy cię stąd zabrać. Przybijemy do brzegu, żeby odebrać Richarda, za jakieś trzydzieści minut. A potem...

Nie musiała mówić nic więcej. Przelknęłam z trudem. Język przywarł mi do podniebienia.

– Ja... jak?

Wyciągnęła coś z kieszeni i podała mi. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. To był paszport – ale nie mój, tylko jej.

– To jedyny sposób. – Ściągnęła chustę, odsłaniając ogoloną głowę, pokrytą szczecina odrastających włosów, a potem zaczęła się rozbierać.

– Co ty wyprawiasz?

– Opuścisz pokład jako Anne, a do samolotu wsiądziesz jako ja. Rozumiesz?

– Co? Oszalałaś. Chodź ze mną!

– Nie mogę. Jak, do cholery, wyjaśnię to załodze? Oto moja przyjaciółka, która przez cały rejs ukrywała się w ładowni?

– Powiedz im! Powiedz im prawdę!

Pokręciła głową. Była już w samej bieliźnie i drżała, mimo że w kabinie było ciepło.

– Co miałabym im powiedzieć? Cześć, nie jestem kobietą, za którą mnie macie, tamta została wypchnięta za burtę? Nie. Nie mam pojęcia, czy mogłabym zaufać któremukolwiek z ludzi zatrudnionych przez Richarda. W najlepszym razie jest ich pracodawcą, a w najgorszym...

– No więc co zamierzasz? – zaczynałam histeryzować. – Zostaniesz tu i pozwolisz mi, żeby cię zabił tak jak swoją żonę?

– Nie. Mam plan. Po prostu przestań się ze mną spierać i weź moje ciuchy. – Podała mi zwiniętą w kłębek jedwabną szatę, która wydawała się lekka jak piórko. Chudość Carrie była szokująca, kości sterczały jej pod skórą. – Teraz daj mi swoje.

– Co? – Popatrzyłam na siebie – na poplamione, przepocone dzinsy, koszulkę i bluzę z kapturem, które nosiłam niemal od tygodnia. – To?

– Tak. Pospiesz się! – zawołała z irytacją. – Jaki masz rozmiar butów?

– Szóstkę – powiedziałam stłumionym głosem, ściągając koszulkę przez głowę.

– Dobrze. Ja też. – Pchnęła w moją stronę espadryle, które miała na nogach, a ja zrzuciłam swoje botki i zaczęłam zdejmować dzinsy.

Teraz obie byłyśmy w bieliźnie, ja próbowałam się zasłaniać z zażenowaniem, ona w ogóle się nie przejmowała i natychmiast zaczęła nakładać moje ubrania. Włożyłam przez głowę jedwabne kimono, czując, jak kosztowna tkanina chłodzi moją skórę. Wtedy Carrie ściągnęła z nadgarstka gumkę i podała mi ją w milczeniu.

– Po co to?

– Żebyś mogła związać włosy. To nie jest idealne rozwiązanie. Będziesz musiała bardzo uważać z tą chustą, ale tylko tyle możemy teraz zrobić. Nie mamy czasu, żeby ogolić ci głowę, a zresztą jeśli masz potem uciec z kraju na moim paszporcie, to powinnaś wyglądać jak najbardziej naturalnie w trakcie kontroli granicznej. Lepiej nie prowokować ich, żeby zaczęli dokładniej oglądać zdjęcie.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie mogę po prostu opuścić pokładu jako ja? Policja z pewnością mnie szuka.

– Po pierwsze, Richard ma twój paszport. Po drugie, ma tu wielu przyjaciół. Nie tylko wśród biznesmenów. Zna też wysoko postawionych ludzi w norweskiej policji. Musisz uciec jak najdalej, zanim doda dwa do dwóch. Uciekaj. Oddal się od wybrzeża. Przekrocz granicę ze Szwecją. A kiedy wsiądziesz do samolotu, nie leć bezpośrednio do Londynu. On będzie się tego spodziewał. Poleć z międzylądowaniem, może w Paryżu.

– Oszalałaś – mruknęłam, ale jej niepokój był zaraźliwy. Wetknęłam stopy w espadryle i wsadziłam paszport do kieszeni kimona.

Carrie właśnie zapinała moje skórzane botki. Poczułam ukłucie żalu. To był najdroższy element garderoby, jaki kiedykolwiek miałam. Potrzebowałam dużo czasu i sporej zachęty ze strony Judah, zanim wreszcie zebrałam się na odwagę i wysupłałam pieniądze na te buty. Ale teraz to było małe poświęcenie w zamian za moje życie.

W końcu byłyśmy niemal całkowicie przebrane. Na pryczy leżała już tylko jedwabna chusta.

– Siadaj – poleciła szorstko Carrie. Przycupnęłam na skraju pryczy, podczas gdy ona stanęła obok i obwiązała mi głowę. Tkanina była zielono-żółta, ozdobiona wzorem z przeplatających się ze sobą sznurów i kotwic. Nagle przed oczami stanęła mi Anne – prawdziwa Anne – unosząca się w niebieskozielonych głębinach, z bladymi członkami, zaplątanymi w pozostałości tysięcy wraków, uwięziona wśród nich na zawsze. Carrie przymocowała skraj chusty kilkoma wsuwkami, a potem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Nie jest idealnie. Nie jesteś wystarczająco chuda, ale w kiepskim świetle ujdzie. Dzięki Bogu, że nie poznałam większości marynarzy. – Popatrzyła na zegarek i dodała: – Dobra. Ostatnia sprawa. Uderz mnie.

– Co? – Jej słowa nie miały sensu. Że co niby miałam zrobić?

– Uderz mnie. Uderz moją głowę o pryczę.

– Co? – powtórzyłam bezmyślnie. – Oszalałaś? Nie uderzę cię!

– Uderz mnie – wycedziła z wściekłością. – Nie rozumiesz? To musi wyglądać przekonująco. Tylko wtedy Richard uwierzy, że nie pomogłam ci uciec. To musi wyglądać tak, że mnie zaatakowałaś, obezwładniłaś. Uderz mnie!

Nabrałam powietrza i spoliczkowałam ją. Głowa odskoczyła jej do tyłu, ale nie uderzyłam wystarczająco mocno, sama to widziałam. Spojrzała na mnie kwaśno, pocierając policzek.

– Och, na litość boską! – zirytowała się. – Czy wszystko muszę robić sama?

Odetchnęła głęboko, a potem, zanim zdałam sobie sprawę, co zamierza zrobić, przywaliła głową o krawędź pryczy.

Krzyknęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Krew zaczęła się sączyć z płytkiego rozcięcia, kapiąc na jej – na mój – biały podkoszulek i niżej, na podłogę. Carrie zatoczyła się, sapiąc z bólu i dociskając ręce do skroni.

– Jezu... – jęknęła. – Do kurwy nędzy, ale to bolało! Boże... – Padła na pryczę, na kolana, oddychając spazmatycznie. Przez chwilę myślałam, że zaraz zemdleje.

– Carrie! – zawołałam w panice i padłam na podłogę tuż przy niej. – Carrie, wszystko...

– Nie umaż się krwią, głupia dziwko! – Odepchnęła moją rękę. – Chcesz wszystko zepsuć? Nie możesz mieć krwi na ubraniach! Co, do cholery, powiedziałyby załoga? Chryste, Boże, dlaczego ta krew dalej leci...?

Niezgrabnie się podniosłam, prawie potykając się o kimono. Przez chwilę po prostu stałam pośrodku kajuty, trzęsąc się ze strachu. W końcu oprzytomniałam i popędziłam do łazienki. Wróciłam z grubym zwitkiem papieru toaletowego.

– Proszę – powiedziałam drżącym głosem. Spojrzała na mnie z żalem, a potem wzięła

papier i docisnęła go do rany.

– Cc... co powinnam zrobić? – zapytałam. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Jedyne, co mi pomoże, to jeśli Richard uwierzy, że pobiłaś mnie tak dotkliwie, że nie mogłam cię powstrzymać. Miejmy nadzieję, że to wystarczy. A teraz wynoś się – nakazała ochryplym głosem. – Zanim on wróci i wszystko pójdzie na marne.

– Carrie, ja... co mogę zrobić?

– Dwie rzeczy – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Po pierwsze, daj mi dwadzieścia cztery godziny, zanim pójdziesz na policję, okay?

Pokiwałam głową. Nie o to mi chodziło, ale uznałam, że nie mogę jej odmówić.

– A po drugie, wynoś się stąd, do kurwy nędzy – jęknęła. Była teraz tak błada, że naprawdę się o nią martwiłam, ale jednocześnie na jej twarzy malowała się determinacja. – Próbowałaś mi pomóc, prawda? To przez to wpakowałaś się w ten bajzel. A to jedyna rzecz, jaką ja mogę zrobić dla ciebie. Nie marnuj więc mojego czasu. No wypierdalaj stąd!

– Dziękuję – wychrypiałam w odpowiedzi.

Machnęła ręką w stronę korytarza. Gdy już dotarłam do drzwi, odezwała się:

– Kartę do apartamentu masz w kieszeni. W torebce na toalecie znajdziesz około pięciu tysięcy koron. To korony norweskie, duńskie i szwedzkie, ale razem są warte niemal pięćset funtów, tak myślę. Zabierz ze sobą całą torebkę. Są tam karty kredytowe i dowód tożsamości. Nie znam PIN-ów do kart, należały do Anne... ale może gdzieś będziesz mogła potwierdzić transakcję podpisem. Jeśli jeszcze nie spuścili trapu dla Richarda, będziesz musiała poprosić kogoś, żeby to zrobił. Powiedz, że mąż właśnie do ciebie dzwonił i że wyjdiesz mu naprzeciw.

– Dobrze – wyszeptalam.

– Przebierz się i oddal od portu najszybciej, jak będziesz mogła. To wszystko. – Zamknęła oczy i położyła się na plecach. Zwitek papieru docisniętego przy jej skroni był przesiąknięty czerwienią. – Och, i zamknij mnie, jak będziesz wychodzić.

– Zamknąć cię? Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. To musi wyglądać przekonująco.

– Ale jeśli on tu nie przyjdzie? Jeśli cię nie znajdzie?

– Przyjdzie – zapewniła bezbarwnym głosem. – To pierwsza rzecz, jaką zrobi, gdy odkryje, że zniknęłam. Przyjdzie tu sprawdzić, co u ciebie.

– Okay... – powiedziałam z oporem. – A... jaki jest PIN do drzwi?

– Do drzwi? – Otworzyła zmęczone oczy i spojrzała na mnie. – Do jakich drzwi?

– Powiedziałaś, że za tymi drzwiami są drugie, zamykane na kod.

– Kłamałam. – Westchnęła ze znużeniem. – Nie ma tam żadnych drzwi. Powiedziałam tak, żebyś nie próbowała uciec. Po prostu wejdź po schodach na górę.

– Ja... Dziękuję ci, Carrie.

– Nie dziękuj. – Znów opuściła powieki. – Po prostu zrób wszystko, żeby ci się udało. Ze względu na nas obie. I nie oglądaj się za siebie.

– W porządku. – Ruszyłam w jej stronę, sama nie wiem po co. Może chciałam ją uściskać. Ale cały przód koszulki miała zachlapaną krwią, która wciąż płynęła z rany na skroni. Wiedziałam, że miała rację, gdybym poplamiała sobie kimono, nikomu by to nie pomogło, a już jej najmniej.

To była chyba najtrudniejsza sytuacja w moim życiu. Porzucałam na pastwę losu kobietę, która wyglądała, jakby miała się wykrwawić na śmierć. I to z mojego powodu. Ale wiedziałam, co muszę zrobić... dla nas obu.

– Żegnaj, Carrie – szepnęłam.

Nie odezwała się.

Korytarz był wąski, a powietrze piekielnie gorące. Było tu znacznie cieplej niż w dusznej małej kajucie, którą właśnie opuściłam. Na drzwiach zobaczyłam ciężki wrzeciędz, niedbale przyśrubowany do plastiku, oraz grubą kłódkę z wystającym kluczem. Nałożyłam sztabę na skobel i zatrzasnęłam kłódkę, przełykając poczucie winy, które ścis-kało mi gardło, a potem się zawahałam. Czy powinnam zabrać klucz? W końcu stwierdziłam, że lepiej nie. Nie chciałam, by Carrie musiała tu spędzić choć minutę dłużej, niż to było konieczne.

Kajuta znajdowała się na krańcu ponurego beżowego korytarza. Na drugim jego końcu zobaczyłam przejście z napisem: „Wstęp wzbroniony – tylko dla autoryzowanego personelu”, a dalej schody na górę. Zerknęłam zbolalym wzrokiem na zamknięte drzwi kajuty, za którymi zostawiłam krwawiącą Carrie, a potem pobiegłam w stronę schodów i zaczęłam się po nich wspinać.

Serce waliło mi w piersi, a osłabione mięśnie nóg drżały, gdy pokonywałam pokryte szarą wykładziną stopnie. Moja spocona dłoń ślizgała się po plastikowej poręczy. W wyobraźni już widziałam oślepiający blask kryształowego żyrandola w holu, czułam pod palcami gładki jak jedwab mahoń wielkich reprezentacyjnych schodów. Zebrało mi się na śmiech i przypomniałam sobie, jak irracjonalnie chichotałam na pogrzebie babci, gdy strach doprowadził mnie niemal do hysterii. Pokręciłam głową i szłam dalej, pokonując kolejne piętra i mijając drzwi do pomieszczeń technicznych, dostępnych wyłącznie dla personelu.

Wreszcie dotarłam do wielkich stalowych wrót z poziomym prętem zamiast klamki; przypominały wyjście ewakuacyjne. Co się za nimi kryło? Stałam przez chwilę, dysząc po długiej wspinaczce, a zimny pot ściekał mi po kręgosłupie.

Po raz kolejny pomyślałam o Carrie, zwiniętej na pryczy w dusznej klitce, przypominającej trumnę, i żołądek przewrócił mi się do góry nogami. Odepchnęłam od siebie ten obraz, żeby całkowicie skupić się na czekającym mnie zadaniu. A zadanie polegało na tym, żeby się stąd wydostać. Potem, gdy tylko będę bezpieczna, mogłabym... Co? Zadzwoić na policję wbrew jej prośbie?

Nagle wróciło do mnie wspomnienie tamtej nocy, kiedy kuliłam się we własnej sypialni, zbyt przestraszona, by z niej wyjść i stawić czoło temu, co czekało na mnie po drugiej stronie drzwi. Być może lepiej bym zrobiła, gdybym je wyważyła i rzuciła się na włamywacza, nawet gdyby to oznaczało, że stłucze mnie na kwaśne jabłko. Mogłabym teraz leżeć w szpitalu i dochodzić do siebie, z Judah u mego boku, zamiast tkwić w tym koszmarze. Jednak drzwi nie były zamknięte.

Nacisnęłam pręt i otworzyłam je.

Oślepiający blask uderzył mnie niemal fizycznie. Mrugałam, gapiąc się z rozdziawioną buzią na tęczowe rozbłyski tysięcy kryształków Swarovskiego, i walczyłam z zawrotami głowy. Drzwi dla personelu wychodziły bezpośrednio na wielki hol, gdzie żyrandol świecił się dzień i noc – jak gigantyczny środkowy palec skierowany pod adresem oszczędności i globalnego ocieplenia, nie mówiąc już o dobrym guście.

Przytrzymałam się wypolerowanej drewnianej poręczy i zerknęłam w lewo, a potem w prawo. Na zakręcie schodów umieszczono lustro, które zwielokrotniało roztańczone refleksy światła. Gdy zobaczyłam w nim swoje odbicie, zamarłam z sercem w przetyku – ujrzałam Anne, z głową owiniętą złoto-zieloną chustą, z podkrążonymi, zaszczytymi oczami.

Wyglądałam jak zbieg. Zmusiłam się, by wyprostować plecy i zachować miarowy krok, choć miałam ochotę rzucić się do ucieczki.

Szybciej, szybciej, szybciej! – krzyczał głos w mojej głowie. Bullmer nadchodzi! Pospiesz się! Ale ja szłam powoli, pamiętając o dostojnym chodzie Anne – a właściwie Carrie – która zdawała się oszczędzać energię przy każdym kroku. Zmierzałam w stronę dziobu, do kabiny numer jeden, zaciskając spoconą dłoń na karcie magnetycznej ukrytej w kieszeni. Jej kształt dodawał mi otuchy.

A potem nagle znalazłam się w ślepych zaułku – przy schodach prowadzących do restauracji. Kurwa! Żle skręciłam.

Zawróciłam, próbując sobie przypomnieć drogę, którą obrałam, gdy szukałam tego apartamentu, żeby porozmawiać z Richardem o tym, co się wydarzyło. Boże, czy to naprawdę było w zeszłym tygodniu? Miałam wrażenie, jakby minęły wieki, jakby to było w innym życiu. Zaraz... przy bibliotece powinnam skręcić w prawo, nie w lewo. Prawda?

Szybciej, na litość boską, pospiesz się!

Ale wciąż szłam spokojnie, z podniesioną głową, próbując nie oglądać się za siebie, nie wyobrazać sobie dłoni, które chwytają za moje powłóczyste jedwabne szaty i wciągają mnie z powrotem pod pokład. Skręciłam w prawo, potem w lewo, a potem minęłam składzik. To by się zgadzało. Byłam pewna, że pamiętałam to zdjęcie lodowca.

Kolejny zakręt i kolejny ślepy zaułek, ze schodami prowadzącymi na taras. Miałam ochotę zaszlochać. Gdzie były pieprzone oznaczenia? Czy ludzie mieli znajdować kabiny telepatycznie? A może apartament Nobla celowo był schowany, aby pospółstwo nie mogło przeszkadzać VIP-om?

Zgięłam się w pół, opierając dłonie o kolana. Czułam, jak moje mięśnie drżą pod jedwabną szatą. Oddychałam powoli, próbując sobie wmówić, że mogę to zrobić. Nie zamierzałam błąkać się po korytarzach, szlochając, gdy Richard wejdzie na trap.

Wdech. Raz. Dwa. Wspomnienie kojącego głosu Barry'ego wzbudziło mój gniew na tyle skutecznie, żebym się wyprostowała i podjęła wędrówkę. Wsadź sobie, Barry. Wsadź sobie swoje pozytywne myślenie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Wróciłam do biblioteki i spróbowałam znowu, tym razem skręcając w lewo przy składziku. I nagle znalazłam się na miejscu – tuż pod drzwiami apartamentu.

Wyciągnęłam z kieszeni kartę, czując, jak adrenalina przenika każdą komórkę mojego ciała. A jeśli Richard zdążył wrócić?

Nie bądź ofiarą losu, Lo. Możesz to zrobić!

Przyłożyłam kartę do czytnika i otworzyłam drzwi gwałtownym ruchem, gotowa uciec,

jeśli zobaczą kogoś w środku.

Nikogo tu jednak nie było. Światła się paliły, ale apartament był pusty, drzwi do łazienki i sypialni otwarto na oścież.

Nogi ugięły się pode mną i uklęknęłam na grubym dywanie. Miałam ochotę zapłakać z ulgi. Ale jeszcze nie odniosłam sukcesu. Nie byłam nawet w połowie drogi. Torebka. Torebka, pieniądze, płaszcz. I zejść z tego koszmarnego statku na zawsze.

Zamknęłam za sobą drzwi, w pośpiechu zdjęłam kimono, po czym w samym staniku i majtkach przeszukałam szuflady Anne. Najpierw przymierzyłam dzinsy, ale były niemożliwie obcisłe – zatrzymały mi się w połowie ud. Na szczęście znalazłam parę sportowych legginsów, w które udało mi się wbić, oraz nijaki czarny top. Na to wszystko z powrotem założyłam kimono, związałam je ciasno i poprawiłam chustę, przeglądając się w lustrze.

Żałowałam, że nie mogę założyć ciemnych okularów, ale gdy wyjrzałam przez okno, przekonałam się, że jest zupełnie ciemno. Zegar na stoliku nocnym wskazywał kwadrans po jedenastej. Boże, Richard wróci lada chwila!

Wsunęłam stopy w espadryle Carrie, a potem rozejrzałam się w poszukiwaniu torebki, o której mówiła. Na nieskazitelnie wysprzątanej toaletce było pusto, zaczęłam więc otwierać losowo szuflady, zakładając, że pokojówka mogła ją gdzieś przełożyć w trakcie sprzątania. Pierwsza szuflada była pusta. W drugiej kłębiły się wzorzyste chusty; już miałam ją zamknąć, gdy zauważyłam, że pod stertą miękkiego jedwabiu kryje się jakiś twardy płaski kształt. Odsunęłam na bok cieniutkie tkaniny i zamurowało mnie.

Na dnie leżał pistolet. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej broni na żywo i zamarłam, jakbym się obawiała, że wystrzeli sama z siebie. W głowie zaczęły mi się kotłować pytania: Czy powinnam go ze sobą zabrać? Czy był naładowany? Czy był prawdziwy? Ale kto trzymałby w kabinie replikę rewolweru...

Spróbowałam sobie wyobrazić, że celuję do kogoś z pistoletu, ale nie udało mi się to. Nie, nie mogłam tego zrobić. I to nie tylko dlatego, że nie miałam zielonego pojęcia, jak go użyć, i było wielce prawdopodobne, że prędzej postrzelę samą siebie niż napastnika, ale przede wszystkim dlatego, że musiałam sprawić, by policja mi uwierzyła i zaufała. Jeśli pojawię się na komisariacie ze skradzionym i naładowanym pistoletem w kieszeni, trafię za kratki i nikt nie będzie chciał mnie wysłuchać.

Niechętnie przykryłam broń stertą jedwabnych chust, zamknęłam szufladę i wróciłam do szukania torebki.

Znalazłam ją w trzeciej szufladzie od góry, leżała na stercie papierów. Tak właściwie był to brązowy skórzany portfel, raczej wysłużony. W środku znajdowało się pół tuzina kart kredytowych i mnóstwo banknotów. Nie miałam czasu ich przeliczyć, ale wydawało mi się, że było tam pięć tysięcy koron, o których wspomniała Carrie, a może nawet więcej. Wcisnęłam portfel do kieszeni legginsów i ostatni raz rozejrzałam się po apartamencie, gotowa do wyjścia. Nie zostawiłam po sobie żadnych śladów. Czas opuścić to miejsce.

Odetchnęłam głęboko i otworzyłam drzwi. W tej samej chwili usłyszałam głosy na korytarzu. Wahałam się przez moment, rozważając, czy po prostu na pewniaka nie wyjść z apartamentu, ale nagle jedna z osób powiedziała przymilnym tonem:

– Oczywiście, proszę pana, cokolwiek tylko pan sobie życzy...

To mi wystarczyło. Z powrotem zamknęłam drzwi z cichym kliknięciem, przygasiałam światła i oparłam się plecami o solidne drewno. Czułam mrowienie w lodowatych palcach, nogi miałam jak z waty. Serce waliło mi jak oszałałe, wrywało się spod kontroli, zwiastując nadciągający atak paniki. Kurwa, kurwa, kurwa! Oddychaj, Laura. Raz, dwa...

Zamknij się, do cholery!

Nie miałam pojęcia, czy ten krzyk rozległ się tylko w mojej głowie, ale w końcu z ogromnym wysiłkiem udało mi się oderwać od drzwi. Chwiejnym krokiem pospieszyłam w stronę werandy. Wymknęłam się na zewnątrz. Chłód wrześnie nocy uderzył w moje nozdrza, odzwyczajone od świeżego powietrza.

Zatrzymałam się na moment, czując pulsowanie w skroniach i w gardle, a potem, z sercem wciąż rozbijającym się o żebra, odetchnęłam głęboko i przesunęłam się na bok, w miejsce, gdzie weranda zakręcała, dopasowując się do kształtu dziobu. Przywarłam plecami do zimnej stali kadłuba. Nie można mnie było teraz dostrzec z wnętrza kabiny, ja natomiast zobaczyłam jasny błysk, gdy drzwi do apartamentu otworzyły się, a lampy w kabinie zaświeciły, zalewając blaskiem werandę. Nie wychodź na zewnątrz, nie wychodź na zewnątrz... – zaklinałam. Skulona czekałam, aż usłyszę kliknięcie zamka i dźwięk przesuwanych drzwi. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Wnętrze kabiny odbijało się w szklanej balustradzie. Obraz był przecięty na pół w miejscu, gdzie szyba się kończyła – na wysokości żeber, a odbicie zniekształcały widma rzucane przez podwójne i potrójne warstwy szkła, ale i tak widziałam mężczyznę krzątającego się po pokoju. Ciemna sylwetka ruszyła w kierunku łazienki. Po chwili usłyszałam odgłos wody spuszczonej w toalecie, a potem syk strumienia płynącego z kranu. Następnie rozległ się dźwięk telewizora – na powierzchni balustrady pojawiło się charakterystyczne, niebiesko-białe migotanie. Gdy zadzwonił telefon, a po chwili padło imię Anne, wstrzymałam oddech. Czy pytał o Carrie? Ile czasu upłynie, zanim pójdzie jej poszukać?

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca, a w każdym razie on przestał mówić. Ciemny kształt poruszył się i rzucił na jasny prostokąt łóżka.

Czekałam. Było mi coraz zimniej. Przeszłowałam z nogi na nogę, by choć odrobinę się rozgrzać, ale nie śmiałam się poruszać zbyt gwałtownie w obawie, że mógłby zauważyć moje odbicie w tej samej balustradzie, którą ja wykorzystywałam do szpiegowania jego. Noc była niewiarygodnie piękna i po raz pierwszy rozejrzałam się wokół.

Wpłynęliśmy w głąb fiordu. Strone skaliste zbocza otaczały nas ze wszystkich stron; morze było czarne, nieruchome i kompletnie nieprzeniknione. W oddali widziałam światła jakiejś małej osady i latarnie łodzi zacumowanych na spokojnych wodach. A nad całym tym krajobrazem pochylały się gwiazdy – białe, wyraźne, nieznośnie urocze. Pomyślałam o Carrie, którą zostawiłam głęboko pod pokładem, uwięzioną i krwawiącą jak zwierzę we wnykach... Proszę, Boże, niech ktoś ją znajdzie. Nie zniósłabym, gdyby coś jej się stało. To ja byłam odpowiedzialna za to, że zamknęłam ją tam, że zgodziłam się na jej szalony plan.

Czekałam, drżąc bezradnie, aż Richard zaśnie, ale na próżno. Przygasił odrobinę światło, ale telewizor dalej ryczał, a migoczące obrazy zalewały pokój błękitem i zielenią. Ponownie przestąpiłam z nogi na nogę, wtykając zziębnięte dłonie pod pachy. A jeśli zasnął przed telewizorem? Czy zorientowałabym się? Zresztą nawet gdyby zasnął głęboko, nie byłam pewna, czy odważyłabym się wejść do środka i przejść na paluszkach tuż obok mordercy.

Ale jaką miałam alternatywę? Poczekać, aż zacznie szukać Carrie?

Nagle usłyszałam coś, co sprawiło, że serce mi zamarło, a potem zaczęło łomotać w piersi dwukrotnie szybciej. Ryk silników.

Panika zalała mnie jak zimna morska fala. Próbowałam się skupić. Statek jeszcze nie ruszał. Bardzo możliwe, że trap wciąż był opuszczony. Usłyszałabym, gdyby go podnieśli. Przypomniałam sobie, że gdy wyruszyliśmy z Hull, silniki dudniły i buczały bardzo długo, zanim faktycznie odpłynęliśmy. Ale czas naglił. Miałam jakieś pół godziny? Kwadrans? Może nawet mniej, zważywszy, że na pokładzie nie było pasażerów i załoga nie miała powodu, żeby zwlekać.

Stałam w bezruchu, sparaliżowana własnym niezdecydowaniem. Czy powinnam się

rzucić do ucieczki? Czy Richard śpi? Nie potrafiłam tego stwierdzić, obserwując odbicie w balustradzie – było zbyt zamazane i niewyraźne.

Przesunęłam się ukradkiem i wyciągnęłam szyję, żeby zajrzeć do cichego pokoju. Dokładnie w tym momencie on przekreślił się i sięgnął po szklankę, a potem odstawił ją z powrotem na stolik. Cofnęłam się przerażona.

Cholera! Była chyba pierwsza w nocy. Dlaczego on nie spał? Czy czekał na Carrie? Ale przecież muszę opuścić pokład statku. Muszę.

Pomyślałam o tym, że drzwi werandy można otworzyć z zewnątrz. O tym, że ktoś bardzo odważny – albo bardzo głupi – mógłby pokonać wysoką szklaną ściankę działową między balkonami i dostać się do sąsiedniej kabiny. Gdyby mi się to udało, mogłabym po prostu wyjść na korytarz i pobiec w stronę trapu. Nie zastanawiałam się nad tym, jaką historyjkę musiałabym zmyślić, gdybym już tam dotarła. W jakiś sposób zejść z tego statku, jeśli nie dla siebie, to dla Anne. I dla Carrie.

Nie – pieprzyć to. Zrobię to dla siebie.

Opuścę ten pokład dla siebie, bo nie zrobiłam nic, żeby zasłużyć na to wszystko. Po prostu znalazłam się w złym miejscu, w złym czasie. Prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę, by Bullmer dodał mnie do swojej listy kobiet, które wykiwał.

Popatrzyłam na siebie, na powłóczyście śliskie kimono. Wspinaczka w nim była niemożliwa, więc rozwiązałam pasek i zrzuciłam miękki jedwab. Opadł na ziemię cicho niczym szept. Podniosłam szatę, zwinęłam w ciasną kulkę i przerzuciłam przez ściankę działową, na podłogę sąsiedniej werandy.

Potem popatrzyłam na górującą nade mną szklaną barierę i przełknęłam ślinę. W życiu nie udałoby mi się wspiąć na samą ściankę, to było jasne, w każdym razie nie bez jakiegoś porządnego sprzętu lub drabiny. Ale prawdopodobnie mogłam się wspiąć na szklaną balustradę. Sięgała żeber, a ja byłam na tyle rozciągnięta, by przerzucić przez nią jedną nogę i usiąść okrakiem. Później mogłabym przytrzymać się ścianki działowej, wstać i zejść po drugiej stronie.

Był tylko jeden problem. Woda pode mną.

Nigdy nie bałam się wody, ale teraz, gdy wyjrzałam przez balustradę i zobaczyłam ciemne fale wygłodniałe liżące kadłub statku, poczułam, jak mój żołądek robi salto, jakbym nagle dostała choroby morskiej.

Cholera. Czy ja naprawdę zamierzałam to zrobić? Cóż, najwyraźniej tak.

Otarłam spocone dłonie o legginsy i głęboko nabrałam powietrza. Nie oszukiwałam się, że to będzie łatwe – ale wiedziałam, że było możliwe. Ostatecznie Carrie zrobiła to samo, by dostać się do mojej kabiny. Skoro ona mogła, to ja też.

Bardzo powoli przerzuciłam nogę przez szklaną balustradę, a potem, wykorzystując całą siłę, jaka została w moich osłabionych mięśniach, podciągnęłam się, żeby usiąść na niej okrakiem. Teraz po swojej lewej stronie miałam kabinę – zasłony były odsłonięte i każdy, kto wyjrzałby przez okno, musiałby mnie zobaczyć. Po prawej miałam stromą przepaść. Nie wiedziałam, jaka odległość dzieli mnie od powierzchni wody, ale podejrzewałam, że jakieś dwa, może trzy piętra. Nie byłam pewna, która strona bardziej mnie przerażała. Po prostu musiałam liczyć na to, że moje ruchy nie przyciągną uwagi Richarda. Przełknęłam ślinę i ścisnęłam udami śliskie szkło, próbując zebrać się na odwagę. Najtrudniejsze wciąż było przede mną.

Trzęsąc się ze strachu i z wysiłku, umieściłam jedną stopę przed sobą i chwyciłam za krawędź ścianki działowej. Podciągnęłam się i stanęłam wyprostowana. Teraz musiałam tylko przenieść ciężar ciała na drugą stronę, obejść przepierzenie i bezpiecznie wylądować na sąsiedniej werandzie.

Tylko. Jasne...

Moje zimne spocone palce ślizgały się po szkłe. Nie mogłam znaleźć żadnego cholernego punktu podparcia. Każdy element tego statku był taki odpicowany... Jakby nie mogli czymś ozdobić ścianek działowych. Wystarczyłoby kilka kryształów górskich albo jakiś wymyślny wzór wryty w szkłe, cokolwiek, co zapewniłoby moim palcom zaczepienie.

Wysunęłam stopę za przepierzenie i natychmiast zdałam sobie sprawę, że popełniłam błąd, nie ściągając espadryli. Myślałam, że ochronią mi nogi i zapewnią stabilność, ale gdy próbowałam obejść przepierzenie, poczułam, jak podeszwa buta ześlizguje się z ostrej krawędzi.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, a moje palce rozpaczliwie zacisnęły się na szkłe. Gdybym mogła zachować równowagę samą siłą woli, z pewnością by mi się udało. Tymczasem poczułam, jak łamie mi się jeden paznokieć, później drugi...

A potem ścianka wyslizgnęła się spomiędzy moich dłoni tak nagle, że nie zdążyłam nawet krzyknąć.

Poczułam wiatr na policzku, moje dłonie wciąż odruchowo ścisnęły powietrze. Przez krótką, przerażającą chwilę spadałam tyłem w niezmierzone głębiny fiordu.

Z hukiem zderzyłam się z czarną powierzchnią morza. Gwałtowny bolesny cios odebrał mi dech.

Bąbelki powietrza opuszczały moje płuca, podczas gdy opadałam coraz głębiej w nieprzeniknioną ciemność. Lodowata woda przeszywała mnie do szpiku kości i nagle poczułam, jak gdzieś z głębin podnosi się jedwabisty prąd, chwytając mnie za stopy i zaczyna ciągnąć w dół.

Nie wiem, co czułam, gdy tonęłam – w pamięci utkwiło mi tylko bolesne zderzenie z taflą wody, a potem paralizujące zimno. Ale zapamiętałam też panikę, która zaczęła szarpać moje trzewia, gdy prąd pochwycił mnie głęboko pod powierzchnią.

Zaczynij kopać, nakazałam sobie, czując w gardle narastający szloch. I zaczęłam. Kopałam desperacko w czarnej lodowatej toni. Bo nie chciałam umrzeć. Bo nie mogłam zrobić nic innego. Bo moje płuca krzyczały i wiedziałam, że jeśli wkrótce nie wypłynę na powierzchnię, umrę.

Prąd ciągnął mnie za nogi, przytrzymywał je śliskimi palcami, próbował wciągnąć mnie w głębinę fiordu, a ja kopałam i kopałam z coraz większą desperacją i rozpaczą. W ciemności pełnej wirujących prądów nie dało się stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół. A co, jeśli tylko zanurzałam się głębiej? Ale nie miałam odwagi się zatrzymać. Instykt przetrwania był zbyt mocny. Umierasz! – krzyknął głos. Nogi potrafiły odpowiedzieć tylko w jeden sposób: kopać, kopać, kopać.

Oczy piekły mnie od słonej wody, więc zamknęłam je i wkrótce pod powiekami zamajaczył błysk światła. Ze zgrozą pomyślałam, że przypominają mroczki, które przesłaniały mi świat, gdy nadciągał atak paniki, ale gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam błądzący blask księżycowego światła.

Przez chwilę nie mogłam w to uwierzyć, ale blask był coraz bliżej, a prąd w końcu puścił moje nogi. Przebiłam się na powierzchnię, z głuchym okrzykiem wciągając w płuca haust powietrza. Woda ściekała mi po twarzy, kasłałam i szlochałam na przemian.

Znajdowałam się bardzo blisko kadłuba statku, na tyle blisko, że czułam vibracje silników pulsujące w wodzie. Wiedziałam, że muszę zacząć płynąć. Po to, by uchronić się przed hipotermią, ale przede wszystkim dlatego, że jeśli statek zaraz ruszy, ocali mnie tylko boska interwencja. A po wydarzeniach ostatnich kilku dni doszłam do wniosku, że jeśli Bóg istnieje, to raczej za mną nie przepada.

Młóciłam nogami wodę, drżąc z zimna, i próbowałam się zorientować, gdzie jestem. Wynurzyłam się na powierzchnię w okolicach dziobu. Zobaczyłam sznur światełek na nabrzeżu i coś, co kształtem przypominało drabinę.

Trudno mi było zmusić ciało do posłuszeństwa; trzęsłam się tak bardzo, że ledwie byłam w stanie kontrolować swoje członki, ale w końcu zaczęłam płynąć w kierunku światła, krztusząc się, gdy fale zalewały mi twarz, walcząc z chłodem wody, przenikającym mnie do szpiku kości, i zmuszając się, by oddychać powoli i głęboko. Nagle coś miękkiego odbiło mi się od twarzy i zadrżałam, ale bardziej z zimna niż ze wstrętu. Martwymi szczurami i gnijącymi rybami będę się przejmować, gdy dotrę do brzegu. W tej chwili obchodziła mnie tylko walka o przetrwanie.

Musiałam wpaść do wody najwyżej dwadzieścia, trzydzieści metrów od nabrzeża, ale teraz miałam wrażenie, że znajdowało się ono znacznie dalej. Płynęłam i płynęłam, i chwilami byłam gotowa przysiąc, że światła tylko się oddalają. Innym razem zdawały się migotać niemal na wyciągnięcie dłoni. W końcu poczułam, jak moje zdrętwiałe ręce uderzają o pordzewiałą żelazną drabinę. Zaczęłam się po niej wspinać, kurczowo zaciskając palce na zimnym metalu i ślizgając się po szczeblach.

Padłam na beton, sapiąc, kaszląc i trzęsąc się. Ale po chwili podniosłam się na czworakach i popatrzyłam na Aurorę, a potem na osadę przede mną.

Nie byliśmy w Bergen. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdujemy, ale to było jakieś małe miasteczko, właściwie wioska. W pobliżu nie widziałam żywej duszy. Kawiarnie i bary ciągnące

się wzdłuż wybrzeża były już pozamykane. W witrynach kilku sklepów paliły się światła, ale najwyraźniej jedynym miejscem, w którym mogłabym poszukać pomocy, był pobliski hotelik z widokiem na morze.

Wstałam z drżeniem, przeszłam nad niskim łańcuchem, który zagrażał dostęp do pionowej ściany nabrzeża, i chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę hotelu. Silniki Aurory zaczęły pracować odrobinę głośniejsze, jakby z niecierpliwością. Gdy pokonywałam ciągnącą się w nieskończoność betonową płytę nabrzeża, dźwięk stał się jeszcze głośniejszy, aż w końcu usłyszałam chlupotanie. Kiedy ze strachem zerknęłam przez ramię, zobaczyłam, że Aurora powoli oddala się od brzegu.

Szybko odwróciłam wzrok, jakby samo patrzenie na ten statek mogło ściągnąć na mnie uwagę ludzi na pokładzie.

Gdy dotarłam do stopni prowadzących do hotelu, silniki zwiększyły obroty. Nogi ugięły się pod mną i upadłam na ziemię. Zaczęłam uporczywie dobijać się do drzwi. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że powtarzam monotonnym głosem:

– Proszę, proszę, och, błagam, niech ktoś tu przyjdzie...

Aż wreszcie drzwi się otworzyły. Zalało mnie światło, owiała fala ciepła. A potem poczułam, jak ktoś pomaga mi wstać i przeprowadza przez próg.

Jakieś pół godziny później siedziałam na delikatnie oświetlonym przeszklonym tarasie z widokiem na zatokę, skulona w wiklinowym fotelu i owinięta w syntetyczny czerwony koc. W dłoni trzymałam kubek z kawą, ale byłam zbyt padnięta, by ją pić. Słyszałam ludzi w tle, chyba rozmawiali po norwesku. Zmęczenie przytłaczało mnie nieznośnym ciężarem, jakbym od wielu dni chodziła niewyspana – i rzeczywiście tak było. Głowa wciąż opadała mi na pierś, a ja podrywałam ją raz po raz, przypominając sobie, gdzie jestem i skąd uciekłam. Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło? Czy naprawdę przeżyłam koszmar na tym statku, w celi przypominającej trumnę, głęboko pod falami? A może to była jedna wielka halucynacja?

Przysypiałam, spoglądając na światła zatoki. Aurora była już tylko odległą plamką sunącą na zachód. Nagle nad głową usłyszałam głos:

– Proszę pani?

Podniosłam wzrok. Mężczyzna miał na piersi lekko przekreślony identyfikator z napisem „Erik Fossum – główny menadżer”. Wyglądał, jakby został wyciągnięty z łóżka, włosy miał rozczochrane, a guziki koszuli krzywo zapięte. Potarł dłonią nieogolony podbródek i usiadł w fotelu naprzeciwko mnie.

– Witam – wymamrotałam ze znużeniem. Opowiedziałam już pracownikowi recepcji swoją historię, w każdym razie taką wersję zdarzeń, jaką uznałam za bezpieczną. Musiałam ją okroić ze względu na jego ograniczoną znajomość angielskiego. Ewidentnie był nocnym portierem i z wyglądu przypominał raczej Hiszpana albo Turka niż Norwega, choć norweskim zdawał się władać lepiej niż angielskim. Ten, jak zauważyłam, wystarczał mu do meldowania gości, ale nie pozwalał na zrozumienie pokręconych kryminalnych historyjek.

Widziałam, jak pokazuje menadżerowi jedyny dowód tożsamości, jaki przy sobie miałam – dokument należący do Anne, wyjęty z jej portfela, który jakimś cudem nie wypadł mi z kieszeni rozciągliwych legginsów, gdy płynęłam do brzegu – i mówi coś niskim, powściągliwym głosem. Potem usłyszałam moje nazwisko, powtórzone kilkakrotnie.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie splótł palce i uśmiechnął się nerwowo.

– Pani... Blacklock, zgadza się?

Pokiwałam głową.

– Nie do końca rozumiem... Portier próbował mi to wyjaśnić, ale skąd ma pani karty kredytowe Anne Bullmer? Znamy Anne i Richarda bardzo dobrze, czasami się tu zatrzymują.

Czy jest pani przyjaciółką rodziny?

Skryłam twarz w dłoniach, jakbym mogła w ten sposób pozbyć się zmęczenia.

– Ja... To naprawdę długa historia. Proszę, czy mogłabym skorzystać z państwa telefonu? Muszę się skontaktować z policją.

Zdecydowałam się na to, gdy stałam, ociekając wodą, przy wypolerowanym blacie recepcji. Chociaż obiecałam Carrie co innego, teraz wiedziałam, że to jedyna szansa, by ją ocalić. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że Richard pozwoli jej żyć. Wiedziała za dużo, za dużo spartaczyła. Natomiast ja bez chusty na głowie nie mogłam udawać Anne, a bez paszportu Carrie nie miałam szans na podszycie się pod nią.

– Oczywiście – zapewnił Erik ze współczuciem. – Czy chciałaby pani, żebym zadzwonił do nich w pani imieniu? O tej porze może nie być na służbie nikogo, kto mówi po angielsku. I muszę panią ostrzec: nie mamy posterunku tutaj, w mieście; najbliższy jest oddalony o kilka godzin jazdy, w następnej... zabrakło mi słowa... w następnej dolinie. Prawdopodobnie dopiero jutro ktoś będzie mógł tu przyjechać.

– Proszę im powiedzieć, że to pilne – wyszeptałam słabo. – Im szybciej, tym lepiej. Mogę zapłacić za łóżko, mam pieniądze.

– Nie martwmy się o to teraz. – Menadżer posłał mi kojący uśmiech. – Czy mogę pani przynieść jeszcze coś do picia?

– Nie, dziękuję. Po prostu proszę im powiedzieć, żeby przyjechali jak najszybciej. Czyjeś życie może być w niebezpieczeństwie.

Wsparłam głowę na dłoni. Powieki mi ciążyły. Mężczyzna wrócił do recepcji. Usłyszałam dźwięk podnoszonej słuchawki, a potem odgłos wybieranego numeru. To był długi numer. Może Norwedzy mają takie dziwne telefony alarmowe. A może dzwonił bezpośrednio na posterunek.

Doszło do krótkiej wymiany zdań. Przez mgłę wyczerpania usłyszałam, jak Erik mówi coś po norwesku, z czego wyłowiłam tylko słowo „hotel”. Później nastąpiła chwila przerwy i popłynął kolejny potok norweskich słów. To wtedy usłyszałam swoje nazwisko, dwukrotnie, a potem imię Anne.

– *Ja, din kone, Anne* – powtórzył Erik, jakby osoba po drugiej stronie linii nie dosłyszała albo nie uwierzyła w to, co słyszy. Potem dodał jeszcze coś po norwesku, zaśmiał się i zakończył słowami: *„Takk, farvel, Richard”*.

Poderwałam głowę i zamarłam w bezruchu. Zmroziło mnie.

Spojrzałam na zatokę, w stronę Aurory, której światła znikwały w oddali. I... Czy to wyobraźnia płatała mi figle? Wyglądało na to, że statek się zatrzymał.

Siedziałam jeszcze przez chwilę i w końcu nabrałam pewności. Aurora przestała płynąć na zachód. Zawracała.

Erik rozłączył się i wybrał kolejny numer.

– *Politiet, takk* – powiedział, gdy ktoś odebrał.

Przez moment nie byłam w stanie się ruszyć, sparaliżowana świadomością tego, co zrobiłam. Nie uwierzyłam Carrie, gdy opowiadała mi o wpływach Richarda. Potraktowałam jej słowa jak przejaw paranoi kobiety za bardzo stłamszonej, by wierzyła w możliwość ucieczki. Ale teraz... teraz te obawy wydawały się aż za bardzo realne.

Ostrożnie odstawiłam kubek z kawą na stolik. Pozwoliłam, by czerwony koc opadł na podłogę, wstałam, po cichutku otworzyłam drzwi tarasu i wymknęłam się w noc.

Oddech rozdzierał mi płuca, gdy biegłam krętymi uliczkami małego miasteczka. Kamyki wbijały się w moje nagie stopy i raz po raz krzywiłam się z bólu. Wreszcie ulice się skończyły, światła latarni zaczęły znikać, ale ja biegłam dalej, w ciemnościach i chłodzie, przez niewidoczne kałuże, mokrą trawę, po zwirowanych ścieżkach, aż stopy za bardzo mi skostniały, żebym czuła skaleczenia.

Nie zatrzymywałam się – chciałam jak najbardziej zwiększyć dystans między sobą a Richardem Bullmerem. Wiedziałam, że długo tak nie pociągnę, ale zamierzałam biec, póki nie znajdę jakiegoś schronienia.

W końcu zaczęłam tracić siły. Zwolniłam do truchtu, dysząc i kulejąc, a potem, gdy światła wioski niemal zniknęły w oddali, przerzuciłam się na bolesny chwiejny marsz. Szłam krętą drogą, która wiła się w ciemnościach i wspinała na zbocze fiordu. Co kilkaset metrów oglądałam się przez ramię, na dolinę pode mną, obserwując kurczące się plamki świateł małego portowego miasteczka i ciemną połąć wody. Światła Aurory były coraz bliżej. Teraz już nie miałam wątpliwości. Wyraźnie widziałam statek.

Niebo nade mną zaczęło jaśnieć. Zbliżał się świt. Boże, jaki jest dzień? Już poniedziałek?

Coś mi się jednak nie zgadzało i po chwili zdałam sobie sprawę co takiego. Blask nie nadciągał ze wschodu, lecz z północy. Nie patrzyłam na świt, tylko na upiorne, zielono-żółte pasma zorzy polarnej.

Zaśmiałam się gorzko. Dźwięk był szokująco głośny w nieruchomym nocnym powietrzu. Co takiego powiedział Richard? Że każdy powinien zobaczyć zorzę polarną, zanim umrze. Cóż, no to zobaczyłam.

Zatrzymałam się na chwilę, by popatrzeć na falujący blask, ale na myśl o Richardzie podjęłam marsz. Z każdym krokiem przypominałam sobie gorączkowe prośby Carrie – żebym uciekała, oddaliła się jak najszybciej od portu – jej histeryczne zapewnienia, że Richard wszędzie ma znajomości.

Teraz już nie wydawały mi się histeryczne.

Gdybym jej posłuchała, w życiu nie pokazałabym dowodu Anne w hotelu ani nie zdradziła Erikowi szczegółów, nawet tych nielicznych, które mu podałam. Ale po prostu nie mogłam uwierzyć, że ktokolwiek, niezależnie od stanu portfela, mógłby mieć takie znajomości. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo się myliłam.

Jęknęłam na myśl o własnej głupocie. Jęknęłam, bo zimno przenikało przez moje cienkie wilgotne ubranie. A przede wszystkim jęknęłam, dlatego że zostawiłam cały portfel Anne w recepcji. Głupia, głupia, głupia! Straciłam pięć tysięcy wilgotnych, ale wciąż wartościowych koron. Co teraz zrobię? Nie miałam dokumentów, miejsca do spania, żadnych pieniędzy, żeby kupić choć tabliczkę czekolady, nie mówiąc już o bilecie na pociąg. Całą nadzieję pokładałam w tym, że znajdę posterunek policji. Ale jak? Gdzie? I czy będę mogła powiedzieć im prawdę, gdy już dotrę na miejsce?

Nagle za plecami usłyszałam ryk silnika. Odwróciłam się i zobaczyłam samochód, który wypadł zza zakrętu na pełnym gazie. Ewidentnie kierowca nie spodziewał się, że ktoś będzie się tu włóczył o tej porze.

Odskokczyłam na pobocze, ale straciłam równowagę i osunęłam się po rumowisku. Wylądowałam jakieś dwa metry niżej – w kamienistym strumyku albo rowie odpływowym, pokrwawiona i podrapana, z legginsami w strzępach. Samochód zahamował. Przednie reflektory

zalały światłem dolinę, a dym z rury wydechowej kłębił się w blasku tylnych świateł, zabarwiony na czerwono.

Usłyszałam chrzęst kroków na drodze. Czy to był Richard? Jeden z jego ludzi? Zobaczyłam zarys oświetlonej od tyłu postaci. Musiałam uciekać.

Próbowałam wstać, ale poczułam, że kostka odmawia mi posłuszeństwa. Podjęłam kolejną próbę, tym razem ostrożniej. Przeszywający ból sprawił, że z gardła wydarł mi się szloch.

Na ten dźwięk mężczyzna spojrział w dół. Zauważył mnie. Odezwał się po norwesku. Pokręciłam głową. Ręce mi się trzęsły.

– Nie mówię po norwesku... – Próbowałam powstrzymać szloch. – Mówi pan po angielsku?

– Tak, mówię po angielsku – odparł z ciężkim akcentem. – Niech pani poda mi rękę. Pomogę pani.

Zawahałam się, ale wiedziałam, że nie wydostanę się z rowu bez pomocy. A jeśli ten mężczyzna zamierzał mnie skrzywdzić, z łatwością mógł przecież zejść po zboczach i zaatakować mnie tu, na dole. Lepiej, żebym wydostała się na górę. Tam przynajmniej będę mogła dalej pobiec, jeśli zostanę do tego zmuszona.

Światło reflektorów oślepiło mnie. Wyteżyłam wzrok, ale widziałam tylko ciemną sylwetkę i aureolę blond włosów pod czapką. To nie był Richard, tego mogłam być pewna.

– Proszę podać mi rękę – powtórzył mężczyzna, tym razem z niecierpliwością. – Jest pani ranna?

– Nie, n-nie jestem ranna – wyjąkałam. – Boli mnie kostka, ale chyba nie jest złamana.

– Niech pani oprze nogę tutaj – wskazał na pobliską skałę – a ja panią wyciągnę.

Ze świadomością, że być może robię coś bardzo głupiego, postawiłam zdrową nogę na kamieniu i podciągnęłam się do góry na prawej ręce. Poczułam, jak mężczyzna łapie mnie za nadgarstek i zaczyna ciągnąć, sapiąc głośno i zapierając się o skałę na skraju rowu. Mięśnie i ścięgna mojego ramienia protestowały, a gdy spróbowałam przenieść ciężar ciała na uszkodzoną stopę, krzyknęłam z bólu, w końcu jednak wydostałam się z rowu. Stałam, roztrzęsiona, na skraju drogi.

– Co pani tu robi? – zapytał nieznajomy. Nie widziałam jego twarzy, ale słyszałam troskę w jego głosie. – Zgubiła się pani? Miała pani wypadek? Ta droga prowadzi w góry, to nie jest miejsce dla turystów.

Zastanawiałam się, co odpowiedzieć, kiedy zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, mężczyzna nosił coś w kaburze przy biodrze – dostrzegłam ten kształt na tle światła reflektorów. A po drugie, jego auto było radiowozem. Stałam jak sparaliżowana, gdy trzask policyjnego radia przeszył nocną ciszę.

– Ja... – zdołałam wydusić.

Policjant zrobił krok w moją stronę. Odsunął czapkę, żeby lepiej mi się przyjrzeć, po czym ściągnął brwi. – Jak się pani nazywa?

– Ja... – spróbowałam raz jeszcze, ale umilkłam.

Radio znów zatrzeszczało. Mężczyzna uniół palec.

– Chwileczkę.

Sięgnął do biodra i zobaczyłam, że to, co brałam za broń, tak naprawdę było policyjną krótkofalówką. Obok niej wisiała para kajdanek. Powiedział coś do odbiornika, po czym przysiadł za kierownicą i rozpoczął dłuższą rozmowę.

– *Ja* – usłyszałam, a potem nastąpiła eksplozja słów, których nie rozumiałam. Nagle popatrzył na mnie przez przednią szybę. W jego oczach malowała się konsternacja. – *Ja* – powtórzył – *det er riktig. Laura Blacklock.*

Czas jakby zwolnił i uświadomiłam sobie, że muszę podjąć decyzję. Teraz albo nigdy. Jeśli rzucę się do biegu, możliwe, że popełnię błąd. Ale jeśli tu zostanę, mogę nie dożyć chwili, w której się o tym przekonam. Nie mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko.

Nagle zobaczyłam, że policjant sięga po coś do schowka. Nie miałam pojęcia, co robić. Ale wcześniej nie chciałam wierzyć Carrie i niemal zapłaciłam za to życiem.

Przygotowałam się na ból, który musiał nadejść, i ruszyłam biegiem. Ale nie pod górę, krętą drogą, tylko w dół, na przełaj, na oślep po stromym zboczu fiordu.

Już świtało, gdy zrozumiałam, że dalej nie ucieknę, że moje mięśnie, wyczerpane do granic możliwości, zaraz odmówią mi posłuszeństwa. Zataczałam się jak pijana. Gdy próbowałam przestąpić pień zwalonego drzewa, kolana ugięły się pod mną.

Wiedziałam, że muszę się zatrzymać. Jeśli nie odpocznę, padnę tu, gdzie stoję, w głębi jakiejś norweskiej doliny, i moje ciało być może nigdy nie zostanie odnalezione.

Potrzebowałam schronienia, ale opuściłam drogę już dawno temu, a w okolicy nie widziałam żadnych zabudowań. Nie miałam telefonu, nie miałam pieniędzy. Nie wiedziałam nawet, która jest godzina.

Szloch zaczął narastać w moim wyschniętym gardle, ale w pewnej chwili zauważyłam jakiś kształt mający za rzadko rosnącymi drzewami – coś długiego i niskiego. Z pewnością nie był to dom, ale może jakaś stodoła?

Ten widok dodał mi energii i zmusił nogi do ostatniego wysiłku. Wytoczyłam się spomiędzy drzew na gruntową drogę i przeszłam przez bramę w drucianym płocie.

To rzeczywiście była stodoła, choć bardziej przypominała rozpadającą się szopę z rozchwierutanymi drewnianymi ścianami i dachem z blachy falistej. Dwa kudłate koniki odwróciły za mną łby, gdy koło nich przechodziłam, po czym jeden z nich z powrotem zanurzył pysk w korycie z wodą. Na ten widok serce mi drgnęło. Powierzchnia wody mieniła się złotem i różem w miękkim świetle świtu.

Rzuciłam się do koryta, padłam na kolana, nabrałam wody w dłonie i zaczęłam łapczywie pić. To była deszczówka, smakowała ziemią, błotem i rdzą, ale nie zważałam na to. Byłam zbyt spragniona, by myśleć o czymkolwiek poza ukojeniem wyschniętego gardła.

Gdy ugasiłam pragnienie, wyprostowałam się i rozejrzałam wokół. Podeszłam do wrót stodoły. Były zamknięte, ale kiedy położyłam dłoń na zasuwie, ustąpiła bez trudu. Ostrożnie weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi.

Wewnątrz znalazłam mnóstwo siana i jakieś worki, chyba z paszą; na kółkach wbitych w ścianę wisały dwie derki. Powoli, pijana ze zmęczenia, ściągnęłam jedną z nich i rozłożyłam na największej stercie siana. Nie myślałam o szczurach, pchłach czy ludziach Richarda, którzy zapewne mnie szukali. Było mało prawdopodobne, by znaleźli mnie w tym miejscu, zresztą byłam już w takim stanie, że niemal mnie to nie obchodziło. Mogą mnie zabrać, pod warunkiem że pozwolą mi odpocząć.

Położyłam się na prowizorycznym posłaniu i nakryłam drugą derką.

Nie wiem, kiedy zasnęłam.

– Halo? – czyjś głos, boleśnie donośny, wyrwał mnie ze snu. Otworzyłam oczy i oślepiło mnie światło. Po chwili dostrzegłam twarz. Starszy mężczyzna z siwą brodą, do złudzenia przypominający Kapitana Birdseye'a, patrzył na mnie kaprawymi piwnymi oczami z mieszaniną zaskoczenia i niepokoju.

Zamrugałam i cofnęłam się gwałtownie; serce boleśnie waliło mi w piersi. Spróbowałam wstać, ale moją kostkę przeszył ból i zatoczyłam się. Mężczyzna chwycił mnie za ramię, mówiąc coś po norwesku. Bez namysłu wyszarpnęłam się z jego uchwytu i padłam na ziemię.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. On patrzył na moje skaleczenia i zadrapania, a ja na jego porożną zmarszczkami twarz. Gdzieś za nim kręcił się i ujadł pies.

– Kom – powiedział w końcu mężczyzna.

Z trudem wstał z kucek i wyciągnął ku mnie dłoń – ostrożnie, jakbym była rannym

zwierzęciem, które w każdej chwili może kłapać zębami. Pies zaszczeakał znowu, tym razem histerycznie, a staruszek krzyknął coś do niego przez ramię. Najwyraźniej kazał mu się zamknąć.

– Kim... – Oblizalam spierzchnięte wargi i spróbowałam jeszcze raz: – Kim jesteś? Gdzie ja jestem?

– Konrad Horst – przemówił człowiek, wskazując na siebie. Wyciągnął portfel i zaczął w nim grzebać, aż znalazł zdjęcie starszej kobiety o różanych policzkach, z koczkim siwych włosów, tulącej do siebie dwóch małych blondynków. – *Min kone* – powiedział, powoli wymawiając słowa. A potem, wskazując na dzieci, dodał coś, co brzmiało jak „Vorry bon-bon”.

Następnie wskazał na wysłużone volvo zaparkowane przed stodołą.

– *Bilen min* – oznajmił i powtórzył: – *Kom*.

Nie wiedziałam, co robić. Zdjęcie, które mi pokazał, uspokoiło mnie, ale przecież gwałciciele i mordercy też miewają wnuki, czyż nie? A może ten człowiek był po prostu miłym staruszkim? Może jego żona będzie mówiła po angielsku? W każdym razie pewnie będą mieli telefon.

Zerknęłam na moją kostkę. Spuchła jak bania i nie byłam pewna, czy dam radę dokuśtykać do samochodu, nie mówiąc już o dostaniu się na lotnisko.

Kapitan Birdseye raz jeszcze wyciągnął rękę i poruszył palcami w przywołującym geście.

– Proszę? – zaintonował pytająco, jakby dawał mi jakiś wybór.

Ale wiedziałam, że nie mam wyboru.

Dopiero w trakcie jazdy zdałam sobie sprawę, jaki kawał drogi przebiegłam minionej nocy. Z zalesionego zbroca nie było nawet widać wód zatoki, a volvo musiało pokonać kilka mil po porytej koleinami ścieżce, zanim dotarliśmy do nawierzchni, która zaczęła przypominać jezdnię.

Skręcaliśmy na asfalt, gdy zauważyłam przedmiot leżący na małej półeczce pod radiem. Komórka. Bardzo, bardzo stary model, ale chyba działający.

Wyciągnęłam dłoń, wstrzymując oddech.

– Mogę?

„Birdseye” zerknął na mnie, po czym uśmiechnął się szeroko. Wziął telefon, położył go na moich kolanach i postukał w ekran, mówiąc coś po norwesku. Gdy tylko spojrzałam na komórkę, zrozumiałam, co chce mi przekazać – nie mieliśmy zasięgu.

– *Vente* – oznajmił głośno i wyraźnie, a potem dodał po angielsku z topornym akcentem: – Poczekaj.

Nie odrywałam wzroku od ikonki zasięgu, podczas gdy za oknami śmigały drzewa. Ale coś tu nie miało sensu. Według daty na wyświetlaczu był dwudziesty dziewiąty wrzesnia. Albo coś źle policzyłam, albo straciłam cały dzień.

– To – wskazałam na cyfry – dzisiaj? Naprawdę jest dwudziesty dziewiąty wrzesnia?

Mężczyzna spojrział na ekran i pokiwał głową.

– *Ja, tjueniende*. Wtwo-tek – wymówił bardzo powoli.

Wtorek. Dzisiaj był wtorek. Przespałam w tej stodole cały dzień i całą noc.

Próbowałam przetrwać ten fakt, starając się nie myśleć o tym, jak zaniepokojeni muszą być Judah i moi rodzice, gdy skręciliśmy na podjazd prowadzący do schludnego domku pomalowanego na niebiesko. Jednocześnie coś zamigotało w rogu ekranu – jedna kreska zasięgu.

– Proszę? – Uniosłam aparat. Miałam serce w gardle i z trudem wymawiałam słowa. – Czy mogę zadzwonić do mojej rodziny w Anglii?

Konrad Horst powiedział po norwesku coś, czego nie rozumiałam, ale też pokiwał

głową, co uznałam za przyzwolenie. Wklepałam numer kierunkowy plus czterdzieści cztery, choć palce trzęsły mi się tak bardzo, że ledwo trafiałam w klawisze, i zadzwoniłam na komórkę Judah.

Przez długi czas nic nie mówiliśmy, tylko staliśmy pośrodku hali lotniska jak dwoje głupców, obejmując się rozpaczliwie. Judah dotykał mojej twarzy, włosów, sińców na policzku, jakby sprawdzał, czy to naprawdę ja. Ja chyba robiłam to samo, wodziłam palcami po jego twarzy, ale już nie pamiętam.

Potrafiłam myśleć tylko o jednym. Że jestem w domu. Jestem w domu. Jestem w domu.

– Nie mogę w to uwierzyć – wciąż powtarzał Judah. – Jesteś cała i zdrowa.

Wtedy zaczęłam płakać. Wtuliłam twarz w szorstki, drapiący materiał jego marynarki. Judah nic więcej nie mówił, tylko przytulał mnie mocno, jakby miał już nigdy nie wypuścić mnie z objąć.

Początkowo błagałam Horstów, żeby nie dzwonił na policję, ale nie potrafiłam im wyjaśnić powodów. Po rozmowie z Judah, gdy obiecał, że zadzwoni do Scotland Yardu i wszystko im opowie – historię tak nieprawdopodobną, że niemal sama w nią nie wierzyłam – zaczęłam jednak akceptować fakt, że coś takiego nie ujdzie na sucho nawet Richardowi Bullmerowi.

Policja w końcu przyjechała i zabrała mnie do przychodni, gdzie zajęto się moimi pokaleczonymi stopami oraz skrzywą kostką i wypisano mi receptę na leki antydepresyjne. Miałam wrażenie, że to wszystko trwa wieczność, ale w końcu lekarz oświadczył, że mogę odejść. Zostałam zawieziona na komisariat w dolinie, gdzie czekał już na mnie urzędnik z brytyjskiej ambasady w Oslo.

Po raz kolejny opowiedziałam o tym, co mi się przytrafiło.

– Musicie jej pomóc – powtarzałam w kółko. – Carrie... musicie ruszyć w pościg za tym statkiem.

Brytyjski urzędnik i policjant wymienili spojrzenia, a funkcjonariusz powiedział coś po norwesku. Nagle zrozumiałam, że cokolwiek przede mną ukrywają, nie jest to dobra wiadomość.

– Co? – zapytałam. – O co chodzi? Co się stało?

– Policja znalazła dwa ciała – oświadczył skrzepowany urzędnik oficjalnym tonem. – Pierwsze, we wczesnych godzinach rannych w poniedziałek, zostało wyciągnięte przypadkowo przez łódź rybacką. Drugie, w poniedziałek po południu, wyłowili policyjni nurkowie.

Skryłam twarz w dłoniach, mocno dociskając palce do oczu. Odetchnęłam głęboko.

– Powiedzcie mi... – Podniosłam wzrok. – Muszę wiedzieć.

– Ciało wyłowione przez nurków należało do mężczyzny – powiedział powoli urzędnik. – Zginął od strzału w skroń, policja sądzi, że to samobójstwo. Nie miał przy sobie dokumentów, ale najprawdopodobniej są to zwłoki Richarda Bullmera. Załoga statku Aurora zgłosiła jego zaginięcie.

– A... – Przełknęłam ślinę. – A drugie ciało?

– Należało do kobiety, bardzo szczupłej, pozbawionej włosów. Policja jeszcze nie przeprowadziła sekcji zwłok, ale wstępnie ustalono, że utonęła... Pani Blacklock? – Rozejrzał się nerwowo. – Dobrze się pani czuje, pani Black-lock? Czy ktoś mógłby jej przynieść chusteczkę, bardzo proszę? Proszę nie płakać, pani Blacklock, jest pani bezpieczna.

Ale ja nie mogłam wydusić z siebie słowa. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że on miał rację – byłam bezpieczna. Ale Carrie nie.

To, że Bullmer odebrał sobie życie, powinno stanowić dla mnie pocieszenie, ale nie poczułam ulgi. Po prostu siedziałam tam, płacząc w chusteczkę, którą mi dali, i myślałam

o Carrie. O wszystkim, co mi zrobiła. I co zrobiła dla mnie. Niezależnie od wszystkiego zapłaciła za to własnym życiem. Nie zdążyłam jej uratować.

Taksówka z lotniska zabrała nas prosto do mieszkania Judah. Nie ustalaliśmy tego, ale Judah najwyraźniej się domyślił, że nie będę chciała wracać do swojej klitki w suterenie. Miałam dość przebywania w zamkniętych i ciemnych pomieszczeniach.

Gdy dotarliśmy na miejsce, posadził mnie na kanapie w salonie i opatulił kocem jak małe dziecko albo rekonwalescentkę dochodzącą do siebie po ciężkiej chorobie. Pocałował mnie w czoło, bardzo delikatnie, jakby bał się, że mnie uszkodzi.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś w domu – powtórzył po raz tysięczny. – Gdy pokazali mi zdjęcie twoich botków...

W jego oczach pojawiły się łzy. Poczułam ucisk w gardle.

– Ona je włożyła – wyjaśniłam ochryple. – Żebym ja mogła wcielić się w nią, a ona we mnie. Ona... – Nie byłam w stanie dokończyć.

Judah długo mnie tulił, a gdy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, przełknął ślinę i powiedział:

– Dostałaś mnóstwo wiadomości, wiesz? Ludzie wydzwaniali do mnie, bo twoja poczta głosowa się zapełniła. Zapisywałem je.

Pogrzebał w kieszeni i wręczył mi listę. Przebiegłam przez nią wzrokiem. Większości imion bym się spodziewała: Lissie... Rowan... Emma... Jenn... Ale jedno czy dwa stanowiły niespodziankę: „Tina West – Bardzo jej ulżyło, że jesteś bezpieczna. Nie musisz oddzwaniać”. „Chloe Yansen (?) – Ma nadzieję, że dobrze się czujesz. Prosi, żebyś zadzwoniła, jeśli ona i Lars mogą coś dla ciebie zrobić”. „Ben Howard. Nie zostawił wiadomości”.

– Mój Boże, Ben! – Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia. – Jestem w szoku, że w ogóle się odezwał. Generalnie oskarżyłam go o to, że stoi za tym wszystkim. Naprawdę zadzwonił?

– To jeszcze nic – powiedział Judah i zobaczyłam, że ukradkiem ociera oczy rękawem. – To Ben podniósł alarm. Zadzwonił do mnie z Bergen z pytaniem, czy bezpiecznie wróciłaś do domu, a gdy powiedziałem mu, że nie miałem od ciebie wieści od niedzieli, kazał mi powiadomić brytyjską policję i powiedzieć, że to pilne. Podobno awanturował się już od Trondheim, ale nikt z załogi nie chciał go słuchać.

– Nie wpędzaj mnie w jeszcze większe poczucie winy... – jęknęłam i skryłam twarz w dłoniach.

– Cóż, to wszystko nie zmienia faktu, że wciąż jest zadufanym w sobie małym gnojkiem. – Judah uśmiechnął się ujmująco, a mi ścisnęło się serce, gdy zobaczyłam jego ząb, który chyba się zakorzenił. – Udzielił naprawdę gównianego wywiadu dziennikarzom z „Mail”, sugerując, że właściwie dopiero co ze sobą zerwaliście.

– Okay... – Zaśmiałam się nerwowo. – Czuję się coraz mniej winna.

Gdy Judah udał się do kuchni zaparzyć herbatę, wzięłam garść chusteczek z pudełka stojącego na stoliku kawowym i otarłam oczy. Potem sięgnęłam po pilota i włączyłam telewizor, próbując przywrócić swemu życiu pozory normalności.

Skakałam po kanałach, szukając jakiegoś podnoszącego na duchu programu – może powtórki któregoś odcinka *Przyjaciół* albo *Jak poznałem waszą matkę* – gdy nagle zamarłam.

Z ekranu spoglądał na mnie mężczyzna.

Richard Bullmer.

Patrzył prosto w kamerę, wykrzywiając usta w asymetrycznym uśmiechu, i przez moment myślałam, że mam halucynacje. Nabrałam powietrza i już miałam zawołać Judah i zapytać, czy

on też to widzi, ale potem zobaczyłam prezentera wiadomości i zdałam sobie sprawę z tego, co oglądałam. To był materiał na temat śmierci Bullmera. „Brytyjski biznesmen i członek Izby Lordów Richard Bullmer, główny udziałowiec przeżywającej trudności finansowe grupy Northern Lights, został znaleziony martwy po tym, jak załoga luksusowego jachtu Aurora zgłosiła jego zaginięcie u wybrzeży Norwegii zaledwie kilka godzin wcześniej...”.

Puszczono kolejne zdjęcia archiwalne. Tym razem Richard stał na podium i wygłaszał jakieś przemówienie. Jego usta poruszały się, ale dźwięk wyciszono, żeby prezenter mógł dalej relacjonować przebieg wydarzeń. Gdy operator zrobił zbliżenie na twarz Bullmera, ściszyłam dźwięk, wstałam z kanapy i uklękłam przed telewizorem, z twarzą zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

Przemówienie dobiegło końca, Richard się skłonił, popatrzył prosto w obiektyw i mrugnął do mnie charakterystycznie. Poczułam, że mój żołądek wykonuje salto. Ten widok przyprawił mnie o dreszcze.

Drżącymi dłońmi podniosłam pilota, gotowa wypędzić Bullmera z mojego życia raz na zawsze, gdy kamera przesunęła się i ukazała kobietę siedzącą w pierwszym rzędzie – uśmiechniętą i klaszczącą. Zamarłam. Kobieta była wyjątkowo piękna, miała długą pelerynę ciemnozłoty i szerokie kości policzkowe. Przez chwilę próbowałam sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widziałam. A potem zrozumiałam... To była Anne. Młoda, piękna i żywa. Taka, jaka była, zanim Richard postanowił z nią skończyć. Oklaskiwała męża, ale w którymś momencie musiała sobie zdać sprawę, że kamery zostały skierowane na nią, bo nagle spojrzała w obiektyw. Zobaczyłam coś w jej oczach, choć może dałam się ponieść wyobraźni... Ale odniosłam wrażenie, że po jej twarzy przemknął cień smutku i strachu, jakby czuła się schwytana w pułapkę. Zaraz jednak uśmiechnęła się szerzej i uniosła podbródek. Ta kobieta nigdy by nie skapitulowała, nigdy nie poddałaby się, walczyłaby do ostatniej chwili.

Gdy na ekranie pojawił się obraz studia telewizyjnego, wyłączyłam odbiornik i wróciłam na kanapę. Owinęłam się kocem i skierowałam twarz do ściany. Słuchałam, jak Judah przygotowuje herbatę. I rozmyślałam.

Zegar na stoliku nocnym wskazywał, że minęła północ. Leżeliśmy w łóżku, Judah przytulał się do moich pleców i otaczał mnie ramieniem tak mocno, jakby się bał, że nagle zniknę.

Poczekaliśmy, aż zaśnie, zanim pozwoliłam sobie na płacz. Ale gdy szczególnie głęboki szloch wstrząsnął moim ciałem, Judah szepnął mi do ucha:

- Wszystko w porządku?
- Myślałam, że śpisz... – Mój głos był ochrypnięty.
- Płaczesz?

Chciałam zaprzeczyć, ale ucisk w gardle nie pozwolił mi się odezwać. Zresztą miałam już dość kłamstw i udawania.

Pokiwałam głową, a on dotknął mojego mokrego policzka.

– Och, kochanie... – Usłyszałam, jak głośno przetyka ślinę. – Wszystko będzie... nie musisz... – urwał, jakby nie potrafił znaleźć słów.

– Nie mogę przestać o niej myśleć – przyznałam. Łatwiej mi było o tym mówić, gdy nie musiałam patrzeć mu w oczy, gdy mogłam przemawiać w ciemnościach do strzępków księżycowego światła na podłodze. – Nie potrafię tego zaakceptować, to nie w porządku.

– Bo on się zabił?

– Nie tylko o to chodzi. Anne. I... i Carrie. – Judah nie skomentował, ale wiedziałam, co myśli. – No, wyduś to z siebie – rzuciłam z goryczą. Westchnął i poczułam jego ciepły oddech na policzku. Jego pierś unosiła się i opadała miarowo.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, ale nie mogę nic poradzić na to, że... że się cieszę.
– Przekreśliłam się, żeby na niego popatrzeć, a on uniósł dłoń w obronnym geście. – Wiem, wiem, że to złe. Ale jak pomyślę o tym, co ona ci zrobiła... Serio, gdyby to zależało ode mnie, nie wyciągnąłbym jej z morza. Zostawiłbym ją tam na pastwę ryb. Pewnie dobrze, że to nie była moja decyzja.

Poczułam, jak narasta we mnie gniew. Mówił w ten sposób o Carrie, która przecież też była bita, zastraszana i okłamywana.

– Ona zmarła przeze mnie – szepnęłam. – Nie musiała mnie wypuszczać.

– Bzdura. Znalazłaś się tam przez nią. Nie musiała zabijać tamtej kobiety i trzymać cię w zamknięciu.

– Nie wiesz tego. Nigdy nie można z całą pewnością stwierdzić, co się dzieje w związkach innych ludzi.

Pomyślałam o przerażeniu Carrie, o siniakach na jej ciele, o tym, jaka była przekonana, że nigdy nie udałoby się jej uciec przed Richardem. Miała rację.

Judah nie skomentował moich słów, ale czułam, że się ze mną nie zgadza.

– No co? – drążyłam. – Nie wierzysz mi? Nie sądzisz, że ludzie czasem dają się w coś wciągnąć i potem robią różne rzeczy ze strachu albo dlatego, że nie widzą innego rozwiązania?

– Nie, nie o to chodzi – zaprzeczył powoli. – Wierzę. Ale mimo wszystko uważam, że zawsze jesteśmy odpowiedzialni za nasze działania. Każdy czasami się boi. Ale chyba nie twierdzisz, że zrobiłabyś coś takiego drugiej osobie, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji byś się znalazła. Nie zamknęłabyś jej tak, nie uwięziła, niezależnie od tego, jak bardzo byłabyś przerażona.

– Nie wiem – mruknęłam. Pomyślałam o tym, jaka dzielna – i jaka krucha – była Carrie. Pomyślałam o maskach, które nosiła, aby ukryć przerażenie i samotność. Pomyślałam o sińcu na jej obojczyku i o strachu czającym się w jej oczach. Pomyślałam o tym, że dla mnie zrezygnowała ze wszystkiego. – Słuchaj. – Usiadłam i owinęłam się prześcieradłem. – Ta oferta pracy, o której mówiłeś, zanim wyjechałam. Ta w Nowym Jorku. Odrzuciłeś ją?

– Tak, to znaczy, cóż... nie. Ale zamierzam. Jeszcze do nich nie zadzwoniłem. Po tym, jak zaginęłaś, nie miałem do tego głowy. A co? – W głosie Judah pojawił się niepokój.

– Myślę, że nie powinieneś jej odrzucać. Uważam, że powinieneś ją przyjąć.

– Co takiego? – On też usiadł. Promień księżycy padł na jego twarz. Zobaczyłam, że malują się na niej szok i wściekłość. Zatkanęło go, ale potem słowa popłynęły potokiem: – Co, do cholery? Dlaczego? Skąd ten pomysł?

– Cóż, to dla ciebie życiowa szansa, prawda? Posada, o jakiej zawsze marzyłeś. – Tak mocno okręcałam prześcieradło wokół palców, aż mi zdrętwiały. – I spójrzmy prawdzie w oczy: nic cię tu nie trzyma, prawda?

– Nic mnie tu nie trzyma? – Przełknął głośno, a jego dłonie zacisnęły się w pięści, po czym z powrotem rozwarły. – Wszystko mnie tu trzyma, a w każdym razie myślałem, że tak jest. Ja... czy ty ze mną zrywasz, Lo?

– Co? – Teraz to ja byłam w szoku. Gwałtownie pokręciłam głową, złapałam go za ręce, te ręce, które znałam na pamięć, i zaczęłam pocierać kciukami jego knykcie. Kurwa... – Jude, nie! W życiu! Chodzi mi o to... Próbuję zapytać... Pojedźmy tam. Razem.

– Ale... ale „Velocity”... twoja praca. Przecież miałaś zastępować Rowan, gdy pójdzie na macierzyński. To twoja wielka szansa. Nie mogę tego zniszczyć.

– To nie jest moja wielka szansa. – Westchnęłam. Położyłam się na plecach, nie wypuszczając jego dłoni. – Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Spędziłam prawie dziesięć lat, pracując w „Velocity”, podczas gdy Ben i wszyscy inni podejmowali ryzyko i walczyli o coś

większego i lepszego. Ale ja nie. Ja za bardzo się bałam. Poza tym czułam, że powinnam być lojalna wobec pracodawcy, który mnie wspierał, kiedy sprawy nie układały się za dobrze. Ale Rowan nigdy nie odejdzie. Wróci za pół roku, może nawet szybciej, a ja nie będę miała dokąd pójść. Zresztą prawda jest taka, że nawet gdybym mogła dostać awans, to już go nie chcę. Nigdy go nie chciałam. Uświadomiłam to sobie, gdy tkwiłam na pokładzie tego statku. Miałam mnóstwo czasu, by się nad tym wszystkim zastanawiać.

– Jak to? Przecież odkąd się poznaliśmy, nie mówiłaś o niczym innym.

– Myślę, że jako dziennikarka straciłam z oczu prawdziwy cel. Nie chcę skończyć jak Tina i Alexander, podróżując z kraju do kraju, odwiedzając pięciogwiazdkowe hotele i restauracje Michelin. Owszem, Rowan zaliczyła połowę luksusowych kurortów na Karaibach, ale w zamian musi publikować dokładnie to, co każe jej pisać na przykład taki Bullmer. A ja tego nie chcę, już nie. Chcę pisać o rzeczach, które tacy ludzie woleliby ukryć przed czytelnikami. A skoro mam zacząć od początku, to cóż... mogę pracować jako wolny strzelec z każdego miejsca na świecie. Wiesz o tym. – Nagle coś przyszło mi do głowy i zaśmiałam się z drżeniem, niepewnie. – Może napiszę książkę! „Moje pływające więzienie – prawdziwa opowieść o piekle na siedmiu morzach”.

– Lo... – Judah ścisnął moje dłonie. Oczy miał szeroko otwarte i ciemne w słabym blasku księżyca. – Lo, przestań. Przestań żartować. Mówisz serio?

Nabrałam głęboko powietrza. A potem skinęłam głową.

– Nigdy w życiu nie byłam bardziej poważna.

Judah przysypiał z głową w zagięciu mojego ramienia. Wiedziałam, że wkrótce złapie mnie skurcz, ale nie chciałam się od niego odsuwać.

– Śpisz? – mruknęłam.

Przez chwilę nie odpowiadał i myślałam, że faktycznie zasnął, jak to on potrafił, tracąc świadomość między jednym oddechem a drugim, ale potem poruszył się i powiedział:

– Prawie.

– Ja nie mogę zasnąć.

– Cii... – Dotknął mojej twarzy. – Już wszystko dobrze, już po wszystkim.

– Nie o to chodzi... tylko...

– Wciąż o niej myślisz?

Kiwnęłam głową w ciemnościach.

– Kiedy zobaczyłeś jej ciało... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Nie zobaczyłem.

– Jak to? Myślałam, że policja wysłała ci zdjęcia, żebyś mnie zidentyfikował?

– To nie były zdjęcia ciała. Żałuję, ale nie. Gdybym zobaczył zwłoki Carrie, a nie twoje, nie spędziłbym dwóch dni w piekle, myśląc, że nie żyjesz. To były tylko ubrania. Zdjęcia ubrań.

– Jak to? – zdziwiłam się. Dlaczego poprosili go, żeby zidentyfikował tylko ubrania, a nie ciało?

Poczułam, jak Judah wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Wtedy założyłem, że pewnie ciało jest za bardzo zmasakrowane. Ale po tym, jak się ze mną skontaktowałaś, zadzwoniłem do policjantki przydzielonej do opieki nad twoją rodziną... Chciałem się dowiedzieć, jak, do cholery, mogli się tak pomylić. A ona pogadała z Norwegami i okazało się, że to było nieporozumienie. Że najwyraźniej ubrania zostały znalezione oddzielnie.

Słuchałam go i próbowałam to rozgryźć. Czy Carrie zrzuciła buty i bluzę, gdy próbowała

dopłynąć do brzegu wpław, uciekając przed Bullmerem? Bałam się zasnąć. Spodziewałam się, że będzie mnie prześladować pełna wyrzutów twarz Carrie, ale gdy w końcu zamknęłam oczy, ujrzałam Bullmera, roześmianego, ze zmierzwionymi włosami, spadającego do morza z pokładu Aurory.

Z walącym sercem uniosłam powieki, przypominając sobie, że już go nie ma, że jestem bezpieczna, że leżę w ramionach Judah, a cały koszmar się skończył. Ale to nie była prawda – koszmar trwał. Bo po prostu nie mogłam uwierzyć w przebieg wydarzeń przedstawiony przez policję.

Nie tylko śmierci Carrie nie potrafiłam zaakceptować. Śmierć Bullmera też była dla mnie nie do przyjęcia. Nie żebym uważała, że powinien dalej żyć. Chodziło o to, że jego śmierć po prostu nie miała sensu. Uwierzyłabym w samobójstwo Carrie, ale nie w to, że Richard odebrał sobie życie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by ten mężczyzna, działający z tak zawziętą determinacją, nagle się poddał. Walczył tak żąrcie, rozgrywał karty z taką brawurą. Czy naprawdę zakończyłby partię w tak banalny sposób? To wydawało mi się nieprawdopodobne.

Ale musiałam to zaakceptować. Bullmer nie żył.

Zamknęłam oczy, przeganiając jego widmo. Wtuliłam się w pierś Judah i zaczęłam rozmyślać o przyszłości, o Nowym Jorku, o ryzyku, jakie zamierzałam podjąć.

Pod moimi powiekami pojawił się obraz mnie samej, stojącej na krawędzi balustrady, obserwującej ciemne fale poniżej.

Ale nie czułam strachu. Już raz spadłam i przeżyłam.

„EVENING STANDARD”

czwartek, 26 listopada

ZIDENTYFIKOWANO TOŻSAMOŚĆ TAJEMNICZEJ TOPIELICY ZE STATKU

AURORA

Niemal dwa miesiące po szokującym odkryciu ciał dwojga ludzi w wodach Morza Północnego norweskiej policji udało się potwierdzić tożsamość drugich zwłok.

Jak wiadomo, pierwsze ciało należało do brytyjskiego biznesmena i członka Izby Lordów Richarda Bullmera. Zwłoki zostały wyłowione przez policyjnych nurków, którzy przeszukiwali wody przybrzeżne w okolicach Bergen, w Norwegii, po tym, jak załoga ekskluzywnego butikowego statku wycieczkowego Aurora Borealis zgłosiła zaginięcie Bullmera z pokładu.

Dzisiaj norweska policja wydała oświadczenie, zgodnie z którym ciało kobiety wyłowione przez rybaka kilkaset mil dalej należało do żony Bullmera, Anne Bullmer, dziedziczki bilionowej fortuny Lyngstadów.

TO NIE BYŁO SAMOBÓJSTWO

Potwierdziły się podejrzenia norweskiej policji, wedle których przyczyną śmierci lady Bullmer było utonięcie, natomiast lord Bullmer poniósł śmierć w wyniku rany postrzałowej skroni. Jednakże nowe, anglojęzyczne oświadczenie dementuje wcześniejsze doniesienia na temat samobójstwa lorda Bullmera. Lokalny patolog stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że ofiara nie strzeliła do siebie samodzielnie.

Broń wyłowiona wraz z ciałem lorda Bullmera była zawinięta w ubrania należące do zaginionej brytyjskiej dziennikarki Laury Blacklock, co początkowo wywołało spekulacje, że jego śmierć miała związek z jej zniknięciem kilka dni wcześniej.

Blacklock odnalazła się w Norwegii, cała i zdrowa, ale jej oburzeni rodzice zażądali wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciwko funkcjonariuszom, którzy przez dwa dni pozwolili wierzyć rodzinie, że znalezione zwłoki zidentyfikowano jako należące do ich zaginionej córki. Rzecznik Scotland Yardu podkreślił, że ciało na żadnym etapie nie zostało zidentyfikowane jako należące do Blacklock, ale przyznał, że informację o znalezieniu jej ubrań przekazano rodzinie „w niefortunny sposób”, i zapewnił, że był to wyłącznie efekt „nieporozumienia między służbami obu krajów”. Rzecznik oświadczył również, że Scotland Yard pozostaje w prywatnym kontakcie z rodziną Blacklocków w związku z incydentem.

W odpowiedzi na pytanie gazety rzecznik norweskiej policji oznajmił, że choć przesłuchano panią Blacklock w związku ze sprawą, nie jest podejrzana o doprowadzenie do którejkolwiek ze śmierci, a śledztwo trwa.

Bankowy czat na żywo: 6 grudnia, 16:15

Dzień dobry, witamy na czacie. Rozmawia pani z Ajeshem z Personal Banking. W czym mogę pani pomóc, pani Black-lock?

Witam, piszę do państwa, bo otrzymałam nietypowy przelew na swoje konto. Chciałam sprawdzić, czy mają państwo jakiegokolwiek informacje na temat nadawcy.

Oczywiście, mogę to sprawdzić. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

Tak, jasne.

Która dokładnie transakcja cię niepokoi, Lauro?

Ta sprzed dwóch dni, datowana na 4 grudnia, na kwotę 40 000 franków szwajcarskich.

Pozwól, że to sprawdzę. Już znalazłem. Chodzi o przelew z tytułem „Brykający Tygrysek”?

Tak, zgadza się.

Sprawdziłem kod bankowy. Przelew wyszedł ze szwajcarskiego konta ulokowanego w banku w Bernie. Niestety, nie mamy żadnych informacji na temat tożsamości właściciela konta. To konto numerowane. Czy tytuł przelewu coś ci mówi?

Tak. W porządku, dziękuję. Jestem pewna, że to przelew od przyjaciółki, chciałam tylko sprawdzić. Dzięki za pomoc.

Proszę bardzo. Czy jest coś, w czym jeszcze mógłbym ci pomóc, Lauro?

Nie, dziękuję. Do widzenia.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie w trakcie pracy nad tą powieścią. Pisanie książki to osobliwe, samotne doświadczenie, jednak jej publikowanie to zdecydowanie dyscyplina zespołowa i jestem ogromnie wdzięczna, że nad wydaniem *Dziewczyny z kabiny numer 10* pracowały tak oddane, zabawne i sympatyczne osoby.

Przede wszystkim dziękuję dwóm Alison: Alison Hennessey z Harvill Secker oraz Alison Callahan ze Scout – za to, że okazały się taktownymi, wnikliwymi i nieustraszonymi redaktorkami i generalnie udowodniły, że co trzy głowy, to nie jedna.

Spośród wielu osób z wydawnictwa Vintage, które mnie wspierały i dopingowały, na szczególnie podziękowania zasługują: Liz Foley, Bethan Jones, Helen Flood, Aine Mulkeen, Rachel Cugnoni, Richard Cable, Christian Lewis, Faye Brewster, Rachael Ludbrook oraz Versha za piękny design; Simon Rhodes z działu produkcji i oczywiście Tomi Drake-Lee, wszyscy z działu sprzedaży – za przekazanie moich książek w ręce czytelników, a także Jane Kirby, Penny Liechti, Monique Corless i Sam Coates z działu praw za to, że sprzedają je na całym świecie. Dziękuję, że tak zadbaliście o moją powieść. Sprawiliście, że jestem dumna ze współpracy z Vintage!

Dziękuję za bezgraniczne wsparcie mojej agentce Eve White i jej zespołowi. I jak zawsze jestem wdzięczna za hojność, jaką okazuje mi wspierała społeczność pisarzy – zarówno tych, z którymi kontaktuję się online, jak i tych, których znam osobiście.

Moi przyjaciele i rodzina wiedzą, jak bardzo ich kocham, więc nie będę się tu powtarzać, ale... kocham was!